

ŻYWOT

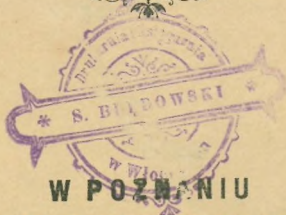
KS. JANA MARYI VIANNEY

PROBOSZCZA Z ARS

PRZEZ

KS. ALFREDA MONNIN
MISYONARZA.

Za pozwoleniem autora na język polski przełożony.



W POZNANIU
NAKŁADEM TĘMACZA.

Drukiem J. Leitgebra.

1884.

IMPRIMATUR.

Pelplini, die XIma m. Januarii 1884.

Episcopus Culmensis.

G. V. 148.

† JOANNES.

KSIEGA CZWARTA.

Życie apostołskie księdza Vianney

od powstania pielgrzymek aż do ich najwyższego rozwoju.
(1826—1858).

ROZDZIAŁ I.

Początki pielgrzymek. — Sława ks. Vianney.

„Rozraduje się pusta i bezdrożna, i rozweseli się pustynia, i zakwitnie jako lilia. Rodząc rodzić będzie i rozraduje się i weseląc się i chwając: chwała Libanu dana jest jej, ozdoba Karmela i Saron: oni ujrzą chwałę Pańską i ozdobę Boga naszego.... bo wyniknęły wody na puszczy, i potoki w pustyni. A która była sucha; będzie jeziorem i pragnąca źródłami wód... I będzie tam ścieżka i droga, i nazwią ją drogą świętą: nie pójdzie po niej nieczysty: a ta wam będzie prosta droga. tak iżby głupi nie bładzili po niej. A wykupieni od Pana nawroczą się i przyjdą na Syon z wychwalaniem.

Is. XXXV, 1—10.

Nie mało pośród nas ludzi, szanujących religią, którzy jednak myślą sobie a nawet poważają się mówić, że prawdy wiary nie wpływają już dziś tak potężnie i serce nie nie podbijają tak wszechwładnie jak w zamierzonych wiekach; że zatem w naszych czasach niepodobna już ta dawna wiara i ta wspaniała praojców naszych cnota, która też zresztą wydaje się więcej ubarwiona fantazją, i więcej do legendy, aniżeli do historyi ścisłej należy.

Tym wszystkim, coby tak sądzili, moglibyśmy wskazać na wyraźne znaki czasów naszych na dowód, że i dziś Bóg jawnie potęgę swą objawia i że równie wierny jest obietnicom swoim, jako był dawniej. Takim znakiem bardzo wymownym są przedewszystkiem pielgrzymki do Ars.

Słynne pielgrzymki te, trwające lat trzydzieści z okładem, znakomicie zapisały się w dziejach chrześcijaństwa XIXgo stulecia. Żywotowi, który opisujemy, nadają one piętno niezwykle i wspaniałe. Powaga historii z urokiem poezji zlewają się w jedno. W tym obrazie spotykamy rysy tak cudowne, jakie tylko zdarza się czytać u dawnych pisarzy żywotów Świętych. A przecież nikt nas nie pomówi o to, jakobyśmy coś bądź poetycznym zmyśleniem barwili, gdy po prostu opisujemy wydarzenia, na które setki tysięcy ludzi patrzyło, wydarzenia, w których ujawnia się to wszystko, co podziwialiśmy w opisach żywotów świętych, to wszystko, cośmy mieli za zbyt wzniosłe, za zbyt trudne na nasze czasy, jako: zupełne zaprzanie siebie, straszliwą życia surowość, niezrównaną pokorę, miłość Boga i bliźniego bez granic, bezwarunkowe oddanie się Stwórcy swemu, władzę nad duszami, przedziwną potęgę pociągania, nawracania i zbawiania ludzi. Jakoby na znak, jaka potęga jego była w dziedzinie nadprzyrodzonej, patrzyliśmy na moc nadzwyczajną w zakresie przyrodzenia, jako na jego moc uzdrawiania kalek, dar czytania jak z otwartej księgi w sumieniach ludzkich, dar prorocstwa, jednym słowem, na jego dar cudów, który nie jest najwyższą wielkością świętych, ale który najwięcej umysły i wyobraźnię ludzi uderza.

Proboszcz z Ars uobecnia nam znów ten wzór wszelakich cnót najwspanialszych i darów zdumiewających, jakimi słynęli święci pustelnicy i owi średniowieczni cudotwórcy, którzy całe zastępy ludzi za sobą pociągali. Widzimy w nim wzór cnót bohatyrskich, obyczajów najsurowszych, miłości najszczerzej i najczulszej, słowa razem pełnego mocy i słodyczy. Sława jego stała się tem głośniejszą, tem liczniejsze tłumy pociągała i tem bacniejszą uwagę całego świata katolickiego nań zwróciła, że

w świecie prawie zapomniano co to jest święty już tu na ziemi.

Cudowne życie ks. Vianney odnawia zapomniany od czasów św. Wincentego à Paulo i błog. Piotra Fourriera widok świętości: potęga cnoty choćby długo lekceważona, nie traci wpływu na umysły i serca ludzkie, zawsze pozostaje urocza, zawsze płodna.

„Zanim przyszedłem do Ars, — mówił nam pewien wieśniak, — i zanim poznałem dobrego ojca, (tak pielgrzymi nazywali sługę Bożego), trudno mi prawie było wierzyć wszystko to, com słyszał, z żywotów świętych; wiele rzeczy zdawało mi się niepodobieństwem. Lecz teraz wszystkiemu wierzę, bom na własne oczy te wszystkie cuda oglądał.“

Przy odblasku téj świętości ks. Vianney dotąd w pamięci ludzi niezatartej, byleśmy mieli oczy ku widzeniu i uszy ku słyszeniu, możemy i sami się przekonać i dowieść innym, że nie zmniejszyła się wiary naszej żywotności i że Kościół św. nie z pierwotnej nie stracił płodności, że i w tem naszym oświeconem stuleciu wydaje on meże, co, idąc w ślady Boskiego Zbawiciela, stają się prawdziwymi mędracami, dobroczyńcami ludzkości i pociągają za sobą bliźnich na drogę, którą sami postępują, t. j. na drogę prawego szczęścia, cnoty i prawdy.

Nie pierwszy to na świecie pojaw, że poruszone zostały masy, wyrwane z uspienia duchowego i porwane na drogę świętości. Już z wysokości Krzyża siła ta spłynęła na apostołów: i otóż „pociągają wszystko ku sobie“ (św. Jan XII, 32). Na głos ich następców porusza się cała ziemia: grody i sioła, miasta i wsie, całe pokolenia i ludy słuchają ich błogiej opowieści. Później za wzorem śś. Antonich, Pachomiuszów, Makarych liczne zastępy pustelników podążyły i zaludniły pustynie Syrii i Egiptu.

Wieki średnie przedstawiają nam niemniej wspaniałe widoki istnych gminoruchów religijnych. Zaledwo ukazuje się mąż jaki otoczony poświatą świętości, z nową i w porę rozwiniętą myślą, a potęgą słowa zapalone tłumy już spieszą do niego w pobożnych pielgrzymkach. Ale po czasach Piotra pustelnika, św. Bernarda, św. Dominika, świę-

tego Wincentego, św. Franciszka Regiusza, zdawało się, dzisiaj mianowicie, kiedy osłabiony duch wiary, że lud chrześcijański niezdolny już do takiego zapалу, i że zepsuty duchem powątpiewania, nie da się porwać urokiem świętości.

Tymczasem pielgrzymki do Ars zadały kłam takim sądom o wieku naszym. A, jeśli święty Hieronim, pisząc o IV stuleciu wyraził się, że świat się cały wonezas dziwił, widząc się aryańskim, tedy my, świadkowie wszystkiego, co się w Ars działo przez lat trzydzieści, również powiedzieć możemy, że zadziwiła się Francya, odnalazłszy w swem łonie tak gorące uczucia religijne, i tak wielką potrzebę wiary. Oczywista moc cudu tu działa; boć stać się nie mogło bez cudu, że w czasach kiedy duch niepodległości przekracza wszelkie granice, widziało się pyszne rozумы uginające się kornie przed ubogim plebanem wiejskim, jakoby przed jakim Ojcem Kościoła. Od czasów św. Bernarda bodaj czy nie pierwszy to przykład takiej mocy i panowania nad sercami.

Pierwsze zgłosiły się do Ars dusze wybrane, pragnące kierownictwa silnego na drodze doskonałości; dusze zaniepokojone w sumieniu; a przedewszystkiem zgłaszali się ubodzy po hojną jałmużnę świętego Proboszcza i chory po datek jego modlitwy. Tym więc sposobem ksiądz Vianney rozpoczął swe apostołstwo na wzór Chrystusa Pana od cierpiących, maluczkich i ubogich.

Święty Franciszek Salezy uważa, że dobroć jest jedną z podstaw rozgłosu. Rozgłos o łagodności Proboszcza z Ars względem grzeszników, jego wyrozumiałości dla dusz ułomnych, jego miłosierdzia dla cierpiących sprowadził mu zastępy nędzarzy różnego rodzaju; a on ich wszystkich ze łzami przyjmował. Ubogich darzył hojną ręką; dla smutnych i cierpiących z ust jego płynęły potoki pociechy i osłody; zwątpiałych i upadłych napelniał mocą i odwagą do walki życia; sprawiedliwych zapalał najgorętszą ku Bogu miłością.

Sława jego z każdym dniem rosła i obiegała chaty i pałace i całą Francją. Im więcej zaś ksiądz Vianney odbierał dowodów czci i zaufania, tem głębszą

przejmował się nieufnością ku sobie. Bolał nad tem, że inny na jego miejscu mógłby więcej działać, i pragnął uciec z Ars, aby zdolniejszy i godniejszy mógł miejsce jego zająć. Ztąd poszła ta pokusa jego, co go trapiła przez całe życie, żeby opuścić parafię i udać się na samotność. Jak widzimy w pokorze był jój początek.

Ale im więcej święty kapłan chciał się ukryć i wyniszczyć, tem więcej go podziwiano. Spełniła się na nim obietnica Ewangelii: „Kto się poniża, wywyższon będzie“ (św. Łuk. XIV, 11). Świat zaś daje chwałę tylko tym, co się nią nie zaślepiają, i wielkość ducha okazują znamienitszą nad samęż wielkość sławy.

Po roku 1830 sławne jedno uzdrowienie, za cud powszechnie poczytane, dodało blasku sławie Proboszcza, i liczniejsi jeszcze podążyli do niego pielgrzymi. Wkrótce zwykłą koleją usposobienia ludzkiego, wobec łask Bożych, ci, którzy niegdyś pierwsi uznawali cud wypadku, poczęli się wiary swęj wstydzić, i tem głośniej go zaprzeczali. Ale lud zdrowym swym zmysłem stale wierzył w cudowność mocy, której zaprzeczyć niepodobna, kiedy ciągle nowemi dobrodziejstwami się przejawia.

Wielu pospieszyło do Ars na odgłos uzdrowień przed relikwiami św. Filomeny. „Ale. — jak pisze Katarzyna, najwięcej przyciągały modlitwy Proboszcza za grzeszników. Wyjednywał tyle łaski, że ona sama mu ich sprowadzała, działając w nich tak silnie, że nie dała im spocząć.“ — I my jesteśmy zdania Katarzyny, że świat głównie uczcił w księdzu Vianney tę jego potężną moc orędownictwa; że poruszył się na widok jego modlitwy, ściągającej na ziemię błogosławieństwa nieba, na widok jego łez i błagania, jakimi Bóg chce być uproszony i przejednany. Pojmowano doskonale, że w takich modlitwach gorących, wytrwałych i nieustannych jest obfite zadośćuczynienie, co ujmując ciężaru nieprawości świata równoważy sprawiedliwość z miłosierdziem Bożem.

Jak się Katarzyna wyraziła, „łaska działała tak silnie, że spocząć grzesznikom nie dała i sprowadzała ich do Ars.“ — Te słowa tłumaczą nam przyczynę pielgrzymek. Zrządzeniem Opatrzności, przez trzydzieści lat, dzieci

dziewiętnastego wieku, tak zakochanego w próżnościach, przychodziły tu składać hołd pokorze i prostocie. Na obelgi, jakie pyszni miotali przeciw spowiedzi i jej wpływowi, odpowiadały, spiesząc uczyć spowiednika. Przy konfesyonale ubogiego księdza rozpoczął się ruch, który do tak niepojętych doszedł rozmiarów! „Okolo dziewiętej godziny na wieczór, — czytamy w liście z czasów, kiedy się pielgrzymki rozpoczęły, — ks. Vianney słyszy mocne stukanie do drzwi i wołanie: „Pójdź Ksiądz prędko, mam pilną sprawę.“ Po chwili wahania, święty otwiera i widzi przed sobą potężnego chłopca, który stanowczym głosem powiada mu: „Pójdź Ksiądz Proboszcz do kościoła, chciałbym się spowiadać, ale zaraz.“ — Proboszcz lękał się jakiejś zasadzki złych ludzi, ale gorliwość jego nad obawą przewagę bierze: zabiera się do kościoła i spowiada człowieka. Był to jakiś woźnica, który u wrót kościoła konie z wozem zostawił. Po spowiedzi niezwykle ten penitent dodał: „Widzę, że Ksiądz Proboszcz zakatarzony, proszę przyjąć te wełniane pończochy, i włożyć je zaraz na nogi. Proboszcz przyjmuje, a woźnica rad ze siebie pospiesza do koni swoich.

Podobne wypadki powtarzały się codziennie. Pielgrzymi zaś z dalekich stron sowitą znajdowali nagrodę za trudy podróży w szczęściu, jakiego doznawali, złożywszy ciężar win swoich i odzyskawszy pokój serca i sumienia.

Ciekawość przyczyniła się niemniej do ruchu pielgrzymek. Wielu przychodziło do Ars przypatrzeć się wspaniałym ozdobom jego kościółka, a zarazem przypatrzeć się umartwionej twarzy Proboszcza, którego wszędzie podawano za wzór pokutnika.

Przecież gdyby tylko sama ciekawość była bodźcem, prędko byliby się ludzie dali zniechęcić niewygodami tak podróży jak mieszkania, w które Ars z początku było ubogie; ale że pielgrzymki te dziełem Bożem były, nie ich rozwoju powstrzymać nie mogło. Osoby z najwyższego świata, do największego przyzwyczajone przepychu, przestawały tu po kilka tygodni na skromnej gościnie wiojski ubogiej.

„Nie umiem określić, co jest w osobie Proboszcza

z Ars, — pisał jeden z pielgrzymów, — co tak przejmuję i tak do niego przykuwa, że przy nim łatwo o najpotrzebniejszych do życia rzeczach zapomnieć. Nikt tu nie zważa na złe mieszkanie, na złe pożywienie; każdy chętnie ze świtem wstaje, znosi ścisk, szturchanie, głód, pragnienie, znużenie, bezsenność, wszystko, byle tylko usłyszeć kilka słów z ust Świętego. Dla żadnego króla nigdyby się tyle nie czyniło, ile dla niego.

Małe domki w Ars nie mogły pomieścić tak licznych gości; zdarzało się więc, że do dziesięciu pielgrzymów stało w małym na ośm metrów pokoju; pożywienie było odpowiednie.

W roku 1832, gdy wieś była przepelniona pielgrzymami, zakonnice przybyły z Lyonu. Do dziesiątej na wieczór daremnie szukały jakiegobądź kącika na nocleg; dopiero jakiś poczciwy człowiek ustąpił im swego mieszkania, w którym na krzesłach się przespały.

Powoli Arsanie zaradzili potrzebom pielgrzymów i pobudowali wygodne i obszerne domy. Prawie wszystkie z nich otaczają kościółek i dzwonicę. Urządzono również w roku 1835 regularną komunikacją pomiędzy Ars a Lyonem. Pobudowano nowe drogi, zaprowadzono parowe statki na Saonie, — te wszystkie ulepszenia ułatwiły pielgrzymom komunikację; to też odtąd poczęło ich napływać z całej Europy przeszło dwadzieścia tysięcy do roku.

Święty Filip Nereusz pragnął nie mieć jednej godziny, jednej chwili wolnej: nasz święty doszedł do tej niewoli. I naprawdę rzec można, że jeśli święty Szymon Słupnik tak się przykuł do skały, aby nawet w poruszeniach swych tracić wolność, której użyć chciał jedynie na wpatrywanie się w niebo i na wzdychanie za Chrystusem Panem, to i Proboszcz z Ars przykuty był, wprawdzie nie łańcuchem do skały, lecz duszami do konfesyonału. Od roku 1835 musiał sobie odmówić i najkonieczniejszych wyjazdów z parafii. W tymże roku Biskup Devie nie przyjął go na rekolekcyę mówiąc: „Ty rekolekcyi nie potrzebujesz, a w Ars jesteś duszom potrzebny.

Są wypadki i przysługi tak wielkie, tak głębokie, że tylko z odległości minionych lat mogą je późniejsze poko-

lenia w całej ich świetności podziwiać. Tak niewątpliwie będzie z pielgrzymkami do Ars. Wszystko, co w nich podziwiali społeczeńsi, a serca ich ku wdzięczności porywało, nie ujawniło nam stron najwznioślejszych. Sam Proboszcz powiedział: „dopiero na sądzie ostatecznym przekonają się ludzie, ile dobrego się działo w tym uprzywielejewanym zakątku ziemi.“



ROZDZIAŁ II.

Pielgrzymka przez ćwierć wieku.

„Pan z dnia na dzień przydawał tych, co tu znajdowali zbawienie swoje.“

(*Akt. II, 47*).

„Czemu tak wszyscy dążą do ciebie, chcą cię widzieć, słyszeć i według rady twój postępować? Ciało two nie piękne, nie posiadasz wielkiego rozumu; szlachcicem nie jesteś... Co znaczy, że tak wszyscy do ciebie dążą?... Winienem to spojrzeń Boga najwyższego.“

(*Fioretti. Br. Museo do ś. Franciszka*).

Ktoś powiedział, że, czem są gwiazdy na niebios sklepieniu, tem miejsca święte na ziemi: ogniskami światła i ciepła. Bóg w niezbadanych a przedwiecznych wyrokach swoich wyznaczył Ars na takie miejsce wybrane. Przez lat dwadzieścia kilka w wiosce tej powtórzyły się przedziwne sprawy Tebaidy. Wszyscy, których tu codziennie wiodły bądź uczucie czci i wiary, bądź potrzeby duszy lub ciała, czy wreszcie prosta potrzeba podziwiania dobra i piękna, wracali przejęci, z sercem przepelnionem od zbytku wzruszenia. Okrzyki ich podziwu przypominały dawne okrzyki nad brzegami Nilu: „Widziałem Eliasza... Widziałem Jana na puszczy... Widziałem Pawła w raju!“ Rzadko dano nam czuć Boga i smakować go w stworzeniach; one nam Go raczej zakrywają, skutkiem nędzy, jaka jest w nas. Lecz u stóp Proboszcza widziało się Boga tak, jak obraz nieba w czystym wody kryształ.

Żyję wspomnieniem z Ars, — pisał jeden z pielgrzymów. — Nieraz pytam się, jak podziękuję Bogu za to, że mnie tam zaprowadził...“

Inny znów pisze: „Wracam z Ars, siejąc to, com tam zebrał. A cóż tam za żniwo! mój miły Boże! Długo, długo nie będę mógł ochłonąć z silnych wrażeń, jakimi mną wstrząsnęły piękne nauki tego wielkiego świętego. Zdaje mi się, że już wydały owoc we mnie i dokoła mnie.

Inni znów:

„Skazany jesteś na częste me listy, ale nie moja w tem wina. Tak się wzbogaciłem w czasie mych pielgrzymek do Ars, żem podobien do pełnego naczynia, z którego czerpię a czerpię, i wyczerpać nie mogę.... Wiele razy byłem w Ars, zawsze wyniosłem ztąd głębokie wrażenia i wspomnienia; lecz teraz udało mi się spowiadać i przyjąć Komunię św. z rąk świętego kapłana, i zdaje mi się, że już nie czuję wszystkich trosk życia.

.....W wybranjej parafii waszėj pewno ciągle tłumno. Nie mogę wyjść z podziwu nad wszystkiem, com tam widział... Jakież zastępy ludu... jaka jego cześć!... A jak to trzeba się starać o szczęśliwą chwilę, aby się do księdza Vianney zbliżyć! jak trudno docisnąć się do niego! To wszystko cudowne i jakoby z innego wieku!“

„...Wracam z kilkodniowej wycieczki do Ars, dokąd poszedłem trochę przez ciekawość, choć pewny, że się tam niejednem zbuduję. I nie zawiodłem się; bo naprawdę, to com widział, przewyższyło wszystko, cokolwiek mi opowiadano, i głębokie na mnie wywarło wrażenie. Wiara moja tam się ożywiła i utwierdziła... Niepodobna wątpić o rzeczach wyższych nad poziom zwykłych rzeczy na świecie, wobec człowieka po nad wszystkich wyższego. W Ars rzeczywistość rzeczy nadprzyrodzonych aż dech człowiekowi tamuje.

„...Im więcej się zastanawiam nad tem, com widział i słyszał w Ars, tem silniej wierzę, że Bóg chce, aby święty był już za życia znany, mianowicie przez tych, co mają uczyć wiary i szerzyć ją; wszystko dokoła niego dowodzi prawdziwości wiary. Wydaje mi się, jakoby był pochodnią w Kościele Bożym, ku oświeceniu ludów i nawróceniu ich do czystości i prostoty ewangelicznej.

„W Ars patrzy się na wszystkie cuda z życia Zbawiciela świata. Z wyjątkiem wskrzeszenia umarłych, zaszły

tu już wszystkie cuda, o jakich Ewangelia św. wspomina. I tak rzeczą codzienną jest nawracanie się grzeszników, uzdrawianie głuchych, ślepych niemych i powietrzem rążonych, pomnożenie chleba, wina i zboża. Utarczki świętego dowodzą, że czart jest, istnieje; a jeżeli czart jest, jest i piekło. Dziś ta zasadnicza i ważna prawda uchodzi, nawet u wielu pobożnych osób za legendę, którą się tylko dzieci straszy; w Ars objawy jej są tak rzeczywiste, ba namacalne i są rzeczą do tyła codzienną, że trudno itemu przeczyć. Cud z przenajświętszą Hostyą, o którym po dwa razy z własnych ust Proboszcza słyszałem, i cuda licznych uzdrowień u Stołu Pańskiego najlepiej dowodzą obecności Boga w Najśw. Sakramencie.

„Dla mnie święty Proboszcz jest żywym dowodem prawdziwości wiary. W nim się skupia i streszcza życie Chrystusa Pana i Jego świętych.

„Może wydam ci się zapaleńcem; ale nie, przezemnie sama wdzięczność mówi. Byłem tak nieszczęśliwy, gdym o wszystkim wątpił, że zdaje mi się, życie mi nie starczy, aby Bogu dziękować za łaskę, iż mnie do Ars zaprowadził. Chciałbym to wszystkim a wszystkim niedowiar-
kom powtórzyć.

„Jestem szczęśliwy, że i ja był świadkiem dziwów, na które wy patrzycie: są niepojęte; ale nic już wobec tego rodzaju zdarzeń dziwić nie powinno, bo działająca tu potęga nie da się ani zbadać, ani określić. Jest tu, jak się ty wyrażasz, walka z piekłem na zabój. Zdaje się, że szatan, rozwścieklony niemocą swą wobec świętego, mści się na wszystkim, co go otacza; świadectwem spalone łóżko, a przed tem zdruzgotana na drobne kawałki kropielniczka jego.“

Misyonarz wysłany do Ars ku pomocy ks. Vianney, tak pisze znajomemu:

„Powtórzę ci chyba to, coś sam często widział, że napływają tu ciągle ludzie wszech stanów, nieszczęśliwi wszelkiego rodzaju, i najprzeróżniejsi grzesznicy, którzy tu odnajdują drogę do nieba. To, że Proboszcz żyje wpośród tylu trudów i umartwień, to samo już jest cudem tak widocznym, że niewierny uznać w nim musi palec Boży.“

Osoba, która po kilku pielgrzymkach do Ars na dobre się tu osiedliła, pisze do swęj przyjaciółki:

„Ty, która chciwie zbierasz każdą kropelkę rosy niebieskiej, jaka spada na ten zakątek ziemi obiecanej, pojmiesz, jak mi miło i dobrze żyć pod opieką tak świętego pasterza. Mimo wielkiej niepogody roi się tu od pielgrzymów z dalekich stron: są tu z Nantes, z Rennes i z najodleglejszych okolic Bretanii. W czasie wakacyi bywało tu codziennie dziesięciu do piętnastu księży, zakonników, zakonnic różnych nazw i strojów z wszystkich części świata. Jeszcze nigdy takiego napływu nie było.“

„Zdaje mi się, — pisał pewien pleban, — że w końcu nie będzie ani jednego z parafian moich, któryby nie odbył pielgrzymki do Ars. W czwartek wychodzi cała kompania. Nasze dwie kaleki coraz zdrowsze od bytności swęj w Ars. A ja cały jestem przejęty świętością Proboszcza: przez ośmiodniowy pobyt u niego orzeźwiałem na duchu!.. Pobyt ten nie zatrze się w pamięci mojej.“

Nie mamy tu zamiaru opisywać historyi pielgrzymek: kto inny może się kiedyś tego podjąć; może się znajdzie wdzięczne serce, które sobie zada pracę pozbierać jej szczegóły u tych, co dobrodziejstw w Ars doznali. My poprzestaniemy na narysowaniu obrazka według tego, jak nam się po raz pierwszy w roku 1848 pielgrzymka przedstawiła:

Były to czasy osobliwe. Przeszłe rządy już wniosły w łono społeczeństwa zasady zgubne: teraz namiętności ludu, co długo duszone wybuchały z gwałtownością, miały je zastosować bezwzględnie, z ruiną kraju całego. Postawione zadanie straszliwe, którego rozwiązanie na chwilę usunięto w dal, nasunęło się znów z całą mocą: a nie było człowieka, któryby się podjął je rozwiązać. Nie pozostawało już nic innego, jak albo Bogu się poddać, albo zginać. Wtedy niewierna Francya, przerażona przepaścią, którą sama sobie wykopała, instynktowo zwróciła się do Kościoła, zaczęła się tulić pod skrzydła jego opieki, jego nauki i jego wpływu. Wskutek tego zwrotu poczęła się uśmiechać lepsza przyszłość, w którą pobożne dusze tak łatwo wierzą.

Ars niemało się przyczyniło do tego zwrotu chwilowego ku dobremu. Przerazone ciemnością i zamętem świata dusze dążyły do świętego kapłana po jego modlitwy i radę, jak żeglarz w czasie burzy ku latarni morskiej steruje. Skromnego plebana wiejskiego otoczyli wtedy najznakomitsi mężowie stanu, którzy brali udział w naradach, na których się losy Francyi ważyły. Jeden z najwyższych urzędników Rzeczypospolitej, którego imię zasłynęło w rocznikach sądowych, odbył rekolekcyę w Ars i dopełnił tam wszystkich powinności syna Kościoła katolickiego.

Od tego czasu ruch pielgrzymów to się wzmacniał, to zmniejszał w miarę usposobienia umysłów, które stygły w chwilach spokoju i nadziei, i znów się zapalały pod grozą niebezpieczeństwa. Każde przesilenie społeczne, czy religijne znaczyło się większym napływem pobożnych do Ars.

Widywano już nieraz ludzi spieszących do grobów świętych Pańskich i miejsc cudownych; ale od Szymona Stylity, nie wiem, czy podobny ruch otoczył którego z ludzi za życia. A jakżeż go było potrzeba w tych czasach największego zamętu i zniszczenia onemu pokoleniu, przesiąkniętemu naukami racjonalistów, nawykłemu w nic nie wierzyć, z wszystkiego szydzić, a zrywającemu się na przewidzenie w czyn tego, czego się nauczyło w szkołach bezbożnych i od bezbożnych mistrzów swoich.

Naliczono przez jeden rok przeszło 80,000 pielgrzymów, przybyłych jedną tylko drogą od Villefranche. Zkądże takie nawały cudzoziemców? Zewsząd: przybywali oni ze wszystkich stron Francyi, Belgii, Anglii i Niemiec, porwani opowiadaniem znajomych, którzy wracali z Ars. W dziennikach ani wzmianki nie było o świętym Probo-szczu; dopiero po jego śmierci pisano o nim. Ciekawy był skład tego tłumu z wszystkich warstw społeczeństwa, ze wszelkich stanów i stanowisk. Tu biedak, przywykły do największej nędzy, ocierał się o bogacza, który pieniędzmi chciał się od swojej, innego rodzaju nędzy, uwolnić. Jedni przywozili ofiary, drudzy przychodzili po jałmużny; a wszyscy wołali o zleczenie cierpień duszy i ciała. Chromi, ślepi, głusi, opętani, jednym słowem przeróżni ka-

lecy o dwieście mil przychodzili wsparci niezwykłą nadzieją. Nie będziemy przed czytelnikiem przesuwali tych licznych szeregów nieszczęśliwych, którzy byli pocieszeni i uzdrowieni w Ars; boć zresztą nie uzdrowienie ciała, lecz duszy uzdrowienie było tu głównem dziełem Boga dokonywanem przez pośrednictwo sługi swego; a uzdrowieniem ciała posługiwał się tylko Pan, aby z nędzy grzechowców ludzi podźwignąć.

I tacy chorzy, którzy nie mogli podążyć do Ars, otrzymywali uzdrowienie. Nieraz chorzy, dla zbyt wielkiego osłabienia, ubóstwa czy oddalenia nie mogąc się puścić w podróż daleką, polecali się modlitwom świętego Proboszcza, i opiece św. Filomeny; a wkrótce potem, pełni radości i wdzięczności, przybiegali do Ars dziękować za otrzymane dobrodziejstwa i łaski. Zdaje się, że głównie dla tych to chorych oddalonych Bóg udzielił cudownej mocy uzdrawiania olejowi z lampki palącej się przed ołtarzem św. Filomeny.

Wiele i maluczey zarówno przybiegali do Ars, z dolegliwościami swemi. Wdowy i sieroty, szczęśliwi i nieszczęśliwi, młodzież żyjąca jeszcze zwodniczymi nadziejami, jako i starcy już rozczarowani i zużyci; ludzie, którym się świat sprzykrzył, jako i kobiety znużone płocnością; a przede wszystkim moc nadprzyrodzona pociągała tu grzeszników. Wśród tych różnorodnych tłumów widywano nieraz i ciekawych i krytyków. Największe sprzeczności znachodziły się tu wysokięj enoty obok najsmutniejszych namiętności; bywały położenia, z których nie było innego wyjścia, jak tylko drogą Kalwaryi, drogą krzyża, i nieszczęścia, których jedyna nadzieja zostawała w niebie.

Te wszystkie ciernie żywota, kłopotów, zmartwień, zawodów, cierpienia w tysiącznych odmianach codzien przesuwaly się przed oczyma Proboszcza i czułą duszę jego tak raniły i przejmowały, że wieczorem, w rozmowie z księżmi płakał rzewnie, mówiąc: „Trzeba być w Ars, żeby się dowiedzieć, czem jest grzech i przekonać się, ile ziego Adam biednej swęj rodzinie wyrządził. Niewiedzieć, jak temu zaradzić! pozostają tylko łzy i modlitwa!”

Nie zbywało w Ars na pielgrzymach, których jedynym celem było nasycić ciekawość. Za tłumem idzie

wielu bezmyślnych na rozgłos jakiegobądź sławy. I ksiądz Vianney nie mało musiał uciepieć od tych próżnych, dziwacznych i samolubnych natrętów; ale pokornem, grzecznem słowem umiał się ich pozbywać. Mawiał im: „Dla takiej drobnostki nie było warto się trudzić... albo: Nie będziesz pani tak zadowolona, jak królowa z Saby, i nie powtórzysz za nią: lepsze to, com widziała, niż to com słyszała: tu będzie inaczej.“

Za to Proboszcz z Ars czule przyjmował tych, co przychodzili do niego po radę, po ukojenie i modlitwę; tych, co w zwątpieniu szczerze szukali prawdy, co rzeczywiście w trudnem znajdowali się położeniu, których ból mógł ukoić i których winy mógł rozgrzeszyć. Jakże on dla nich był czuły, szczerzy i serdeczny! ich sprawy stawały się jego sprawami, wraz z nimi płakał rzewnymi łzami! Zapomnienie o sobie było jakoby drugą jego naturą; to też do tem głębszej budził wdzięczności, im mniej sam na nią liczył. Martwił się rzeczywiście zmartwieciem swych penitentów do tego stopnia, że w duszy jego nieraz zamęt chwilowy powstawał. Najwyższą jego radością było, gdy raz po raz spotykał wielkie dusze, co świętymi pragnieniami wznosiły się po nad poziom życia pospolitego; co trawiły się pragnieniem, żarem miłości Bożej i tęsknotą za niebem. Rozpoznawał je od razu, czuł do nich dziwny pociąg; i jak uczeń u mistrza, szukał u nich cnoty i światła, aby się więcej upokorzyć i doskonalej utwierdzić na drodze doskonałości chrześcijańskiej.

A teraz niech sobie wystawi, kto może, uczucie tych wszystkich, którzy tu odzyskali zdrowie i łaskę Bożą! Tu każdy, umiał się bić w piersi i korzyć, choć nigdy wpierw tego się nie uczył; tu w duszy grały najwspanialsze pienia pełne uwielbienia, dziękczynienia i jęki srogiego żalu. Tu osoby, któreby się nigdzie indziej nie były poznały, zbliżały się do siebie przecuciem serca pod wrażeniem tego uczucia życzliwości, jakiem natchnęła wszystkich serdeczna życzliwość świętego Proboszcza. Nic tak nie pociąga do ufności, jak zaufanie: w Ars rodziło się ono samo przez się z zaufania, jakiem święty wszystko dookoła przejmował. Tak jak u wód, którym Bóg dał moc

uzdrawiającą, rozmowa toczy się o cierpieniach ciała, tak tu rozmowy toczyły się o cierpieniach duszy, o wszystkich wypadkach i nieszczęściach, które się stały ich przyczyną. Słodkie i serdeczne były przyjaźnie i stósunki, jakie się skutkiem tych rozmów zawiązały. Bo chrześcijańskie dusze łatwo się poznają: na pierwsze wejście, za pierwszym powitaniem i pierwszym słowem czują ten bratni węzeł jednej wiary i miłości jednej.

Grzeszników, przywabionych tu rozgłosem cudów, przykuwał jakiś niewymowny urok, któremu i niewierny obronić się nie mógł, który radością przejmował sprawiedliwych, odradzał winnych i grzesznych. Jakieś tchnienie Boże czuć się dawało w tej błogosławionej wiosce, co przejmowało ciało zdrowiem, dusze weselem i pokojem. Choć dwanaście kuryerek codziennie gości przywoziło, panowała tu cisza usposabiająca do poważnych myśli. A wszystko jakoś inaczej wyglądało, niż gdzieindziej. Na twarzach rozlewał się spokój i jakieś skupienie, rozmowy toczyły się poważnie. Był to istny obrazek jakiegoś klasztornego zacisza z średnich wieków.

Już ten spokój rozlany w całym siole, usposabiał duszę do religijnych wrażeń. Wrażenia te żywym uderzały tętnem w pobliżu kościółka i plebanii jakoby w przeczuciu, że tu źródło błogosławieństw: jakieś upojenie ogarniało tu człowieka, jakaś cudowna siła zalegała duszę jego, kojąc jego cierpienia i łagodząc chociażby najzjadliwsze jej żądze i najsamolubniejsze jej pragnienia. Tu zapominało się o nędznych pospolitego życia i gorszących przykładach; tu każdy czuł święte zarzeczenie się w sumieniu naprzeciw złemu i silne pragnienie, żeby je zwalczać w sobie i w około siebie. Tak dobrze było każdemu w Ars, że byłby rad nie wracać do świata a czekać tu za niebem. Kilka osób rzeczywiście porzuciło domowe swe progi, pozrywały dawne stósunki i w tem zaciszu do szczęśliwej sposobily się wieczności. — Nie bez wzruszenia czytaliśmy w Ars nad mogiłą pewnego cudzoziemca napis na drewnianym krzyżu: *Ubi Crux, ibi Patria*.

Lud zrozumiał doniosłość dobrodziejstw, których rozdawcą był Proboszcz, i trudno opisać, z jakim witał go przejęciem. Choć o bardzo wczesnej godzinie ks. Vianney

chodził do kościoła, pielgrzymi już za nim u drzwi czekali. Wielu z nich w przedśionku noc spędzało, aby się tylko docisnąć do niego. Ustanowiono sobie przepisy, wedle których kolejno jedni za drugimi mieli przychodzić. Ale czasami ksiądz Vianney wybierał sobie niektórych i przywoływał przed innymi. Lud utrzymywał, że dobry Ojciec przeczuwał, którzy nie mogli czekać, albo pilniejsze mieli sprawy.

Często różnych wybiegów używali pielgrzymi, aby się docisnąć do konfesyonału Proboszcza, udając się po poparcie do księży misyonarzy. Ale nie zawsze i to było skuteczne. Niektórzy z wielkiem powodzeniem wzywali pomocy Anioła Stróża księdza Vianny; zdarzało się bowiem, że skutkiem ich modlitwy, wstawał z konfesyonału i wprost zbliżał się do nich, albo też szczęśliwy wypadek stawiał ich na drodze jego. W zwykłych atoli warunkach Proboszcz nie lubił żadnych dla nikogo wyjątków.

Razu jednego wielka pani w pięknej zajeźdza przed kościół karecie, ciśnie się przez tłumy i nakazującym tonem każe sobie ustępować z drogi. Widząc wreszcie, że wymowa jej daremna, udaje się do wikaryusza, przedstawiając mu, że ona niezwyczajna czekać ani na Papieża, ani na króla. Bardzo mi przykro, odpowiada jej na to wikary, ale w Ars wypadnie pani czekać. Biedna hrabina musiała się poddać losowi wszystkich śmiertelników i cierpliwie czekać, aż na nią nie nadeszła kolej.

Inna znów młoda niewiasta wraz z mężem przemocą cisnąć się poczęła na pierwsze miejsce, aż krzyk oburzenia powstał. Ksiądz Vianney wstał z konfesyonału, spokojnie się pytając o jego przyczynę. — Żona moja chciałaby się spowiadać, odpowiada mąż. — No, toć się dostanie, gdy na nią kolej przyjdzie. — Ależ księżę Proboszczu, odparła urażona pani, ja nie mogę czekać. — Bardzo mi przykro, ale chociażbyś pani była cesarzową, mogłabyś dostać się tylko z kolei. Jeżeli ks. Vianney zrobił dla kogo wyjątek, to tylko dla ubogich i nieszczęśliwych.

Na uzupełnienie opowieści naszój, przytoczymy słowa pielgrzymów, których naoczne świadectwo potwierdzi nasze. Otóż co pisał pan Ludwik Lacroix po śmierci Proboszcza w *Espérance de Nancy*:

„Miałem szczęście widzieć się i mówić z Proboszczem z Ars; przez cały dzień przypatrzyłem się enotom, jakimi wszystkich budował. Zanim więc codzienni świadkowie jego życia opiszą jego żywot, mam sobie za zaszczytny obowiązek opowiedzieć to, com widział, jaką pracą wypełniał dni swoje, i będę się starał podzielić i z tymi, co go nieznali, wrażeniem zbawiennem, jakim wszystkich przemawiał.

„Przed dwoma laty postanowiłem poświęcić część wakacyi zwiedzeniu Rzymu, którego nigdy nie pozna się dokładnie, chyba w duchu prawdziwie chrześc., pielgrzymując do grobów apostoelskich. Na kilka dni przed wyjazdem, spotkałem jednego z przyjaciół mych paryzkich, uczonego a religijnego pisarza, któremu oczywista, pospieszyłem powiedzieć o moim zamiarze. Przyklasnął mu szczerze, ale, dodał, skoro wybierasz się w pielgrzymkę, zacznij zaraz podróż od pielgrzymki: przejeżdżając przez Lyon, wstąp do Proboszcza z Ars. Nie zбочysz wiele z drogi, a zobaczysz tam rzeczy, jakichbyś napróżno gdzieindziej szukał, jakich nigdzie niema.“ — Przyjaciel mój znał Proboszcza z Ars, ja zaś pobieżnie tylko o nim słyszałem. Wreszcie, tak uwagi swe zakończył; „Badasz historią i wykladasz ją; powinieneś więc starać się ją zrozumieć i dociec jej tajemniczój potęgi. W Ars dowiesz się, w jaki sposób rozszerzyło się chrześcijaństwo, jak się nawracały ludy, i jakim sposobem krzewiła się oświata, cywilizacya chrześcijańska. Jest tam człowiek, który posiada onę twórczą moc dawnych świętych; który nawraca do chrześcijaństwa, jak Apostołowie; którego ludzie czczą, jak świętego Bernarda, i w którym podziwiają wszystkie cuda, znane nam tylko z ksiązek. Idź do niego; mów z nim, jeśli będziesz mógł docisnąć się; patrz na niego, jeśli nie co więcej, a nie pożałujesz tego. Nie godzi się współczesnym zamykać oczu na takie cuda. Učení nieraz bardzo się natrapiają nad badaniem zjawisk nie zawsze godnych ich trudu. Tu jest zjawisko najwspanialsze i najrzadsze na świecie, bo zjawisko świętości w pełni życia i działania. Jako historyk nie możesz go pomijać i nie zbadać go. Pamiętaj więc, bądź w Ars; a spiesz się, bo Proboszcz nie długo powiekuje.

„Przeczuwałem, że przyjaciel mój miał słusność, postanowiłem więc iść za jego radą. Tym sposobem zamiast w Lyonie, wysiadłem w Villefranche. W chwili, gdy się sposobił zwiedzić kościół, który mi się wydawał godzin widzenia, chmura, nawalnym deszczem zlewając ziemię, zniewoliła mię schronić się do bióra pocztowego, z kąd wychodzą powózki do Ars, do którego sława księdza Vianney licznych zgromadzała podróżnych. O naznaczonej godzinie wyruszyliśmy wśród ulewnego deszczu. Na drodze nie spotkaliśmy nikogo z powodu tej niepogody, która od dwóch dni trwała. Cieszyłem się z tego w duchu, obiecując sobie, że nie będzie natłoku i że w krótkim czasie będę mógł rozmówić się z Proboszczem.

„Tak rozmyślając, dojechaliśmy do Ars. Powóz stanął przed bardzo porządnym wiejskim domem zajezdnym, gdzie za tanią cenę wygodne dostałem pomieszkanie. Powiadano mi, że Proboszcz nie pozwala wyzyskiwać gości, a znajduje i w tem posłuch. Wiedząc, jak trudno utrzymać hotelistów od nadużyć, widziałem w tem pierwszy znak władzy świętego nad sercami. — Śpiesznie podążyliśmy do kościoła, gdzieśmy mieli zastać Proboszcza. Wyobrażałem sobie, że dla niepogody prócz nas nie będzie innych pielgrzymów; zdawało mi się, że poczciwy Ksiądz tylko na nas czeka. I choć nastrojałem się do wrażeń oczekiwanych, zgoła nie byłem przygotowany na to, co mi przyszło oglądać. Dowód to nowy na tę prawdę, o której się każdy podróżnik już nieraz przekonał, że, aby coś wiedzieć, trzeba naocznie samemu widzieć, i że nie można wcale spuszczać się na świadków, choć najwiarogodniejszych. Z wszystkiego, com kiedykolwiek widział, najwyżej sobie cenię dziwy one w Ars, jakoteż szczęśliwym się czuję że mogę te szczegóły opowiedzieć innym.

„Może nawet trochę za mało poważnie, żywą wiedzioną ciekawością, wszedłem do kościoła. Jakież moje zdziwienie, gdy zastałem w nim tłumy ludu modlącego się w największym skupieniu. Żadnego monarchy przedpokój nie przedstawił mi się w takim majestacie: zrozumiałem wtedy wielką godność tego pokornego sługi Króla nieba i ziemi, któremu świętość taką nadawała władzę i tylu sprowadzała proszących. — Szukałem go oczyma, ale napróżno;

nigdzie dostrzedz go nie mogłem, gdy ktoś z obecnych na zakrystyą mi wskazał, dodając, że tam spowiada. Była już wtedy piąta godzina z wieczora, a on dopiero przyjmował ludzi, przybyłych dnia poprzedniego. Nie było zatem nadziei dla mnie, abym mógł przed końcem dnia widzieć się z Proboszczem z Ars, skoro stałem ostatni w długim rzędzie czekających. Mimo to nie żał mi było czasu, tak byłem zachwycony i szczęśliwy; cieszyłem się, że się napatrzę dowoli, jak święty Kapłan kończy swój dzień; a nazajutrz rano, jak go rozpoczyna.

„Tymczasem ksiądz Vianney z zakrystyi nie wychodził. Drzwi jej się otwierały dla wychodzących od niego penitentów i zamykały się za wchodzącymi. Widziałem na twarzy wchodzących skupienie, zakłopotanie lub niepokój; wracali spokojni, uradowani, opromienieni. Jeden z nich, młody jakiś rzemieślnik, przechodząc obok mnie, zatrzymał się nagle: „Ha! zapomniałem, — rzekł do siebie, — będę musiał wrócić do niego!“ I stanął w końcu szeregu czekających, aby dopiero na drugi dzień lub za dwa dni dostać się do Proboszcza.

„Dwie godziny błyskawicą mi tu zeszły: nie liczyłem się z czasem, tak wszystko, com widział, przepelniało duszę moją Bogiem i uczuciem wieczności. Wreszcie noc już zapadła, a coraz więcej pobożnych przybywało do kościoła. Powiedziano mi, że to godzina wspólnej modlitwy wieczornej, na którą parafianie, przez świętego Proboszcza w praktykach chrześcijańskich wyćwiczeni, również pilnie chodzili, jak rano na Mszą św. — Wreszcie ksiądz Vianney wyszedł z zakrystyi i ukazał nam się na ambonie. Gdym jego zobaczył, wszystko dokoła znikło mi z oczu. Miał na sobie komeżkę, której cały dzień nie zdejmował. Cała jego powierzchowność świadczyła o jego enotach i niepospolitej świętości. Wycieńczone jego ciało świadczyło o straszliwej jego pracy, o jego umartwieniu i ascetyzmie, z których, jak Bossuet powiada, idzie wyniszczenie człowieka, straszne dla natury, ale pełne powabu w porządku nadprzyrodzonym; ono bowiem zabijając naturę, daje życie łaski. Ciało ks. Vianney tak wątłe i pochylone zdawało mi się wielkiem i majestatycznym. Szedł z głową pochyloną; długi i obfity włos jego spadał mu na ramiona

i otaczał twarz jakoby białym wieńcem poświęty. Zadrzałem ze wzruszenia, gdy obok mnie przeszedł i gdy się kraju sukni jego dotknął. Wszyscyśmy padli na kolana, i powtarzaliśmy za nim modlitwy, jakie z ambony odmawiał głosem tak słabym, że za ledwo jakiś głuchy szmer słów jego mnie dołatywał. Jego znużenie i wycieńczenie było aż nadto widoczne; ale tem więcej dziwiła jego cudowna niezmordowana praca w konfesyonale i w kościele całemi dniami i nocami.

„Po pacierzu zszedł z ambony, wyszedł z kościoła głównymi drzwiami, i z gołą głową w komeżce przeszedł na plebanią wśród szpaleru pobożnych, którzy padali na kolana, przyjmując jego błogosławieństwo.

„Widziałem już, jaki wpływ wywierał Proboszcz z Ars na drugich, sam czułem się nim przejęty; więc osiągnąłem cel mojej pielgrzymki. Trudno było zaprzeczyć, że ksiądz Vianney niezwykłym był człowiekiem, kiedy doń napływały takie tłumy, jak do miejsc najcudowniejszych. Widziałem to, więc mogłem być wyjechać z Ars i dać już dobre świadectwo. Za przykro było mi atoli wyjeżdżać, nie pomówiwszy z świętym i bez jego błogosławieństwa. Dopytywałem się, jakim sposobem najprędzej dostać się do niego. Mężczyzna jakiś, który ustawiał przybywających w porządku, a którego wziąłem za kościelnego, powiedział mi, że gdy przyjdę o czwartej z rana, będę mógł się z Nim widzieć i tegoż dnia wyjechać. Postanowiłem więc na czas stanąć na miejscu.

„Wreszcie wszyscy wyszli z kościoła. Okoliczny lud wracał do domu, Arsanie przyjmowali do siebie pielgrzymów. I ja wróciłem do hotelu, gdzie zastałem towarzyszków z omnibusu i kilka osób z Marsylii. Ich obecność tłoczyła się głośnym cudem, jaki niedawno temu Proboszcz z Ars był wyjednał dla kogoś z tego miasta. Przy wieczery rozmowa toczyła się wyłącznie o nadzwyczajnym mężu, któregośmy wszyscy przybyli podziwiać. Każdy w różny sposób wrażenie swe opisywał.

„Przybyłem tu jedynie z grzeczności dla mój żony, — mówił pewien Marsylijczyk, — ale cieszę się, że przybyłem; bo teraz wiem, co to religia.“ — Czułem, że poczciwy ten człowiek więcej sobie myślał, niż był zdolen wyrazić.

„Nazajutrz, było to w piątek 11 września 1857 roku, o czwartej przede dniem pobiegłem do kościoła. Zdawało mi się, że wszystkich wyprzedzę; ale mnie większe zdziwienie spotkało, niż dnia pierwszego. Tyle już ludzi pilnowało drzwi zakrystyi, że bardzo odległe miejsce dostał. O której godzinie przybyliście tu? — zapytałem mych sąsiadów. — O drugiej po północy. — A ksiądz Proboszcz o której? — O północy. — I gdzie jest? co robi teraz? — Jest tam pod chórem, spowiada kobiety. To zwykle jego zajęcie w piątek rano. Mężczyzn będzie słuchał po Mszy św. — Więc pocóż tu ci wszyscy? — Pilnują swego miejsca, aby się dostać do konfesyonału, gdy na nich kolej przyjdzie. — A kiedyż tu przyszli? — Równocześnie z Proboszczem. Stali już u drzwi, gdy kościół o północy otwarto. — Oślupiałem na to wszystko. Wiedziałem, że człowiek cudów dokazuje, gdy chodzi o przyjemność lub interes; że gotów długo wyczekiwać, byle dobre dostać miejsce na widowisko jakie. Ale pojęcia nie miałem i nigdy nie widziałem, aby człowiek był gotów poświęcić swój czas i spoczynek dla dobra duchowego. I scena ta, przypominająca mi czasy pierwszego chrześcijaństwa do łez mnie rozrzewniła. Z równą więc przyjemnością, co dnia poprzedniego, i z równem zapomnieniem o sobie i o czasie, patrzałem na wszystko, modliłem się i rozmyślałem, przejęty tem Bożem tchnieniem, jakie się tu rozlewało.

„Markotny przecież byłem na kościelnego, że mi nie doradził czuwać całą noc u drzwi kościoła. Z jakim żalem patrzałem, jak się czynnie krzątał, ustawiając przybywających, odpowiadając wszystkim łagodnie i do cierpliwości pobudzając drugich. Ujął mnie jego spokój, podobało mi się jego miłe ułożenie; dopytywałem się więc o niego, i ze zdumieniem dowiedziałem się, że owym mniemanym kościelnym jest człowiek z wyższego towarzystwa, który nawrócony i uzdrowiony przez Proboszcza z Ars, przez wdzięczność poświęcił się zadaniu, w którym go tyle podziwiałem. Pomagał świętemu Proboszczowi, utrzymując porządek w kościele, podczas gdy on spowiadał; a ponieważ spowiadał do dwudziestu godzin dziennie, nie małe było to zadanie jego pomocnika. Słyszając o tem poświęceniu, zrozumiałem, jak święci, czyniąc rzeczy niepodobne, pociągają

i drugich, żeby się pokusili o toż, i tak się stają najczynniejszymi, najpłodniejszymi i najdobroczyńniejszymi z ludzi nie tylko przez to, co sami czynią z zaprzaniem się siebie, lecz i co czynić innym dają z równem poświęceniem.

„O szóstej wikaryusz odprawił Mszę świętą. Proboszcz zaś słuchał jeszcze spowiedzi niewiast. Wreszcie o siódmej, po tej zabójczej dla każdego innego pracy od samej północy, wyszedł z konfesyonału spokojny i swobodny jak zwykle i udał się do zakrystyi, aby się do Mszy świętej przysposobić. Ja zaś, pragnąc koniecznie pomówić z nim, otrzymać jego błogosławieństwo i tego jeszcze dnia wyjechać, przemocą wdarłem się do zakrystyi za wikaryuszem. „Pozostań tu pan, — rzekł mi tenże, — może ks. Proboszcz zechce cię wysłuchać przede Mszą.“ Proboszcz jednak, czytając jasno potrzeby w duszach, nie uwzględnił mej prośby; dał mi czekać i ubrał się do Mszy św. Zyskałem przynajmniej tyle, że byłem blisko niego, że byłem uczuł łagodny a przenikliwy wzrok jego, i że byłem obecny jego przygotowaniu się do Mszy św. Zauważyłem wtedy niezmiernie wyniszczenie jego ciała, a mimo to wielką sprężystość i siłę jego ruchów. Poszedłem za nim do ołtarza świętej Filomeny, do której on miał szczególniejsze nabożeństwo. U tego ołtarza najczęściej Mszę św. odprawiał i tu wielkie cuda otrzymał. Przeróżne na tym ołtarzu wota świadczą, wiele tu kalek i nędzarzy zostało pocieszonych. Razu jednego, gdy u stóp tego ołtarza otrzymał nagle uzdrowienie powietrzem rażony, który rzucił krukwie i począł chodzić, jak gdyby na wszechmocne słowo Zbawiciela, a lud głośno objawiał swój podziw i wdzięczność, święty kapłan, zakłopotany temi publicznymi objawami, modlił się do świętej z pokorą: „O święta Filomeno, proszę cię, takich łask udzielaj mi tajemnie! Uzdrowiaj ludzi, gdy do domu wrócą, a mnie niegodnemu oszczędź takiego zawstydzienia.“

„Po Mszy św. chciałem się zbliżyć do Proboszcza, ale mnie tłumy rozdzieliły od niego; nie mogłem się do zakrystyi dostać. Znowu stanąłem zdala i przypatrywałem się dalszym jego czynnościom. Ukazał się w komeżce u ołtarza; tłumy pielgrzymów rzuciły się ku niemu, podając mu szkaplerze i koronki do poświęcenia; wreszcie

dzieci, którym błogosławił. Zaspokoiwszy wszystkich, wszedł do bocznej zakrystyi, gdzie kilka pań czekało na niego na naradę. W godzinę potem wrócił pod chór i zaczął słuchać mężczyzn. Nie mogąc się do niego dociśnąć, zacząłem się niecierpliwie w duchu; lecz wnet, po chwili zastanowienia, zawstydzilem się; gdyż w rzeczy samej, widząc człowieka, który wszystkie chwile życia dla innych poświęca, niegodną by było rzeczą, żalować trochę siły czasu na to, żeby poczekać nieco na rozmowę z nim. Wróciłem więc znów do uczuć cierpliwości i uwielbienia, które mnie już nie opuściły do końca.

„Już dziewiąta wybiła, a ruch dokoła zakrystyi nie się nie zmniejszył; dla mnie pozostawała ona zawsze niedostępna. Kilka tylko pań ku oburzeniu powszechnemu, precisnęło się przemocą. Czasami Proboszcz sam wywoływał niektóre osoby; a wtedy nikt się o to nie skarżył, bo każdy widział, że sobie najnieszczęśliwszych wybiera. Pani jedna z Marsylii z dwiema córkami, jedną niemą, drugą chromą, czekała tylko krótką chwilę. Od czasu do czasu grono penitentów pojednanych już z Bogiem przyjmowało Komunię świętą z rąk wikaryusza. Gdy niekiedy powstawał jakiś ruch niespokojny czy szepty pomiędzy czekającymi, człowiek, którego wziąłem za kościelnego, łagodnie do porządku wszystko przywoływał.

„Od dziesięciu godzin, bez chwili odpoczynku trwał mąż Boży w pracy, najmniejszego nie okazując znużenia. Jam przybył cztery godziny po nim; byłem po prostu bezczynnym świadkiem, a mdlałem z głodu i zmęczenia; i już myślałem o odwrocie, gdy raz jeszcze pokusiłem się o ostateczny szturm do zakrystyi. Za pomocą uprzejmego kościelnego stanąłem wprost drzwi; gdy je święty otworzył, poznał mnie i wpuścił. Stanęliśmy naprzeciw siebie, nie chcąc mu zabierać drogiego czasu, stawilem mu w krótkości dwa zapytania, na które mi odpowiedział bardzo rozumnie i bez namysłu, stanowczo, bez najmniejszego wahania, ale też i bez pospiechu.

„Zwykle człowiek musi namyślić się i rozważyć rzecz by roztropnie sobie począć, — u Proboszcza z Ars mądrość płynęła z natchnienia. Jego spokój, uwaga i przytomność umysłu, w takich warunkach zdumiewały mnie.

Boć on od północy był w pracy, bez chwili wypoczynku, wysłuchał około stu osób. — Jakiś penitent klęczał już u konfesyonału, czekając za spowiedzią; a nowi przyplýwali do kościoła, jak rosnące fale morskie. Święty zaś kapłan był zawsze gotów służyć wszystkim, bez zniecierpliwienia się, nie okazując zmęczenia, z równą dla wszystkich serdecznością, wszystkim z równą przytomnością umysłu zdrowych rad udzielając. Było w tem coś nadludzkiego, i każdy, co zechce się zastanowić, musi tu przyznać działanie łaski, udzielającej potężnej swęj mocy człowiekowi, wiernemu jęj poruszeniom. Odpowiedział mi równie szybko, jak ja mu pytanie zadałem.

„A teraz proszę Ojca o jedną jeszcze łaskę, — dodałem w końcu, — jadę do Rzymu pomodlić się na grobach świętych Apostołów, udziel mi Ojciec swego błogosławieństwa, któreby mi w tej podróży towarzyszyło.

„Na wspomnienie Rzymu, twarz ks. Vianney rozpromieniła się radością, podniósł oczy; głęboki, do dna duszy sięgający wzrok jego jakąś iskrą się zapalił.

„Jedziesz Pan do Rzymu! — zawołał — zobaczysz Ojca świętego!... O módl się za mnie u grobów świętych Apostołów.

„Po krótkiej wymianie kilku jeszcze wyrazów, skłoniłem się, on mi pobłogosławił; ucałowawszy mu rękę, pożegnałem go, szczęśliwy, wzmocniony na duchu i głęboką czcią przejęty.

„Korzystając z wolnej chwili, puściłem się jeszcze zwiedzić Ars, którego dotychczas nie znał. Wszystkie prawie domy zamieniły się na domy zajezdne dla podróżnych, i na składy przedmiotów pobożnych. We wszystkich oknach były różne portrety ks. Vianney. Kupiłem sobie jeden z najlepszych; a doszedłszy do zamku, wróciłem się do kościoła na katechizm Proboszcza. Były to jego zwykłe przedpołudniowe nauki, do których w niezmordowanym poświęceniu czerpał nowe siły po tak uciążliwej pracy w konfesyonale. Kościół był znów tak przepelniony, że za ledwo jakie takie miejsce dostałem.

„Wymowa ks. Vianney nie w słowach się mieściła. Skutkiem wycieńczenia sił głos jego tak był słaby, przy tem wymowa skutkiem utraty zębów tak niewyraźna, że

dzieci, którym błogosławił. Zaspokoiwszy wszystkich, wszedł do bocznej zakrystyi, gdzie kilka pań czekało na niego na naradę. W godzinę potem wrócił pod chór i zaczął słuchać mężczyzn. Nie mogąc się do niego docisnąć, zacząłem się niecierpliwie w duchu; lecz wnet, po chwili zastanowienia, zawstydzilem się; gdyż w rzeczy samej, widząc człowieka, który wszystkie chwile życia dla innych poświęca, niegodną by było rzeczą, żalować trochę siły i czasu na to, żeby poczekać nieco na rozmowę z nim. Wróciłem więc znów do uczuć cierpliwości i uwielbienia, które mnie już nie opuściły do końca.

„Już dziewiąta wybiła, a ruch dokoła zakrystyi nie się nie zmniejszył; dla mnie pozostawała ona zawsze niedostępna. Kilka tylko pań ku oburzeniu powszechnemu, przecisnęło się przemocą. Czasami Proboszcz sam wywoływał niektóre osoby; a wtedy nikt się o to nie skarżył, bo każdy widział, że sobie najniezwyklejszych wybiera. Pani jedna z Marsylii z dwiema córkami, jedną niemą, drugą chromą, czekała tylko krótką chwilę. Od czasu do czasu grono penitentów pojednanych już z Bogiem przyjmowało Komunię świętą z rąk wikaryusza. Gdy niekiedy powstawał jakiś ruch niespokojny czy szept między czekającymi, człowiek, którego wziąłem za kościelnego, łagodnie do porządku wszystko przywoływał.

„Od dziesięciu godzin, bez chwili odpoczynku trwał mąż Boży w pracy, najmniejszego nie okazując znużenia. Jam przybył cztery godziny po nim; byłem po prostu bezczynnym świadkiem, a mdlałem z głodu i zmęczenia; i już myślałem o odwrocie, gdy raz jeszcze pokusiłem się o ostateczny szturm do zakrystyi. Za pomocą uprzejmego kościelnego stanąłem wprost drzwi; gdy je święty otworzył, poznał mnie i wpuścił. Stanęliśmy naprzeciw siebie, nie chcąc mu zabierać drogiego czasu, stawilem mu w krótkości dwa zapytania, na które mi odpowiedział bardzo rozumnie i bez namysłu, stanowczo, bez najmniejszego wahania, ale też i bez pospiechu.

„Zwykle człowiek musi namyślić się i rozważyć rzecz by roztropnie sobie počąć, — u Proboszcza z Ars mądrość płynęła z natchnienia. Jego spokój, uwaga i przytomność umysłu, w takich warunkach zdumiewały mnie.

Boć on od północy był w pracy, bez chwili wypoczynku, wysłuchał około stu osób. — Jakiś penitent klęczał już u konfesyonału, czekając za spowiedzią; a nowi przyplýwali do kościoła, jak rosnące fale morskie. Święty zaś kapłan był zawsze gotów służyć wszystkim, bez zniecierpliwienia się, nie okazując zmęczenia, z równą dla wszystkich serdecznością, wszystkim z równą przytomnością umysłu zdrowych rad udzielając. Było w tem coś nadludzkiego, i każdy, co zechce się zastanowić, musi tu przyznać działanie łaski, udzielającej potężnej swęj mocy człowiekowi, wiernemu jęj poruszeniom. Odpowiedział mi równie szybko, jak ja mu pytanie zadałem.

„A teraz proszę Ojca o jedną jeszcze łaskę, — dodałem w końcu, — jadę do Rzymu pomodlić się na grobach świętych Apostołów, udziel mi Ojcie swego błogosławieństwa, któreby mi w tęj podróży towarzyszyło.

„Na wspomnienie Rzymu, twarz ks. Vianney rozpromieniła się radością, podniósł oczy; głęboki, do dna duszy sięgający wzrok jego jakąś iskrą się zapalił.

„Jedziesz Pan do Rzymu! — zawołał — zobaczysz Ojca świętego!... O módl się za mnie u grobów świętych Apostołów.

„Po krótkiej wymianie kilku jeszcze wyrazów, skłoniłem się, on mi pobłogosławił; ucałowawszy mu rękę, pożegnałem go, szczęśliwy, wzmocniony na duchu i głęboką czcią przejęty.

„Korzystając z wolnej chwili, puściłem się jeszcze zwiedzić Ars, którego dotychczas nie znał. Wszystkie prawie domy zamieniły się na domy zajezdne dla podróżnych, i na składy przedmiotów pobożnych. We wszystkich oknach były różne portrety ks. Vianney. Kupiłem sobie jeden z najlepszych; a doszedłszy do zamku, wróciłem się do kościoła na katechizm Proboszcza. Były to jego zwykłe przedpołudniowe nauki, do których w niez mordowanym poświęceniu czerpał nowe siły po tak uciążliwej pracy w konfesyonałe. Kościół był znów tak przepelniony, że za ledwo jakie takie miejsce dostałem.

„Wymowa ks. Vianney nie w słowach się mieściła. Skutkiem wycieńczenia sił głos jego tak był słaby, przy tem wymowa skutkiem utraty zębów tak niewyraźna, że

zaledwo mogłem go dosłyszeć. Ale wymownemi były: wyraz jego twarzy, jego ruchy, a nadewszystko wymowną powaga jego życia i wpływ jego uczynków. To też, cóż za potężny wpływ wywierał on na słuchaczów!... Była to ostatnia, ale najpiękniejsza scena, jaką widziałem. Tłum ludzi wszelkiego stanu i wieku, a mianowicie kobiet z dziećmi na ręku, skupiał się u jego stóp, na stopniach ołtarza i na ziemi; wszyscy z wyteżonymi ku mówiącemu wzrokiem i uwagą. Niedosłyszane słowa tłumaczył nam wyraz jego ruchów i twarzy. Drzał on z przerażenia, mówiąc o grzechu; płakał na wspomnienie obrazy Bożej; promieniał, jak gdyby w zachwycie, gdy mówił o miłości Bożej; to rumieniąc się, to znów blednąc na przemian. Zresztą wyrazy płynęły mu z łatwością. Mówił nam o celu człowieka, którym jest szczęście w Bogu. Mówił, że grzech oddala nas od Boga, a żal i pokuta znów nas do Niego zbliżają. Był to jego codzienny przedmiot, a rozwijał go sercem. Choć słów nie słyszałem wszystkich, czułem wszystko, co miał na myśli, raz po raz zaledwie jakiś wyraz pochwytując. Było w tem coś cudownego! Wypowiadał takie trafne myśli: „Dziwna rzecz, spotykałem ludzi, którzy żalowali, że nie kochali Boga; alem nigdy nie spotkał nikogo, coby był żalował, że Go kochał.“

„Nie było tu wymowy zdumiewającej i porywającej, raczej namaszczenie słów ks. Vianney przenikało i zagrzewało. Jak drugi święty Jan, ciągle powtarzał: „Moje dzieci!“ a tłumy słuchały go, jak ojca uwielbianego. Naprawdę tu trzeba było przyjść malarzowi, któryby chciał przedstawić kazanie Chrystusa Pana na górze.

„Z uderzeniem dwunastój, Proboszcz z Ars skończył mówić i wrócił na plebanią, gdzie w modlitwie i umartwieniu miał zaszpernąć się do dalszej pracy za dwie, trzy godziny. W godzinę potem wyjechałem z Ars, uwożąc z sobą błogosławieństwo ks. Vianney i niezartą pamięć jego świętości i miłości. Właściwego cudu nie widziałem, ale widziałem ciągły cud życia jego, którego wszystkie dni były takie, jak ten jeden, który widziałem.

„Przybywszy do Lyonu, zapisałem sobie szczegóły, które dziś wiernie podaję publiczności. Mógłbym do nich niejedną dodać uwagę, i mówić o wielkości kapłaństwa,

które jest zdolne podnieść do takiego stopnia doskonałości i potęgi; mógłbym mówić o dobroczynnym wpływie Kościoła na dusze i na całe społeczeństwo, które nieustannie ulepsza i oświeca mocą prawdy Bożej. Ale niech lepiej każdy sam rozmyśla nad opowieścią moją, i sam z niej wyciągnie wnioski pełne zbudowania. Jako historyk, skończyłem zadanie moje. Szczęśliwy będę, jeśli dając poznać ten jeden dzień z wielkiego i świętego żywota, wykazując, że głównem zadaniem jego było kierować i uzdrawiać dusze w trybunale pokuty, zdołam pocieszyć chrześcijańskie serca widokiem powrotu świętości na ziemię, a nadto przekonać społecznych, iż spowiedź jest cudownem i najwyższem lekarstwem na choroby, jakie ich dusze trawią, i że on Sakrament, tylekroć znieważany przez wykrętne rozумы, wyszydzany przez niedowiarstwo, wielkiego doczekał się tryumfu i wielkiej chwały w życiu tego wielkiego Spowiednika.“

Godzienni świadkowie tego, co się działo w Ars, mogliby zaświadczyć, że p. Lacroix z całą prawdą skreślił ten obraz tryskający życiem.

Inny pisarz katolicki podobnie spisał wrażenia swe z podróży do Ars w roku 1859:

„W marcu puściłem się z Villefranche drogą przepelnioną pielgrzymami. Odróżniam ja podróżnych od pielgrzymów: podróżny bowiem nie wie, dokąd dąży. Pielgrzym zaś wie dokąd idzie. Podróżny patrzy tylko na zewnętrzną postać przyrody; pielgrzym wnika w głąb rzeczy, szukając Boga, szukając dusz z Bogiem złączonych, szukając łaski Bożej; on ma cel rzeczywisty, a osiągnąwszy go, nigdy już nie traci go z oczu, już się nigdy od niego nie odwraca. Ars nieznaną jest podróżnym; pielgrzymi zaś znają jego kościół i jego świętego Proboszcza. — Jedni spieszyli do Ars, drudzy wracali zeń. A nie zapomnę skupienia i radości na ich twarzach. Ani też zapomnę tego skromnego a uroczystego krajobrazu, jaki ta wioska przedstawia.

„Wielu pielgrzymów, którzy do kościoła nie mogli się docisnąć, stało u jego drzwi, na cmentarzu i w bocznych uliczkach, czekając, aż na nich kolej przyjdzie. Portrety Proboszcza z Ars, to katechizującego dzieci, to odwiedzającego chorych, wszędzie były w oczy, we wszystkich oknach,

we wszystkich sklepach wśród stosów medalików, świec i koronek.

„Pielgrzymi kupowali te świętości, aby je podawać Proboszczowi do poświęcenia; świece, aby je palić przed oltarzem św. Filomeny.

„O czwartéj, gdym wszedł do kościoła, ksiądz Vianney był w konfesyonale. Zaledwom ukląkł, aż slysze przejmujące łkanie z konfesyonalu. Byłże to krzyk boleści, czy wielkiei miłości? Powtarzał się co parę minut, wydarty z duszy zgnębianej, skrępowanej ciałem, a ulatującej ku niebu.

„Od drugiei godziny z rana spowiadał ten święty kapłan mężczyzn, kobiety i dzieci; przerwał sobie tę pracę, raz dla odprawienia Mszy świętei, drugi raz dla nauki katechizmowej i dla jedynego posiłku, jaki raz na dzień pożywał, a złożonego z zupy, i dla spoczynku na rozmowie może przez jaki kwadrans. Za chwilę miał wyjść z konfesyonalu, dla błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. Po niem miał jeszcze drugą naukę i wracał do siebie, odmawiał pacierze i kładł się około jedenastei lub dwunastei, by wstać o pierwszei. Takie były dni i noce jego żywota.

„Okolo piątei tłum się poruszył i z konfesyonalu wyszedł starzec w starzej, podartei rewerendzie i grubej komeżce. Był straszliwie wychudzony; twarz jego koścista, przedłużona, czoło szerokie, rozjaśnione błyszczącemi jak dwa brylanty oczyma, uwienzione obfitym białym włosem, niby jasną aureolą. Lud, zamiast mu się usuwać z drogi, cisnął się ku niemu, aby się dotknąć jego komeżki, rewerendy, włosów lub rąk wychudłych. Często zachwiał się pod naciskiem tłumu tak, że o mało nie upadł. Pozwalał na wszystko; łagodnie a pokornie torował sobie drogę, nikogo nie odpychając.

„Mówił o godności chrześcianina, o onym przywileju, przez który chrześcianin staje się synem światłości, i daje mu przez wiarę oglądać rzeczy niewidzialne. „Chrześcianin, moje dzieci, — mówił on, — podobien do tei wielkiei świętei Franciszki Rzymianki, która widziała przy sobie Anioła Stróża. Chrześcianin nie zawsze widzi anioła swego

oczyma ciała; ale moje dzieci, im lepszym jest chrześciana-
ninem, tem go lepiej widzi oczyma duszy.“

„Wieczorem rozmawiałem z ks. Vianney. Wyniosłem z tej rozmowy wspomnienia, któremi podzielić się tu nie mogę. Lecz mogę opowiedzieć o tym nadprzyrodzonym blasku, jaki tryskał z jego duszy, z jego twarzy, z oczu jego. Stoi mi jeszcze w oczach, oparty o stół w zakrysty, i do dziś dnia pamiętne mi dziwne jego podobieństwo do wiszącego tamże na ścianie obrazu Chrystusa ubiczowanego. Zbawiciela ciała widać było poszarpane; nagie kości przez okrutne rany świeciły, a wzrok, zwrócony ku widzowi, zdawał się mówić: Policzyl i kości moje.

„Proboszcz z Ars przez doskonale naśladownictwo swego Mistrza, stał Mu się podobnym. Boleść i radość zlewały się w nim w jeden wyraz. Czoło jego i policzki zorane w głębokie brózdki, zasępiły się czasem, jak gdyby pod naciskiem wielkiego cierpienia; gdy nagle podnosił głowę, twarz jego się rozjaśniała, zmarszczki promieniały: ciało jakoby przemienione stawało się przejrzyste jak ciało dziecięcia, i oczy płonęły jakimś nadziemskim ogniem. Te przemiany zachodziły w nim bez najmniejszego wpływu na anielski jego spokój ducha. Zdaje mi się, że nie słyszałem, aby kiedy o Bogu mówił bez łez.

„Słyszałem kilka razy jego katechizacye. Wchodził na male wywyższenie otoczone baryerą z drzewa; pielgrzymom kazał siadać jak najbliżej siebie, aby miejsca nie tracić, i, spojrzawszy na oltarz, począł mówić z wielkim wysileniem. Sam nie wiem, jak mogłem dosłyszeć jego słaby głos. Czasami ustawał całkiem, nie mogąc dokończyć zaczętych wyrazów. Kilka razy zaczynał słowa: Bóg, wieczne szczęście, niebo, i potrzeba mu było wielkiego wysilenia, aby je wypowiedzieć. Ale wymowne łzy jego więcej od słów mówiły! Często nagle sobie przerywał, odwacał głowę, ręce składał, wzrok ku oltarzowi wyteżał; poczem dopiero mówił dalej, jeszcze goręcej, jeszcze więcej rozpromieniony, jak gdyby w Hostyi Przenajświętszej był szukał tego, co miał powiedzieć.“

ROZDZIAŁ III.

Listy ze wszech stron wielbią i podnoszą cześć ks. Vianney.

„Albowiem nie ten, co sam siebie zaleca, jest doświadczony; ale ten, którego Bóg zaleca.“ (II do Koryn. X, 18).

„Gdy wam mówić będą, że Apostołowie byli prostymi wieśniakami, dodajmy, że byli bez nauki, ciemni i nieznani. Nie ubliżymy im, ale pochwalimy ich, skoro takimi będąc, stali się najznakomitszymi ludźmi na świecie.“

(Homilie św. Jana Chryzostoma).

Codziennie stolik ks. Vianney zarzucon bywał stosem listów ze wszystkich części świata. Jedząc przeglądał je pobieżnie, aby choć ogólnie poznać intencją piszącego.

Gdy niektóre z tych listów zaczynały się od pochlebnych wyrazów: Sława świętości ks. Proboszcza!... Najgłębsza ma cześć dla ks. Proboszcza... Ufność do jego mądrości... itd. tak go oburzały, że nie dokończywszy ich rzucał w ogień. Wiele osób, niepomnąc, że nie piszą do osoby zwykłego zakroju, używały jakichś chwalczych określeń i zwrotów, jak to bywa zwyczajnie w listach, czem zamykały sobie drogę do wysłuchania; żadne z nich nie otrzymało skutku swęj prośby.

Do wielu z tych listów dołączone były pieniądze na Msze św., na ubogich i na fundacye Proboszcza. Jeśli listy były poufne, palił je natychmiast; jeśli zaś rozwozdiły się długo nad jakąś ważną sprawą, polecał Katarzynie lub swemu wikaryuszowi zdać z nich sprawę.

Czytanie tych korespondencyi trwało tak długo, jak jego obiad. Nieodpieczętowane pozostawały na później, wszystkie zaś razem szły na ogień, który w każdej porze zapalano w jego piecu na tę chwilę, gdy wracał do domu.

Prawdziwa dla nas szkoda, że tyle ważnych dokumentów zginęło w płomieniach. Bylibyśmy częścią historii naszej z nich zaczerpnąć mogli, i z nich najlepiej byliby się ludzie dowiedzieli, jak powszechne było zaufanie do świętego. Kilka uratowanych urywków wielce nam pomogły do ocenienia cudownej mocy, jaką święty umiał pocieszać i nawracać. Ich wyznania tem więcej każą nam żałować tych, co zostały zniszczone.

Pozostałe te listy pochodzą z Anglii, Niemiec i różnych okolic Francji; a są jakoby uową pieśnią Jobową, bolesnym echem wszystkich skarg i żalów tej ziemi. Tłumaczą one słowa Proboszcza z Ars, gdy wyrzekł: „Trzeba tu być, aby się dowiedzieć, czem jest grzech pierworodny. Tu dopiero widać, czem jest nasienie A d a m a !“

Po większej części proszono ks. Vianney o modlitwy, mianowicie za chorych. Przybywało ich bardzo wiele z Flandryi. Mamy w ręku kilka bardzo rzewnych świadectw ufności duchowieństwa belgijskiego do służki Bożego. Dziekan z Saint Gilles pisze :

„Czcigodny Proboszczu! Przez pamięć na relikwie świętego Franciszka Salezego, o które ci się wystarałem lat temu czterdzieści, i przez miłość tego świętego Biskupa, proszę Cię najpokorniej o modlitwę za uzdrowienie pewnej chorób, jeśliby to było z pożytkiem dla jej duszy, a jeśli nie, wyproś jej cierpliwość, poddanie się woli Bożej i śmierć szczęśliwą.

„Korzystam z tej sposobności, by zarazem polecieć siebie i całą mą parafią modlitwom Twoim Księżu Proboszczu i wyrazić ci najgłębszą mą cześć.“

Inny ksiądz pisał z Bruges 19 maja 1857 r. :

„Kochany Spółbracie! Tak dawno nie odebrałem listu od ks. Toccanier, że nie wiem, czy on jest jeszcze w Ars. Tyle razy wstawiał się za mną łaskawie do księdza Vianney i obdarzał mnie spiesznią odpowiedzią w interesie moim lub moich przyjaciół; a dziś gdy mi o nią bardzo chodzi, doczekać jej się nie mogę. Ukochany Bracie, uczyni to dla Boga, co ksiądz Toccanier tyle razy uczynił, wstaw się za nami, za człowiekiem bardzo zacnym z mojej parafii, za ojcem kilkorga drobnych dzieci, któremu skutkiem paraliżu lekarze życia nie rokują. Zaledwo został rażony, znając wiarę tej rodziny, włoży-

łem mu na szyję medalik poświęcony przez Proboszcza z Ars, i zaczęliśmy nowennę do św. Filomeny. Dziewiątego dnia ów człowiek, na śmierć skazany przez lekarzy, mógł usiąść we fotelu i z każdym dniem mu lepiej. Wiedząc, że wielu chorych i kalek otrzymało uzdrowienie za przyczyną Proboszcza z Ars do św. Filomeny, a pragnąc rozszerzenia chwały tejże świętej w naszej okolicy, proszę Cię Bracie, wyjednaj u czciwego Proboszcza nowennę, na intencją tego chorego.“

To znów zakonnica Kapucynka z tegoż miasta prosiła pokornie o wstawienie się za nią, aby jej Bóg przez świętych sług swoich udzielił tyle zdrowia, iżby mogła regułę swą zachować. — Później znów proszono o uzdrowienie młodego spadkobiercy jednego z najświetniejszych imion i potomka rodziny, w której najpiękniejsze cnoty niejako dziedzicznymi się stały. W załączeniu do kwoty na dziesięć Mszy św. proszono ks. Vianney o wyznaczenie dnia, kiedy mają rozpocząć nowennę, aby z jego modlitwami połączyć się mogły różne zakonne zgromadzenia i domy ubogich i sierót.

Z Antwerpii pisano :

„Czcigodny Księżę Dobrodzieju! Wybacz mi, że po raz trzeci błagam Cię o modlitwy za pannę T. Od sześciu miesięcy piersiowa choroba wzmaga się u niej i dziś nie zostawia nam, po ludzku sądząc, żadnej nadziei ratunku. Ale Bóg dobry, może wysłucha modlitwę, o którą Cię proszę w imię nieśczęśliwej matki, co w onem dziecięciu traci ostatnią swą na ziemi pociechę. Chora jest duszą wybraną, oddaną całkowicie Bogu i dobrym uczynkom. Czyżby nie można przedłużyć tak pięknego życia? O! przez litość czcigodny Ojciec zadaj gwałt niebu!“

Przełożona pewnego klasztoru w Irlandyi pisała :

„Wielebny Ojciec! Od dawna doszła nas biednych prześladowanych a wiernych Irlandczyków wiadomość o cudach, jakie się dzieją w Ars, i o łaskach, jakich Bóg udziela za Twojem wstawieniem. Nie zadziwi Cię więc, Ojciec, że z ufnością korzystam z łaski, jaką Cię Pan obdarzył i proszę o Twoje wstawienie się za moją chorą siostrą. Jest ona również zakonnica, ale w innym klasztorze; pragnę dla niej zdrowia dla pomnożenia zasług, których już wiele nazbierała jako Oblubienica

Pańska. Racz więc, drogi i czcigodny Ojcze, przychylić się do mej prośby, ofiarować i za mą siostrą modlitwy, które innym już tyle łask wyjednały.“

Z Prus pisano do ks. Vianney :

„Najczcigodniejszy Pasterzu! Proście a będzie wam dano, pukajcie a będzie wam otworzono, szukajcie a znajdziecie... Idźcie po cały świat... Uzdrowiajcie chore, wzmacniajcie niemocne... Jeślibyście mieli wiarę, jako ziarno gorczyczne, przenosilibyście góry.“ Z pamięcią na te słowa ukochanego Zbawiciela, biedna matka trojga drobnych dzieci ze łzami wzywa Cię o litość. Jestem obcą Księdzu Proboszczowi i z dalekich stron; alem przecież Boże dziecię. O! czcigodny Ojcze! Ty, któryś tyle łask od Boga otrzymał, posłuchaj opowieści o mych cierpieniach. Od lat czterech walczę ze śmiercią: trudno wypowiedzieć jak to okropnie. Ustaję już od wołania: Dziej się wola Twoja, Panie, a nie moja! Lecz jeśli być może niech odejdzie ode mnie ten kielich goryczy! Wiemy, że w Ars jest człowiek od Boga dany, aby bliźnich ratował. Słyszając o cudach, jakie się tam dzieją, powiedziałam sobie: Gdybym mogła pójść do sługi Bożego, byłabym uzdrowioną!

O! Ty, któryś duchem Bożym ożywiony, który nie żyjesz chlebem ale słowem Bożem, który nie swoim, ale Chrystusowem żyjesz życiem, prosz o moje uzdrowienie Tego, którego masz szczęście widzieć i piastować codziennie. Niechaj i mnie będzie powiedziano, jak onej ewangelicznej niewieście, która pragnęła tylko się dotknąć kraju szaty Chrystusa Pana: Wstań wiara twoja ciebie uzdrowiła!

Maż jój się dopisuje:

„Wraz z dziećmi moimi polecam Ci żonę moją Czciogodny Księżu Proboszczu. Cierpi niezmiernie, ale cierpi z przedziwną cierpliwością. Z jakimże szczęściem dziękować Ci będziemy jój uzdrowienie! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Niechaj Pan Bóg pokoju błogosławi nam! Niech łaska Pana będzie zawsze z nami!

Klemens Heizmann,
Joanna Schneider.“

Fontainebleau 11 paźdz. 1854.

„W Piśmie św. czytałem, że ci, co mają wiarę, mogą czynić cuda. Twoja żywa wiara, Księżę Proboszczu, wysłużyła ci ten dar. Błagam Cię, użyj go na korzyść naszą i Tego, który wyrzekł: „Proście a będzie wam dane;“ prosz o uzdrowienie mego. Myśl, żeś go Ksiądz Proboszcz widział przed kilku laty i że dla tego więcej Cię obejdzie, krzepi nadzieję moję. Lekarze żadnej nie przynoszą mu ulgi. W nadmiar cierpień fizycznych, cierpi i moralnie; trapi się rozpaczliwymi myślami i na ciąg tego życia i na wieczność życia po za grobem. Człowiek ten, wzór dobroci, łagodności i dobrych obyczajów, ma się za potępionego; twierdzi, że jego Komunie św. są niegodne; i wtedy, kiedy mu tak bardzo potrzeba wzmacniać i zasilać się u tego źródła wszelkich łask, przystępuje doń ze drzeniem. Przybądź mu więc Ksiądz Proboszcz w pomoc modlitwami swemi. Uszczęśliw nas wszystkich, uzdrawiając nam naszego chorego.

Hrabina P....“

Z Lyonu adwokat pewien pisze ;

„Księżę Proboszczu! Trzy tygodnie temu, miałem dwoje dzieci. Dziś pozostaje mi tylko jedno a tak chore, że lekarze nie robią mi nadziei życia. Bóg mi podaje myśl, żeby udać się do Ciebie.

„Gdy tylko będzie można, sam dziecko moje przywiozę do Ars na podziękowanie św. Filomenie za przyczynę, o którą ją dziś proszę. Oby się Bóg zlitował nad nami!

„Z góry dziękuję Ci Księżę Proboszczu i proszę, przyjm wyraz

najgłębszego mego poważania.“

Ksiądz z Belgii pisze :

„Księżę Proboszczu! Pani G. poleca modlitwom Twoim dziesięcioletnią swą córeczkę, niemowę. Prosi o łaskę za przyczyną św. Filomeny, która ci nie odmawia; prosi o nią bardzo gorąco, lecz z zupełnem zdaniem się na wolą Bożą. Szczęśliwym, że mnie sobie za pośrednika w tej sprawie obrał, bo mam sposobność polecić się i ja modlitwom Twoim, Księżę Proboszczu. Wyjednaj mi u Pana naszego przez św. Filomenę podwójne zdrowie. Niech Ci mój Anioł Stróż dopowie, co przez to rozumiem.“

Toulon, 22 lipca 1850.

„Jak widzisz, Ojciec nie zrażam się... Może chcesz wiary mojej doświadczyć; a ja mam gotów wołać, dopóki łaski nie otrzymam. Jestem mocno przekonany, że św. Filomena wyjedna mi wyzdrowienie. Kiedy? tego nie wiem; ale jestem pewien, że możesz mi je wyprosić; dla tego nalegam.“

Clermont, 12 lutego 1857.

„Bóg nas ciężkim dotknął smutkiem. Od powrotu męża mego z wojny krymskiej, ciągle na zdrowiu zapada. Lekarstwa nic nie skutkują. W ciężkim strapieniu Bóg mi jedyną pociechę i nadzieję. Poddaję się najświętszej Jego woli; aleć miłosierdzie Jego bez granic; błagam Go więc całą siłą biednego mego serca, aby zachował ojca mych czworga dzieci. Od dawna wiele dusz łączy się do moich prośb. Może one już nam wyjednały skutek w wielkich łaskach, udzielonych nam pod ciężarem tego krzyża. Przed trzema laty Najśw. Panna z la Salette uzdrowiła mi już umierającą córkę. A i nawrócenie męża mego do Boga niemniejszym jest cudem: spowiada się i modli gorąco. Toć to bardzo wielkie łaski. Wolnoż nam jeszcze więcej ich się spodziewać, gdy niczem na nie nie zasługujemy? Przyszło mi na myśl prosić Pana o skuteczniejszą modlitwę od mojej. Żyjesz przy świętym, bądź moim pośrednikiem u niego, aby zechciał sam odprawić Mszę św. za mego drogiego męża.

Z. de F.

Paryż 22 kwietnia.

„Pozwalam sobie najusilniej Księdzu Dobrodziejowi polecić krewną moją, która na tak dziwną zapadła chorobę, że robi na mnie wrażenie opętanej. Pomiędzy innymi objawami godnymi uwagi, przeklina i bluźni takimi wyrazami, jakich nigdy nie słyszała i nie znała; a takie napady powtarzają się z piętnaście razy na godzinę. Dostaje ich, ile razy przechodzi obok kościoła; w nocy czyta o ciemku; gra na fortepianie, choć nie zna muzyki. Drze na sobie suknie, jada tylko raz albo dwa razy na tydzień... Obecnie tak jej się nogi pokurczyły, że wydaje się małą, choć jest wysokiego wzrostu. Wydaje okropne zwierzęce krzyki.

„Błagam, racz nam Ksiądz Dobrodziej wyjednać potężną przyczynę Księdza Proboszcza. Biedne to dziewczę, bardzo po-

bożnie i poddane Bogu, powiedziała mi, że jeśli otrzyma uzdrowienie, poświęci się służbie Bożej w Zgromadzeniu Sióstr Miłosierdzia. Jest znana od wszystkich najznakomitszych lekarzy Francyi, Anglii i Niemiec. Nie wzywani nawet przychodzili do niej przypatrzeć się tak niezwykłym, nadprzyrodzonym objawom.

„Jej uzdrowienie stałoby się bardzo głośnym cudem, któryby był z wielką chwałą Boga.“

Pewien Proboszcz z Ardenes pisze do misjonarza:

„Ukochany Bracie! Wzywam twój litości dla ważnej przysługi, za którą Ci Bóg odpłaci. Poleć modlitwom świętego sługi Bożego, ks. Vianney biedną duszę, która mi się wydaje opętana.“

„W mojej szkółce dziewcząt mam za nauczycielkę wyższej klasy siedmnoletnią nowicyuszkę ze Zgromadzenia Opatrzności. Jest to osoba wielkich zdolności, ale miewa dziwne napady, które tem więcej zdają mi się być sprawką szatana, że podczas pobytu jej na żeńskiej pensyi przez sześć miesięcy, mąż przełożonej pensyi nieustannie ją magnetyzował.....“

Pod wpływem magnetyzmu kradła byle kraść, jeść i niszczyć. Przed niedawnym czasem, gdym jej wspomniał o Proboszczu z Ars, dziwna siła nią wstrząsnęła i okropnego dostała napadu. Kroplisty pot zlewał jej twarz; mówiła o rzeczach, które się w odległych miejscach działy, i o których wiedzieć nie mogła. Później, jakoby ścigana obrazem swego zgorzyciela, uciekła do sypialni, rzuciła się na ziemię, łzami ją oblała, modląc się gorąco; aż wreszcie doznawszy uczucia, jak gdyby jej wielki ciężar zdjęto z piersi, zawołała: „Ach jestem wolna!“ — Ale od kilku dni znów napady wracają, mianowicie od południa do godziny odmawiania koronki. Najskuteczniejszemi okazały się dotąd jej pokorne zeznania, modlitwa, mianowicie do Niepokalanej Dziewicy, umartwienia zewnętrzne i wewnętrzne. Z wielką ufnością polecam to biedne dziewczę naszemu świątobliwemu słudze Boga i Matce Bożej. Mam mocną ufność, że Pan Bóg da mu poznać, czy jest coś szatańskiego w tem, czy też to skutek słabości fizycznej. On rozpozna, czy może jest jeszcze wpływ magnetyzera, którego dom jest dyabelską jamą. Jestem pewien, że w gorliwości swjej

o dusze, wszelkich użyje sposobów, byle uzdrowić tę młodą osobę, rokującą najpiękniejsze nadzieje.“

Niepodobna w ramach życiorysu zamieścić prośb wszystkich matek, żon, mężów, dzieci, wzywających pomocy w ciężkich strapieniach. Najprzeróżniejsze te sprawy wytaczały się przed Proboszczem z Ars. To mu polecano, aby w czasie Mszy św. prosił Boga o oświecenie rządu, jak ma postąpić w przedsięwzięciu korzystnym dla całej prowincyi; to znów wzywano jego współczucia dla osobistego smutku czy żałoby, dla domowego nieszczęścia niedobrych małżonków, dla ruin majątkowych itd. To niewiasta Chananejska wołała, błagając za córką, to znów wdowa z Naim za synem, to Samarytanka chciała poznać dary Boże.

Generalowie Zakonów, Przełożeni klasztorów, Matki Nawiedzenia, córki św. Klary, św. Urszuli, św. Teresy, radzą się go w trudnych sprawach swoich zgromadzeń; u niego szukają światła w wątpliwościach, nie bez jego rady nie czynią. „Taką mam ufność w skuteczność modlitwy Proboszcza z Ars, — mówiła jedna z zakonnice, — że już mi lżej na sercu na samą myśl, że on będzie mówił z Chrystusem Panem o moim kłopotcie.“

To znów potomek znakomitej rodziny pyta go się, czy ma myśl poświęcenia się służbie Bożej porzucić dla ziemskich związków. Dowiedzieliśmy się z listu tegoż młodzieńca, że w Ars otrzymał wierność łasce Bożej i za radą świętego Proboszcza odprawił rekolekcyje u OO. Jezuitów. W innej znów korespondencyi czytamy gorącą prośbę o modlitwę za trzema starcami, którzy choć nad grobem, z Bogiem pojednać się nie chcą.

W innej, przełożona Benedyktynek opisuje przykre swe położenie, gdy dla ubóstwa domu niema funduszu na opasanie murem swego klasztoru; a pewna jest, że modlitwa ks. Vianney wyjedna jej potrzebną pomoc u Boga. W dalszym ciągu listu poleca mu kilka chorych, co świadczy jak powszechną ufność budziła potęga jego modlitwy.

Z innej znów okolicy przywiązani parafianie proszą za swym proboszczem, aby go dobry Bóg za przyczyną Proboszcza z Ars uwolnił od oszczerców. Tu polecano mu młodego oficera, który miał stawać przed sądem wo-

jennym. Tam matka jedynaczkę swą przystępującą do pierwszej Komunii św.

„Opatrzność, — pisze wielka pani, -- szczególniejszem zrządzeniem zawiodła me dziecko do Bagnères, gdzie pod światłem kierownictwem Przewielebnego O. Hermann'a, onego gorliwego czciciela Najśw. Sakramentu, powinna zostać nie mniej nie więcej, jak aniołem, jak świętą.... Ale, aby córka moja mogła dokładnie poznać łaskę, jakiej dostąpiła, szczęście, jakie ją czeka, i ażeby odpowiedziała im godnie, potrzeba szczególniejszej pomocy Bożej. Moje niegodne modlitwy nie nie uproszą. Potrzeba mi koniecznie modlitw czcigodnego Ks. Proboszcza. W połączeniu z modlitwami O. Karmelity wszystko otrzymamy.... Tyle już razy uwzględniłeś Ks. Proboszcz prośby moje, że i teraz ufam mocno w dobroć Twoją.

„Zarazem polecam pamięci Ks. Proboszcza syna mego nieszczęśliwego na duszy i na ciele; polecam też siebie najwięcej może z wszystkich potrzebująca pomocy.

Hrabina D....“

Daléj znów nieszczęśliwa ofiara świata, zepsuta czytaniem złych ksiązek, pragnie się nawrócić, ale jedna z najgwałtowniejszych namiętności odrywa ją od téj ciasnej drogi, co do Boga wiezie. Krąży dokoła enoty, przypatruje się jéj, chcąc ją poznać, ale wykonać jéj nie ma odwagi. „O Ty, przyjacielu Boży, — kończy biedna, — wydaj mi, aby niestała myśl moja już w Bogu ustalić się mogła; świat mnie wabi... czaruje mnie swym uśmiechem. Jestem młoda... powiadają, że rozumna. Fałszywi przyjaciele przyklasnęli mym pierwszym próbom literackim; zachęcają, żeby pisać więcej.... O mój Ojczy! niech się Bóg nademną zlituje! Myśl ma nie wytrzyma dłużej téj walki, zerwie się, starga, pomięsza.... Chciałam już udać się sama do Ars. opowiedzieć Ojcu me życie. Smutna to opowieść!... Byłabym chciała zasięgnąć doświadczonej rady Księdza Proboszcza... Ach powiedz mi Ojczy: Przybywaj! a stanę u Twoich stóp i chwytając będę święte Twe słowa i posłucham pobożnych Twych rad.“

Tu spotykamy się znów z starą panną, kaleką, ubogą, opuszczoną, dotkniętą straszniemi cierpieniami ciała i straszniemi pokusami, niepokojem, nieskończonem utrapieniem ducha. Ówdzie kobietę arystokratycznego imienia,

blagającą Proboszcza z Ars o uzdrowienie dziecka od urodzenia kaleki. — Tam literata, redaktora prowincjonalnego dziennika, którego całe życie było jednym pasmem nieszczęść. Przyznaje on, że zasłużył na nie; czuje się niegodnym miłosierdzia Bożego; ale silną ma wiarę, że, jeśli święty człowiek, jak ks. Vianney, za nim się przyczytni, pożądaną otrzyma łaskę.

Biedny wygnaniec pisze z Sidi-Brahim 28 grudnia 1854 roku.

„Księżo Proboszczu! Siostra opisuje mi szczęście swoje, że mogła być w Ars. Ślubowała św. Filomenie, że mnie do Ars przywiezie, jeśli wolność odzyskam. Racz Ksiądz Proboszcz sam mnie polecić swęj świętej Patronce i ofiarować jej moje postanowienie, że, jeśli otrzymam tę upragnioną wolność, sam złożę Jej cześć, zanim jeszcze do domu zajrzę. Kilka słów Księdza Proboszcza byłyby mi wielką ulgą; raźniejby mi było dźwigać ciężki mój los, gdybym wiedział, że się mną biednym wygnańcem zajmujesz!“

Z klasztoru z Antwerpii piszą :

„Księżo Dobrodzieju! Od dawna brała mnie ochota udać się do Waszego świętego Proboszcza; ale, zniechęcona i zwątpiała, nigdzie nie widziałam na mój ból ratunku; więc dałam wszystkiemu pokój. Dzisiaj pod posłuszeństwem przychodzę z mojem cierpieniem do Księdza Dobrodzieja, prosząc go o litość. Od chwili, gdy m zdolna była poznać i zrozumieć nieszczęście moje, nie ustałam ze łzami błagać o nawrócenie ojca, którego znam zaledwo, ale którego całym sercem kocham. Zanadto mi przykro opisywać jego smutne życie; wystarczy, aby wzbudzić współczucie i gorliwość Księdza Dobrodzieja, gdy powiem, że jest bez wiary; od mego urodzenia oddalony od rodziny, a tak zaślepiiony namiętnością, że nie pozostaje nam najmniejsza nadzieja nawrócenia. Ma lat pięćdziesiąt dziewięć, a jeszcze nie był u pierwszej Komunii. Osądzić łatwo, jaki jest stan jego duszy. Ach! bez wątpienia Bóg wszystko może. Największe nędzy największe też ściągają miłosierdzie: nikt tego lepiej odemnie wiedzieć nie może. A jednak tak okrutnie nad tem cierpię, że mnie czasami najczarniejsze zwątpienie ogarnia.

Zajmij się Ksiądz Dobrodziej tą duszą i gorąco poleć ją Księdzu Proboszczowi. Ucieszyłabym się bardzo, gdyby mi powiedział, że Bóg żąda jakiej ofiary ode mnie za zbawienie nie-

szczęśliwego ojca. I choć jedno słówko nadziei z ust Jego, osłodziłoby gorycz moją. Jeśli zaś spodoba się Bogu dłużej jeszcze dręczyć mą duszę, wołać będę, póki sił mi stanie: Bądź wola Twoja!"

Z Nantes.

"Księżę Dobrodzieju! Bądź tak łaskaw polecić modlitwom czcigodnego Proboszcza swego młodą osobę od kilku miesięcy dręczoną wielkimi pokusami. Jest ona wzorem cnót: jest łagodna, prosta, posłuszna, a przede wszystkim pokorna; w ten więc punkt uderzył szatan. Użył jej pokory, aby ją przywieść do zniechęcenia. Wyrzucił sobie niewierność łasce, zdaje jej się że straciła powołanie; a, doznając wielkiej ciężkości i niesmaku, tłumaczy sobie, że pokój odzyskać może tylko przez powrót do świata. Biedna ta dusza godna wielkiego współczucia. Proszę Cię więc najusilniej, donieś mi, co jej Proboszcz radzi.

D. S. B."

Otóż znów list młodej panienki z Paryża:

"Udaję się do Księdza Proboszcza, jak tyłu innych... Słyszałam dużo o cudach Księdza Proboszcza... więc sobie powiedziałam: gdyby mi tak Bóg chciał przez Niego objawić wolę swoją, prędzejbym przez Niego do poznania jej doszła, niż przez długie modlitwy!.. Choć mam lat szesnaście, zdaje mi się, że jestem bardzo dziecinna, ale wszakże Chrystus Pan nie odalał dzieci od siebie; tylko, że ja jestem daleka od tej prostoty, jaka się w nich podobała Panu Jezusowi; ja jeszcze na prawdę nie pomyślała o powołaniu mojem; przecież chcę być zbawiona....

"Skoro Bóg dał Księdzu Proboszczowi dar przenikania duchów, musi widzieć, co się dzieje w mej duszy.

"Muszę jeszcze wyznać, że nieraz pozwalałam sobie żartować z Księdza Proboszcza, choć w duchu szanowałam go zawsze. Ale tak też sobie z dowcipu i wesołości mówiłam...

"Mama radzi się Księdza Proboszcza, jaki zawód ma sobie obrać dwudziestotrzechletni brat mój... Racz nas dobry Ojciec wszystkich oświecić i udzielić nam błogosławieństwa swego."

Z Paryża 20 maja.

....., Powiadano mi o Tobie, mój Ojciec, że czytasz w sumieniach. O! spojrzij w moje i dopomóż mi odkryć tajemnicę grzechu, który niepokoi mą duszę. Na pozór wypełniam obowiązki, zażywam niezasłużonego szacunku. — Bardzo dotkliwe

zmartwienia zniechęciły mnie do wszystkiego; gardzę życiem, a przecież śmierci się dękam. Zdaje mi się, że coś we mnie przeszkadza łasce Bożej, i tego czegoś określić nieumiem. Nie raz sobie myślę, że to wygórowana pycha moja, lub jakiś inny grzech, do którego sama przed sobą nie przyznaję się. O mój Ojcze, jeśli czytasz w duszach, powiedz mi, jakie złe widzisz we mnie?...

Z zamku Ch. 12 grudnia.

„Czcigodny Ojcze! Raz już raczyłeś mnie modlitwą swą wesprzeć; a dziś przychodzę z najpokorniejszą prośbą o polecenie Bogu drogiej mej matki, mnie samęj i wszystkich, których kocham.

„Niezadługo wstępuję w związki małżeńskie, mój Ojcze! Córka chrzestna Napoleona I, idę za członka rodziny dzisiejszego cesarza; i proszę Cię Ojcze, skuteczną swą modlitwą wyjednaj nam obojgu szczęście! Z matką mą nie rozłączam się, oby Jęj Bóg dał długo cieszyć się szczęściem naszym. Dziś już, dziękuję Ci Ojcze za łaski, jakie mi wyprosisz. Łączę wyraz najgłębszej wdzięczności i poważania.“

W przeddzień generalnej komunii w Notre Dame w Paryżu, ks. Vianney odebrał list tej treści:

„Wielebny w Chrystusie Panu Ojcze! Wielki grzesznik upada do stóp Twoich i błaga Cię, abyś mu potężnym swem u Boga wstawieniem wyjednał odpuszczenie wszystkich nieprawości jego... Zlituj się nademną nieszczęśliwym, marnotrawnym synem. Chcę wrócić do domu ojca mego; alem tak słaby, tak nędzny, tak oszpecony grzechami, że tylko modlitwy sprawiedliwych wyjednać mi mogą u Boga łaskę nad łaski, iż mnie raczy przyjąć w niedzielę do Stołu swojego.

„Módl się za mnie Wielebny Ojcze! prosz nadewszystko, abym, otrzymawszy już rozgrzeszenie, otrzymał jeszcze światło do poznania drogi, którą mam iść; i aby mnie z niej żadna walka, żaden trud nie sprowadziły. Zdaje mi się, że gotów na wszystko, co Bóg rozkaże. Wesprzyj mnie, Ojcze, abym wolę Jego poznał. Niech Twoja wielka wiara wyjedna mi dar zrozumienia i mądrości.

„Całuję ręce Twe Ojcze z najgłębszym poważaniem i uczuciem synowskim.“

Paryż 28 maja.

„Szanowny Ojcze! Cierpię okropnie pod brzemieniem wiel-

kiego smutku. Niemam siły, ni odwagi otrząsnąć się z niego; chciałabym się modlić, i modlić się nie mogę. Wierzę mocno w miłosierdzie Boże; ale wielkość bólu mego i tęsknoty za tym, którego opłakuję, silniejszą od wiary. Tysiąc razy składałam utraconego Bogu w ofierze, i tysiąc razy przekonywam się że tę ofiarę wargami, a nie sercem czynię. Chciałabym się stać godną miłosierdzia Bożego; chciałabym się modlić o szczęście tego, którego mi Pan zabrał; chciałabym prosić o pokój dla mej zbolałej duszy i przez nadzieję zbliżyć się do jego ukochanej duszy! — O Ojczy! wesprzyj nędzę moją, niedołęstwo moje! Tak byłam kochaną! że nieumiem się poddać, niemogę znieść mego straszliwego osamotnienia!

„Ufam modlitwom Twoim, Szanowny Ojczy; prosz, aby mi Bóg przebaczył i dopomógł; módl się za duszę Walentego i pobłogosław

Helenie księżnie W.“

Członek rodziny Bonapartów napisał list, którego ks. Vianney zapewne niedoczytał, tyle zawiera szumnych i pochwalnych wyrazów. Mamy z niego jeden tylko urywek uratowany od płomieni:

„Znakomite dary, jakimi spodobało się Panu obdarzyć jednego z najmilszych swych sług, którego budujące życie jest wymowną nauką i nieustającym cudem, pobudziły mnie do udania się z prośbą o jego modlitwę przy Mszy św. Wspomnij Ojczy na tego, który kreśląc te słowa, dostępuje niepospolitego szczęścia, gdyż myślą łączy się z chlubą kościoła francuskiego, z świętym Kapłanem, który swą gorącą miłością i gorliwością o zbawienie dusz wskrzesza w stuleciu naszym świetne cnoty św. Wincentego a Paulo i św. Piotra Fourrier.

„Wiem że przykre będą dla Twój pokory Ojczy te pochwały, a raczj ten hołd oddany prawdzie. Ale Ty je złożysz ku czci Boskiego Mistrza, który Cię wybrał, abys był światłością Izraela, i pociechą cierpiącej ludzkości...“

Dostojnicy Kościoła nie mniej żywy udział brali w tej korespondencyi, i oni wzywali ks. Vianney o Msze i modlitwy; a niektórzy radzili go się w trudnych sprawach administracyi swych dyecezyi. Mamy w ręku cały stos listów od Arcybiskupów i Biskupów.

Biskup z Rodez, polecając mu „matkę rodziny drę-

czoną cierpieniem fizycznym i moralnem“ — prosi go o modlitwę za dyecezyą swoją.

Nieodżałowanej pamięci Biskup Prilly w czułych a głębokich wyrazach składa mu dowód swego zaufania.

Biskup z Birmingham pisze mu, że wspomnienie bytności jego w Ars wielką na zawsze pozostanie mu pociechą; dalej polecając słudze Bożemu siebie i dyecezyą swoją, pyta go się w Imię Boże, co sądzi o objawieniu w la Salette. Jestem pewien, dodaje, że choćbyś nie miał wiary w tę tajemnicę, to przynajmniej pragniesz nie być przeszkodą w rozszerzaniu tych dziwów tak potężnych ku nawracaniu dusz.“

Niewiadomo nam, co ks. Vianney odpowiedział na to, i czy w ogóle odpowiedział.

Jeden z prałatów belgijskich pisze w październiku roku 1856:

„Księżę Proboszczu! Nieraz już brała mnie ochota prosić Cię o pobożną przed Bogiem pamięć; dziś tak gorąco jej pragnę, że już nie zwlekam. Główny zaś powód méj śmiałości jest ten.

„Jeśli wolno dać wiarę szczególniejszym natchnieniom, jakich Chrystus Pan raczy udzielać pokornym, prostym, posłusznym i wielkiej czystości serca duszom, tedy według zdania jednej z nich a dobrze mi znanéj, Ojciec Niebieski bardzo byłby uwielbiony, gdyby księża, prawdziwie kapłańskiego ducha, starali się przez modlitwę, Ofiarę Mszy św., nauki i własny przykład ożywić w duchowieństwie belgijskiem ducha Chrystusowego....

„Przebacz mi Księżę Proboszczu, jeśli niedyskretny; jeśli zaś przeciwnie osądzisz, i to. com napisał, uznasz za objawienie Boga, racz Mu tę sprawę gorąco polecić, jako i tego, któremu z sług Jego najwięcej światła i miłosierdzia potrzeba.“

Inny znów:

„Drogi i szanowny Kolego! Może sobie przypominisz księdza z dyecezyi Nimes, który przed miesiącem odprawił ośmiodniowe rekolekcyje w Ars. Ksiądz ten przychodzi więc teraz z wielką ufnością prosić Cię, abyś polecił modlitwom Twego świątobliwego Proboszcza jego samego i jego parafią, aby nam Pan udzielił swéj łaski, iżbyśmy jaknajlepsze odnieśli owoce z misyi, jaką tu będziemy mieli.

„Proś czcigodnego Proboszcza, aby zechciał odprawić za

nas Mszą św. i oddać nas pod opiekę Najśw. Panny i świętej Filomeny.

„Jakże wspomnienie jego głęboko w sercu mem zapisane! Wieleż ja mu dobrego zawdzięczam! myśląc o tem, co mi powiedział, łzami się zalewam. Powiedz, że mu z głębi duszy dziękuję za jego ojcowską troskliwość..... O niech mi wyżebrze cnoty potrzebne dobremu kapłanowi, a przede wszystkim pokorę, miłość Bożą i czystość intencji.“

Proboszcz z Meaux pisał:

„W parafii mojej zacięta wre walka pomiędzy katolikami a protestantami. Przez małżeństwa mieszane protestantyzm szerzy się bardzo. I znów teraz dochodzi takie małżeństwo; wszelkie moje zakłęcia i przedstawienia niezdolały mu przeszkodzić.

„To mnie do rozpaczki doprowadza..... O! mój księże Proboszczu, módl się za nas, za tę panienkę, która, nieodebrawszy religijnego wychowania, nie rozumie złego, jakie czyni. Módl się za moją parafią zagrożoną zupełną utratą wiary.“

Generalny przełożony towarzystwa Misyjonarzy, mających kilka domów we Francji i w Stanach Zjednoczonych, pisał mu w chwili, gdy przyszłość ich była zachwiana: „Chciej, najczcigodniejszy Bracie! złożyć tę sprawę u stóp Chrystusa Pana; a, jeśli w miłosierdziu swoim raczy Ci udzielić jakiego światła, mam nadzieję, że mnie niem oświecisz. Chodzi tu o dobro wielu dusz.“

Pobożny autor dzieła *Guide dans les voies d'raison* pisał do ks. Vianney:

„Spełniam najmiłszy obowiązek posłuszeństwa, prosząc Księdza Proboszcza o błogosławieństwo dla dzieła, jakieśmy wydali.

„Pracując nad tą książką, mieliśmy jedynie dobro dusz na celu. Ta intencja powinaby nam zjednać pobłażliwość i pomoc Twoją, czcigodny i święty Kapłanie, który tem tylko żyjesz, aby nawracać grzeszników, pocieszać i pomagać sprawiedliwym do postępu na drodze doskonałości. Uproś u Pana, aby raczył użyć tej książki na swoją chwałę i dał jej wydać dobre owoce.

„Odstap czytelnikom jój jakąś cząstkę obfitych zasług twój gorliwości; pamiętaj o nich przy Mszy św. i w Twój intencji przy pracy. Będziemy szczęśliwi i spokojni, gdy przychyliysz się do naszego pragnienia. Będziem szczęśliwi, bo udział

Twoich modlitw będzie nam miłą nagrodą za poniesione trudy. Będziemy spokojni, bo pewni błogosławieństwa Boga i Matki Jego najmilszej, błogosławieństwa nad duszami, które będą czytały nasz Przewodnik; będziem ufać, że Pan Bóg Sam raczy ich serce rozszerzyć i umysł oświecić, o ile to będzie z Jego chwałą, a z ich pożytkiem.

„Co do mnie. nie zapomnę nigdy, że przed wstąpieniem do nowicyatu miałem szczęście na kolanach odebrać błogosławieństwo Księdza Proboszcza, i że moc tego błogosławieństwa zwalczyła dużo przeszkód we mnie.“

Gorliwy zaś założyciel Stowarzyszenia Najśw. Sakramentu pisał:

„Znając nabożeństwo Twoje Księżę Proboszczu do Najśw. Sakramentu, wiem, że Cię ucieszy wiadomość, iż przyszła do skutku myśl, o której Ci mówił O. Hermann, i o której urzeczywistnienie się modliłeś.

„Od czterech miesięcy istnieje już w Paryżu Stowarzyszenie Najśw. Sakramentu. Celem jego pobudzać ludzi do poznania, ukochania, sławienia i wielbienia Boga w Najśw. Sakramencie Jego miłości, i stworzyć Mu zastęp pobożnych jakoby straż honorową, któraby bez przerwy u stóp Jego czuwała.

„To Najśw. Panna dała Jezusowi jedno z swych biednych dzieci mnie niegodnego, który przed dwoma laty miałem zaszczyt i szczęście przyjąć czcigodnego Ojca do Trzeciego Zakonu Maryi... Proszę Cię więc Ojcze, z miłości Boskiego Zbawiciela nie ustawaj Go prosić o błogosławieństwo dla tego gorczycznego ziarnka...

Żadne dzieło pobożne nie przychodziło do skutku bez jego rady i modlitwy. Mamy przed sobą liczną korespondencją generałów i prowincyałów zakonnych. W jednej z nich Trapista jeden opowiada, że, idąc za głosem powołania, opuścił matkę, która go niepomiarkowanym uczuciem kochała.

„...„Pożegnanie nasze, — pisze on, — było rozdzierające. Liczyłem na to, że, jak zwykle bywa, czas uśmierzy jej boleść, ale się omylił. Wkrótce doszła mnie wiadomość, że umysł biednej mej matki zaczyna słabnąć. Choć miałem już profesyą składać, przełożeni posłali mnie do niej; ale obecność moja na krótko tylko opóźniła zupełne zdziecinnienie. Wtedy to szanowny, Księżę Proboszczu, powinienem był Ci ją przywieść i mo-

dlitwom Twym ją polecić. Ale w mój prostocie, czy fałszywie pojętej ufności, nieumiałem wówczas o nic innego prosić, jak tylko o spełnienie się woli Bożej nad matką i nademną, wszystko w tem spełnieniu zamykając, bez uwagi na to, że Bóg nam każe o potrzebne łaski prosić.

„Tymczasem choroba coraz większe przybierała rozmiary, i biedna matka skończyła na mych rękę, nigdy przytomności nieodzyskawszy, choć opatrzona Sakramentami św.

„Ta śmierć ciąży mi kamieniem. Jedyłą mą ulgą modlitwa za jej duszę i myśl, że przecież Bóg przewidział, iż będę za nią się modlił; że modlitwy moje zarówno Mu były obecne przedtem jak dzisiaj, i że w miłosierdziu swoim wysłucha mnie miłościwie.

„Gdybyś Ksiądz Proboszcz był znał matkę moją, byłbyś się litował nad nami. Ulituj się i dziś, błagam Cię, módl się za mnie. Powiedz mi, że ona tam już szczęśliwa w niebie! Jakaż pociechę przyniosłoby mi choć kilka słów Księdza Proboszcza; będę ich wyczekiwał tak długo, aż ich nie odbiorę.“

Pewien proboszcz z północnej Francyi w te słowa błaga ks. Vianney o modlitwę za nawrócenie jego parafian :

„Proś Ojczy codziennie Chrystusa Pana, tego miłosiernego Lekarza, aby uzdrowił lud mój z ran grzechu, aby na zawsze nawrócił tę Niniwę i przysposobił sobie lud doskonały.

„I często, bardzo często módl się Ojczy za mnie, aby mi Pan dał łaskę przyjmować Baranka bez zmyzy z wszystkimi jego darami, abym został świętym i mógł potem kształcić świętych.“

Inny go się radzi :

„Dość długo spowiadałem osobę, która opowiada o swoich objawieniach, uważanych za rzeczywiste przez jednych, za urojone przez drugich.

„Opowiada, że jej Chrystus Pan często ukazuje rozdarte swe Serce, jakoż i Serce Najśw. Matki swój przeszyte ośmiu strzałami, z których siedm przedstawia grzechy główne, ósmy zaś świętokradztwa; i że żąda od niej ofiar wynagradzających. Już w roku 1831 miał jej Pan Jezus powiedzieć, że Francya była karana i znów będzie karana, aż w niej te ofiary wynagradzające nie upowszechnią się.

„Nadto w r. 1843 miał jęj powiedzieć: Będę mówił wypadkami, dziwami i cudami.

„Lękam się, aby ta pani, zresztą bardzo dobra chrześcianka, nie żyła w jakimś złudzeniu. Racz Ojciec poradzić się Boga Wszechmocnego, czy jego dziełem są te objawienia, i czy rzeczywiście Zbawiciel zażądał od nięj tych ofiar.“

Ks. Prałat Segur po kilka razy pisał do Proboszcza z Ars; jeden z tych listów brzmi:

„Drogi Ojciec! Chcięj mnie i nadal wspierać modlitwami swemi, i kochaj trochę mą duszę, za którą Pan nasz cierpiał. Posyłam Ci jednego z mych przyjaciół, któremu potrzeba Twojęj pomocy.

„Gdybym nie wiedział, że kochasz Boga całym sercem, mój Ojciec, życzyłbym Ci tego szczęścia, jedyne, jakie swęj nazwy godne. Chcięj mnie je wyjednać; bo choć go bardzo pragnę, posiadam bardzo maleńki promyczek z tego wielkiego światła. Jeśli Cię Pan Jezus natchnie czem dla mnie, daj mi wiadomość przez mego przyjaciela. Oddany Ci w Chrystusie Panu

Ks. L. G. de Sęgur,

Prałat domowy Jego Świątobl.“

Otóż i inne rzewne listy:

„Szanowny Ojciec! Uboga istota przychodzi w imię Jezusa, Maryi, Józefa i św. Filomeny z prośbą, abyś mi wyjednał wielką czystość serca, ciała, duszy i intencji, abym, nie tracąc nigdy Jezusa, była z Nim nieustannie złączona, w każdej mej sprawie, myśli i w każdym mem słowie, wszystko czyniąc z miłości ku Niemu. Wyproś mi, Ojciec, abym przez pamięć na grzechy jako i na nieprzebrane dobrodziejstwa, jakimi mnie dobry Bóg obdarzył, znienawidziła siebie, oczyszczała się przez coraz doskonalszą wzgardę siebie i oderwanie się od stworzeń, i abym zatopiwszy się całkowicie w Bogu, już nie własnem lecz Jego życiem żyła.

Draguignan 10 lipca 1850.

„Szanowny Spółbracie! Proszę Cię o jedną łaskę; powiedz mi, co mam czynić, aby Boga coraz więcej i więcej miłować. Gorąco pragnę tęj drogiej perły, tego źródła, którem się Samarytanka poiła; i wołam do Pana: »Ktoż mi da tęj wody?« Ale nic nie postępuję naprzód. Głębokie są studnie Jakubowe; choć się nieco skupię w porannej i wieczornej modlitwie, w pół

godziny potem tracę to drogocenne dobro i ciągle zaczynać muszę. Ty, czeigodny Spółbracie, który tak bardzo kochasz Pana Jezusa, dopomóż mi i wskaż drogę wiodącą do miłości najśłodszego naszego Pana. Bez niej wszystko mi trudno; nie mam sił do umartwienia, a przecież zamrzeć sobie trzeba!...

„O! gdybyś mógł mi wyjednać iskierkę tego ognia, jaki trawił św. Teresę! i aby ta iskierka w wielki płomień się we mnie rozpała, jakże byłbym Ci wdzięczny!“

Często nalegano o odpowiedź, gdyż z daleka nikt pojęcia mieć nie mógł o nieprzerwanych zajęciach Proboszcza z Ars od pierwszej godziny w nocy, do dziewiątej wieczorem, kiedy ten prawdziwy męczennik gorliwości apostołskiej zaczynał pacierze odmawiać, odczytywał Żywoty, Świętych nim się udał na spoczynek.

Osoby niecierpliwe udawały się do wikaryusza z Ars a nawet do Biskupów, aby im wyjednali u świętego jakie słówko odpowiedzi na ich zapytanie.

ROZDZIAŁ IV.

Cudowne uzdrowienia w Ars.

„Tedy się otworzą oczy ślepych i uszy głuchych będą otworzone. Tedy wyskoczy chromy jako jeleni i rozwiązany będzie język niemych.“

Izajasz XXXV 5, 6).

„A inszemu wiara w tymże Duchu : Dru-
giemu dar uzdrawiania w tymże Duchu.“
(I do Korynt. XII, 9).

„Kto uwierzy we mnie, cuda czynić będzie większe aniżeli ja“, (św. Jan XIV, 12). Na mocy tych słów Zbawiciela Kościół zawsze wierzył w cuda i dzieciom swym ku czci i poważaniu je polecał, jako żywy dowód łączności swój z Tym, który przedziwny jest w świętych swych, i który przyobiecał mu, że pozostanie z nim aż do skończenia świata.

W Bulli Papieża Klemensa XIV z powodu kanonizacyi św. Józefa z Kupertynu czytamy: „Chrystus Pan, wstępując do nieba, ubogacił ludzi dary swymi.... Ale jeśli hojny jest dla wszystkich wzywających Go, tedy szczególnie wielkiem miłosierdziem obdarza niektórych swych wybranych, którzy Go szukają w prostocie serca i z gorącością duszy. Tak wywyższa tych, którzy pracują jedynie dla Jego chwały, i przez nich ukazuje Kościół, otoczony obfitością najróżniejszych łask i darów Swoich, jako królową lśniącą od złota, iżby pięknnością i wspaniałością swoją wszystkich pociągał do Boga.“

Cud jest jednym z najjaśniejszych i najprostszych dowodów wszechmocy Boga nad światem. Jest naturalnym wynikiem niewinności uzyskanęj przez ofiarę. Doktorowie Kościoła jednogodnie uznają, że cudowna władza świętych, przez którą nieraz wstrzymują przyrodzony bieg rzeczy

stworzonych, pochodzi ze zdobytej przez ich umartwienia i pokutę sprawiedliwości i czystości takiej, w jakiej Bóg stworzył Adama i Ewę. Człowiek bowiem, który zapanuje nad sobą samym, staje się panem przyrody. „I cóż w tem dziwnego, — pisze Beda czcigodny, — że temu, co wiernie i ucziwie poddany Panu wszech rzeczy, poddają się stworzenia?”

Wiemy, że wielu wrzusi ramionami na samo słowo: cud. Aliści czyżto cud sprzeciwia się rozumowi i wszechmocy Bożej? Ta prawda niezachwiana i niezaprzeczona, że Bóg mocen jest czynić cuda i że mocen jest udzielać darów swoich, jak mu się podoba, stanowczo rozstrzyga i od razu usuwa wszelką wątpliwość. Nadto liczne świadectwa potwierdzają rzeczywistość cudów.

Zatem rozdział ten poświęcamy zeznaniom świadków naocznych, co nam opowiedzą o rozlicznych znakach wszechmocy i wszechmiłosierdzia bożego, o cudach rozlicznych w Ars. Pierwszeństwo pomiędzy nimi należy się Katarzynie, jako tej, która najdłużej patrzyła na cuda w Ars i najbliżej znała działanie i życie Proboszcza. „Ks. Proboszcz, — pisze ona w roku 1830, — ukrywa, ile może, łaski i uzdrowienia, jakie od Boga otrzymuje, a otrzymuje ich bardzo wiele... Zdaje mi się, że wołałby uzdrawiać dusze.“ Potwierdzał to zdanie sam ks. Vianney, gdy nieraz mówił: „Prosiłem św. Filomenę, aby się nie tyle troszczyła o ciała, a więcej o duszach myślała, bo im więcej uzdrowienia potrzeba.“

Dwu znakomitych protestantów przybyło do Ars; a wszedłszy do pokoju Proboszcza, mieli z nim rozmowę, w której przeczyli rzeczywistości cudów. „Nie wierzycie w cuda! — zawołał Proboszcz, — a przecież mogę panów zapewnić, że sam na najdziwniejsze patrzałem.“

Gdzie widział te cuda jeśli nie w Ars? Z umysłu zatem zapisujemy to jego zeznanie, na potwierdzenie zapisanych tu zdarzeń.

„Jedna z nauczycielek Opatrzności dogorywała na silną gorączkę i zapalenie mózgu. Lekarze ją opuścili: bezprzytomna, już nic nie słyszała, ani widziała dokoła siebie; wyczekiwano tylko chwili, kiedy ostatnie miała oddać tchnienie. Zdawało się, że kona: ks. Proboszcz począł odmawiać nad nią modlitwy, gdy

wtem chora otwiera oczy i woła: »Jestem uzdrowiona!« Czują się tak mocna, że chciała wstać; przywołany lekarz przekonał się, że rzeczywiście najmniejszej nie pozostało gorączki; i pełen podziwu, wyznał, że to cud. — W przeddzień tego uzdrowienia, Proboszcz powiedział: »Prawiem się gniewał na św. Filomenę, i brała mnie pokusa wymawiać jęj kaplicę, którą kazałem na jęj cześć wystawić.« Widać z tego, że się modlił o to uzdrowienie. Działo się to w r. 1838.

„Jedna z nas, — pisze dalej Katarzyna, — dała raz ubogiej kobiecie starą czapkę ks. Proboszcza. Kobieta ta, kładąc ją synowi swemu na głowę, pomyślała sobie: Proboszcz z Ars jest święty; bylebym miała wiarę wielką, biedne dziecko moje byłoby uzdrowione z rany, jaką ma na głowie. Wieczorem, gdy chciała opatrzeć tę ranę, znalazła już tylko zaschłą bliznę.“

Drugim świadkiem wiarogodnym jest pani Raymond Corcevey, która wiele ważnych podaje dokumentów.

„Po raz pierwszy widziałam Proboszcza z Ars w maju r. 1843, podczas jego ciężkiej choroby. Gdy mi pozwolono wejść do jego pokoju, błogosławił mi; a to błogosławieństwo uleczyło mnie z wielkiego cierpienia piersiowego, skutkiem którego byłam wyschła jak kościotrup. We dwa dni potem wysłuchałam o trzeciej z rana Mszy św., którą ks. Proboszcz sam odprawiał na podziękowanie św. Filomenie za swe uzdrowienie. W naradzie mojej z nim, powiedział mi: »Moje dziecko niepotrzebne ci ziemskie lekarstwa, dość ich nazażywałaś. Bóg chce cię uzdrowić.. Poleć się św. Filomenie; złóż swoją tabliczkę na jęj ołtarzu. I prosz ją koniecznie; powiedz jęj, że, jeśli ci nie chce wrócić twego głosu, niech ci da swój.«

„Idąc za tą radą, rzuciłam się do stóp ukochanej Świętej Proboszcza z Ars; w modlitwie złączyłam się z nim, i otrzymałam natychmiast skutek męj prośby. Od lat sześciu cierpiałam okropnie; od dwu lat głosu nie miałam. Za powrotem do mego hotelu, odczytałam głośno kilka stron o ufności do Matki Boskiej: byłam zupełnie zdrowa.

„Za powtórnem widzeniem, ks. Vianney powiedział mi: »Moje dziecię, nie zapomnij dziękować Bogu, i bądź tu w dzień święta św. Filomeny! — Oczywiście z radością dopełniłam tego obowiązku wdzięczności: 10 sierpnia stałam za Świętym Kapłanem podczas jego Mszy św. i silnym głosem śpiewałam w czasie podniesienia. Po nabożeństwie ks. Vianney wieszował

mi. że jego ukochana Święta dokończyła mego uzdrowienia do tego stopnia, że mogę nie tylko mówić, ale i śpiewać. Ty sam, Ojcze, — odparłam, — wiesz jak dużo mówię bez najmniejszego bólu gardła.

„W kilka lat potem, zamieszana w tłumie ludu, który otoczył świętego kołem i zalegał plac cały, stanęłam blisko ks. Vianney i zapytałam go, czy św. Filomena pozostawi mi nadal głos, który mi przywróciła. »O moje dziecko, — odpowiedział mi na to, — używaj go tylko na chwałę Bożą i dla dobra bliźnich, a niczego się nie lękaj.... Poczem dodał: Opowiem też wam, co się stało przed kilku dniami. Wiejska jakaś kobiecina przyprowadziła tu siedmioletnią córeczkę, od urodzenia niemą. Biedna ta matka spowiadała się w zakrystyi, gdy nagle przerywa sobie. — »Mów dalej, moje dziecko, — powiadam jej. — Niemogę mój Ojcze! pomyśl, nigdy nie słyszała córki mej mówiącej, a oto słuchaj, Ojcze! słuchaj! o Boże co za łaska, co za łaska!«... I w rzeczy samej dziecko mówiło, było uzdrowione!..... Patrzajcież jak Bóg jest potężny! Biedna kobieta zanadto była wzruszona, żeby móżdż dokończyć spowiedzi. Powtarzała tylko ze łzami: jaka łaska! Boże mój, jaka łaska!»

„W maju r. 1843 przybył do Ars pewien kapłan z Moulins, suchotnik w najwyższym stopniu. Choć ks. Vianney powiedział mu, że nie wyzdrowieje, on uparcie przebywał w Ars, stale ufając że mu Bóg przywróci zdrowie pożądane. W czasie choroby Proboszcza, poświęcał się z zupełnem zapomnieniem o sobie, nie szczędząc ostatka swych sił, podejmując trudów bardzo wiele. Gdy ks. Vianney wyzdrowiał, powiedział mu: »Tyś okazał miłości Boga w czasie mej choroby, że Pan odmienił wyroki swe nad tobą; będziesz zdrow, i na podziękowanie sprawisz figurę św. Filomeny do jednego z kościołów twojego miasta; a parafian tego kościoła wezwiesz do wystawienia tej świętej kaplicy.«» Wszystko to stało się dosłownie.

„Jedna z krewnych moich, — pisze dalej pani Raymond, — skutkiem ciężkich przejść dostała pomieszania zmysłów. Wszelkie starania i lekarstwa były daremne. Poleciłam ją świętemu Proboszczowi. »Moje dziecko, — rzekł chory, — odmów nowennę do św. Filomeny; będę się modlił z tobą a wszystko będzie dobrze.« — Jakoż w ostatni dzień nowenny, nie pozostało ani śladu choroby. Dziś jest matką pięciorga dzieci, znaczny han-

del prowadzi z wielką bystrością umysłu, i nigdy nie objawiło się nadal choćby najmniejsze osłabienie władz umysłowych.

„Razu jednego, wraz z moją przyjaciółką przywiozłam świętemu Proboszczowi wielkiego grzesznika, który od lat dwudziestu żył w zapomnieniu o Bogu. Ułożył on sobie, że skoro tylko ks. Vianney zobaczy, coprędzej z Ars wyjedzie. Tymczasem godzina łaski wybiła dla niego. Widok ks. Vianney tak go przejął, jak gdyby mu się był sam Chrystus Pan ukazał. Padł mu do nóg, wyznał grzechy swoje, łzami się zalewając; odprzysiął się od tajnych towarzystw, którym był ślubował i z tak gorącym uczuciem miłości i wiary przyjął Ciało Pańskie, że w tej samej chwili otrzymał od Pana Boga uzdrowienie swęj zromatyzmowanęj matki.

„Po dwu latach wiernęj służby Bożęj w ćwiczeniach pobożnych i pokucie, rozchorował się ciężko. Znosił cierpienia z cierpliwością przykładną, powtarzając: »Sprawiedliwy jesteś Panie i słuszne są sądy Twoje.« — Ks. Vianney zapewnił mnie, że umarł śmiercią świętego, i że jest w niebie.

„Inną razą zaprowadziłam do Ars jednego z mych siostrzeńców, którego rak toczył. Proboszcz spostrzegłszy go, rzekł mu: „Mój przyjacielu, ulecmy nasamprzód duszę; a potem jedź do Lyonu, kaź się operować; a wszystko będzie dobrze, będziesz zdrów. W dwa tygodnie potem, chory w pełni sił i zdrowia pracował w swym zawodzie i dotychczas silny i czerstwy, najgłębszą wdzięczność zachowuje dla Boga i cudotwórcy z Ars

„Niemogę pominąć uzdrowienia młodęj kobiety, która w krótkim życiu obfite zebrała zasługi, a której śmierć przed niedawnym czasem tem większym smutkiem przejęła rodzinę i znajomych, że wszystkich wielkimi cnotami swojemi budowała. Pozostawiła troje dzieci i nieutulonego w żalu męża, który miał szczęście nieść do grobu święte szczątki drogiego naszego Proboszcza. — Kobiecie tej, skutkiem operacji zwichniętego w dziecięctwie biodra, porobiły się rany na nodze; przez siedm lat jątrzyły się, trawiać żywotne siły biednęj męczennicy. Gdy matka jej dowiedziała się o mojem cudownem uzdrowieniu zawiozła ją do Ars. Po pierwszëj bytności złożyła jednę krukiew, po następnęj drugą na ołtarzu św. Filomeny, i do śmierci najlepszego zażywała zdrowia.

„W r. 1857 rozchorowałam się ciężko na wewnętrzne zapalenie, obok dziwnęj komplikacyi innych jeszcze cierpień. Le-

karz oznajmił, że przeżyć ich nie mogę. Znajoma moja pojechała wtedy do Ars z błaganem, aby mi Święty przyszedł znów w pomoc. Proboszcz, wskazując miejsce mego cierpienia, powiedział: »Hm! bardzo chora! o to wielki ból! — i powtarzał to po kilka razy. »Módlcie się za nią, i zaczniemy wspólnie nowennę do św. Filomeny.« — W końcu nowenny znacznie się polepszyło; wtedy mąż mój sam udał się do Proboszcza, aby go się zapytać, co sądzi o moim stanie. »Niestety! żona Pana bardzo chora, — odpowiedział mu. Ale będziemy się za nią modlić. Jutro odprawię Mszę św. na jej intencją przed ołtarzem św. Filomeny. Pan komunikuj na niej.«

Po Mszy św., gdy go mąż mój znów zapytał o mnie, odrzekł: »Bóg ją uleczy, i mam nadzieję, że za sześć tygodni przywieziesz mi ją.« — Stało się według przepowiedni św. Kapłana, i właśnie w sześć tygodni potem pojechałam do Ars w towarzystwie mego lekarza, który, widząc, że wstaję z łóżka, nie chciał wcale wierzyć w moje uzdrowienie.

„Kiedym przybyła do Ars, Proboszcz, ten najlepszy i prawdziwy Ojciec odwiedził mnie w hotelu, pobłogosławił i z anielskim uśmiechem powiedział: »Jakżeśmy się za Panią modlili: jesteś zdrowsza, ale bardzo jeszcze słaba; lecz wkrótce będziesz zupełnie zdrowa: Bóg tak dobry!...«

„Nazajutrz byłam na jego Mszy i z jego ręki przyjąłam Komunię św. Nie umiem opisać, jak miło było mi w Ars. Starałam się zawsze stawać na jego drodze. On mi zawsze błogosławił, napominając łagodnie: »Moje dziecko, nie stój w natłoku, boś jeszcze słaba. Musisz się ochraniać.« Gdy mnie nie widział na katechizacyi, przychodził do mego mieszkania. »Lękałam się, czyś nie chora, moje dziecko, — mówił mi. Jego rozmowa i obecność tak mnie orzeźwiały, że w obec niego nie czuła bólu.

„Wreszcie w tydzień wyzdrowiałam zupełnie. Obdarzona tylu łaskami, tylu błogosławieństw i z wezbranem od wielkiego szczęścia sercem pożegnałam Ars. Dziś, pośród tak licznych zajęć, że mi godziny i dni zakrótkie, służy mi niezmiernie cudowne zdrowie. Zajęcia moje przyczyną, że tak późno przesyłam Ojcu to sprawozdanie, w którym nie jestem w stanie wyrazić dobroci Świętego naszego. Wszakto w jego słodyczy, dobroci i miłości bliźniego najdoskonalej odbijał się obraz Chrystusa Pana.... Choć go tyle razy widziałam, nie na-

patrzyłam go się i nie dość też umiałam go naśladować... Będąc w Ars, zdawało mi się, że jestem na górze Tabor i nieustannie wrywało mi się z piersi wołanie: »O Boże! Boże, jakże tu dobrze być! I teraz, gdy to piszę, wspomnienia te przeniosły mnie na ten Tabor... ale trzeba zejść na ziemię, gdzie mnie praca czeka!«

Wszystko to wydarzyło się w jednym mieście i opowiedziane przez jedną osobę. A ileż to takich wydarzeń cudownych, dotychczas pozostających po za zasłoną tajemnicy i milczenia!

Razu jednego biedny jakiś człowiek przychodzi z prośbą do ks. Vianney, aby jego dziecko z kalectwa uleczył. Ksiądz namawia go do spowiedzi; ale człowiek na nią nie może się odważyć; trudno mu bowiem było rozstać się z swym rzemiosłem przygrywania pospólstwu do tańca. Wreszcie przecież łaska odnosi zwycięstwo: człowiek on spowiada się; a, postanowiwszy poprawę życia, za powrotem do domu, w oczach zdumionej żony łamie skrzypce i w ogień je ciska. W tej samej chwili dziecko jego podskoczyło z radości, wołając; Jestem uzdrowiony!

Następujące uzdrowienie mimowoli nasuwa na pamięć celnika z Kafarnaum, proszącego z ufnością Zbawiciela o uzdrowienie syna. Nasz człowiek, prosty sobie żandarm, miał równie wielką wiarę jak ów setnik ewangeliczny. Żona mu umarła, zostawiając mu sześciolatniego synka, kalekę na nogi. Niemogąc służącej trzymać do tego dziecka, miał już służbę swą opuścić, by się jego pielęgnowaniu poświęcić, gdy przed tym stanowczym krokiem umyślił odbyć pielgrzymkę do Ars. Ludzie, którzy widzieli go, niosącego synka na rękę, wyśmiewali go, mówiąc, że raczej z nim do szpitala, a nie do Proboszcza z Ars, który lekarzem nie jest. Żandarm przecież niezem od swego postanowienia odwieść się nie dał; poszedł i opowiedział swój kłopot ks. Vianney. „Mój przyjacielu, — odrzekł mu tenże, — syn twój będzie zdrów.“ — Jeszcze słów tych nie domówił, aliści usłyszano jakieś chrupnięcie. — noga kaleki wyprostowała się i dziecko poczęło chodzić.

W pierwszych dniach maja 1851 r., przybył do Ars człowiek cierpiący na oczy, których żadne lekarstwa wyleczyć nie mogły. Gdy i po dwudniowym pobycie w Ars

nie doznał ulgi, wrócił do domu bardzo smutny i zniechęcony. Młoda atoli krewna jego, bardzo pobożna osoba, która towarzyszyła mu w tej pielgrzymce, nie poddała się zwątpieniu; wróciła do Ars i za radą Proboszcza zaczęła nowennę na intencją stryja. Ku końcowi nowenny, gdy o chorym nie odbierała wiadomości, nagle ks. Vianney jej rzecze: „Zdaje mi się, moje dziecko, że możesz wracać do domu; osoba, za którą się modlisz, już nie cierpi.“ — I w rzeczy samej, za powrotem do domu zastała stryja zupełnie zdrowego.

Wdzięczny ten człowiek kilkakrotną odprawiał do Ars pielgrzymkę na podziękowanie Panu Bogu za dobrodziejstwo na miejscu, na którym je otrzymał. „Jestem pewien, — mawiał on, — że modlitwy świątobliwego Proboszcza i anielskiej mój siostrzenicy wyjednały mi to uzdrowienie. Również zawdzięczam je Matce Boskiej, którą zawsze wzywałem, nawet gdy w nawale pracy, zapomniałem o moich chrześcijańskich powinnościach. Pan Bóg dopuścił na mnie tę próbę, aby mnie nawrócić.... Już teraz myśleć będę tylko o mem zbawieniu.“

W roku 1848 młody człowiek, skutkiem spadnięcia z konia, ciężko skaleczył nogę. Gdy daremnie udawał się do lekarzy, rodzice postanowili zawieść go do Ars. Tam noszono go codziennie do kościoła, gdzie odmawiał wyznaczoną przez Proboszcza nowennę do Najśw. Panny i do św. Filomeny. Cierpiał tak srodze, że przykro było słuchać jego jęków. W pierwszych dniach nowenny zaczął swą spowiedź; ale coś ważnego stało mu na przeszkodzie do nawrócenia. Po pierwszej zatem nowennie, żadnej nie doznał ulgi. Rozpoczął więc drugą z lepszym już uspołobieniem; i oto stan jego już nieco polepszył się; mógł przynajmniej o krukwiach chodzić. Z wdzięczności zaczął trzecią nowennę, dokończył spowiedzi, przyjął Komunię św. z wielkiem nabożeństwem, i odzyskał zdrowie ciała i duszy zarazem. Pozostał w Ars jeszcze dwa tygodnie, w czasie których budował wszystkich swą gorącością, skupieniem i całodziennem prawie przebywaniem w kościele. Ks. Renard widział go po wyzdrowieniu i zaświadcza, że mu nie pozostał żaden ślad okropnego wypadku.

Pewien pan z wyższego towarzystwa chorował na nie-

zbadane przez lekarzy cierpienie dziwnego zniechęcenia, smutku i obojętności ciała i duszy. Trawił się tem usposobieniem jako i bezsennymi nocami. Nieszczęśliwy podążył za innymi do Ars. Po nocy bezsennej tak był znużony i niespokojny, że zamiast iść do kościoła, poprosił do siebie ks. Vianney. Sama już obecność Świętego przyniosła mu ulgę. Zaczął spowiedź, którą po dwu tygodniach rekolekcyi dokończył, i pod wpływem tych ćwiczeń pobożnych odzyskał w całej pełni dzielność ducha i moc ciała.

Ze znacznego rękopisu Joanny Maryi Rivoire, zamieszkałej w Ars od przeszło dziesięciu lat, wypisujemy następujące wypadki:

„Zimą r. 1850 w dniu, gdym opuściła rodzinne miejsce, by stałe osiedlić się w Ars, o mało się nie zabiłam upadłszy na lodzie. Nic nie mówiąc ks. Proboszczowi, przez cztery miesiące pracowałam nieco za dnia, a w nocy cierpienie spać mi nie dozwalało. Wstawałam wtedy, w chodzeniu ulgi szukając, i często myślałam sobie o pracowitem życiu ks. Vianney, o jego znajomości serc ludzkich, o jego wielkiej miłości dusz, po tych wszystkich znakach, rozpoznając, że to sam Bóg wspierał go i oświecał.

„Raz poszłam do spowiedzi w nocy, aby sobie za dnia oszczędzić czasu. Święty Proboszcz, widząc mnie o drugiej w nocy u swego konfesyonału, zbliżył się do mnie mówiąc: »Pocóżto wstajesz tak rano, moja droga, tyś bardzo cierpiąca.« Zadziwiło mnie zkąd on o tem wie, bom mu się nigdy na cierpienie nie skarżyła; lecz zarazem ośmielona jego dobrocią, odpowiadałam mu: »A Ty mój Ojcze, po co tak rano wstajesz? wszakże masz nie dwie, lecz jedną tylko duszę do zbawienia, podobnie jak ja. Jak możesz być tak miłosiernym dla drugich, a dla siebie tak surowym? Ja wstaję, bo chodząc mniej cierpię, niż w łóżku. Ależ Ty Ojcze wstajesz, aby zbawiać wszystkie te dusze, które się po twą pomoc udają...« Od tego czasu nigdy mi już wymówek nie czynił.

„Długo potem niemówiłam mu nic o mojem zdrowiu, wstydzając się o uzdrowienie prosić człowieka, który sam nieustannie cierpiał. Ale zarobek był mi potrzebny, a pracować niemogłam. Powiedziałam mu więc razu jednego: »Ojcze, żniwa się rozpoczynają a ja nawet zbierać kłosów niema siły.« »Idź zaraz do p. des Garets, — odpowiada mi na to ks. Vianney, — i proś

go w mojem imieniu o świadectwo do jednego z lyońskich lekarzy. On cię uleczy.«

„Ależ Ojczy, — odpieram, — posyłasz mnie do Lyonu, zkąd ludzie tu po zdrowie przychodzą, Nie pójdę nigdzie, bo tu jest ten, co ma mnie uleczyć. Zresztą nie pragnę całkowitego wyzdrowienia, lecz tylko o tyle, bym mogła na życie pracować.« »To dobrze, pomyślę o tem moje dziecko.« — W tydzień potem poszłam zbierać kłosa, nie czując innego *znużenia, jak zwykle po natężającej pracy.

„W okolicznej wiosce spotkałam przed kilku laty dziecko, o bezwładnych nóżkach, czołgające się po ziemi. Litością zdjęta, wdałam się z matką jego w rozmowę, i poczęłam ją zachęcać, aby się do Proboszcza z Ars udała. — »Byłam już w Ars, — odparła mi ona; — ale źle odprawiliśmy nowennę, którą nam zalecił Proboszcz, obiecując uzdrowienie biednego dziecka; dla tego nas Bóg nie wysłuchał. Ale byłabym bardzo wdzięczna, gdyby kto za mnie chciał Świętego prosić o uzdrowienie mego malca.«

„Opowiedziałam księdzu Vianney o dziecku i o mojej rozmowie z matką. »Moja droga, — odrzekł mi bez namysłu, — dziecko byłoby już zdrowe, gdyby rodzice byli odprawili nowennę, jak należy.«

„Oni biedni, mój Ojczy, ale bardzo uczciwi. Źle się modlili, bo obciążeni pracą.... Uzdrów Ojczy to dziecko.... wszakżeż ci do tego nie potrzebna modlitwa rodziców.« — »Dobrze, pomyślę o tem.«

„W trzy miesiące potem dziecko chodziło o kiju, wkrótce zaś potem do zupełnego przyszło zdrowia.“

„Młoda wdowa od sześciu miesięcy napróżno szukała ulgi u lekarzy lyońskich na ranę w kolanie. Dnia jednego tedy zabiera się do Ars, poleca się modlitwom Proboszcza, za przyczyną św. Filomeny prosi Chrystusa Pana o swe uzdrowienie i po dwu tygodniach, złożywszy krukwie na ołtarzu Świętej, wraca szczęśliwie do domu.

„W czasie swój bytności w Ars, opowiadała o swym krewnym, dotkniętym tak okropną chorobą skórnią, że wszyscy dla niemiłego powietrza uciekali od niego. Wreszcie zachęcona dobrocią ks. Vianney poleca mu nieszczęśliwego, opisując jego cierpienia. „Dobrze, pomodlę się za niego, — odpowiada. Dasz

mu odemnie medalik św. Filomeny z zaleceniem, aby odmówił do niej nowennę.«

„Wdowa, za powrotem do domu, z radością biegnie do krewnego, opowiada o doznanym cudzie w Ars i oddaje mu odebrany dla niego medalik. — Po nowennie chory czuł się zdrowszy, a w trzy miesiące potem już był u pracy.«

Pewna pani, której chodzi o ukrycie nazwiska, podaje nam następujące ciekawe szczegóły:

„Od dwu lat byłam chora; próbowałam wszelkich środków ratunku, gdy mi doradzono udać się do Wydziału lekarskiego w Lyonie. Od dawna słyszałam o Ars, ale nie brała mnie ochota pojechać; — i choć jedna z mych sióstr bardzo mnie namawiała, abym się starała poznać świętego Proboszcza, sama niewiem dla czego, nic mnie do niego nie pociągało; wolałam jechać do Lyonu. Jednakowoż jedna z mych krewnych w przejeździe przymusiła mnie prawie wstąpić do Ars. Na miejscu lepiej mi się zrobiło; ale niewiele zwracałam na to uwagi, ani się zastanawiałam nad przyczyną tego polepszenia. Przez czas pobytu mego od niedzieli do wtorku bez trudności kilka razy mogłam mówić z świętym Proboszczem, sam mnie wywoływał. Mówiłam mu o sobie, pytałam o radę i wyznałam, że zamierzam jechać do Lyonu. »Moje dziecko, — odpowiedział mi, — Ciebie tylko Bóg uzdrowi, wszelkie ludzkie starania na nie Ci się nie przydadzą.« Po tej rozmowie, wspólnie z kuzynką, która równie, jak ja, nie miała wielkiego zaufania do Proboszcza, uradziłyśmy, że słowa jego nie są wyrocznią i nie przeszkadzają mi urzeczywistnić zamierzonego planu. W Lyonie tyle chodziłam bez znużenia, że nie pojmowałam, z kąd mi się nagle siły wzięły, gdy przed kilku zaledwo dniami prawie wcale chodzić nie mogłam.

„Ale nie zastanawiałam się nad przyczyną tej zmiany, większego potrzeba mi było światła. Radziłam się pierwszych lekarzy z Wydziału: zalecili największą ciszę; spoczynek, i zapisali lekarstwo. Czując się tak silną, nie miałam ochoty stosować się do ich przepisu; i tylko na życzenie męża zażyłam łyżeczkę lekarstwa. Atoli po niem uczułam się tak słabą jak przed przybyciem mojem do Ars. Wtedy błyskawicą przypomniały mi się słowa świętego Proboszcza, wreszcie zaczynałam rozpoznawać Rękę Boga, upokarzać się i uwielbiać Jego miłosierdzie z głębokiem uczuciem wdzięczności i wiary. Chorowa-

łam cały miesiąc, doradzono mi więc homeopatya. Wstręt miałam do niej; ale, że lekarz mój był człowiekiem uczonym, i zapewniał, że mnie wyleczy, poddałam się Jego kuracyi przez sześć tygodni, w czasie których choroba moja coraz się zwiększała. W końcu doszłam do takiego rozdrażnienia nerwów, że mi się wydawało, iż dostaję obłąkania. Lekarz wpiers pewien siebie, teraz zdumiony stał nademną w osłupieniu. Na domiar złego, mąż mój ciężko zaniemógł na srogi ból w nodze;—znów nam radzono udać się po ratunek dla nas obojga do Lyonu, ale tą razą nie chciałam pominąć Ars. Słowa świętego Proboszcza stały mi ciągle na pamięci.

„Aliści tą razą nie mogłam się już tak łatwo dostać do ks. Vianney jak rok przed tem, co widząc mój mąż, wyjechał; ja zaś zostałam wraz z przyjaciółką, która nam towarzyszyła. Od poniedziałku do soboty nie udało nam się zbliżyć do Proboszcza, ani też jednego słówka od niego uzyskać. Misyonarze i inne osoby wstawiały się za mną; przypominał mnie sobie, ale odpowiadał: „Ona nie potrzebuje moich rad, skoro swoje robi.“ Ile razy zbliżyłam się po jego błogosławieństwo, odwracał się z jakimś poważnym i surowym wyrazem, który mnie drżeniem przejmował. A przecież im więcej on mnie unikał, tem silniejszy czułam do niego pociąg, i tem goręcej pragnęłam z nim mówić. Te trudności udreżyły mnie do tego stopnia, że byłabym uległa pokusie, ażeby wyjechać z Ars, gdyby nie codzienne listy jednej z mych przyjaciółek, która mnie pobudzała do wytrwania w modlitwie i w polecaniu się świętemu Kapłanowi. Nareszcie w sobotę postanowiłam wszelkie przeszkody pokonać, byle się dostać do niego. Wcisnęłam się do kaplicy św. Jana; ale mnie z niej straż wypędziła, ponieważ chciałam wyprzedzić przedemną stojące osoby. Zrozpaczona, rzuciłam się ze łzami do stóp Matki Boskiej w Jęj kaplicy, i niebawem przyszła mi w pomoc. Jakaś poczciwa nieznamoma, widząc moje zmartwienie, pociągnęła mnie za rękę, starając się zbliżyć mnie do konfesyonału.

Od kwadransu stałam na miejscu, gdy moja towarzyszka podróży przyszła mi oznajmić przybycie pani R., znającej moje położenie, która się podjęła wstawić za mną do ks. Vianney. Widziałam, jak się do niego zbliżyła; jak On, nie patrząc na mnie, odpowiadał jęj z surową twarzą; ale ona niczem nie zrażona, póty Go za mną prosiła, aż mi pozwolił wniknąć za

sobą do kaplicy. Rzuciłam mu się do nóg, przepraszając za moje nieposłuszeństwo i obiecując stósować się do jego rad. Wtedy powtórzył mi słowo w słowo to samo, co poprzedniego roku, co mnie bardzo przejęło; dodał, że się będzie modlił za mnie i że będę zdrowa. Od tej chwili począł mówić innym tonem i z zwykłą dobrocią i słodyczą, kazał mi odmawiać nowennę do Najświętszej Panny. W poniedziałek, odebrawszy list od męża, który mi nie pisał prawdy o sobie, aby mnie nie trwożyć, a radził dłuższy pobyt w Ars, poszłam z nim do Proboszcza. Powiedział mi na to stanowczo, że Pan Bóg jest wszędzie, a mąż mój chory potrzebuje mnie. Gdym się począła opierać, przerwał mi, mówiąc: „Mąż pani bardzo chory!...“ Pomieszana jego słowami, broniłam się jeszcze, twierdząc, że pani R. ma tego samego dnia przyjechać. — Na co mi odparł: „A jeśli nie przyjdzie?“ — Jakoż w rzeczy samej nie przyjechała.

„Wyjeżdżając z Ars, choć bardzo jeszcze słaba, sądziłam się zdrową. Zabrałam się do zwykłych mych zajęć, i na nowo zapadłam. Mąż mój, widząc to, w zniechęceniu wyrzucać mi począł dziwactwo, pobożne fantazyje itd. i naradzał się ze swym lekarzem, aby mnie zniewolić do jakiejś radykalnej kuracyi. Ale za radą spowiednika, postanowiłam sobie mocno nie próbować żadnych lekarstw i zaufać Proboszczowi z Ars.

„Matka również przeciwko mnie powstała, twierdząc, że lepiejbym pilnowała moich obowiązków, jak nową przedsiębrała pielgrzymkę. Pani R. znów mi przyszła w pomoc, ofiarując się odbyć ją za mnie. — Zaraz po przybyciu do Ars udało jej się mówić z ks. Proboszczem, i w tej samej chwili uczułam skutek jego modlitw, całkiem przestałam cierpieć.

Nie zwierając się nikomu z tego, co doznaję, zabrałam się do dość uciążliwej pracy bez najmniejszego znużenia. W kilka dni potem, mąż mój dostrzegając, jaka we mnie zaszła zmiana, zapytał mnie o jej przyczynę. Rozrzewniony opowiadaniem mojem co zaszło, zawołał: „Skoro ciebie Proboszcz z Ars uzdrowił, idź, proś go za mną.“

„Z radością podjęłam się tego polecenia i nazajutrz ruszyłam w drogę, zostawiając męża i sprawy domowe na Bożej opiece. Pilno mi przecież było do domu; więc ułożyłam sobie wszystko, aby się jak najprędzej widzieć z ks. Vianney. Zaszczycił mnie przyjęciem do swego pokoju. Tu, wynu-

rzyłam mu mą wdzięczność; prosiłam, aby się modlił o uzdrowienie męża. Odpowiedział mi z dobrocią, której zapomnieć nie podobna: „O! wyzdrowieje, i przyjedzie tu.... Odmówcie tylko nowennę do św. Filomeny.“ — Łaska Boża wstąpiła w serce mego męża; odrzucił wszelkie lekarstwa i z budującą gorącością odmówił nowennę. Przecież, gdy mu po trzech miesiącach nie było lepiej, opierał się namowom moim, aby się osobiście udał do Ars, dopiero pani R. przekonała go. W chwili wyjazdu doznał wielkiego udręczenia na duszy i ciele; w drodze tak okropnie cierpiał, że go brała ochota zawrócić z drogi. Ale Anioł Stróż trzymał go silnie. W towarzystwie pani R. przyjechał mąż mój w chwili, gdy ks. Vianney wychodził z plebanii. Przedstawiła ona go, dodając, że od dawna czeka za jego zmiłowaniem. „No, ale teraz będzie zdrow, — odpowiedział Proboszcz, śmiejąc się. I w tej samej chwili mąż mój uczuł nagłe wyzdrowienie. Po trzydniowym pobycie w Ars, gdy wrócił do domu, jak Dawid przed arką, tak on przedemną tańczył z radości, na dowód, że niema śladu dawnego bólu na nodze. Równocześnie wyleczył się z ludzkich względów; nie wstydził się wszystkim opowiadać, że Proboszcz z Ars go uzdrowił.

„Od tego czasu obdarzył mnie Bóg kilkorgiem dzieciak, a po każdym z nich pielgrzymka do Ars przywracała mi siły. Jedną z mych córeczek od urodzenia chorowitą polecałem Proboszczowi; ale on mi zawsze jedno odpowiadał, że ją muszę niebu darować. Jakoż nazajutrz po moim powrocie do domu, umarła. Synek zaś chory na trawiącą gorączkę w jednej chwili wyzdrowiał po jego błogosławieństwie.“

Razu jednego jakaś pani, kupując u księgarza Duniol w Paryżu książkę pod tytułem: „Godziny Proboszcza z Ars,“ całowała ją ze łzami. „Pani bardzo kocha tego świętego, — powiedziano jej. — Oh! zapewne, — odpowiedziała, — nigdy mu się dosyć nie odwdzięczę. Byłam opuszczona od wszystkich lekarzy, byłam złą chrześcianką. Święty Proboszcz przyjął mnie z rozczulającą dobrocią, powiedział, „że nie on ubogi i niedołężny ksiądz może mnie uleczyć, ale Chrystus Pan, którego mam prosić,“ — a gdy mnie pobłogosławił, w jednej chwili uczułam się zdrowsza. Po dziesięciu dniach wracałam do Paryża zupełnie zdrowa.

W czerwcu roku 1855 ksiądz Toccanier odebrał list dziękczynny od ks. Pont z Belleville tój treści: „Osoba, którą w lutym polecałem modlitwom świętego Proboszcza, dogorywała już skutkiem silnych piersiowych krwiotoków. Lekarze zaledwie kilka dni życia jój obiecywali. Tymczasem na drugi dzień po rozpoczęciu nowenny, chora uczuła się zdrowsza; w dziesięć dni potem nie było śladu zagrażających symptomatów, Chwała Bogu! św. Filomenie i wielkiemu jój sludze!“

W roku 1856 młoda zakonnica św. Józefa cudownie odzyskała głos, co następującemi słowy stwierdza naoczny a wiarogodny świadek:

„Panna Marya Walerya Martin rodem z la Plane, z parafii Aujas w dwudziestym roku życia swego, nowicyuszka ze Zgromadzenia św. Józefa w Vans, od pięciu miesięcy utraciła całkowicie głos. Powróciła do rodziny w nadziei, że jój rodzinne powietrze pomoże; ale stan jój zdrowia coraz się pogarszał. Nie spodziewając się już niczego od ziemi, zwróciła wzrok swój do Boga i udała się do Ars. Po dwu dniach modlitwy, po Spowiedzi i Komunii św. wychodząc z kościoła, nagle odzyskała głos tak silny i donośny, jak przed chorobą. Widziałem ją poprzedzających dni u jój rodziców, u siebie i w klasztorze. W Ars mieszkałem w tym samym hotelu, gdzie ona z matką stała i byłem na Mszy św., na której ona komunikowała i podczas której uzdrowioną została.

Sześciu też księży było świadkami cudu, i wszyscy dziękowaliśmy Bogu za wielkie Jego miłosierdzie okazane za przyczyną świątobliwego Proboszcza z Ars. Pamiętny im będzie na zawsze ten dzień jako i mnie.

Ksiądz J. Souchon,
proboszcz.*)

Pisano w Aujas (Gard) 21 września 1856.

Dnia 19 sierpnia tegoż roku pisano do Ars:

„Dzisiaj zaszło tu cudowne uzdrowienie dziewczyny z Alpejskich gór. Skutkiem tyfusu od trzech lat miała język sparaliżowany, i do rozmowy posługiwała się tabliczką. W dzień zakończenia nowenny, gdy chciała się modlić po Komunii św.

*) Zob. w dowodach poświadczenie lekarza lit. A.

uczwała, że język jej wymawia jakieś akty. Od tej chwili mówi dobrze. Sam ją widziałem i słyszałem.“

Wdzięczność za doznane łaski przyprowadziły Różę Eysseric na pogrzeb świętego Proboszcza. Opowiadała nam szczegóły o swem uzdrowieniu i na naszą prośbę takie nam świadectwo przysłała :

„W roku 1859, 27 marca, my, Jan Ludwik Chagnard, mer i prezydent, Franciszek Berge, proboszcz, Jan Franciszek Julien, kawaler Legii honorowej, Jakób Denizot, Jan Lombard i Benjamin Pelissier, nauczyciel gminy, wszyscy członkowie dozoru kościelnego w parafii Montmorin, w kantonie Serres, w diecezyi Gap, w departamencie Hautes-Alpes, zaświadczamy, jako wszyscy znaleźmy Różę Eysseric, liczącą lat czterdzieści trzy, żonę Noego Arnaud, rolnika z naszej parafii, i że od lipca 1858 zaniemówiła. Wyczerpnawszy napróżno wszystkie środki lekarskie, całą swą nadzieję zwróciła ku Bogu.

„Z żywą wiarą odprawiła wraz z mężem pielgrzymkę do Ars, aby się polecić wielce u Boga skutecznym modlitwom ks. Jana Maryi Vianney, proboszcza tejże parafii; za powrotem z pielgrzymki, a w trzecim dniu drugiej nowenny w Valréas, cudownie odzyskała mowę w nocy, jak nam zapewnia mąż jej, człowiek wiarogodny, 22 b. m. Obecnie mówi równie wyraźnie i dobitnie, jak przed paraliżem.

„Wyżej wymieni, jesteśmy przekonani o prawdziwości tego cudu.“

Otóż inne uzdrowienia, stwierdzone podpisami wiarogodnych osób :

„Ja niżej podpisana, Marya Róża Uzier z Chante-Merle, w kantonie Tain, zaświadczam, jako uzdrowiona zostałam za przyczyną św. Filomeny i ks. Proboszcza z Ars. Od 18 czerwca 1856 r. byłam obłożnie chora, od wszystkich opuszczona; nie wiedziałam, co począć. Nareszcie na Boże Narodzenie obiecałam św. Rodzinie i św. Filomenie, że jeśli mnie uzdrowią, pójdę pielgrzymką do Ars. Otóż 20 stycznia zaczęłam chodzić, a 22 stycznia poszłam do Ars, z kądem zupełnie zdrową powróciłam.*)

„9 sierpnia 1848 roku w parafialnym kościele w Ars za

*) Poświadczenie lekarskie lit. B.

przyczyną św. Filomeny odzyskał władzę w nogach Antoni Cochaud, siedmioletni syn wdowy Cochaud zamieszkałej w Saint Julien-en-Jarret w kantonie St. Chamond.*)

„24 lipca 1848, w kaplicy św. Filomeny, dwunastoletnia Franciszka Volet, córka Jana Piotra Volet z parafii Brullioles w kantonie St. Laurent de Chamousset, odzyskała władzę w nogach, utraconą w czasie ciężkiej choroby pięćmiesięcznej. Przyjęła jeszcze Komunię św., siedząc w krześle. W parę minut poteni chodziła po kościele bez niczyjej pomocy.“

„My niżej podpisani oświadczamy, że w dniu 21 marca 1857 roku widzieliśmy, jak Józef Joly i Marya Défosse tęściowa jego dziękowali ks. Vianney, proboszczowi z Ars za nagłe uzdrowienie Antoniego, syna Józefa Joly, wyrobnika z St. Amand. Dziecko to nigdy nie chodziło, bo utraciło wszelką władzę podczas konwulsyi, których dostało w piątym tygodniu po urodzeniu.“

Podp. ks. Carrier prob. z Misérieux,
ks. Toccanier, misyonarz,
Józef Joly i Marya Défosse.“

Nancy, 28 września 1856.

„Księżę Dobrodzieju! W sierpniu 1855 roku, gdym był w Ars, ks. Proboszcz dał mi medalik św. Filomeny, który wy dobył z kieszeni, dla mój siostry miewającej wielką chorobę. Od czasu gdy nosiła na sobie medalik, od roku z górą, nie miała napadu; ale zgubiła go na nieszczęście, i znów kurcze przychodzą. Proszę więc Księdza Dobrodzieja o przysłanie mi dwu medalików św. Filomeny z rąk świętego Proboszcza, jeden dla mój siostry, drugi dla innój osoby, która też miewa kurcze podobne.“

Z najgłębszym szacunkiem
ks. Prévot,
profesor w seminaryum w Nancy.

Marsylia, 16 sierpnia 1857.

„Kochany Kolego! Żądasz odemnie świadectwa choroby i uzdrowienia pani Daumas. Znam ją i sama opowiadała mi o doznanym cudzie. Ale lekarz, dobrze mi znany, nie chce wydać świadectwa, twierdząc, że urzędowo chorą nie leczył;“

*) Poświadczenie lit. C.

a w gruncie rzeczy, zdaje się, dla tego świadczyć nie chce, że podobny do tylu innych lekarzy! Na szczęście Bóg nie potrzebuje tego podpisu na świadectwo swojej potęgi i świętości czcigodnego Proboszcza z Ars.

Ks. Jujan.

W rok potem ksiądz Toccanier odebrał świadectwo opatrzone licznymi podpisami, stwierdzające uzdrowienie p. Daumas. *)

W lutym 1857 odebraliśmy listy następujące:

„Księżę Dobrodzieju! Jestem bardzo zmartwiona i niespokojna. Józio nasz chory od dni czterech na bardzo silną gorączkę. Przyszło mi na myśl polecić go modlitwom świętego Kapłana, którego Ksiądz Dobrodziej masz szczęście podziwiać codziennie.

„Męża mego, obarczonego pracą niema w domu, ale znając jego uczucia dla Księdza Dobrodzieja, nie waham się przesłać mu najserdeczniejsze jego wyrazy. Przez przyjaźń, jakąś mu zawsze okazywał, błagam, wyjednaj Ksiądz Dobrodziej modlitwy świętego Proboszcza za nasze dziecko i sam módl się za nas.

W dopisku: „List mojej żony spóźnił się wczoraj, ale Bóg raczy może przyjąć intencją za czyn. Od wczoraj niema zmiany w stanie naszego dziecka. Widocznie jest wielkie niebezpieczeństwo, bo ciągnęła gorączka. Oby Wszechmogący Lekarz raczył ją uśmierzyć i zachować nam tę drogą istotę. Poświęciłem go Bogu, gdy mi go dał, a teraz, Bóg mi świadkiem, że pragnąłem Mu go na chwałę wychować. W tej myśli błagam Boga, aby mi go nie zabierał. „Nie nam Panie, nie nam, ale imieniu Twemu daj chwałę.“ — Módl się, módl, przyjacielu! proś o modlitwę świętego Proboszcza; wyjednajcie nam uzdrowienie dziecka, lub poddanie się woli Bożej, bo trudno nam się będzie poddać bez szczególniejszej łaski! Zmiłuj się nad nami i pociesz słówkiem odpowiedzi.“

Ksiądz Proboszcz płakał nad tym listem i obiecał odprawić Mszę św. nazajutrz. Kazał nam podnieść ufność strapionych rodziców i przesłać im medalik św. Filomeny.

*) Poświadczenie lit. D.

W poniedziałek przypomnieliśmy obietnicę Proboszczowi, gdy on zawołał: „Ach dzisiaj muszę mieć Mszą za tego pana! podobno za jakiegoś Biskupa, który bawił tam pod przybranem nazwiskiem; ale dość czasu będzie jutro.“

Tymczasem w środę odebraliśmy następujące wyrazy: „Spieszę donieść Tobie pośredniku mój o cudownem uzdrowieniu naszego Józia. Powtarzam o uzdrowieniu, bo przemiana była bardzo nagła, w jednej chwili we wtorek o ósmej godzinie, gdy prawdopodobnie ks. Vianney miał Mszą św. Przez cały dzień w poniedziałek w gorączce czegoś się lękał, zrywał... Tę przemianę muszę nazwać cudowną, bo trudno tu nie przyznać działania siły nadprzyrodzonej. Nie potrzeba było być lekarzem, aby poznać, jak zjadliwą była gorączka, i jak ni ztąd ni zowąd minęła.“

„Chciéj więc powiedzieć Ks. Proboszczowi, temu świętemu Kapłanowi, że Bóg go wysłuchał; że dziecko moje ocalone. Niech nie ustaje modlić się za duszę, jak się za ciało modlił. Niech mu wyprosi liczne zasługi i gotowość do poświęcenia się za dusze bliźnich, na największą chwałę Boga. Cześć i dziękczynienie Panu, niech błogosławi wielkiemu swemu słudze.“

W tym samym tygodniu wiejska kobieta przybyła do Ars z ósmioletniem dzieckiem bezwładnem na plecach. Biedna ta matka rozpaczliwie biegła za Proboszczem, gdziekolwiek się ruszył, ruchem i błagalnem spojrzeniem żebrząc o miłosierdzie nad dzieckiem. Ks. Vianney często błogosławił mu i pocieszał matkę słowami nadziei. Gdy wreszcie udali się na nocleg do ubogiej jakiejś zagrody, dziecko się odezwało: „Matulo, musicie mi kupić drewniaczki, bo mi ks. Proboszcz obiecał, że jutro będę chodził.“ Czy mu to rzeczywiście Proboszcz obiecał, czy też dziecko wyczytało to w jego spojrzeniu; dość, że za radą mieszkańców zagrody matka drewniaczki kupiła, a dziecko do tego czasu przez nią z takim trudem noszone, jak sarna poskoczyło do kościoła, wołając z radością: Jestem uzdrowiony!.. Jestem uzdrowiony!.. Matka wylewała łzy wdzięczności w kaplicy, gdy przyszliśmy ją wypytać o szczegóły cudu i zaprowadziliśmy ją do Proboszcza, któremu pragnęła podziękować. Lecz ks. Vianney przyjął nas zimno, prawie surowo; w milczeniu pobłogosławił dziecku, i dodał

z wyrazem niezadowolenia: „Św. Filomena mogła była uzdrowić tego malca w domu.“

W miesiąc potem odebraliśmy list następujący:

Saint Romain 12 marca 1857.

„Wielebny Ojcze! Zgodnie z życzeniem Ojca, donoszę Mu, że chłopczyk mój jest rzeczywiście uzdrowiony. Nigdy żadnego nie uczuł on bólu; biega cały dzień, jak gdyby nigdy nie był chory. A przecież lekarze mieli go za nieuleczonego!... O mój Boże jakżem szczęśliwa!...

Za wszystkę dobroć Wielebnego Ojca z głębi serca dziękuje sługa uniżona

F. Dévoluet.“

W grudniu 1857 przybyła do Ars Siostra Dzieciątka Jezusowego z Walencji. Miała prawą rękę sparaliżowaną, palce pokurczone; we wszystkim więc usługi potrzebowała... Kończyła właśnie nowennę w dzień Młodzianków, gdy, modląc się w kaplicy św. Filomeny, z lewej ręki upuściła książkę do nabożeństwa; mimowolny zrobiła ruch prawą ręką, by ją podnieść, — i o cudo! była uzdrowiona!...

W tym samym czasie matka pewna przyprowadziła księdzu Vianney dziecko z ogromną brodawką nad okiem. Stała na jego drodze z kościoła do plebanii i podała mu chłopię, prosząc, by się brodawki jego dotknął. Pod palcem Proboszcza narodziła się w jednej chwili znikła.

W lecie r. 1838 wszyscy pielgrzymi i wszyscy mieszkańcy Ars podziwiali cud bardzo rozgłośny. Z departamentu Puy-de-Dôme przybył o szesudłach biedny, kulawy chłopiec. Stał przed ks. Vianney pytając: „Ojcze, czy mogę tu zostawić moje krukwie?“ „Niestety! — odpowiedział mu Proboszcz, — bardzo ci są potrzebne, mój drogi.“ Chłopiec przecież nie zraził się odpowiedzią; lecz przy każdej sposobności to samo stawiał pytanie. W dzień Wniebowzięcia M. Boskiej po wieczornym pacierzu, znów swoje powtórzył: „Ojcze, czy mam złożyć krukwie?“ — „Złóż je więc, — odpowiedział mu nareszcie ks. Vianney, — jeśli masz wiarę...“ — W tej samej chwili kaleka zaczął chodzić w obec zdumionego ludu; złożył je na zawsze na ołtarzu św. Filomeny. Przez wdzięczność wstąpił do Braci Świętej Rodziny w Belley.

W tymże miesiącu przybyła z Cette osoba w okropny sposób sparaliżowana i mówiła z wielką trudnością. Rozmówiwszy się z świętym Proboszczem, wysłuchała jego Mszy w kaplicy M. Boskiej; a, chcąc przystąpić do Stołu Pańskiego, czolgać się musiała. Lecz zaledwo przyjęła Komunię św., członki jej się wyprostowały i była uzdrowiona. Cud ten jawny tak poruszył lud zebrany, że dla zbyt głośnych objawów podziwienia, ks. Vianney musiał przestać rozdawać Komunię św.

We wrześniu r. 1858 proboszcz z Cebazat donosił ks. Toccanier o cudownem uzdrowieniu jednego z jego parafian; w miesiąc potem przysłał mu następujące poświadczenie:

„My, Proboszcz z Cebazat. mamy zaszczyt zaświadczyć, że Karól Blazy, dziewiętnastoletni syn Jana i Maryi Verdier utracił władzę w nogach 2 maja 1855 r., i pozostał w łóżku do pierwszych dni kwietnia r. b. 1858, leżąc skulony, wśród wielkich boleści wewnętrznych, i nie doznając żadnej ulgi od przyjmowanych lekarstw.

„W pierwszych dniach kwietnia, po nowennie do św. Filomeny odmówionej w łączności z świętym Proboszczem z Ars, mógł wstać i o szczydłach zawlec się do bliskiego kościoła.

„W początkach sierpnia, pragnąc osobiście udać się do Ars, by się polecić tamtejszemu Proboszczowi, powozem musiał jechać na kolej, bo na nogach utrzymać się nie mógł.

„Wreszcie, tenże Karól Blazy wrócił z Ars całkiem zdrów, krukwie swe złożył na ołtarzu św. Filomeny, po Komunii św., którą zakończył nowenną. Od 15 sierpnia żadnych nie uczuł boleści, bez zmęczenia pieszo odbył podróż do domu, i zażywa lepszego zdrowia, niż kiedykolwiek.

„Z radością głoszę oczywisty cud Boży w tem uzdrowieniu. Za mną poświadczyć mogą wszyscy moi parafianie, którzy porówno ze mną znali stan tego biednego młodzieńca.

„Podaję to świadectwo na najwyższą chwałę Boga, którego dobroć jest niezmierna i potęga nieskończona.

Ks. Bazin, prob. z Cebazat.“

W oryginale poświadczenie to opatrzone jest przez przeszło pięćdziesięciu podpisami mieszkańców z Cebazat. Nadto ojciec uzdrowionego dołącza list, w którym się tłu-

maczy z jakiego powodu nie może złożyć poświadczenia od lekarza.

„Nasamprzód, — pisze on, — odkładał je do zimy; a, gdy syn mój w obecności ks. Proboszcza i Przełożonej klasztoru prośbę swą ponowił, oświadczył mu lekarz, że jego uzdrowienie jest niezwykle, prawie cudowne; ale, ponieważ nie widział go przed wyjazdem, poświadczać nie może.... A przecież Karól w dzień powrotu swego z Ars, poszedł do lekarza; on go opatrzył, kazał mu przy sobie chodzić, i powiedział, że może Bogu dziękować za tak wielką łaskę. — Ale zapewne nie spodziewał się, że to uzdrowienie syna mego będzie tak głośne. A na chwałę Bożą i na cześć św. Filomeny dużo narobiło ono rozgłosu. Wszyscy ze wszęch stron odwiedzają Karóla; wielu już poszło ze swemi potrzebami do Ars, inni iść zamierzają. Skutkiem tego cudu, nabożeństwo do św. Filomeny bardzo się u nas rozszerzyło. Cieszymy się już jęj posągiem w naszym kościele. Po Mszy dziękczynnej, ofiarowaliśmy jęj srebrne serduszko i palimy dzień i noc lampę przed jęj obrazem. Wiele osób przyłączyło swą składkę na jęj utrzymanie. Karól dał kilku chorym przywiezionego z Ars oleju z lampki św. Filomeny, i wszyscy doznali od niego ulgi. Ile nam wiadomo, olej ten goił nieuleczone rany, i uzdrowił z bardzo niebezpiecznych chorób. Jedna z uleczonych osób ofiarowała św. Filomenie srebrne serce i trzy złote łańcuchy.

„Załączone poświadczenie podpisują przedniejsi obywatele naszego miasta; gdyż sądziliśmy, że te wystarczą. Lecz, jeśliby o to chodziło, wszyscy mieszkańcy mogą się podpisać, bo wszyscy wiedzą, że przez trzy lata syn mój nie opuścił łózka... Karól zupełnie zdrów, całem sercem dziękuje Bogu za doznane dobrodziejstwo i poleca się modlitwom czcigodnego Proboszcza z Ars.

Jan Blazy.“

Nie dość na tych dowodach; brat młodszy Karóla w roku następnym doniósł ks. Toccanier, że i on, po odmówieniu nowenny do św. Filomeny w łączności z Proboszczem z Ars, w dniu jęj zakończenia cudownie został uzdrowiony z choroby, którą lekarz za bardzo niebezpieczną uważał.

Są naprawdę wybrane rodziny, których prostota, prawość i pobożność ściągają błogosławieństwa Boże. Do ro-

dziny Blazy'ów zastósować można piękne zdanie zamieszczone w jednym z dokumentów przytoczonych: „Z radością widzimy, że cnota odbiera czasami już tu na ziemi nagrodę.“

Od proboszcza z Saint Julien - sous - Montmalas odebraliśmy w r. 1859 takie szczegóły o uzdrowieniu osoby z jego parafii:

„Księżę Dobrodzieju! Na życzenie Twoje śpieszę podać Ci szczegóły o uzdrowieniu osoby z mojej parafii. Mogą one być poświadczone przez wszystkich; ale sądzę że kilka podpisów wystarczy. Lekarze, tłumacząc podobne wypadki naturalnemi przyczynami, cudu w nich nie uznają. Przecież pomijam ich zdania, a sam wypadek opowiem. Małgorzata Bonnevais, żona właściciela winnic Piotra Dumont, matka jedenaściorga dzieci, od dziesięciu lat cierpiała na kurcze nerwowe, które niekiedy aż życiu jej zagrażały. Trzech lekarzy nie ulgi przynieść jej nie mogło; przeciwnie, jeden z nich oświadczył, że jej choroba jest nie do uleczenia.

„Wtem przyszło chorą na myśl, wysłać kogo ze swoich do Ars, a nawet pojechać osobiście, skoro jej siły na to pozwolą. Trzeciego zatem maja 1858 ruszyła w drogę; lecz, przybywszy do Ars, dostała bardzo gwałtownych kurczów. Ks. Vianney ją odwiedził; i, wzruszony jej cierpieniem, zbliżywszy się do jej łóżka, modlić się począł. Na skargę chorą, że tak bardzo cierpi, odpowiada jej: »To minie, moje dziecko, wkrótce będziesz uzdrowiona.« W tej chwili kurcze ustały i uszczęśliwiona Małgorzata śpieszy do kościoła, przyjąć Komunią św. Nazajutrz czuła się na siłach, wrócić pieszo do domu, gdzie ją rodzina z najwyższą powitała radością. Od tego czasu zdrowa zawsze.

Podpisy: Parcely ojciec i syn, Brondel, Dupont, Molozay, Jeannot, J. Dupont, M. Dupont, J. A. Fayolle. C. Girand, Siostra Klotylda, Proboszcz Fayolle.“

Głośniej nad te wszystkie niezliczone świadectwa opinia publiczna wyznała nadziemską potęgę działającą cudownie w Ars. Tysiące chorych przybiegało tam corocznie z najdalszych stron świata, zawsze z równą przez lat trzydzieści ufnością, którą często Bóg nagradzał. Choć nie wszyscy uzyskali pożądanę zdrowie ciała, ale wszyscy, w miarę swój wiary, uzyskali łaskę siły i poddania się

woli Bożej i jaśniejsze zrozumienie wartości cierpienia. O ile wiemy, nikt zawiedziony z Ars nie wrócił.

Proboszcz przyjmował pielgrzymów z dobrocią; odwiedzał ich, pocieszał, zachęcał, poświęcał im swój czas, rady i modlitwy; ale nie wszystkim obiecywał uzdrowienie. Często przypominaliśmy jego modlitwom osobę różnemi nieszczęściami przyciśnioną, pragnąc jęj choć jakieś słowo pociechy z ust Proboszcza zanieść. Lecz zawsze odpowiadał nam: „Dobrze to umieszczony krzyż.“ — Ależ ona tak cierpi; czy niema nadziei jakiej ulgi dla nięj? — „Jest, ale w niebie!“

Gdy chodziło o chorego, który nie miał wyzdrowieć, odpowiadał zwykle: „Cierpliwości, w raju nie będzie cierpiał.“

Był w Ars kaleka, który uparcie spodziewał się uzdrowienia. W miarę zmiany pobożnych jego uczuć, to się gniewał na św. Filomenę, to się z nią znów godził. Lecz zresztą był on żywym dowodem, jaką siłą religia osładza największe życia gorycze. Biedny ten chłopiec zawsze mawiał, iż jest przekonany, że gdyby Proboszcz chciał, mógłby go uzdrowić, ale że pokora szkodzi jego miłości. Ks. Vianney często go odwiedzał, dodawał mu odwagi i naukami swemi go krzepił; a czasami rozweselał go, bo biedny Michałek lubił się śmiać; ale nigdy mu nie robił nadziei, że wyzdrowieje. Owszem, gdy się za nim wstawiano, odpowiadał: „Nie potrzebne mu nogi do nieba. Pójdzie tam bez nich; a z niemi pytanie, czyby doszedł.“

O innym kalece, który również się spodziewał uzdrowienia, powiedział: „Sw. Filomena już go raz uzdrowiła, nie korzystał z tego; wątpię, żeby zechciała ponowić próbę.“

Przełożony jeden przysłał do Ars chorego zakonnika, gorąco pragnąc jego uzdrowienia. Święty Proboszcz powiedział mu: „Przyjacielu, trzeba nam chcieć tego co Bóg chce. On chce cię uświęcić przez cierpliwość. W godzinę śmierci przekonasz się, żeś więcej dusz nawrócił przez tę chorobę, niż nie wiem, jaką gorliwością przy zdrowiu.“

Pomimo to, przełożony przysłał znów zakonnika we dwa lata później. „Nie, nie, mój drogi, — rzekł mu znów ks. Vianney, — pozostaniesz w tym stanie. Jako chory

jestes̄ pożyteczniejszy twemu zgromadzeniu; więcej w niem dobrego działasz. więcej dusz zbawiasz. Bóg nikogo nie potrzebuje. Trzeba nam brać rzeczy wedle Boga, wnikać w zamiary Boże.“

Wielkie i dziwne opowiedzieliśmy rzeczy; wiemy, że wielu znajdzie się takich, co na nie wzruszą ramionami. Ależ prawdziwi chrześciance wiedzą, że jest cud większy, niż cud uzdrowienia chorego, cud zamarcia człowieka do tego stopnia, iż już w niczem nie szuka siebie, a w największem upokorzeniu i cichości cieszy się i raduje z cierpienia. Największym cudem w Ars przez pół wieku, cudem pokonywającym wszystkich niedowiarków, było życie człowieka tak unartwionego, tak dobrego, łagodnego, a tak pełnego mocy, tak prostego a świątłego, — tak spokojnego przy nieustraszonėj odwadze i dzielności ducha. Cudem jego cierpliwość i milczenie wśród największych przeciwności, które nigdy na zmianę jego usposobienia nie wpłynęły: cudem jego pokora wobec tak wielkiej obfitości darów Bożych i wobec sławy, jakiej nikt z współczesnych nie zażywał; cudem, życie jego prawie bez pożywienia, bez snu, bez odpoczynku, w szesnasto do ośmnasto godzinnej pracy dziennie, życie pełne trudu, cierpienia i chwały, przez ciąg którego nigdy nie widzimy w nim niecierpliwości albo próżności...

Jeśli święty nasz czynił cuda, to nie z własnej woli, ani dla swojej chwały: przeciwnie, dar ten był mu najcięższym krzyżem. Dar ten wystawiał go na wielką próbę cierpliwości, i przerażał jego pokorę. Nie dziw zaiste, że wymawiał św. Filomenie, że za wiele cudów czyni; że ją błagał, aby je czyniła w ukryciu, aby ich ludzie nie widzieli, aby się tyle nad ciałem nie litowała, a całą swą potęgę wywierała na dusze.

Poświadczenia.

A.

„Ja, niżej podpisany lekarz, osiedlony w Vans (Ardèche), zaświadczam, że m długo miał w kuracyi pannę Martin, nowi-

cyuszkę z klasztoru św. Józefa, chorą na utratę głosu. Straciłem już nadzieję jej uzdrowienia, i zdawało mi się, że przechodzi w nieuleczoną chorobę piersiową, gdy panna Martin wróciła z podróży zupełnie zdrowa. Oświadczam, że przyrodzonym sposobem uzdrowienia tego wytłómaczyć nie umiem.

Na stwierdzenie czego, niniejszem poświadczam.

Dr. B. Ollier.“

Vans, 9 stycznia 1857.

B.

„Ja niżej podpisany Doktor z Wydziału paryzkiego, zaświadczam, że Róża Uzier, siostra zakonna Arséne, nauczycielka w Chantemerle, od sześciu miesięcy cierpi na tak silny reumatyzm stawowy, że się ruszyć nie może.

Co niniejszem świadectwem stwierdzam.

Dr. Piollay.“

Tain, 2 stycznia 1857.

C.

„Opatrzywszy siedmioletniego Antoniego Cochaud, syna wdowy Cochaud z Saint Julien-en Jarret, uważam za konieczne, aby dla zapobieżenia całkowitemu skrzywieniu się nogi, wstawić ją w słupki. Przyrząd ten uważam również za potrzebny do lepszej cyrkulacyi soków przez wyprostowanie członków.

Dr. Portier.

Saint Chamont, 23 kwietnia 1848.

Przejrzane i sprawdzone przez niżej podpisanego

Jana Barbier,

mera z Saint Chamont.

Dnia 17 lipca 1848.

D.

„Ja niżej podpisana oświadczam, jakom cierpiała na chorobę pacierzową, uznaną przez lekarzy za nieuleczoną. Gdym poszła do Ars 20 czerwca 1857, ksiądz Vianney zalecił mi odmówić nowennę do św. Filomeny. — Nazajutrz po rozmowie z tym czcigodnym kapłanem, ustały moje cierpienia i od tego czasu zupełną mam władzę w członkach.

Ostatniego dnia nowenny odbyłam pieszo bez niczyjej pomocy pielgrzymkę do Matki Boskiej de la Garde, wraz z kilku osobami z rodziny i kilku znajomymi.

F. Daumas,
J. Daumas, F. Daumas,
Constant, kupiec, A. Rochebrune,
. Dominik Carle, Salomé,
A. Audier, J. B. Codreau,
Sublet, Gontro,
J. B. Gauthier, Ant. Levesy.

Marsylia, 3 lipca 1858.

Wyżej podpisani zaświadczenia, że wszyscy znali stan pani Daumas. która skutkiem choroby utraciła władzę w nogach. Również zaświadczenia, że od powrotu swego z Ars jest przy doskonałem zdrowiu.“

E.

„My niżej podpisani, proboszcz z Lapalud, kanonik honorowy z Avignon, i wikaryusz pomienionej parafii, na prośbę jednych z najzacniejszych naszych parafian, rodziny Pradelle, zaświadczenia :

Ze jak powszechnie tu wiadomo, panna Zuzanna Pradelle, mająca lat 32, od ośmiu lat złożona była chroniczną chorobą nerwową, która jej władzę w członkach skrzępowała.

Wszelkie środki lekarskie, jakich używała za poradą najlepszych lekarzy z Montpellier, choć jej chwilową przynosiły ulgę, w skutku okazywały się daremne.

Wreszcie pomieniona panna Pradelle, widząc, że bezsilne są wszystkie ludzkie sposoby, z żywą wiarą postanowiła odbyć pielgrzymkę do Ars, by prosić o modlitwę czcigodnego Kapłana, którego cała Francya wielbiła. W końcu nowenny, nagle uczuła się całkiem zdrowa, z największem zdziwieniem znajomych i obecnych. Za jej powrotem do domu samiśmy się przekonali o jej uzdrowieniu, i zaświadczenia, że zdrowie panny Pradelle jest doskonałe aż do tego czasu.

Podajemy ten fakt na stwierdzenie prawdy, a sąd o tem nadzwyczajnem uzdrowieniu zostawiamy kompetentnej władzy.

E. V. Rose, proboszcz i kan. hon.,
E. Perrot, wikaryusz.

Lapalud, 21 września 1855.

„Ja niżej podpisany lekarz z Avignon, zaświadczam, że panna Zuzanna Pradelle, mająca lat trzydzieści dwa od ośmiu lat cierpiała na chorobę nerwową.

Skutkiem tej choroby, do tego stopnia była wrażliwa, że najmniejszy hałas, najmniejsze wzruszenie moralne zwiększało jęj nadbrzuszne boleści i obezwładniało ją.

Zwykle jadła tylko niektóre potrawy i to bardzo mało; nie mogła ani czytać, ani słuchać czytania; nie mogła chodzić bez oparcia na kim, a przez półczwarta roku wcale chodzić nie mogła.

Od sześciu lat znany mi jęj stan a prawie nie było w nim zmiany przez ten czas. Starania moje przyniosły jęj nieco ulgi, przecież nigdy nie mogła sama chodzić, ani uklęknąć, ani zmienić dyety.

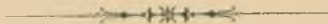
Zadne lekarskie środki znacniejszego polepszenia jęj nie przyniosły. Wody w Montpellier i kilkakrotna bytność w Lamalou ratowały ją tylko od dawnego stanu, gdyż w kilka miesięcy po wodach czuła się zawsze słabszą, aniżeli świeżo po kuracyi.

Mniej więcej przed sześciu tygodniami widziałem pannę Pradelle za jęj powrotem z Lamalou, była równie cierpiąca jak zwykle. Dzisiaj widzę ją w najświetniejszym zdrowiu, o czym mogłem się doskonale przekonać przez całodzienny pobyt jęj u mojęj rodziny. Zapewnia mnie ona, że to cudowne zdrowie otrzymała nagle za wstawieniem się Proboszcza z Ars.

Niezdolny wyrokować w takiej kwestyi, poprzestaję na zeznaniu, że zmiana w pannie Pradelle jest nadzwyczajna i niepojęta.

Dr. Bechet.

Avignon, 7 września 1858.



ROZDZIAŁ V.

Nawrócenia dokonane w Ars.

„Co było zginęło, szukać będę, i co się oderwało, przywiędę, co było połamano, powięzuję, co było chore, wzmocnię.”
(*Ezech. XXXIV, 16*).

„Powiadam wam, żeć takie będzie weszło w niebie.”

(*Łuk. XV, 4*).

„...Idźmy! a jeśli on nam pozwoli się spodziewać, że z przepaści grzechów naszych Bóg nas przyjmie do miłosierdzia swego, uczynimy, co nam rozkaże. Obyśmy mogli uwolnić się od kar piekielnych!...”

(*Fioertti św. Franciszka z Assyżu*).

W poprzednim rozdziale spisaliśmy wypadki cudowne, dnie i nazwiska; podaliśmy świadectwa i świadków, nie pochlebając sobie, abyśmy przekonali tych licznych chrześcian z imienia tylko, którzyto pragną wierzyć w Boga, ale pod warunkiem, żeby w cuda Jego wierzyć nie potrzebowali. Ci biedni, chociażby byli widzieli samego Chrystusa, przywracającego słuch głuchym i mowę niemym, nie byłiby w niego uwierzyli.

Ależ nie koniec cudów Bożych na tych uzdrowieniach, dokonanych w Ars. W głębi duszy człowieka niezliczona moc cudów się pojawia. Ktokolwiek wpierw utracił wiarę, a z nagła czuje ją rozbudzającą się w swem sercu pod wpływem łaski Bożej, czyż w świetle nagłem tój łaski nie widzi, że sam staje się żywym cudem?... On, co był głuchy, usłyszał; on, co był ślepy, przejrzał; on, co był chromy, wstał; on, co był niemy, począł wielbić i sławić Boga w Trójcy jedyne; jednym słowem za łaską Bożą powstał z martwych... Po nad ten cud niema cudu większego. Św.

Tomasz to samo wyraził, gdy powiedział, że usprawiedliwienie bezbożnego jest największem z dzieł Bożych. A takie cuda po tysiąc tysięcy razy powtarzały się w Ars przez lat trzydzieści. Jakżeż takim cudom zaprzeczyć?

Niewiem, kto powiedział, że dla miłującego Boga jest tylko jeden wyraz we wszystkich językach — *nawracanie*,... i jedyny rzeczownik — *nawrócenie*... Nawracaniu grzeszników święci życia swe poświęcali; nawracanie grzeszników było też celem, do którego wszystkie myśli Proboszcza z Ars zmierzały, któremu wszystek czas i wszystkie siły swe oddawał. Przypuszczając, że stu penitentów wysłuchał dziennie, choć liczymy bardzo skąpo, wieluż ich do roku wysłuchał!... Trzydzieści lat wytrwał w tak ciężkiej pracy: bodaj czy w żywocie któregośkolwiek kapłana katolickiego coś równego czytamy.

„Świat nigdy się nie dowie, — mówił raz ks. Vianney, — ilu grzeszników znalazło zbawienie w Ars! Bóg, który nikogo nie potrzebuje, mnie do tego wielkiego dzieła używa, choć ksiądz ze mnie nie uczony. Gdyby był miał pod ręką księdza, któryby był miał więcej powodów do upokorzenia się, byłby go użył i uczynił sto razy tyle dobrego, ile przezemnie.“

Ludzie powszechnie łatwo ulegali wpływowi Proboszcza z Ars, serca ich dawały mu się bez oporu prowadzić do Boga i prawdy. Chrystus Pan chciał nagrodzić jego pokorę tem dziedzictwem obiecanem tym, co są cichego i pokornego serca.

Surowość pokuty dla siebie zachowując, dla grzeszników najtkliwsze, najczulsze serce otwierał. Niemógł patrzeć na nich bez łez. A przez te łzy bił z oczu jego wyraz tak łagodny i przejmujący, że spojrzeniem tyle nawracał, ile słowem. Gdy zaś mówił, to tak rzewnie, że się serca rozpląwały.

„Co to za szkoda!... Bo, żeby ten Bóg nie był tak dobry... ależ on taki dobry!... Jakież nieużyty, zakamieniały człowiek, że obraża Ojca tak dobrego? Ach! to trudno pojąć taką złość, taką niewdzięczność!... Tak, brak wiary to sprawia.... Zrozumiemy to kiedyś, gdy będzie po czasie....“

„Mój Boże! i cóż my ukochamy, jeśli nie ukochamy miłości?... Ale my... unikamy naszego przyjaciela, a kata własnego kochamy.... Jakaż to szkoda!... O! naprawdę, bardzo, bardzo nieszczęśliwy jest grzesznik!...“

I lzy go dławily; spływające po twarzy ręką ocierał. Razu jednego gdy tak gorzko płakał nad zatwardziałym grzesznikiem, klęczącym u jego stóp, nagle człowiek ten zimny, uczuł się wzruszony. „Ojczy, czego tak płaczesz“, zapytał go zdziwiony. — „O! mój przyjacielu, — odparł mu święty, — płaczę, że ty nie płaczesz.“

Widzimy więc, że Proboszcz z Ars nie ponętnemi i sztucznemi słówkami zdobywał serca, oświecał i przeistaczał grzeszników, ale ich pociągał potęgą słowa, popartego życiem całym; zapalał ich owym ogniem, co bucha z serca i oczu apostoła; napelniał ich łaską Bożą, którą święci uzyskawszy przez miłość i uczynki zbożne przelewają na serca słuchaczy swoich. Jedno proste słowo z ust tego świętego kapłana sprawiało w jednej chwili cuda, jakichby niezdolne były wszystkie książki najlepsze i mowy najświetniejsze.

„Czasami, — pisze O. Gratry, — odczuwałem w sobie ten stan duszy, kiedy się człowiekowi zdaje, że ma władzę wskrzeszać wszystkie dusze tym ogniem, jaki mu w piersi płonie.... O Boże! spotkać na swęj drodze jedno z najpiękniejszych stworzeń twoich snem ciężkim i śmiertelnym odrętwiałe, spostrzedz nagle na ziemi ciało bezduszne, a w tem ciele duszę martwą, jakoby pod zimnym głazem grobowca, noszącą na sobie, choć zimne, nieczułe ale wyraźne znamię odwiecznej myśli, która ją stworzyła; w świetle Bożem pojmoswać, czem byłaby ta dusza, gdyby żyła; czuć w sercu to drżenie, jakim Chrystus Pan zadrdzał nad grobem Łazarza; z całą siłą duszy do Boga wołać i w Nim moc zaczerpnąć; -- tchnąć gorejącego ducha, przeniknąć ożywcym płomieniem tę drzemającą, czy martwą już duszę; naraz spotkać się z jęj wzrokiem w pierwszej chwili osłupiałym, który Cię w końcu zaczyna pojmoswać; patrzeć na jęj zmartwychwstanie, na jęj życie, na jęj ruchy; — wnet po onem tajemniczem działaniu Bożem w tęj duszy, czuć, że ją się w własnej nosi duszy, jak matka swe dziecko pod sercem...! O Boże! czyż ta władza

wskrzeszania, którą dajesz tym, co dobrowolnie wpierv zamarli sobie, nie dość wielką jest nagrodą za tę ofiarę...“*)

Ks. Vianney odebrał nagrodę tych, co wielkodusznie zamarli sobie: on płonął tym ogniem, miał w swem ściśle z Bogiem złączonem sercu tę siłę twórczej miłości; a tym skarbem bogaty, wszędzie na swęj drodze wskrzeszał dusze. Wieleż on dusz wyrwał z objęć wiecznej śmierci! Wieleż dusz on oświecił, wielu dał poznać ich upadek, i do powstania dopomógł; przez wieleż to dusz był umiłowan! Iści się tu obietnica Chrystusa: „Zaprawdę mówię wam: Żaden nie jest, któryby opuścił dom, albo bracią albo siostry, albo Ojca, albo Matkę, albo dzieci, albo role dla mnie i Ewangelii: Zeby nie miał wziąć tyle stokroć teraz za tego czasu domów, i braci, i sióstr, i matek i dzieci i ról z przesłađowaniem, a w przyszłym wieku żywota wiecznego“ (św. Marek X, 29, 30).

Zanim każdy z świadków tych tysiąca cudów nawróceń dokonanych w Ars, złoży cegielkę swoją do wspaniałego pomnika wdzięczności, my tymczasem piszemy wydarzenia najgłośniejsze, jakoteż te, w których widoczniejsze działanie Boże i jawniejsza moc nawracania właściwa świętemu Proboszczowi.

Pierwszą duszą jaką ks. Vianney zdobył Chrystusowi Panu, była pewna jansenistka z Fareins, przesiąknięta duchem swęj sekty, uparta jak wszyscy uczniowie braci Bonjour, apostołów sekty. Pyszna i uporna ta kobieta znana była w okolicy ze swego przywiązania do błędnej swęj wiary, a nawet z żarliwości w przeciąganiu do niej dusz chrześcijańskich. Niewiadomo, po co przyszła do Ars w święto N. Panny. W czasie nieszporów pilnie się przypatrywała nowemu Proboszczowi i z niemałym zdziwieniem obecnych po nabożeństwie zbliżyła się do jego konfesyonału. Rozmowa jęj była długa; a każdy sobie myślał: „Czy też nasz święty da radę temu kozłowi?“ — A przecież pokonał ją wielką swą cierpliwością; i po długich próbach, gdy się szczerze nawrociła, pozwolił jęj uczęszczać do Sakramentów św. Aby uniknąć nagabywań swych współwyznawców, osiedliła się w Ars, gdzie wszystkich pra-

*) Connaissance de l'âme. Epilogue.

wdziwą pobożnością budowała. Gorzkimi łzami oblewała błędy swej przeszłości i dziękowała Bogu, że jej oczy na prawdę otworzył. Umarła wśród uczuć najżywszej wiary i najgorętszej miłości. To nawrócenie sięga roku 1818.

„W lipcu r. 1842, — pisze nam jeden z duchownych z naszej dyecezyi, po raz pierwszy odprawiłem pielgrzymkę do Ars i nigdy nie zapomnę głębokiego wrażenia, jakiego tam doznałem. Święty Proboszcz wykładał katechizm w swej Opatrzności osmdziesięciu sierotom. Po nauce rozmawiałem z nim kwadrans, a ponieważ świeżo doszły mnie wiadomości o cudownem uzdrowieniu, mówiłem mu, że kilka osób niedowierza temu.“

„Mój drogi, — odpowiedział mi, — niech sobie ludzie gadają, co chcą. Jakże mogą widzieć, kiedy są ślepi?... Niestety! Choćby Chrystus Pan powtórzył dziś wszystkie cuda swoje, oniby w nie też nie wierzyli. Ten, któremu wszelka władza jest dana, nie utracił swej potęgi. Na przykład w przeszłym tygodniu ubogi chłopiec przyniósł tu na plecach dwunastoletniego synka, kalekę, który nigdy nie chodził. Pocziwe człeczysko odprawił nowennę do św. Filomeny; a dziesiątego dnia dziecko jego było zdrowe, w podskokach wyprzedzało go do domu.

„Dawnemi czasy Chrystus Pan leczył chorych i chromych, wskrzeszał umarłych. Byli i tacy, co patrzali na te cuda, a niewierzyli. Mój drogi, ludzie wszędzie i zawsze ci sami. I jeśli Bóg potężny, to i szatan ma swą władzę i używa jej na zaślepienie biednego świata.“

Na to ks. Vianney poszedł do konfesyonału a jam się zbliżył do p. Massiat, któremu bardzo pragnął poznać, aby się dowiedzieć szczegółów świeżego nawrócenia jego. Opowiedział mi je w ten sposób:

„Przed tygodniem wyjechałem z Lyonu na geologiczną wycieczkę w góry z okolicy Mâcon. Przypadkiem spotkałem się ze starym mym przyjacielem w omnibusie, jadącym do Villefranche: Jechał do Ars i bardzo mnie namawiał, abym mu towarzyszył. „Zobaczysz księdza, który cuda czyni, — mówił mi. — Co? cuda! — wykrzyknąłem, śmiejąc się; jam nigdy w cuda nie wierzył. — Jedź do Ars, a uwierzysz. — Przyznam się, gdybyś mnie miał nawrócić, byłby to cud nad cuda!... No, ale mniejsza o

przejażdżkę do Ars; czas mam wolny; a do Ars niedaleko, pojedę z tobą.“

„Stanęliśmy obydwaj w jednym pokoju: nazajutrz bardzo rano towarzysz mój budzi mnie i mówi: „Massiat, chcesz mi zrobić przyjemność? wstań i chodź ze mną na Mszę św. — Na Mszę? Od pierwszej Komunii nie byłem na Mszy. Mógłbyś czego innego odemnie żądać. — Eh! przecież mi tej drobnostki nie odmówisz; a w czasie tej Mszy najlepiej będziesz się mógł przypatrzeć i osądzić Proboszcza z Ars. O jedno Cię tylko proszę, przypatrz mu się dobrze. Wyszukam ci miejsce, z którego dobrze go będziesz widział. — Wiele mi o to nie chodzi, mój drogi; dla ciebie tylko to uczynię, że pójde na tę Mszę.“

„Weszliśmy więc; przyjaciel robi mi miejsce w ławce naprzeciw zakrystyi. Wtem drzwi się otwierają i wychodzi z niej do Mszy ubrany Proboszcz z Ars. Jego oczy spotykają się z mojami. — Było to jedno tylko spojrzenie; a tak mnie do dna duszy przeszło, że w najwyższym pomieszczeniu schyliłem się nisko, i twarz w dłonie ukryłem. Przez cały czas Mszy byłem nieruchomy; po Mszy podniosłem ociężałą głowę, i chciałem wyjść, gdy przechodząc obok zakrystyi, do której się cisnęły tłumy, usłyszałem rozkaz: Wyjdźcie wszyscy! wyjdźcie wszyscy! I równocześnie kościstą rękę uczułem na mojej, i jakaś nieprzeparata siła wciągnęła mnie do zakrystyi. Drzwi się za mną zamknęły, i ujrzałem się w obec tego spojrzenia, pod którym struchlałem. Jakałem niewyraźnie: „Księżę Proboszczu mam na barkach okropny ciężar, który mnie przygniata! Na to odpowiedział mi głos tak słodkiego, nadziemskiego brzmienia, że mi się zdawało niepodobną, iżby z ludzkiej piersi wychodził. „Mój przyjacielu, coprędzej musisz go z siebie zrzucić. Uklęknij, opowiedz mi smutne twe życie; a Chrystus Pan ciężar twój podźwignie, bo On powiedział: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście, a ja was wspomogę.“ — Ochłonawszy z pierwszego pomieszczenia, bezwiednie zacząłem świętemu człowiekowi opowiadać dzieje mego życia od pierwszej Komunii. On mnie łzami swemi oblewał, i raz po raz wykrzykiwał: „O! jaki Bóg dobry! jak On ciebie ukochał!“ — A jam nie płakał; ale czułem, jak ciężar mój się zmniej-

szął, aż całkiem mnie tłoczyć przestał. „Przyjacielu, — dodał Proboszcz z Ars, — wrócisz do mnie jutro; tymczasem idź przed ołtarz św. Filomeny; proś ją, aby ci u Pana Jezusa wyjednała nawrócenie.“

„Nie płakałem w zakrystyi; ale wyznaję, że u stóp św. Filomeny dużo łez wylałem. A jakaż to rozkosz w łzach takich!... Jutro mam otrzymać rozgrzeszenie, a potem Ciało Chrystusowe. Księżę Dobrodzieju ofiaruj Mszą św. na uproszenie Boga, iżbym godnie przyjął tak wielką łaskę.“

Pan Massiat, wysłuchawszy Mszy św., którą za niego ofiarowałem, poszedł odebrać łaskę, do której się od dziewięciu dni sposobił. Widziałem jak z rąk ks. Vianney przyjmował Komunię św.: — szczęście rozpromieniało twarz obudwu.

Nawrócony, wyrzekł się swój uczonej wycieczki; i, spędziwszy w Ars jeszcze dziewięć dni, wrócił do domu, by w ciszy poić się swem szczęściem z pojednania się z Bogiem. Był to człowiek uczony i artysta. W czasie rewolucyi przyjął pierwszą Komunię;—a osierocony w piętnastym roku, pojechał do Egiptu z wojskowym, który sobie przybrał go za syna. Nasamprzód został muzułmaninem, potem przechylił się ku judaizmowi, wreszcie przechodził z protestantyzmu do mesmeryzmu; był kolejno uczniem sekciarzy: ks. Châtel, O. Enfantin i Cabet'a. W dwa lata po nawróceniu w Ars umarł w uczuciach szczerzej pobożności.

Cudowny zaiste skutek jednego spojrzenia! Chrystus Pan spojrział na dwu braci Szymona i Andrzeja, i tem spojrzeniem na drogę zbawienia ich pociągnął (św. Mat. IV). Spojrział na człowieka siedzącego na cle, imieniem Mateusza, i tem spojrzeniem przeniknął go (Mat. IX). Spojrział na Piotra; a niewierny apostoł, uznając swą winę, wyszedł i gorzko począł płakać (św. Łuk. XXII). Święci mają tę samą moc w spojrzeniu. Posiadając Chrystusa Pana w duszy, mają Go i w oczach, które są duszy odbiciem. Spojrzenie Proboszcza z Ars przejmowało do głębi. Westchnienie jego serca i promienie jego oczu budziły i poruszały choćby zaledwie jeszcze drżemiące uczucie poczciwe. Wielu pielgrzymów przyznawało, że, gdy po raz pierwszy spotykali się z wzrokiem Świętego, zdawało im

się, jakoby gdzieś w górę unosili się po nad wszystkie nędze tej ziemi, na które od razu stawali się obojętni. Inni znów mieli uczucie, jakoby przed nimi rozkładał się obszar jakiś bezbrzeżny i jakoby już się unosili bez trudu w te wyżyny, z których Bóg spogląda na nasz padół, ogarniając wszystkie miejsca i czasy, i oglądając powszechny tryumf sprawiedliwości swojej i swojej miłości.

Rzecz niezawodna, że ks. Vianney nawracał nietylko słowem, ale nawet spojrzaniem.

W roku 1842 wioślarz pewien przywiózł Saôną kilku podróżnych do Ars. Jak się to często zdarzało w owym czasie u ludzi z niższych warstw, i on nienawidził księży i spowiedzi, i miał na pogotowiu cały dobór szyderstw, i bluźnierstw, ile razy o nich była mowa. — Będąc w Ars, z ciekawości zajrzał też do kościoła, i zbliżył się aż do konfesyonału Proboszcza; ale nagle takiego dostał zawrotu głowy, że musiał wyjść na świeże powietrze. Lecz tajemna jakaś siła pchała go na miejsce, gdzie go miłosierdzie Boże czekało. Wrócił do kościoła, ale dreszcz go przenikał od stóp do głów; zdawało mu się, że jacyś czarni ludzie bronią mu wnieść do niego. Pobożna osoba spostrzegła jego pomieszanie i zaprowadziła do ks. Vianney, który go od razu uspokoił. Widok tej surowej i pokutą wyniszczonej postaci kapłana, tak wielkie wywarł na zatwardziałym grzeszniku wrażenie, że w jednej chwili zaczął się z całego życia spowiadać. Spowiedź ta trwała kilka dni, i przez cały czas widziało go modlącego się z wielkim skupieniem i gorącością ducha. Po otrzymaniu rozgrzeszenia i Komunii św., wrócił do domu weale innym człowiekiem.

Umiał też ksiądz Vianney w inny jeszcze sposób puścić do serc, które mu się bez oporu otwierały.

W roku 1840 przybył do Ars młodzieniec starannie wychowany przez pobożną matkę; ale jak to często się zdarza, zetknięcie się w szkole z ludźmi bezreligijnych zasad, spaczyło młody jego umysł. Przedstawiono mu błąd w ponętnej i wspaniałej postaci; nawet jego dobre nawyknięcia u domowego ogniska, uszanowanie i posłuch dla starszych były mu przyczyną zguby, pociągały go do wiary w tę bezbożną naukę nauczycieli swych, poważnych

wiekim, słynnych z nauki. Jakoż mógłby wątpić o prawdzie słowa tych, którym zwierzchność powierzyła troskę, by go wtajemniczyć w obszar wiedzy i umiejętności? Jakoż mógł, ucząc się dopiero, sprzeciwić się nauczycielom swym? Tak nieuniknął wpływu, jaki go zewsząd otaczał: począł się nasamprzód wstydzić swęj wiary, aż stał się takim sceptykiem i materyalistą, jak jego nauczyciele.

Świeżo ukończywszy nauki, zabierał się właśnie do literackich prób, gdy zasłyszał o pielgrzymkach do Ars. Udał się więc, aby zbadać prawdę, oczywiście w tem przekonaniu, że jęj tam nie znajdzie, lecz po prostu komedya i komedyanta.

Właśnie w dzień jego przybycia dwie osoby zostały cudownie uzdrowione. Niedowierzał temu; ale im więcej badał, im więcej się dopytywał, tem mniej miał prawa o tem wątpić. Dwie osoby przybyły chore do Ars, wyjeżdżały zdrowe: byt to fakt niezaprzeczony. — Postanowił zatem rozmówić się z Proboszczem. „Nie mam wiary, rzekł mu na wstępie, a przecież wyznam Księdzu Proboszczowi, że nie umiem sobie wytłómaczyć dwóch uzdrowień, których byłem świadkiem. Chętniebym chciał wierzyć w cokolwiekbądź; wdzięczny byłbym, gdybyś mi Ksiądz Proboszcz powiedział, co mam czynić, aby wierzyć.“ — „Mój przyjacielu, odrzekł Proboszcz, zbliż się do Boga a Bóg się do ciebie zbliży. Łaska Jego oświeci twój umysł i uwierzysz. Musisz się wypowiedać.“

Te słowa niezawodnie poparte wewnątrz modlitwą świętego kapłana, przejęły duszę niedowiarka. Zmieształ się, zaczął coś jąkać i po chwili wahania padł na kolana. Odszedł od konfesjonała łzami zalany i z koronką w ręku. Po miesiącu nauk i ćwiczeń duchownych w Ars wracał do domu całkiem odmieniony na duszy.

Po śmierci księdza Vianney odebraliśmy długi list zakonnika, opisującego swoje nawrócenie. Przytaczamy z niego kilka ustępow:

„Po pierwszej Komunii św. oddano mnie w naukę do jednego z krewnych, człowieka bez wiary; uczniowie jego złych nauczyli mnie rzeczy, a ja, niestety! długo, długo miałem w nich upodobanie.

„Po ukończonej nauce wróciłem do domu. Biedna matka spostrzegła zepsucie w méj duszy; z nową więc troskliwością, jaką tylko wiara Chrystusowa i miłość matki natchnąć może, zaczęła rozbudzać we mnie zamiłowanie cnoty. Nie szczędziła prośb i zaklęć, ile razy nadchodził czas Spowiedzi wielkanocnej; a jam jęj zawsze odpowiadał, że jeszcze czas, że nie lubię, ani mam w zwyczaju się spowiadać, że lepiej nie spowiadać się wcale, aniżeli źle się spowiadać, jak tyłu moich towarzysów.

„Biedna matka przestała na mnie nalegać; w cichości modliła się i łzami błagała o moje nawrócenie. Trwało to tak cztery lata. Jakie długie jęj zapewne się wydawały! Mnie zeszyły one na grzesznych rozkoszach wśród uczt, tańców, gry złych towarzystw i gorszących schadzek.

„Wracając do domu o późnej godzinie, zastawałem matkę we łzach tonącą. Jako Monika druga, żebrała u Boga o nawrócenie syna. Wyrzucała sobie, że dała życie wrogowi Boga. „O mój miły Jezu! wołała biedna, gdybyś mi go był zabrał zanim Cię obraził, byłabym miała tę pociechę, że jest u Ciebie! O Panie, nawróć go, pociągnij go ku sobie; a nie daj, aby Cię obrażał.“

Wypowiedziała te słowa z taką siłą, że mnie więcej poruszyły, niż gdybym był usłyszał mój wyrok śmierci; ale udając, że nic nie słyszę, uciekłem z pokoju. Przecież modlitwa matki tętniała mi w uszach, spać mi nie dała. — Nieszczęśliwa ona, prosiła mnie, abym przynajmniej odmawiał trzy Zdrowaś w miejsce pacierza, którego odmawiać nie chciałem. Odmawiałem więc tę modlitwę, gdyż i w największym zaślepieniu miałem jakieś nabożeństwo do Najśw. Panny.

„Od niejakiego czasu bez wiedzy matki, zawiązałem tajemny stosunek. Jednego wieczora, gdym według zwyczaju, sposobił się do wyjścia, tonem, jakim nigdy dotąd nie przemawiała do mnie, powiadziła mi stanowczo, że czas położyć koniec temu gorszącemu życiu. Ojciec, człowiek obojętny, który mi na wszystko pozwalał, poparł tą razą matkę głosem, który mnie przeraził. Rozgniewany tem wystąpieniem rodziców, postanowiłem poświęcić się wojskowości, i wkrótce potem wyjechałem do Lyonu, gdzie dalsze rozkazy odebrać miałem. Dzień zeszedł mi tam na uciechach.

„Nazajutrz, gdym poszedł do jednego z mych krewnych, z niemałym zdziwieniem zastałem tam matkę, Rozpłakała się na widok méj hulaszczéj miny i prosiła mnie jako o ostatnią przysługę dla matki, abym z nią pojechał do Ars. Wybuchnąłem śmiechem na tę prośbę. „Co? do Ars! naprawdę do Ars chce mnie Mama zawieść? przecież żołnierze nie spowiadają się. — Nie dla spowiedzi chcę cię tam zawieść; ale, abyś widział świętego.“ Zaczęła mnie prosić bardzo usilnie; a że w głębi duszy kochałem matkę, uległem jej. „No, no, trzymaj się, — żartował ze mnie jeden z mych krewnych, — aby Proboszcz z Ars nie przerobił cię na pobożnisia.“ — Odciałem mu się zniecierpliwiony, że niema obawy; bo sztuki by dokazał, gdyby grzech ze mnie wydobył.

„Wsiedliśmy do omnibusu do Ars. Matka zawiązała rozmowę z pielgrzymami; ale nudziły mnie szczegóły o Proboszczu, zasnąłem. Przybywszy na miejsce, zaprzyjaźniłem się od razu z dwoma podobnemi do mnie sowizdrzałami, którzy przyjechali tu również na prośbę matek. Moja matka zmar-twiła się bardzo tą nową przeszkodą; modliła się za mnie gorąco i polecała mnie modlitwom wszystkich pobożnych osób. Ja zaś myślałem tylko o zabawie: Ars nie było mi do smaku.

„Nareszcie udało się matce mówić z Proboszczem, który jej kazał ufać. Poszedłem na jego katechizacyą. Wycieńczenie twarzy ks. Vianney przejęło mnie; a podczas gdym mu się przypatrywał, spotkałem się z jego wzrokiem. Był tak przenikliwy, iżem zadrzał pod nim. Zdawało mi się, że w głąb duszy méj zajrzał, i wierzyłem już prawie w to, co inni o nim opowiadali, że czyta w tajnikach sumienia.

„Zaraz po obiedzie złączyłem się z mymi towarzyszami, by dowcipki stroić i przedrwiwać Proboszcza. Gdyśmy się tak w najlepsze bawili, on przeszedł obok nas i spojrzął wzrokiem tak głębokim, tak dziwnym, że trudno go opisać.

„Matka, ścigająca mnie oczyma, przyszła mnie prosić, abym poszedł za Proboszczem do kościoła i rozmówił się z nim przed odjazdem. Nie mając wcale zamiaru uleść jej prośbie, sam nie wiem jakim sposobem wszedłem do kościoła; i choć mi się ani śniło spowiadać się, stanąłem niedaleko konfesyonału w szeregu dwudziestu czekających osób. Po kilku minutach myślałem o odwrocie, gdy w tem Proboszcz z Ars wyszedł z

zakrystyi, i, idąc wprost ku mnie, dał mi znak, bym do niego przyszedł. Zmieszany poszedłem, sam nie wiedząc, co czynię. Zamknął drzwi za mną, usiadł w konfesyjale i dał mi znak abym ukląkł. Mimowolnie padłem na kolana, przeżegnałem się: byłem nieruchomy, jakby nieprzytomny. Ksiądz Vianney krótko a rzewnie przemówił do mnie, kazał mi się wpatrzeć w obrazek Chrystusa na krzyżu i począł tak płakać, że mi się serce rozrywało. Nie wiedziałem gdzie byłem, co się we mnie działo. Święty, widząc mnie płaczącego, kazał mi iść przed ołtarz ś. Filomeny odmówić pięć Ojczek nasz i pięć Zdrowaś. Była to godzina łaski dla mnie.

„Trudno mi określić, co się we mnie działo; serce biło mi gwałtownie, a straciłem wszelkie uczucie, byłem jak martwy. Przyszedłszy do siebie, ocknąłem się całkiem innym człowiekiem. Łzy mnie dławily; wybiegłem na świeże powietrze, bom tchu dostać nie mógł. Dwaj moi towarzysze poczęli ze mnie żartować. Coś taki zmieniony? bodajnieś nawrócony? — Być może, odciałem im się niechętnie i poszedłem dalej, tak mi było potrzeba wypłakać się w samotności.

„Na zapewnienie ks. Proboszcza, że mogę sam pozostać w Ars, matka moja z pociechą i nadzieją w sercu wyjechała. Po sześciu dniowych rekolekcyach nie odebrałem jeszcze rozgrzeszenia; lecz Proboszcz kazał mi do siebie wrócić za dwa miesiące. Strasznie długi mi się ten czas wydawał; a okropną mi była myśl, że jest wrogiem Boga. Po sześciu tygodniach wróciłem do Ars, dobry ojciec poznał mnie od razu. Odebrawszy rozgrzeszenie, zapytałem go o moje powołanie; po chwili namysłu odpowiedział mi stanowczo, że zawód żołnierski nie dla mnie, że mnie Bóg woła do doskonalszego stanu, ale że mi trzeba czekać sześć miesięcy.

„Klasztor nigdy mi się nie zamarzył, a przecież jak z nieba powitałem myśl wstąpienia do Zgromadzenia zakonników poświęconych kształceniu młodzieży. Pilno mi było urzęczywistnić ją, — i od lat szesnastu cieszę się na zapłatę, którą Pan obiecał z lichwą oddać tym, co wszystko opuszczają a pójdą za nim.

„Nie mało miałem do znoszenia szyderstw i urągania od dawnych moich towarzyszy rozpusty; wytykali mnie palcem na ulicy, nazywając waryatem, bigotem, któremu Proboszcz z Ars

w głowie przewrócił. Raz chcieli mnie przemocą zanieść do kawiarni; a zdarzało się, że chcieli mnie odwieść od słuchania Mszy św. w niedzielę, lecz oparłem im się stanowczo.

„I szatan nie zasypiał. Jednego wieczora, gdym przed obrazem Najświętszej Panny odmawiał koronkę, straszliwy potwór, prawdopodobnie szatan, wił się przedemną i pieniał od wściekłości.

„Pośród tych utrapień, jedno ćwiczenie było mi wielką pociechą. Powtarzałem sobie często ustępy z Pisma św., które umiałem na pamięć od młodych lat, a szczególnie uspokajały mnie słowa Zbawiciela: „Błogosławieni, gdy wam świat będzie złorzeczył dla mnie.“ Również nigdy się w ufności do Najświętszej Panny nie zawiódł. Oby ta matka najmiłsza raczyła mnie mieć pod swoją opieką i błogosławić mi, a ani piekło, ani świat nie odłącza mnie od Pana mego Jezusa Chrystusa.

Nawrócony grzesznik

P. M. B. Brat marysta.“

Jedną z największych anomalii na świecie jest kobieta bez wiary: a jednak są takie nieszczęśliwe istoty! — Nie-wiara u kobiety pochodzi ze zgryzoty sumienia, którą Bóg dotyka gdy karze, a nie leczy.

Przybyła do Ars jedna z tych istot, kobieta wielkiego świata, ofiara spalonego wychowania, które rozwinęło w niej siłę popędów zmysłowych; a potem w świecie, ofiara tych zepsutych obyczajów, które nakazują ubóstwiać złe skłonności i przyklaskiwać ułomnościom. Doszła już do tego, że bluźniła przeciw prawdom, które ją potępiały; wyszydzała cnoty których nie posiadała; potępiała obowiązki, od których się samowolnie uwolniła. — Do Ars przywiodła ją jakaś ciekawość; a raczej miłosierdzie Boże pociągnęło ją tam po łaski, na które niezasłużyła. Na wstępie stała się widzieć z Proboszczem. Co sobie nawzajem powiedzieli, któż to wiedzieć może. Wiadomo tylko, że słowo świętego Kapłana, jakby gromem z nieba przerażało światowe kobiety. I ta, o której mowa, taka pyszna i wyniosła, ze łzami padła mu do nóg, obiecując wszystko uczynić, cokolwiek jój rozkaże. Po rekolekcyach, udała się wprost do klasztoru, gdzie się poświęca usłudze ubogich Chrystusowych. Nawrócenie to jest z r. 1845.

Jak często widzimy w stadłach małżeńskich bolesne

rozdwojenie ducha, gdy żona chrześciana, a mąż obojętny, lub wcale niewierny. Mamy tu na myśli jednego z najczulszych, z najwinniejszych mężów, i najwierniejszą a najniezszczęśliwszą żonę. Jój niezszczęście równało się tylko poświęceniu jój bez granic. Od dziesięciu lat żebrała u Boga o nawrócenie męża, i w gorzkim smutku wyrzucała mu nieraz, że miłosierdzie swe tak opóźnia. Czasami na ukojenie straszego bólu potrzeba jój było we łzach i modlitwie wylewać, czem serce było wezbrane. Pojmą ten stan czytelniczki, które proszą Boga o nawrócenie ojca, męża, brata. Nagle mignął jój promyczek nadziei. Interes kupiecki powołał p. N. do Lyonu; po ukończeniu go, i ona zaproponowała mężowi niedaleką przejażdżkę do Ars, gdzie wszyscy ciekawi widzieć Proboszcza. Projekt został przyjęty: była to pierwsza łaska Boża.

Żona po rozmowie z ks. Vianney, nasunęła mężowi, czyby się nie chciał widzieć z człowiekiem tak nadzwyczajnym. Mąż i na to się zgodził, bezwiednie ulegając po raz drugi łasce Bożej. Wszedłszy do zakrystyi, rozpoczął od świetnych komplementów o sławie Proboszcza, który przyjmował je z wielkiem zakłopotaniem. Następnie rozmowa przeszła na rzeczy obojętne; a gdy p. N. zabierał się wreszcie odejść, ks. Vianney rzekł mu: »Przyjacielu odchodzisz, a przecież masz mi jeszcze coś powiedzieć. — Nie ks. Proboszczu, jam tylko pragnął złożyć ci moje uszanowanie.« Sługa Boży utkwiał w niego załzawiony a głęboki wzrok, w którym się najtkliwsza czulość ojca i światło proroka skupiły. „Uklęknij tu, — rzekł mu, wskazując na konfesyonał. — Ależ ks. Proboszczu nie przyszedłem tu dla spowiedzi, nie jestem do niej przysposobiony.«

Lecz sługa Boży nie odwracał od niego promienistego swego wzroku, który zdawał się mówić: »Dziecię moje, nie opóźniaj, nie puszczę cię aż się do Boga nie nawrócisz. On zaś bronił się: Ks. Proboszczu, nie mogę się spowiadać, nie myślałem o tem wcale, muszę się zastanowić. Tymczasem, powtarzając, nie mogę, mimowoli padł na kolana i zaczął odmawiać: Spowiadam się Panu Bogu Wszehmogącemu itd. Nazajutrz miał drugą rozmowę, w której ostatnich sił dobył, by walczyć przeciw łasce. Wypadł od konfesyonału, i, wzburzony, przebiegł kościół,

nie pokłoniwszy się przed ołtarzem. Biedna żona, wylękniona, śpieszy za nim, dopytuje co mu jest; ale on jej się nie tłumaczy, tylko rozpaczliwym głosem powtarza: wyjeżdżajmy, wyjeżdżajmy ztąd.

Pani N. wszystkich znajomych wywołała, aby uspokoił męża, aż wreszcie przestał mówić o wyjeździe. Nazajutrz poszedł na Mszę Proboszcza, i zaledwo ujrzał go u ołtarza, zmięкло mu serce. Poszedł za nim do zakrystyi; dokończył rozpoczętą spowiedź, po której, zmieniony, nie do poznania, kilka dni przebył w kaplicy N. Panny, w katechizmie badając boskie prawdy, nad którymi nigdy się nie zastanawiał.

Nie będiem opisywali szczęścia jego żony. Na pamiątkę otrzymanej łaski, urządziła w domu swoim kapliczkę, gdzie przed figurą Matki Boskiej cały dom wraz z gośćmi wspólny odmawiał pacierz.

W r. 1842 sława ks. Vianney zwabiła do Ars znakomitego męża. Gdy wszedł do zakrystyi i ujrzał Proboszcza, silnego widać doznał wrażenia, kiedy mu się rzucił na szyję i długo, długo go ścisnął. Proboszcz nie bronił mu się, ani okazał zdziwienia; ale po chwili, wskazał mu konfesyonał, dodając: „Przyjacielu, uklęknij tu, wysłucham cię spowiedzi.“

I człowiek ten, który od lat czterdziestu się nie spowiadał, przejęty powagą sługi Bożego, odprawił pod jego przewodnictwem kilkodniowe rekolekcyje, i pożegnał go dopiero, kiedy dopełnił wszystkich powinności chrześcijańskich.

W tymże roku, przybył do Ars starzec wraz ze swoją siostrzenicą, pragnącą poradzić się o wybór stanu.

»Przyjacielu, — rzekł mu Proboszcz, skoro go spostrzegł, — przychodzisz do spowiedzi? — Nie, — odparł tamten zmieszany tak niespodzianem zapytaniem. Przyjechałem tak też, dla towarzystwa méj siostrzenicy. Gdy tylko odbierze odpowiedź ks. Proboszcza, wracam zaraz do domu.« — »Ba! ba! — odparł ks. Vianney, — trzeba korzystać ze sposobności; może się drugi raz nie zdarzy. Jam stary i pan nie młody. Niejeden z naszych rówieśników zeszedł już ze świata. Pomiedzy nimi byli i tacy, co odrzucali miłosierdzie Boże, i których łaska też potem opuściła. Nie czekajmy jutra, mój przyjacielu; bo jutro też

na nas czekać nie będzie.« To wszystko bardzo pięknie, mój księże Proboszczu, ale ze spowiedzią nie idzie tak prędko. Musiałbym tu kilka dni pozostać, i dużo pieniędzy wydać.«

Ostatnie te znaczące słowa wyjaśniły Proboszczowi, kogo ma przed sobą; uśmiechnąwszy się, rzekł: »Eh! mój przyjacielu, o to się nie troszcz; gdy ci pieniędzy przybraknie, służę ci.« — »No! ks. Proboszczu, — odparł urażony starzec, — wystarczy mi, co mam; jałmużny nie potrzebuję.... Toć mój drogi nie żałuj twych pieniędzy dla twego zbawienia; w ten sposób użyjesz ich najlepiej. Chrystus Pan powiedział: Cóż człowiek da w zamian za duszę swoją? Pogódź się z Bogiem coprędzej, nie żałuj czasu dla tej ważnej sprawy.... corychlej wypowiadaj się...« — Po tej nauce starzec nawrócił się niezwłocznie.

W maju r. 1856 widzieliśmy nagle nawrócenie ośmdziesięcioletniego starca. Był on tak bezbożny, że nieustannie bluźnił, a wspomnienie Boga i Proboszcza z Ars do wściekłości go doprowadzało. Ks. Vianney nazywał starym czarownikiem lub starym obłudnikiem... Święty uprzedzony o tem wszystkim, wiedząc, że niemożna było namówić go do kościoła, poszedł do niego; padł przed nim na kolana: »O zlituj się, ratuj twoją duszę!...« Starzec łzami się zalał i nawrócił się.... Przez cały czas pobytu swego w Ars dzień i noc odmawiał Zdrowaś Marya. Proboszcz przychodził go spowiadać z rana i na wieczór. Wreszcie pobożne przyjęcie Komunii św. utrwaliło powrót do Boga tego najemnika w jedenastej godzinie życia.

Sylvian Dutheil z Clermont w szesnastym roku został żołnierzem. Nieporządne życie wpędziło go w ciężką chorobę piersiową, skutkiem której musiał wrócić pod dach rodzicielski. Przechodząc ulicą, spostrzegł w oknie sklepowym fotografią Proboszcza z Ars, i począł się z niego wyśmiewać. Gdy towarzysząca mu siostra łajała go o to, dowodząc, że gdyby miał wiarę, mógłby od niego uzyskać uzdrowienie; on tem złośliwszemi wybuchnął dowiecipami. Lecz następnej nocy osobliwszy miał sen. Widział Proboszcza z Ars, z uśmiechem podającego mu jabłko zgniłe, choć pozornie dość jeszcze zdrowe.

Sen ten uczynił wrażenie na suchotniku; rzekł więc do matki: »Ten stary Proboszcz nie jest tak straszny, jakem go sobie wystawił; chciałbym pojechać do niego.« Uszczęśliwiona matka ruszyła w podróż niezwłocznie. — Ks. Vianney odwiedzał chorego codziennie, rozmawiał z nim długo. W sobotę, gdy po Komunii św. zanesiono go do ogrzewanej zakrystyi, zawołał z uniesieniem; O! jakem szczęśliwy!... nigdy w życiu nie doznałem takiej rozkoszy... Rzucił się matce w objęcia i rzekł jęj ze łzami: »Jestem tak uszczęśliwiony tą Komunią św., że nie czuję bólu; już nie opuszczę tego świętego człowieka, pragnę tu umrzeć.« Tejże nocy oddał Bogu ducha.

Nazajutrz w wykładzie katechizmu Proboszcz z Ars wspomniał tę śmierć młodzieńca: »Biedne dziecko a szczęśliwe teraz! Winienem mu był staranie, skoro on dawniej źle o mnie mówił. Ach! jakże on teraz szczęśliwy!... Widzicie, moje dzieci, niedość to dobrze zacząć, ale sztuka dobrze skończyć.«

Przy innėj okoliczności powiedział odnośnie do tego przedmiotu; »Jak to Bóg dobry wszystkiego ku swym celom używa, kiedy i obrazisko moje do dobrego niekiedy pobudza.«

Pomimo te wszystkie nadzwyczajne łaski, ks. Vianney był smutny i nikt nie znał powodu jego smutku. Zapytany raz o przyczynę, odpowiedział: »Widziałem się u wrót piekła, a to rzecz straszna!..«— Przypuszczano, że się ofiarował Bogu za umierającego młodzieńca. Pocieha, jakięj doznał w kilka dni po jego śmierci, a o której wspomnimy w dalszym ciągu, potwierdzi to mniemanie.

Jednego dnia wszedł do zakrystyi człowiek, wzięciem swoim, mową i całym układem świadczący, że do wielkiego należy świata. Bo i możnych pociągała woń cnót świętego Kapłana i oni ulegali ich urokowi. — Nieznajomy zbliża się z ukłonem; — a gdy Ksiądz, przypuszczając, że o spowiedź prosi, wskazał mu klęcznik, pan śpiesznie się tłumaczy: »Nie przyszedłem tu dla spowiedzi, lecz dla omówienia niektórych rzeczy z ks. Proboszczem.«— »O mój panie, toś się źle wybrał, bo ja rozprawiać nie umiem;... ale, jeśli ci potrzeba pociechy, uklęknij tu — i wskazał na

konfesyonał — wierz mi, wielu tu już przed panem przyklęło i nie żalowali tego «

»Ależ miałem zaszczyt już raz ks. Proboszczowi oświadczyć, że nie przyszedłem się spowiadać; a to z bardzo prostej i logicznej przyczyny, że nie mam wiary. Nie wierzę ani w spowiedź ani w cnotę.«

»Biedny przyjacielu, nie masz wiary! żal mi cię prawdziwie... Żyjesz w ciemności; i ośmioletnie dziecko, znające katechizm, więcej umie, od ciebie. Zdawało mi się, że bardzo ciemny; ale widzę, żeś pan ciemniejszy odemnie, skoro nie znasz rzeczy, które każdy chrześcjanin wiedzieć powinien.... Nie masz pan wiary? tem więc silniej będę nalegał, dla twego dobra, abyś tu ukląkł i wyspowiadał się. Spowiedź doprowadzi pana na pół drogi do wiary.«

»Ależ księżę Proboszczu! radzisz mi odegrać komedię z tobą, nie co innego; a proszę wierzyć, że wcale do tego nie mam ochoty, nie jestem komedyantem.« — Powiadam panu uklęknij tu.«

Łagodność, a zarazem stanowczość głosu ks. Vianney, wsparta łaską Bożą sprawiła, że wielki pan mimowolnie i mimowiednie padł na kolana; przeżegnał się po raz pierwszy od dawnych lat i z pokorą winy swoje wyznał. Wstał nie tylko z pociechą, ale i z wiarą w sercu; przekonany, że praktyki nakazane przez wiarę najprędzej do téj Boskiej cnoty prowadzą.

Wychodząc z zakrystyi, gdzie odnalazł od tak dawna pożądaną pokój, świeżo nawrócony niedowiarek wołał z radością: »Cóż to za człowiek! nikt jeszcze tak do mnie nie przemówił, jak on; a jednak, gdybym był kogoś podobnego spotkał, byłbym od dawna się wypowiadał.«

Gdy Proboszcz przechodził z kościoła do plebanii, do nogi mu się rzucił, prosząc o błogosławieństwo.

W żywocie W. O. Ravnigan. onego znakomitego Jezuity, którego papież Grzegorz XVI apostołem Paryża nazywał, czytamy, że on tych samych używał sposobów do nawracania niedowiarków lub wątpiących. Po swych konferencyach w roku 1841 pisał do Generała Towarzystwa: »Wielu przychodziło do mnie na dysputy religijne; a jam im odpowiadał: Wierzcie mi, jeden jest sposób na waszą

wątpliwość; ukłękniście tu: i wszyscy, z wyjątkiem jednego, wypowiedali się. *)

Miał słusność Pascal gdy powtarzał zdanie któregoś z świętych: »Uklęknij, przeżegnaj się święconą wodą, odmawiaj koronkę, czyli: unź pychę twego rozumu, uczyn akt pokory; bohatyrskiem wysileniem pozostań w tem ukorzeniu, tak miłem miłosierdziu Boga, że ściąga niepowstrzymany strumień łaski.« — Jest to rzeczywiście jeden jedyny sposób, żeby się nawrócić. O! gdyby ci, co wiary nie mają, a pragną jęć, zechcieli się wraz z nami przeżegnać święconą wodą; gdyby zechcieli z nami odmawiać koronkę: a zaledwoby uklękli, zaledwoby się przeżegnali i uderzyli w piersi, a jużby wierzyli, kochali i ufali z nami. Wielu chciałoby wierzyć, jak powiadają, zazdroszą innym wiary. Gdyby zrozumieli swą nędzę; gdyby pojęli, jak trudno żyć bez Boga; gdyby ku Niemu oczy swe zwrócili: jużby się pociąg w nich rozbudził, pociąg zbudziłby pragnienie; a Bóg wysłuchuje serce spragnionych sprawiedliwości. Gdybyśmy łaknęli i pragnęli sprawiedliwości, bylibyśmy wnet nasyceni. Lecz niestety, tak rzadko pragnienia nasze są szczerze.

Nawracał nie sam już tylko Proboszcz z Ars: wpływ jego świętości i jego modlitwy roztaczał się dokoła niego, i udzielał jakiejś mocy jego współpracownikom. Doznali tego często misjonarze, którzy mu pomagali w pracy duchownej.

W r. 1856 każąc na miesiąc Maj w Ars, widzieliśmy z konfesyonału młodego człowieka, który niespokojnie i nieśmiało zaglądał do kaplicy, i który po wahaniu niejakiem pokornie przykląkł do spowiedzi. Co się działo pomiędzy nami, to zostawimy Bogu samemu. To tylko powiedzieć mi wolno, że nie często dano nam było widzieć w duszy tak nagłe, stanowcze i cudowne zwycięstwo łaski. Nawrócenie to jest jednym z najmiłszych wspomnień życia naszego.

Jakim sposobem młodzieniec ten dostał się do Ars? Otóż na dwa dni poprzednio, w kółku uczniów powstał spór w sprawie cudów; roztrząsano ją po studencku, jak

*) Życie Ojca Ravignan przez O. de Ponlevoy.

młokosy czynią. Szczęściem, znalazł się w tem gronie człowiek światły i poważny, który rzecz tę wziął w obronę. Po wielu jasnych wywodach tak kończył: »Zresztą, moi panowie, jeśli chcecie widzieć cuda, a macie dwadzieścia franków w kieszeni; wsiądźcie na kolój do Lyonu, i jedźcie do skromnej wioski nad rzeką Saôna. Dwadzieścia lat temu, nikt jej jeszcze nie znał; dziś przeszło pięćdziesiąt tysięcy pielgrzymów odwiedza ją rocznie; tam zobaczycie cuda... — Czemużbym tam nie miał jechać, — zawołał jeden z młodych, — rzecz warta widzenia...«

Pojechał więc oglądać cud, nie domyślając się, że sam będzie przedmiotem cudu. A wieleż to podobnych wypadków naliczyłoby mogli moi współbracia zakonni!

Kończymy rozdział opisem jednego z ostatnich cudów Proboszcza za życia.

P. Oriol, jeden z tych ludzi, który z przywiązania do świętego Proboszcza poświęcił się usłudze pielgrzymów, pisze: »10 czerwca 1859 powitałem w Ars znajomego mi kupca, który pragnął widzieć się z ks. Vianney. — »Zona, powiedział mi, — opuściła mnie przed dwoma miesiącami; nie wiedziałem, gdzie się obraca, aż świeżo znalazłem ją w jednym z lyońskich klasztorów. Prosiłem ją, aby wróciła pod jeden dach zemną; ale daremno. Nie dziwię się, że nie chce opuścić swego zacisza; bom ją bardzo unieszczęśliwił. Obiecałem jej poprawę i przyrzekłem jej, że odprawię rekolekcyę w Ars. Przyjęła moje obietnice; ale pod warunkiem, że jej przywiozę list od ks. Vianney z świadectwem, iż rzeczywiście dopełniłem religijnych powinności.«

»W mojej obecności człowiek ten mówił z Proboszczem przed plebanią. Po pierwszej jego spowiedzi ks. Vianney podyktował mi te słowa do jego żony:

»Widziałem męża Pani, odprawia tu rekolekcyę. Radzę Pani połączyć się z nim; a będziesz szczęśliwą, jeśli spełnisz obowiązek.

Z uszanowaniem

J. B. M. Vianney,
Proboszcz z Ars.«

Kupiec wysłał ten list żonie; nazajutrz spowiadał się drugi raz i dokończył tego aktu w dzień Zielonych Świątek. Jak mi wyznał, od dwudziestu pięciu lat nie przy-

stepował do Sakramentów św. — Niemogąc się doczekać żony, pojechał po nią do Lyonu, gdy ona właśnie była w drodze do Ars. »O jakżem szczęśliwa, — mówiła do mnie, jakiejże mi łaski Bóg tak niezasłużenie udzielił.«

Trudna do opisania radość obojga pogodzonych małżonków. Pan N. obiecywał sobie wrócić jeszcze do Ars dla doskonalszej poprawy swego życia; ale śmierć ks. Vianney nie pozwoliła mu skuteczniej tego pobożnego zamiaru.

Podobne sceny powtarzały się kilka razy na dzień. Pewien proboszcz mówił nam, że ma w swojej parafii dziesięciu ludzi nawróconych przez Bożego sługę. Inny utrzymywał, że łatwoby rozróżnił pomiędzy swojemi owieczkami te, które odbyły pielgrzymkę do Ars.

Niewiem, czy była osoba, któraby się nie była dała przekonać Proboszczowi. Chrystus Pan dał mu bowiem ten sam dar przekonywania ludzi, co kiedyś apostołom, gdy, wysyłając ich na cały świat, nazwał ich rybitwami ludzi. Gorliwość i troskliwość swą okazywał głównie grzesznikom. Im głębiej dusza była zagrzęzła w występku, tem czulszą okazywał jej litość, z tem większą cierpliwością, dobrocią i usilnością starał się wydrzeć ją szatanowi, aby ją złożyć w objęcia Zbawiciela. Wiedział, że grzesznik nie zna już pomocy Boga i sumienia, tych dwu obrońców duszy niewinnej. On nie śmie podnieść oczu do Boga, którego obraził; nie śmie zajrzeć w głąb serca swego, wiedząc, że tam sama zgryzota go spotka. Ostatnią ucieczką grzesznika jest współczucie kapłana.

Lzy świętego Proboszcza stawały się gojącym balsamem Samarytanina dla zranionego sumienia. Święty zgłębiał, oczyszczał i zarazem leczył te rany. Leczył równie łatwo rany świeże, jak zastarzałe zepsuciem; a co osobliwsza, nawrócenia przez niego dokonane były stałe. Ludzie oddani życiu zmysłowemu, skłonni do namiętności zwykle nieuleczonych, istoty upadłe do ostatniego poniżenia i zezwierzęcenia, nagle ulegały sile łaski, jaka przez niego działała. Znamy sześćdziesięcioletniego pijaka, który po nawróceniu, nigdy do swego nałogu nie wrócił; i, jak proboszcz jego świadczy, jest najgorliwszym z jego parafian; przystępuje do Sakramentów św. co miesiąc; w niedziele przychodzi wraz z żoną na pacierz wieczorny; a unika ulic,

gdzie są karczmy, aby nie spotkać dawnych towarzyszków kieliszka.

I ci, którzy najmniej myśleli o rzeczach Bożych; ci, którym światowe wyobrażenia nie dały zrozumieć Proboszcza z Ars, doznawali pod wpływem jego słowa jakiegoś niepokoju, który ich zniewalał do życia lepszego. Mimo ciemności i skaz grzechowych, w każdej duszy ziarno prawdy i cnoty tak głęboko jest wszczepione, że, gdy tylko piękno prawdziwie zajaśnieje przed nią, ona je poznaje, i wyznaje jakoby przez jasnowidzenie, jak Apostół poznał Chrystusa Pana nad morzem Tyberyadzkim, wołając: »*To On! — Dominus est.*«

Piękno prowadzi do dobra, podnosi i oczyszcza. Wiele osób czuło serdeczną potrzebę, żeby mieć już sumienie czyste, nim się zbliżą do służby Bożego: a tem więcej zachować czystość, gdy go już raz widzieli i słyszeli. Promienny obraz jego świętości bronił ich od złej myśli, od podłych i brudnych pragnień. Rozrzewniona ich dusza większą miała odrazę do złego, a łatwiej przyjmowała dobre. Wszyscy czuli się przykuci do niego, radziby z nim pozostać na zawsze.

Dla innych świętość jego była wyrzutem sumienia. Mimowolnie porównywali swoje życie z jego przykładem: i czuli się upokorzeni i zaniepokojeni w sumieniu.

Ks. Vianney lubił przytaczać słowa biednego grzesznika, który mówił mu z uniesieniem radości: „O mój Ojcie! jakżem szczęśliwy! żeby mi kto dał tysiąc franków, nie oddałbym mu méj Spowiedzi. Do tego czasu miałem tu dziurę, przepaść całą, pokazywał na serce — Ojciec zappełnił tę dziurę: i teraz mi dobrze, wszystko pełne, radość moja zupełna.“ „Taka radość będzie w niebie.“

ROZDZIAŁ VI.

Dar pocieszenia — Ks. Vianney.

„Nie zaniechiwaj płaczących cieszyć, a z płaczącymi chódź. (*Ekl. VII, 98*).

„Ale dusza, która smutna jest dla wielkości złego, a chodzi skrzywiona i zemdłona i oczy ustawające, a dusza łaknąca, oddaje chwałę i sprawiedliwość Panu.“ (*Baruch III, 18*).

„Z ust człowieka roztropnego płynie miód. Słodycz miodu jest pod językiem jego, a usta jego wylewają go.“

Oprócz chorych i grzeszników, najwięcej cisnęło się do ks. Vianney strapionych. Niestety! tylu ich na tym smutnym łożu padole, że zaiste! potrzebna im jakaś ucieczka, przytułek jakiś.

W ciasnych murach kościółka w Ars dniem i nocą cisnęły się mianowicie wszystkie nędzy i niedole świata. Ostateczności takie, jak potęga i bieda, zbytek i nędza tuż stawały obok siebie. Wszyscy cierpieli w życiu i wszyscy krwawe w boju odnieśli rany; ze wszystkich skarga płynęła na losy zawistne. Wszyscy z tą samą serdecznością i współczuciem przyjmowani byli przez Proboszcza; a jeżeli w dowodach czułości były jakie odcienia i stopnie, to chyba na korzyść najuboższych, najwięcej burzą nieszczęść zgnębionych, a uginających się pod największym niedoli ciężarem.

Co westchnień, co zwierzeń, co jęków żalonych odbiło się o te mury! Rozdzierały one nieraz duszę księdza Vianney; a wtedy przerywał sobie mowę, ręce składał i błagalne, łzami zalane oczy ku niebu wznosił. W oczach tych i współczuciu świętego nieszczęśliwi pier-

wszą czerpali pociechę i niejako zadatek błogosławieństwa Bożego. Każdy w nim znajdował jakoby źródło ożywcze dla siebie: młodzieniec, siłę przeciw złym skłonnościom; dziewice, ostateczne rozstrzygnięcie o powołaniu swoim; matka rodziny, moc do poświęcenia się, radę w trudnych razach, i pociechę w smutku; mąż dojrzały, przebaczenie win swjej młodości; starzec, łaskę dobrej śmierci. Przy nim cichły dręczące niepokoje; występki i hańba się zacieraly; krzepiła się niemoc w pokusach i zniechęceniu; przy nim pierzchała rozpacz i chęć samobójstwa. Ktokolwiek się do niego zbliżył, wracał raźniejszy na duchu, ufniejszy i spokojniejszy o przyszłość, i oddany na wolą Pana.

Potęzną miał Święty nasz moc pocieszania. Zaledwo usta otworzył, jednym słowem godził w samo jądro złego, jednym słowem leczył rany serca i koił jego cierpienia. Łagodził najzjadliwszy, najwięcej dojmujący żal, największą goryczą i namiętnością zatruty gniew; a to prostem, niewyszukanem słowem, bez onych sposobów wielorakich, którymi ludzie górują nad drugimi, porywają umysły i podbijają serca. On nic nie mówił sam przez się: Bóg mówił przez niego, i przez niego działał.

Młoda matka pięciorga drobnej dziatwy, z rozpaczą zegnała je na łożu śmiertelnem. Proboszcz z Ars pospieszył do niej, i tak pocieszył, że nietylko woli się Bożej poddała, ale złożywszy Mu swe życie w ofierze, pragnęła umrzeć, i umierała szczęśliwa, że może doskonalej powierzyć przyszłość swych dzieci Wszechmocnemu Ojcu niebieskiemu.

Znaliśmy matkę, rozpaczającą, jak Rachela po zgonie jedynego syna swego. Ks. Vianney zaczerpnął u Boga słowa takiej pociechy, że boleść jej ukoił od razu.

Pan C. po śmierci żony przywiózł do Ars siedmioro drobnych swych sierotek. Święty Proboszcz pełen współczucia dla jego smutku, z takim mówił uczuciem o anielskich cnotach zmarłej i o próżni, jaką po sobie zostawiła, jak gdyby ją był znał najlepiej. Osieroconemu ojcu i dzieciom wskazał Boga na miejscu téj, którą im zabrał. Podźwignął ich myśli w smutku pogrążone; a nie odrywa-

jąc ich od mogiły ukochanej, ku Bogu je zwrócił, a tem samem strapione serca pocieszył.

Podobną usługę oddał O. Hermannowi, łagodząc jego ból dojmujący po zgonie matki zmarłej w religii żydowskiej.

Jeden z naszych przyjaciół stracił brata bardzo nieszczęśliwego w Nowym Orleanie. Ludzie odpłacali usługi jego niewdzięcznością; słusznie więc można było przypuszczać, że przykrości doznane, zatrądy ostatnie jego chwile. Przyjacielowi naszemu potrzeba było pociechy i rozbudzenia ufności, by nie zwątpił o zbawieniu brata. Zwierzył się ze swem cierpieniem Proboszczowi, który mu obiecał odpowiedź nazajutrz po Mszy św. Nazajutrz ze łzami w oczach powiedział mu wzruszony: „Módlmy się, przyjacielu, brat twój potrzebuje modlitwy. — A więc, zawołał nasz przyjaciel, on zbawiony!... — Zbawiony, ale się módlmy, bo cierpi bardzo — będzie wyzwolon.“

Spotkały się w Ars dwie matki w żałobie; dwie matki, które wszystkie swe nadzieje w grobie złożyły. Obecnie sobie, poznały się przecież od razu; bo podobno nie tak serc nie zbliża, jak wspólna boleść. Wyciągnęły ku sobie ręce i zapłakały nad sobą. Tym sposobem, przed widzeniem się z ks. Vianney już jedna w drugiej znalazła jakąś otuchę do cierpienia.

Jedna z tych kobiet była silną chrześcianką, zahartowaną w ćwiczeniach pobożnych, w modlitwie i dobrych uczynkach. U stóp ołtarzy, gdzie zwykła była spędzać godziny, z nieustraszonem mężstwem przyjmowała godzące w nią ciosy. Trzech synów śmierć jej zabrała, a w nich zgasł ród świętego imienia.

Druga nieszczęśliwa była obojętną dla wiary, w jakiej wychowana została. Płochą, biegała za zabawą, i tak wpośród rozkoszy świata, jego czechych dymów, uśmiechów i złudzeń uderzył w nią grom straszliwy: syn jej kochany, jedyny umarł. Ją pierwszą przyjął Proboszcz z Ars; wysłuchał jej skarg i płakał z nią razem; mówił do niej z współczuciem i dobrocią, kazał jej ukłknąć, i sam ukłknąwszy, wraz z nią począł się modlić. Ojciec dla córki ukochanej nie byłby czulszy. Inaczéj postąpił z niewiastą chrześciańską. Nie wymawiał

jěj łez, ale stanowczo ukazał jěj niebezpieczeństwo, płynące z zbytecznego smutku. Ponieważ zas miała prawo spodziewać się zbawienia utraconych dzieci, zgromił jěj to ziemskie, przyrodzone i samolubne przywiązanie, w którym zapomina o szczęściu swych synów. To biedne rozbite serce podniósł znów wysoko na skrzydłach wiary, krzepiąc jěj odwagę goryczą krzyża, tak jak tamtėj słabėj niewieście podał za ochłodę miód i maleko pociechy przeznaczonėj dzieciom.*)

Poniżej podajemy kilka listów, w których zasmuceni i strapieni wyznają cudowną moc pocieszenia ks. Proboszcza z Ars.

Pewien duchowny pisał do niego :

„Wielebny Bracie! Godna i pobożna rodzina, której wiadoma znajomość moja z Tobą, prosi mnie, abym polecił twym modlitwom i twojemu miłosierdziu młodą osobę, jadącą do Ars. Skutkiem cierpień fizycznych popadła w wielkie cierpienia moralne. Potrzeba jěj więc zachęty i pociechy, której nikt na świecie nie jest zdolny jěj udzielić tyle, co ty.“

Z innego listu podajemy kilka ustępów :

„Od tylu lat martwię się stanem mojej biednej siostry, a pierwszą pociechę przyniósł mi dopiero list twój, zawierający iskierkę jakiejś nadziei.“

„Niech Bóg błogosławi Księdzu Proboszczowi za jego dobroć i współczucie, którego mi nikt nie okazał. Przeciwnie, gdy ludziom mówiłam o mej biednej siostrze, pragnąc jakiego słówka pociechy dla niěj, potępiali ją surowo i nikt nie chciał wyrozumieć, że jěj stan jest niezależny od woli.... Modlitwy świętego miały przynieść nieco ulgi tej biednej duszy. Gdy widzę powozy przybywające z Ars, zbliżam się do podróżnych, wypytuję o wszystkie szczegóły dotyczące Proboszcza, nasycić się nimi nie umiem, i żałuję, że nie mogę częściej tam zażywać tego rzadkiego na ziemi szczęścia. Chciėj raz po raz prosić świętego Proboszcza o błogosławieństwo dla przywiązanych do niego i wdzięcznych serc naszych.“

„Słowa czcigodnego Proboszcza i jego modlitwy są dla mnie rosą ożywczą. Nie będę się siliła na wyrazy dziękczynne,

1) Sługi Boże. Tom I. Proboszcz z Ars.

bo zrozumiecie mą wdzięczność. — Niech wam Bóg odpłaci za pociechę, jaką mi dajecie po tylu trwogach i niepokojach. Jutro w łączności z wami z radością rozpocznę nowennę i pójdę za radą świętego Proboszcza. Modlitwy jego i pamięć na jego słowa dały mi pokój w chwilach najwyższego udręczenia. Zdanie jego zawiera niewyczerpany przedmiot do rozmyślenia; ufam, że Bóg da mi łaskę korzystać z niego.

„Myśl, że taki święty człowiek będzie się za mnie modlił, dodaje mi odwagi. Bóg ciężko rodzinę naszą dotyka, ale z widocznem miłosierdziem.

„Upadam do nóg świętego Proboszcza, przypominając mu jego obietnicę.“

Następny list odebraliśmy w pare dni po śmierci sługi Bożego:

„Proszę Boga, aby mi dał jeszcze być w Ars: tak mi potrzeba odetchnąć czystem jego powietrzem. — Za życia tego drogiego Świętego byłem spokojny, bo pewny, że zaczerpnę u niego światła i siły. Kilka razy do roku przychodziłem orzeźwiać się u tego źródła, czerpać z niego odwagę do życia i moc do pokonywania trudności na każdym kroku. Bo każdy wychodził od niego wzmocniony i nadzieją uweselony. Dziś jestem jak okręt rozbity...

„Trudno wyrazić, jaką próżnią taki człowiek zostawia po sobie na świecie.“



ROZDZIAŁ VII.

Skuteczność modlitwy ks. Vianney.

„Modlitwa korzącego się przeniknie obłoki: ani będzie pocieszona, aż się przybliży, a nie odejdzie, aż Najwyższy wejrzy. A Pan nie odwlecze.“

(*Ekklez. XXXV, 21*)

„Pan wysłuchał świętego swego, który go wzywał.“ (*Brev. Rom. Com. conf.*)

Nie wszyscy przybywający do Ars spowiadali się i nie wszyscy szukali światła w wątpliwościach; ale wszyscy pragnęli modlitw świętego Proboszcza i udziału w jego zasługach; bo wszyscy czuli, że w modlitwie główna jego potęga. Osoby, bliżej niego postawione, miały przekonanie, że Bóg zawsze czyni wolę swego sługi, „że żądanie serca jego dał mu, a wolę ust jego nie omylił“ (Ps. XX, 3.), że Pan Jezus tak dalece niczego mu nie odmawiał, że wystarczało, iż on o jakąbądź łaskę prosił, aby była udzielona. „Gdyby Ksiądz Proboszcz wyrzekł jedno tylko słowo, chcę, a przejrzałbym,“ mówił młody niewidomy, a z nim powtarzali to samo wszyscy chorzy, kalecy i strapieni. Trafnie o przywileju Proboszcza wyraził się pewien wieśniak: „Gdy kto jest sługą Boga, Bóg go słucha. Proboszcz z Ars jest sługą Bożym.“

Nie zbywa na dowodach stwierdzających tę powszechną wiarę. I tak razu jednego dom się w Ars zawalił, a gruzy przysypały starą kobiecinę i wnuczkę jej w kołysce. Matka dziecięcia, przewidując niechybną śmierć jego, po całej wsi biegała, krzycząc: Zabite! zabite! dziecko moje zabite!... Włosy darła z głowy, i sama zabić się

chciała. Wszyscy myśleli, że biedna w nagłym napadzie obłąkania życie dziecku odebrała. Ale wreszcie przekonawszy się o smutnym wypadku, pobieżono donieść o nim ks. Vianney. Na tę wiadomość padł na kolana i po krótkiej modlitwie poszedł na miejsce nieszczęścia, pobłogosławił zwaliska, poczem bez trudności wydobyto lekko tylko zadraśniętą kobiecinę; ale dziecka nie było słyhać. Proboszcz modlił się z współczniem i kazał go szukać. Wreszcie znaleziono niemowlę uśmiechnięte i zupełnie zdrowe.

Jak widzieliśmy w poprzednich rozdziałach, i z dala modlitwa księdza Vianney pocieszała, uzdrawiała i nawracała.

Pewna osoba z Ars otrzymała polecenie prosić Proboszcza o modlitwę za młodzieńcem chorym. Proboszcz obiecał się modlić zwykłą swą odpowiedzią: „Pomyślę o tem.“ Wkrótce potem znów pisano: „Zapomniałeś o moim chorym; a mam mocną wiarę, gdyby się ks. Proboszcz za niego pomodlił, byłby doznał ulgi.“ Na ponowną prośbę pośredniczki, ks. Proboszcz znów odpowiedział: „Pomyślę o tem.“ Tymczasem cierpienia chorego coraz się zwiększają. — List krewnej jest teraz pełen wyrzutów i skarg, że on chory może duszę swą potępić, jeśli mu nie wyjednąją uzdrowienia. — Trwogą przejęta pośredniczka, biegnie jeszcze raz sama do Proboszcza i woła: „Ojcze, już trzeci raz proszę się o modlitwę za chorym godnym twój litości; powinieneś być pamiętać o nim, skoroś mi to obiecał, a przecież jemu coraz gorzej. Czemuż się Bóg nie chce zmiłować nad tym nieszczęśliwym? — Bóg nie chce dłużej czekać, bo nie chce zguby tego młodego człowieka — i zsyła mu tę chorobę, aby nierządom jego przeszkodzić. — Ach! mój Ojcze! prosz Boga, aby go na ten raz uzdrowił; a on przez wdzięczność lepsze wieść będzie życie. — Nie, on nie byłby wdzięcznym, ale zdrowie użyłby na dalszą obrazę Bożą. W tej chwili szemrze i bluźni.... — Pozwolisz mi Ojcze powtórzyć mu twe słowa? — Nie, oneby go tylko rozdrażniły. — To w takim razie módl się, Ojcze, aby Bóg cięższe zesłał na niego cierpienia, aż się nie nawróci; ale zarazem wyjednaj mu cier-

pliwość i poddanie się. Niech mu Bóg da poznać, dla czego cierpi, a, gdy go oczyści, niech go do siebie powoła. — Pomyślę o tem.“ Osobie pośredniczącej za chorym radził odmówić nowennę do św. Filomeny.

Po niejakiem czasie osoba ta, przybywszy do Ars opowiadała o cudownej przemianie młodego. Choć bardziej cierpiał, prosił Boga o więcej jeszcze cierpień; znosił je z tak anielską cierpliwością, że wszyscy z najwyższem zbudowaniem na niego patrzeli.

Polecono również modlitwom ks. Vianney kobietę, której gorszące życie srom przynosiło całej rodzinie. Zaledwo modlić się za nią począł, już okropne wyrzuty sumienia spokoju jej nie dały. Udręczenie wielkie zaprowadziło ją do Ars, gdzie po dobrej spowiedzi odzyskała spokój serca i duszy. Wyznała, iż w dziwnem przecuciu, że ktoś o niej mówił św. Proboszczowi i że on się za nią modli, jemu przypisywała katusze, jakie ją dręczyły, co ją do takiej doprowadzało wściekłości, że byłaby go chciała zgnieść, udusić własnemi rękoma.

Moglibyśmy tu wymienić wielu proboszczów, którzy wyznawali, że parafie ich zmieniły się nie do poznania od czasu, gdy zostały polecane modlitwom świętego Kapłana.

„Czeigodny Ojcze! pisała pewna pani na wyjazdnej z Ars, gdzie doznała łaski uzdrowienia, — nie mam nadziei widzenia się z Tobą i przykrość tę ofiaruję Bogu; przecież nie mogę wyjechać, nie wyraziwszy Ci wpierv Ojcze, najgłębszej mej wdzięczności. Chciałeś odemnie wiary, i jeśli się nie łudzę, znalazłeś ją we mnie. Bo wierzę, że Twoje modlitwy wyjednały mi zdrowie. Czułam to, ale potrzeba mi było Twego potwierdzenia. Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdyś mi Ojcze powiedział, że mnie Bóg kocha. Będę się starała zachować tę miłość, i aby już żadna inna miejsca w sercu mojem obok niej nie zajęła. Wybacz mi Ojcze, żem rodzinie powiedziała o mem uzdrowieniu, co przykrość wyrządziło Twój pokorze. — Mnie niemniej przykro, że już nie mogę otrzymać Twego błogosławieństwa, ale polecam się modlitwom Twoim. Nie zapominaj Ojcze o mnie, i wyjednaj u najśłodszego Pana błogosławieństwo dla wszystkich spraw moich. Pamiętaj o mnie w godzinę śmierci, abym śmiercią świętych zasnęła.

„W przeciągu roku przybędę do Ars złożyć wdzięczność
mą u stóp Pana. Przysięę też mego syna, abyś go Ojciec po-
błogosławił i podniósł do zrozumienia rzeczy Bożych.

„Żegnam Cię Ojciec, przyjacielu i pocieszycielu mój duszy,
przyjacielu mój rodziny, skoroś jęj matkę przywrócił. Jedyne
dla mych dzieci pragnęłam być uzdrowiona.

„Ojciec mów Bogu o biednej parafii w O. gdzie mało cze-
 odbiera, a mnie wyjednaj natchnienie, jak najlepiej szerzyć
dobro.

Wdzięczna córka
Ludwika de M..“

Wśród mnogich listów, z których wyjątki podaliśmy
czytelnikowi, codziennie przychodziły też listy dziękczynne
za doznaną pomoc przez modlitwy świętego Proboszcza.

Z głębi Francyi pisano z pewnego klasztoru:

Miłość Chrystusowa nagli nas.

„Księżę Dobrodzieju! Czterdziestoósmioletnia kobieta cierpi
na napady obłąkania. Zdaje jęj się, że jest potępiona. Mąż
tęj nieszczęśliwej pyta się, czy ma ją przyprowadzić do Ars.

„Osoby, za któremi pisaliśmy przeszlą razą, są uzdro-
wione: jedna z liszaju, druga z obłąkania. Bogu chwała!
wdzięczność dobremu pasterzowi!“

Mamy przed sobą list przełożonej klasztoru z Du-
blina, która tłumacząc się, że wcześniej nie doniosła o na-
głym uzdrowieniu młodej osoby całkiem głuchej, kończy:
„Nie umiem wyrazić, jaką czią całe miasto nasze prze-
jęte dla świętego Proboszcza!“

Inna zakonnica z Nîmes pisze:

„Z najżywszą radością donoszę, że św. Filomena wysłu-
chała modlitwy waszego świętego Proboszcza, i że chora nasza
przychodzi do zdrowia.

„Niech jeszcze raz do Nięj westchnie, a będziemy cał-
kiem pocieszeni.“

O. Deschamps, przełożony Redemptorystów pisał do
ks. Toccanier:

Bruksela 16 paźdź. 1858.

Księżę Dobrodzieju!

„Powróciwszy tu, opowiedziałem o wszystkim, com wi-
dział i słyshał w Ars. Nie zadziwi Cię więc załączony list

bardzo gorliwego zakonnika, który mógłby wiele chwały przynieść Bogu swoim uzdolnieniem, gdyby wola Boża była, żeby wyzdrowiał.

„Przy tej sposobności przypominam pobożnej pamięci czcigodnego Proboszcza z Ars trzech Belgijczyków, których wyspowiadał i którym błogosławił we wrześniu: zakonnika Liguoryanina, brata jego, ministra belgijskiego, a mianowicie jego córkę. Otrzymała ona w Ars to, czego pragnęła; a teraz usilnie prosi księdza Proboszcza, aby jej wyjednał wierność tej łasce.

„Ucieszylibyśmy się bardzo, gdybyś Ksiądz Dobrodziej dołączył do kilku słów odpowiedzi ze trzy obrazki z podpisami ks. Proboszcza.“

„Czcigodny Ojciec w Chrystusie Panu! Przed sześciu laty w samym początku mojej choroby, duchowny jeden polecił mi Twoim świętym modlitwom. Powiedziałeś, że będę długo chorował, ale dałeś nadzieję wyzdrowienia. Jakoż przez pięć lat cierpiełem straszliwie, aż 8 grudnia 1854 w dzień ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia nagle powstałem z łoża.

„Teraz błagam Ojca, zechciej za mnie dziękować Przemącej Dziewicy!“

„Czuję się zobowiązanym złożyć najgłębsze podziękowanie Bogu, po nim czcigodnemu Proboszczowi z Ars za otrzymane dobrodziejstwa. W końcu września 1855 roku, za pośrednictwem Biskupa z Belley poleciłem mu dwie moje siostry: jedną zagrożoną kataraktą, drugą cierpiącą na narośl; obie bardzo pobożne i poddane woli Bożej. Odprawiliśmy nowennę za obiedwie, w czasie nieobecności i bez wiedzy jednej z nich. W pierwszych dniach nowenny uczuła takie pogorszenie, że powiedziała sobie: »Ktoś się bardzo za mnie modli, bo okropnie cierpię.« Doznała tegoż skutku przy innej okoliczności, gdy się za nią modlono. Po nowennie boleści zmniejszyły się i obecnie cierpi nie wiele.

„Adeli zaś wzrok mocniejszy — może się zajmować wszystkimi sprawami domowymi, co już wielkiem jest dobrodziejstwem. Ufajmy, że Bóg całkiem ją pocieszy.“

„Błogosławieństwo i modlitwy Księdza Proboszcza uspokoiły i wzmocniły mą matkę; niech Ci Bóg za to tysiącnie odpłaci... Medalik Księdza Proboszcza wskrzesił gasnące już

życie w ukochanej naszej chorągwi, i im więcej się modlimy, tem zdrowszą się czuje. — Zaczęliśmy dziś nowennę do św. Filomeny, z wiarą, że przez nią otrzymamy pożądaną łaskę, boś nam ją Ksiądz Proboszcz doradził.“

„Księżo Dobrodzieju! Od lat kilku pragnę poznać czcigodnego Proboszcza z Ars. Przed półtrzecia rokiem krewna żony mojej była u niego szukać pomocy na swe napady nerwowe; wróciła zdrowa i jest tak do dziś dnia.

„Ja również chciałem odbyć tę pielgrzymkę w intencji uproszenia zdrowia. Dziś zgębiony ciężkimi smutkami, jakimi Bóg rodzinę moję nawiedził, pragnę zaczerpnąć u Księdza Proboszcza trochę wiary i pobożności, aby sobie zasłużyć na śmierć szczęśliwą.“

„Raz już przysłałam do czcigodnego Księdza Proboszcza, z uczuciem setnika ewangelicznego; dziś przychodzę z uczuciem uzdrowionego trędowatego dziękować Bogu, że raczył wysłuchać modlitw wielkiego swego sługi. Racz więc Ks. Proboszcz raz jeszcze dziękować Bogu nietylko za uzdrowienie chorągwi, którą lekarze już na śmierć skazali, ale też za uchronienie od zarazy tych, co ją pielęgowali.“

„Siostra moja od dawna ciężko jest chora; święty Proboszcz, obiecawszy jej uzdrowienie w tym roku, kazał matce przysposobić wotum na ołtarz św. Filomeny; siostra więc moja zamierza ofiarować srebrne serce.

„Wraz z bratem chciałbym Dobrodziejce naszej osobiście złożyć w jej kaplicy osobny z naszej strony hołd wdzięczności, tj. marmurową tablicę z napisem: »Prosiliśmy św. Filomenę o cud, wysłuchała nas dnia.... Otóż dnia nie wiemy. Święty Proboszcz, który uzdrowienie na ten rok zapowiedział, wie niezawodnie, który dzień Bóg w niewysławionem swem miłosierdziu wyznaczył na zupełne wyswobodzenie z choroby mej siostry anielskiej.

„Ksiądz Dobrodziej masz szczęście tak często widzieć tego przyjaciela Bożego; zechciej go się zapytać, jaką datę mamy wyrzeć na tablicy, na której późniejsze pokolenia czytać będą wyraz naszej wdzięczności za ten nowy dowód potęgi świętej Filomeny...“

„W gorącości mej wiary zachęcam matkę, aby kazała wy-

ryć dzień 10 sierpnia 1856, dzień uroczystości św. Filomeny; bo słowu świętego Proboszcza tak wierzę, jak gdyby mi Sam Pan Bóg powiedział, i jestem pewna, że nasza chora wyzdrowieje. Lecz jeśli błędę tem wyznaczeniem dnia, przepraszam go z głębi duszy. Po namyśle przecież, zdaje mi że lepiej dowiedzieć się o dzień od tego, którego zasługom i modlitwom zawdzięczać będziemy tak wielkie dobrodziejstwo.

Hr. R....“

„Księżę Proboszczu! Przychodzę z najusilniejszą prośbą o modlitwę. Zeszłej zimy miałam zaszczyt prosić Cię o pogodzenie małżeństwa, które, zaledwo zacząłeś się za nie modlić, pogodziło się. Pragnęłam odbyć pielgrzymkę do Ars wraz z moim synem, notaryuszem z Paryża, aby Ci Księżę Proboszczu wyrazić wdzięczność naszą. Tymczasem od pięciu miesięcy syn mój rozchorował się ciężko; przed tygodniem wrócił z niemieckich wód więcej chory, niż kiedykolwiek. Ale gdybyś się Księżę Proboszczu modlił za niego, Bóg wysłuchałby Cię. Już tej zimy za Twojem wstawieniem uszedł wielkiego nieszczęścia. Zlituj się nad jego dziećmi i nad matką jego. Módl się, i powiedz mi Ojcze, co mam robić. Gdy mi obowiązki pozwolą, z synem moim przyjadę do Ars dziękować Temu, od którego wszystko przez Ciebie nam dane.

De L. z domu de B.“

„Szanowny Księżę Proboszczu! Przypomnisz sobie może, że w lutym prosiłam Cię o modlitwę za nawróceniem rodziny protestanckiej. W kilka dni potem z radością donosiłam Ci, Księżę Proboszczu, o nawróceniu jednej osoby z tej rodziny; druga poszła świeżo za jej przykładem. Mam sobie za obowiązek donieść Ci o tym wypadku, do którego modlitwy Twoje bezwątpienia się przyczyniły.

„Jak zwykle bywa przy podobnych okolicznościach, reszta rodziny zacięła się jeszcze więcej w błędzie i matka wyjechała do Anglii wraz z dwiema córkami, które z pewnością byłyby poszły za przykładem starszjej. Nawróconą zostawiła przy ciotce, dość przychylnie dla niej usposobioną.

„Zbyt uczuliśmy pomoc Twoją Księżę Proboszczu, aby Cię dziś nie prosić o nieustanne modlitwy za nawrócenie reszty tej rodziny.“

„Wiem, że z wdzięcznością ku Bogu dowiesz się Ksiądz Proboszcz, że młoda osoba obałamuciona przez protestancką sektę Menonistów, a którą Księdzu Proboszczowi poleciłem, umarła w wierze katolickiej, opatrzona Sakramentami śś. Dziękujemy Bogu i Matce Jego Najświętszej za ten prawdziwy cud w przekonaniu tych, co wiedzą, jakim ta biedna istota była przesiąknięta uprzedzeniem. Nadto, matka tej panienki, winniejsza od córki, była już też u Spowiedzi wielkanocnej. Prosimy dla niej o łaskę wytrwania w dobrem.“

„Wielebny Księżu Proboszczu! Przed niejakim czasem prosiłam Cię o modlitwę za osobą, na którą całą piekło wściekłość swą wywarło. Dziś z pociechą serca wzywam Cię, abyś mi pomógł wielbić miłosierdzie Boże za szczęśliwe wyzwolenie tej duszy w drugie święto Wielkanocy.“

„Cudowne rzeczy mogłabym Ci donieść o wszystkim, co się tu codziennie działo od roku. Lecz poprzestanę na tem tylko, że przed sześciu miesiącami szatani zapowiedzieli jej, że będzie od nich wolna na Wielkanoc. W dzień Matki Boskiej Bolesnej Chrystus Pan powiedział nieszczęśliwej po Komunii ś., że skoro mu pomogła przez czas niejakiś dźwigać krzyża, wyciśnie na niej znak jego, na dowód jej wyzwolenia.“

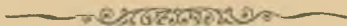
„W pierwszy dzień Wielkanocny wieczorem, szatani rozściekieni zapowiedzieli jej w czasie egzorcyzmu, że dopiero nazajutrz rano z niej wyjdą, czego znakiem będzie zamię Krzyża św. na lewej jej ręce. Nazajutrz po Komunii św. piekielna moc przewróciła ją u stóp ołtarza Najśw. Panny; koronka jej została na drobne kawałki porozrywana; nieszczęśliwa tarzała się po ziemi, wyjąc przeraźliwie... Kazałem ją przenieść do pokoju przyległego kościołowi, i tam wobec trzech świadków zacząłem ją egzorcyzmować. Nie ustawała tarzać się, wyć i przeklinać; gdy nagle zawołała: »O Boże, jak mnie ręka boli,« — i uspokoiła się zupełnie. Na lewym ramieniu miała wyciśnięty czerwony znak krzyża.“

„Opowiedziała mi później, że gdy była przed ołtarzem Matki Boskiej, całe piekło ją szarpało. Żal było szatanom, że dłużej w niej mieszkać nie mogli. W chwili wyzwolenia uczuła, jak gdyby gorący płomień wyszedł jej z piersi przez gardło i padł jej na ramię. Wtedy to ogarnął ją pokój, i

dziwna rozkosz : wraz z nami poczęła z głębi duszy wielbić Jezusa i Maryą.

„Nie tu przecież koniec doświadczeń biednej tej istoty. Bóg ją jeszcze krzyżem swym przyciska, modlitw potrzeba jej bardzo i bardzo.

„Módl się więc za nią Ojczy i modlitwom innych ją polecaj.



ROZDZIAŁ VIII.

Wewnętrzne udręczenia ks. Vianney.

„Potrzeba troszkę utrapienia w rozmaitych pokusach, aby doświadczenie wiary waszjej daleko kosztowniejsze nad złoto, którego przez ogień próbują, było znalezione wam ku chwale i czci i sławie, gdy się objawi Jezus Chrystus. Którego nie widziawszy, miłujecie: w którego też teraz nie widząc go, wierzycie, a wierząc, radujecie się weselem niewymownem i chwalebny: odnosząc koniec wiary waszjej, zbawieniu dusz.“

(*Św. Piotr I, 6—9*).

Wymowne pióro Montalemberta wypowiedziało wielką prawdę, że moc kapłana wyrasta jako z korzenia z cierpień tego żywota. W tem też tajemnica tój siły, jaka naszego świętego Proboszcza z Ars postawiła na świeczniku w Kościele, jako też w całej Francyi, i jaka zjednała mu miłość i poważanie ludzi. Tajemnicza ta siła była wykwarem dwu wielkich właściwości kapłana: modlitwy i ofiary. Ks. Vianney nie tyle słowem upominania i nauki, ile modlitwą i ofiarą życia własnego pociągał dusze ku sobie, przenikał i zagrzewał je miłością Bożą do tego stopnia, że już nie trudno było grzesznikom najsromotniejsze winy wyznawać, — zapalał wolę nawróconych do dążenia ku najwyższej doskonałości. Pod krzyżem upadający i do krzyża przybity Pan, wylał na ziemię życiodajną rosę Krwi swojej, która wszystko uzynia, gdziekolwiek padnie. Uczeń nie pozostał po za Mistrzem swoim: na wzór Jego w całopalnej za grzeszników oddał Mu się ofierze; życie swe u stóp Jego złożył, aby życiem miłości i światła roz-

budzać odrętwiałe i martwe dusze. W miłości tych dusz pobudka do jego strasznych umartwień, nad którymi zapewne zdumiewał się niejeden czytelnik. — Dziwnem prawem na ziemi, każdą miłość boleścią oplacać trzeba. A im większa miłość Boża w duszy, tem większe, tem mniej nasycone jej pragnienie; pragnienie to budzi żądę cierpienia, oddawania samego siebie w wynagradzającej ofierze. Chrystus Pan łaskawie przyjmuje ofiarę tych swoich apostołów, napawa ich świętą goryczą przeróżnych utrapień; zsyłając na nich cierpienie, uczy ich płakać nad niedolą bliźnich, i miłością świętą koić ich bóle.

Ksiądz Vianney oddawszy się Bogu w ofierze, nie dość, że się poświęcił na najokropniejsze pokuty, na twardą pracę apostołstwa; był nadto tak strasznie i tak bezustannie dręczony na duchu, że trudno wyrazić te srogie utrapienia. Mało kto w świecie wnuknie sercem w ten ogrom bólu ducha; bo kto nie doznał podobnych udręczeń, zgoła ich nie wyrozumie; wszelako każdy uszanuje je choć przez pamięć na smutek Chrystusa Pana w Ogrodzie Oliwnym, na udręczenie Jego na Kalwaryi, gdy pełen gorzkości wołał: „Boże mój, Boże mój! czemuś mnie opuścił.“ — Zresztą niech się nikt nie przeraża: Bóg zsyła krzyże w miarę sił człowieka. Święty Augustyn powiedział, że chrześcianin więcej powinien cierpieć niż zwykły człowiek; święty więcej niż zwyczajny chrześcianin. Ks. Vianney miał być świętym, dla tego trzeba mu było cierpieć w sposób niezwykły.

Ksiądz Baux, proboszcz z Jassan, który jako spowiednik, mógł na wskroś przeniknąć tę wielką duszę, powiedział nam, że była nieustannie zalana gorzkim smutkiem. Bóg, aby mu przymnożyć zasług i w gorliwości jego zatrzeć wszelki ślad ludzkiego uczucia pociechy, zakrywał przed jego oczyma dobro, jakie przez niego działał. Uważał siebie za człowieka niepożytecznego, za człowieka bez wiary, pozbawionego pobożności, rozumu, zrozumienia, sądu i cnoty. Zdawało mu się, że wszystko tylko psuje, paczy, i że przeszkadza ludziom postępować w dobrem. W pokorze serca rzewnemi łzami oblewał swą nędzę, swą niezbożność, swe głupie niedołęztwo. Dźwigała go jedynie

nieograniczona ufność w Bogu: z ufnością rzucał się w poczuciu swęj niemocy w objęcia Jezusa.

„Bóg w miłosierdziu swoim, — mawiał on, — nie dał mi żadnej rzeczy, na którejbym się mógł oprzeć, ani zdolności, ani nauki, ani rozumu, ani siły, ani cnoty. Gdy rozważam nad sobą, widzę same tylko grzechy. I to jeszcze dobry Bóg nie daje mi ich wszystkich widzieć, nie daje mi się poznać dokładnie. Bo gdybym się poznał, musiałbym w rozpacz popaść. Gdy mnie napadnie taka pokusa do rozpaczy, jedynym mym ratunkiem rzucić się do stóp ołtarza, jak biedne psisko do stóp swego pana.

Rzecz zdumiewająca i niepojęta! Ten mąż cudotwórca, podziwiany, uwielbiany od wszystkich; człowiek, którego za życia czczono jak świętego, do którego cały świat dążył po pomoc, światło i pociechę, sam był przygnębiony uczuciem swęj nierzeczywistości i wzgardy samego siebie.

Przyczyną tego przygnębienia nie było znużenie, ani przesyt życia, ani zmęczenie ciała lub ducha. ani potrzeba spoczynku, która się odzywa u wszystkich ludzi zbyt uciążliwą obarczonych pracą. Nie smucił się nawet ks Vianney dla tego, iż widział swą niedoskonałość: przyczyną jego bólu była obawa, że na każdym kroku pobjądzi.

Chętnie byłby znosił widok swojej brzydoty moralnej, ciężar swych oschłości, okropność swych ciemności wewnętrznych i uczucie swego niedołęztwa obok nieprzepartej potrzeby działania, mówienia, nauczania, jak gdyby wszystko odeń zależało, od jego usilności i dokładności pracy. Na to wszystko byłby się zgodził, ^{nie wiał} ~~nie wiał~~ ^{był} ~~był~~ bowiem, że najwięcej dano człowiekowi zbierać zasług, ^{nie wiał} ~~nie wiał~~ ^{był} ~~był~~ na wierze oparty, idzie na-przód jak Abraham, drogi swęj nie wiedząc, z pokorą. w Bogu jęj szukając; gdy postępuje, nie pomyślnym wiatrem gnany, lecz z mozołem przeciw wodzie sterując; gdy idzie wśród ciemności, nieustannie pokonując w sobie własne widzenie rzeczy, własne upodobania, a szukając tylko Boga samego, nie pociechy swojej. Wiedział, że trzeba Bogu wybór zostawić, czem nas nawiedzić zechce: czy dać nam czułą miłość, żeby podeprzeć słabość naszą i niemowlęstwo nasze w żywocie łaski; czy ująć nam słodczy pociech

w nabożeństwie, co są jakoby mlekiem maluczkich. ażeby nas upokorzyć i pokazać nam, z kąd nam dobrodziejstwa wszystkie przychodzą, żeby też nas umocnić i zahartować w ćwiczeniach wiary, dając nam z chleba męźnych pożywać w krwawym czoła pocie. Byłby się z radością poddał wszystkim cierpieniom, wynikającym z niezadowolenia samego siebie, gdyby tylko był pewien, że Bóg z niego zadowolony; ale i téj pociechy nie miał. Gdy dusza gorliwa takim udręczeniem wewnętrznem targana, czuje się próżna łaski, traci całkiem świadomość o cnocie własnej. W strasznej niepewności, czy to, co robi jest miłe Bogu, czy jest godne Jego nienawiści albo miłości; pokora jej skłania się zawsze ku niedowierzaniu sobie, a nawet ku potępianiu siebie. Ztąd ks. Vianney trwał nieustannie w zawstydzeniu z jakiejś winy popełnionej, to znów drżał z obawy, by nowéj nie popełnić. Ceną tych utrapień wewnętrznych okupił sobie trzy rzeczy, które uczyniły posłannictwo jego tak obfitem w owoce: zrozumienie dróg Bożych; pobłażliwość, w której wszystkich uważał za lepszych od siebie; a wreszcie współczucie dla cierpień dobrze mu z doświadczenia własnego znanych.

W dziejach życia wewnętrznego dusz pierwsze czasy bywają zawsze pełne cudów i wielkich pociech religijnych. Bóg szczególną pięknnością ubiera każdy początek, okazuje swą obecność w duszy tak, że ją się wprost czuje, a czuje głęboko; a to wszystko czyni, ażeby ku sobie zwrócić pierwociny uczuć pobożnych, powstających w duszy. Wielu ani przypuszcza, jak niewymowne są rozkosze u progu życia wewnętrznego. Niezawiniony to pokój, niepojęty czar i niezrównane nadzieje, nieustannie zmieniających dni wyższego życia. Bóg macierzyński, obdarza pieścotami i niejako do serca swego przytula nasze, ażeby później wspomnienie tych pieścot bożych stało się osłodą w dniach osamotnienia i oschłości. Te początki życia pobożnego są już służbą Bożą, ale służbą najemnika: Bóg daje tu wszystko, człowiek bardzo mało. Potem nastąpić winno życie pełne poświęcenia i ofiary, gdzie człowiek wielkodusznie z wszystkiego się wyzuwa na chwałę Boga. Kto jedynie wzdycha za słodyczą i pociechą w życiu duchownem, i nigdy nie gotów przez wykonywanie cnót męzkich wyrzec się

siebie samego i oddawać się Bogu w miarę już odebranych od Niego darów, ten nigdy sobie na to nie zasłuży, żeby w nim rosło Królestwo Boże.

Zapewne w tych udręczeniach łaska Chrystusowa jakoby Anioł boży posilała Proboszcza z Ars: góra Tabor u niego bliska była Oliwniej góry; modlitwa krzepiła zawsze jego duszę i ulgę mu przynosiła, choć i udręczenie wewnętrzne trwało. Odbierał pomoc, ale jej prawie nie czuł pod nawalem nieustannego smutku. Smutek ten na wskroś przejmował jego duszę; a był to smutek, na który niema lekarstwa; smutek, wpleciony w najświętsze uczucia, który duszom pobożnym drogi do tyła, że serce niem dotknięte cierpi, a z cierpieniem tem rozstać się nie chce. Czasami wydał się z nim w poufnych rozmowach. I tak, z głęboką boleścią raz mówił, jak trudno kapłanowi odpowiedzieć świętości swego powołania. Młodzieniec, który z nim rozmawiał, pocieszał go, że są zacy ludzie pomiędzy duchowieństwem.

„Spodziewam się, że są zacy, zawołał Proboszcz; gdzieżby byli, gdyby ich nie było wpośród duchowieństwa?.... Ależ dodał, ożywiając się, kto Mszę św. odprawia, powinienby być Serafinem!.... I zaczął rzewnie płakać. Po chwili milczenia, rozpoczął: »Uważ, mój drogi, przenoszę Go na prawo, a On zostaje na prawej stronie — przenoszę Go na lewo, On na lewej zostaje!.. Gdyby kto wiedział, czem jest Msza św., umarłby! Ale dopiero w niebie zrozumiemy, jakie to szczęście odprawiać Mszę św. — Tak, przyczyna wszystkiego nieszczęścia, opuszczenia się księdza ztąd, że nie waży sobie Mszy św.!.... O mój Boże, jakże on opłakania godzien, gdy do Mszy św. się zabiera, jak do zwyczajnej rzeczy!... (Łzy mówić mu nie dały). Niektórzy tak dobrze zaczęli, tak pobożnie Mszę odprawiali przez kilka miesięcy a teraz!.... (Znów płakał). Pomyśleć, że Bóg raczył tak wielką rzecz nam nędzarzom powierzyć!.... Bardzo wiele tu szkoda te nowinki ze świata, te rozmowy, polityka, dzienniki... Z przepełnioną niemi głową idzie się do Ms: św. lub do brewiarza.. Co do siebie, pragnąłbym gorąco iść się do Fourvières, gdziebym za nikogo nie odpowiadał, i namodliwszy się do woli, chodził do szpitala. Byłbym wtedy bardzo szczęśliwy.... Ksiądz, którego znasz, chciał wstąpić do zakonu Maristów. To

zakon wedle Serca Bożego, bo wiele w nim pokory, prostoty i przeciwności. Gdybym mógł, zarazbym został Maristą. Tymczasem rodzice tego księdza, poświęciwszy wiele na jego wykształcenie, chcieli koniecznie, aby im to wynagrodził, przyjmując probostwo. Przyjął je niby na czas niejaki: dziś o zakonie nie myśli. O! bo kto raz ten krok uczynił, kto się raz przyskrzypił, ten się już tak łatwo nie odhaczy!“

„Gdyby Biskup Devie chciał, łatwo mógłby Księdza Proboszcza odhaczyć“ — powiedziałem mu.

„O! to z pewnością, odparkł Proboszcz, śmiejąc się, i nie tracę jeszcze nadziei. Ale uważ, jak mało kanonizowanych jest Proboszczów. Są zakonnicy, misjonarze i wielu, wielu innych. Ale proboszczami ani św. Franciszek Regiusz, ani św. Wincenty a Paulo do końca pozostać nie chcieli.... Jest wielu Biskupów kanonizowanych, choć ich tak mało w porównaniu do zakonników.... Ale otóż księży gubią te ciągle odwiedziny.... Niechby szedł jeden do drugiego zbudować się, wypowiadać się.... Ale ciągle biegać za wizytami!.. o mój Boże!.. Szczęśliwyś mój przyjacielu, żeś dopiero dyakonem. Gdy się jest księdzem, już nie nie pozostaje, jak łzami nędzne swe życie oblewać. (Znów łzy go poczęły dławić). Żeby stać się świętym, trza się stać głupcem wobec świata. Nam księżom do świętości przeszkadza brak rozwagi. Nie zastanawiamy się nad sobą, sami nie wiemy, co robimy. Potrzeba nam rozwagi, modlitwy, łączności z Bogiem!.. Jakież to nieszczęście dla księdza, gdy nie zna życia wewnętrznego!.. Ale do tej znajomości potrzeba ciszy, spokoju, samotności; tak, samotności, mój drogi!.. Tylko w samotności Bóg przemawia. Powiadam czasami do Biskupa Devie: Chce Wasza biskupia Moś nawrócić dyccezyą? niech się postara o świętych proboszczów.... Ach! mój drogi, prawdziwie straszna to rzecz być księdzem! Co to za odpowiedzialność: spowiadać, sprawować Sakramenta św.! Gdyby kto wiedział co to jest być księdzem, uciekłby na pustynię jak święci, aby nie zostać księdzem!... Jedyne sposob, aby dobrym być księdzem, to żyć, jak się żyło w seminaryum.... Ale nie zawsze tak można. Wielkiem naszym nieszczęściem, że się dusza kurczy, drętwieje. Z początku przejmują nas boleśnie nieszczęście tych, którzy nie kochają Boga; a potem mówimy: Eh! ci dość jeszcze spełniają religijne obowiązki; tamci je zaniedbują, nie przystępują do

Sakramentów śś., ależ co robić?... I śpią na to spokojnie, do niczego się poczuwają.“

Proboszcz z Ars dodał, że drugim niebezpieczeństwem dla księży, to sposób ich życia w odosobnieniu. To odosobnienie miał za sidło straszliwe i źródło pokus dla proboszczów. Na nieszczęście nie zapisano tych jego słów, tak ważnych, bo dotykających tak żywotnej sprawy, a któreby znakomicie uzupełniały jego ocenę obowiązków i niebezpieczeństw w życiu proboszczy.

Ksiądz Vianney mówił raz jednego o swych utrapieniach przed spółbratem, którego bardzo kochał: „Usycham z tęsknoty na tej biednej ziemi, dusza moja smutna aż do śmierci. Słyszę sam przykre rzeczy, które mi duszę rozdierają.... Nie mam czasu do modlitwy. Nie wytrzymam dłużej. Jak myślisz, byłby to wielki grzech, gdybym bez pozwolenia Biskupa wyjechał ztąd potajemnie?“ — Jeśli Ksiądz Proboszcz, odpowiedział mu zapytany, chcesz od razu stracić owoc wszystkich swych prac i zasług, ulegnij tej pokusie.“

Pod koniec życia święty był coraz więcej uciśniony. Na kilka miesięcy przed śmiercią powtarzał ze słodyczą, ale zarazem z niewymowną boleścią: „Ach! jak smutne to życie. Gdybym był na wstępie przewidział, ile wycierpię w Ars, byłbym od razu umarł ze strachu.“

Innego dnia w czasie dokuczliwego skwaru, gdy niezmordowany pracownik Pana, otoczony niezliczonym tłumem, wyszedł z konfesyonału więcej znużony, niż kiedykolwiek, zatrzymał się przechodząc, przy kurach, które wytetrawszy sobie dołki pod cienistym drzewem, drzemały spokojnie z ukrytymi pod skrzydłem dziobami. „Jakie one szczęśliwe!... rzekł, patrząc na nie z zazdrością. Gdyby one miały dusze, radbym był na ich miejscu!...“

Możnaby przypuścić, że nieustanna praca w konfesyonale i na ambonie powinna była odwrócić jego myśli od wewnętrznego cierpienia. Aliści nie. Okazywane mu zaufanie było mu ciężkiem jarzmem, pod którym się ugiął. Ono właśnie budziło w nim coraz większe obawy i udręczenie; raniło jego pokorę i coraz większym strachem przejmowało przed wielkością odpowiedzialności pasterskiej. Nie przypuszczał on, że posiada jakąś szczegól-

niejszą łaskę, jakiś wielki dar Boży, który ku niemu tłumi pociągą; owszem wyrzucał sobie obłudę. Oczywiście rzecz, rozumował sobie, że ci ludzie, co się tu tak cisną do mnie, są zwiedzeni, przez kogoś okłamani. Ale przez kogo? nie wiedział. Jedno tylko wiedział, że on najniegodniejszy i ostatni z księży.

Z wszystkiego najwięcej dręczył go grzech. Przyjmował upokorzenie, obawę i smutek dla siebie; ale obrazy Bożej znieść nie mógł. Cierpiał nad nią uczuciem syna, któremu znieważono ojca; jęczał i omdlewał z bóleści nad nią. Każda obelga wyrządzona Bogu, targała najtkliwszą strunę jego duszy. Gdy o niej myślał, dreszcz przerażenia go przenikał. Nigdy z widokiem grzechu oswoić się nie mógł; obrzydzenie i nienawiść grzechu były w nim zawsze żywe, dojmujące. Dla tego czuł się tak nieszczęśliwym.

„O mój Boże! zawołał raz, jakże mi tu uprzykrzone życie z grzesznikami! Kiedyż dostanę się do świętych! Tyle obrazy Boga na świecie, że aż bierze pokusa prosić o skończenie świata! Trudnoby znieść to życie, gdyby raz po raz widok jakiej pięknej duszy nie pocieszył serca... Gdy się myśli o strasznej niewdzięczności człowieka względem Boga, mówił łzami zalany, bierze ochota uciec gdzieś za morze, byle ję nie widzieć. Straszna to rzecz! Żeby to Bóg nie był tak dobry! ależ dobroć Jego tak wielka! tak wielka! Ach! jakiegoż wstydu doznamy, gdy na sądzie ostatecznym poznamy naszą niewdzięczność! Zrozumiemy wtedy... ale po niewczasie. Pan Jezus zapyta nas: Czemuś mnie obrażał: a my nie będziemy wiedzieli, co odpowiedzieć.“

Te uwagi kończyły się zawsze tym bolesnym okrzykiem: „O jakże ci grzesznicy nieszczęśliwi! jakże nieszczęśliwi!...“

„Patrzcie, mówił w wykładzie katechizmu, patrzcie na Pana Jezusa cierniem ukoronowanego! Krew obficie spływa Mu po czole: to zła myśl, na którą zezwalacie. Patrzcie, jak ubiczowany! ciało od kości Mu odstaje, całe poszarpane; niema na niem zdrowego miejsca, ani na wielkość główki od śpilki: w ten sposób okupuje wasze grzechy nieczystości...“

„Ach! mówił dalej łzami zalany i z wyrazem wielkiego smutku, niema na świecie nieszczęśliwszego człowieka nad księ-

dza! Na czemże bowiem schodzi mu życie? na przypatrywaniu się, jak Boga świat obraża! jak ludzie bluźnią Jego świętemu Imieniu! jak przykazania jego przestępują! jak miłość Jego znieważają! Ksiądz tylko to słyszy i widzi. On z świętym Piotrem ciągle jest przed sądem Piłata; on nieustannie ma przed oczami Pana Jezusa zelżonego, wzgardzonego, wyszydzonego; widzi, jak jedni plwają Mu na twarz, jak inni Go policzkują, a drudzy Mu cierniową wtłaczają koronę, biją Go pięściami, potracają, o ziemię walą, nogami depcą, krzyżują i Serce Mu przebijają! O! gdybym ja był wiedział, będąc w seminaryum, co to jest być księdzem, byłbym do Trapistów uciekł!“

Gdy to powiedział, odezwał się głos z tłumu: »Mój Boże a tożby to była szkoda!« Podobne widowiska nie były rzadkie w Ars: do głębi poruszone uczucia wybuchaly nieraz wykrzykiem.

Cierpienia św. Proboszcza zwiększały się w niektóre dni, szczególnież w dni poświęcone pamiętce Męki Pańskiej. W piątek, na zmienionej twarzy jego rozlewał się wyraz głębokiego smutku i oczy jego z łez nie wysychały.

Zwyczajnie atoli tak umiał zapanować nad duchem, że niczem zewnątrz nie wydał się z swych walk wewnętrznych. Choć w duszy burza huczała, na twarzy jego panował zawsze spokój i uśmiech łagodny. Rysy jego wtedy tylko się zmieniały, gdy się skupiał w sobie, gdy stawał w obecności grzechów, słabości i nędzy biednego swego życia. Wtedy pochylał głowę i czekał, aż burza nie minie; a postanowień swoich, ani zwykłego postępowania nie zmieniał. Modlił się więcej, przymnażał sobie postu, dyscyplin i innych pokut; ściślej się z Bogiem łączył, a z pracy nie zwalniał się bynajmniej. Szedł dalej zawsze swobodny i spokojny, żadna męka ducha nie powstrzymała go, ani go zepchnęła z prostej drogi obowiązku.

Sprawy osobiste, nędze i zbrodnie, jakie mu codziennie z całego znoszono świata, zwiększały jeszcze to jego wewnętrzne męczeństwo. „Ach! w Ars dopiero dowiaduje się człowiek, co złego Adam nam uczynił!“ powtarzał nieraz.

Jeszcze jedno doświadczenie nie minęło, a już zaczynało się nowe. Trudno wypowiedzieć, ile ksiądz Vianney wycierpiał z powodu słynnych objawień w La Salette. Tu nam należy opowiedzieć, co tak różnie przedstawiano. Opowiemy zaś sam fakt, wstrzymując się od osobistego sądu.



ROZDZIAŁ IX.

Proboszcz z Ars i la Salette.

„Pośród ciemności światłość została dla prostych serc.“

(Ps. LXI, 4).

Niezawodną jest rzeczą, że Proboszcz z Ars jeden z pierwszych uwierzył w objawienie się Matki Boskiej alpejskim pastuszkom, i że się cieszył z tego zadatku nadziei dla całego świata. Dowodem tego jest własnoręczny list jego do Biskupa w Grenoble, któremu pisze, że wielką ma ufność do Matki Boskiej z la Salette, i że dużo poświęcił obrazków, przedstawiających to objawienie. „Postarałem się, pisze, o odłamek kamienia: na którym Najświętsza Matka miała stanąć; nosiłem go przy sobie, często o cudzie tym mówiłem w kościele.“

Jesienią, w r. 1850 jeden z pastuszków, którym Matka Boska miała się objawić, Maximin przybył do Ars. Ks. Raymond, ówczesny pomocnik ks. Vianney, chcąc go doświadczyć, przyjął go surowo, i powiedział, że jeśli innych oszukuje, Proboszcza z Ars nie oszuka. Przytoczył mu historią jakichś dziewczynek, które udały, że miały objawienie, i po trzydziestu latach przyszły wyznać swe kłamstwo. Rozdrażniony tem Maximin ofuknął się szorstko jak mu się to nieraz zdarzało. „No, dajmy nato, żem kłamcem, żem nie niewidział.“ Nazajutrz widział się i mówił z Proboszczem po dwa razy.

Maximin nie pozostawił miłego po sobie wrażenia w Ars. Przedstawił się tam takim, jak go Biskup Dupanloup opisał w sprawozdaniu z wycieczki swój do la Salette r. 1849. „Dużo widziałem dzieci w życiu mojem,

pisze ten mąż dostojny; a mało z nich wywarło na mnie tak smutne wrażenie, jak Maximin. Jego ruchy, wzięcie, spojrzenie i cała jego powierzchowność odrażające, przynajmniej w moich oczach. Może że do tego złego wrażenia przyczyniły się te okoliczności, że dziwnie był podobny do jednego z najnieprzyjemniejszych i najgorszych dzieci, jakie wychowałem... Rzadko napotkać tyle gburowatości, co u niego; mianowicie ruchliwość jego jest niezwykła: jest to natura dziwaczna, zmienna, lekkomyślna; a lekkomyślność ta jest tak szorstka, ta ruchliwość tak gwałtowna, dziwaczność tak nieznośna, że pierwszego dnia byłem nie tylko zasmucony, ale zniechęcony do niego....“

Tem chętniej przytaczamy to zdanie Biskupa Orleańskiego, że mimo to nie wahał się uznać prawdziwości cudu w la Salette. Świadectwo więc jego tem mniej podejrzanę; nie można powiedzieć, że był zwiedziony.

Co zaszło pomiędzy Proboszczem z Ars a Maximinem, niewiadomo. To tylko pewna, że po rozmowie z nim ks. Vianney niechciał podpisać obrazków z la Salette, ani wydawać medalików z tego miejsca; z czego się domyślano, że w cudowność jego niewierzy. Gdy go o przyczynę pytano, odpowiadał niezmiennie: „Jeśli prawdą jest, co mi chłopiec powiedział, w ten cud wierzyć niemożna.“

Wiadomość ta prędko się rozeszła, ku radości jednych, ku wielkiemu smutkowi innych. Dużo pisano o tem, co Maximin mógł powiedzieć Proboszczowi. Sami po dwakroć mówiliśmy z nim obszernie o tem, w obec kilku świadków: i otóż treść téj rozmowy naszéj, i wyrażenia Proboszcza, o ileśmy je spamiętali.

„Księżę Proboszczu, co myśleć o la Salette?“

„Mój drogi, myśl o niéj, co chcesz, to nie żaden artykuł wiary. Ja myślę, że Matkę Boską należy bardzo kochać.“

„Czy wolnoby zapytać księdza Proboszcza, co zaszło pomiędzy nim a Maximinem? w ogóle, jakie na Proboszczu uczynił wrażenie? — „Jeśli Maximin powiedział mi prawdę, Matki Boskiéj nie widział.“ — „Ale, bo powiadają, że chłopiec, rozdrażniony przez ks. Raymond, wyparł się wszystkiego, żeby się od dalszych badań uwolnić;“ — „Nie wiem co mu ks. Raymond zrobił, to tylko wiem, że m

ja wcale na niego nie nalegał, gdy mi go przyprowadzono. Zapytałem go poprostu: „Więc to tobie przyjacielu ukazała się Matka Boska?“ — „Maximin nie mówił, że widział Matkę Boską, lecz jakąś wielką panią!... Może w tem leży nieporozumienie.“ — „Nie, mój drogi, chłopiec powiedział mi wyraźnie, że nic nie widział.“ — „Czemu ks. Proboszcz nie zażądał od niego publicznego odwołania?“ — „Powiedziałem mu: „Moje dziecko, jeśliś skłamał, musisz kłamstwo odwołać.“ — Na to on mi odpowiedział, że to niepotrzebne; bo wieść ta dobry wpływ na lud wywiera, że wielu ludzi się nawraca.... Potem dodał: „Chciałbym odprawić spowiedź z całego życia i wstąpić do jakiego klasztoru. Gdy będę w klasztorze powiem, że wszystko powiedział i nic już więcej do powiedzenia niemam.“ — Na to jam mu przerwał: „To tak nie idzie, mój przyjacielu; muszę się Biskupa poradzić. — Poradź się, ksiądz Proboszcz, ale niewarto. I potem zaczął swą spowiedź.“

Później ks. Vianney dodał: „Nie trzeba się tem kłopotać. Jeśli to nieprawda, upadnie samo przez się... Jeśli zaś w tem dzieło Boże, chociażby ludzie, nie wiem, co gadali, nie przeszkodzą mu.“ — „Ale czy ks. Proboszcz sobie pewny, że dobrze słyszał i rozumiał Maximina?“ — „Zupełniem pewny. Niektórzy chcieli wmówić we mnie, że jestem głuchy...* Czego to ludzie nie wymyślą!.. Ale, zdaje mi się, że nie w ten sposób broni się prawdy.“

Owóz wierne sprawozdanie sławnej rozmowy Proboszcza z Ars z Maximinem. Podaliśmy je sumiennie według zeznania ks. Vianney, który tego nigdy inaczéj nie opowiadał. Przedewszystkiem jedna rzecz niezaprzeczona, że Maximin zapewnił, jako nie widział Matki Boskiej i w ogóle nic nie widział. To jasne i stanowcze oświadczenie zaniepokoiło Proboszcza bardzo.

Tak popędy serca, jak i powaga orzeczenia Biskupa z Grenoble skłaniały go do wiary w objawienie: ale trudno

*) Za Maximinem wiele osób, a wreszcie i wszystkie niemal pisma powtórzyły na obronę la Saletta, że ks. Vianney nie dobrze słyszy. Aliści on miał słuch tak delikatny, że nawet musiał zasłaniać zegarek, bo mu spać w nocy nie dał. Łatwiej przypuścić, że Maximin nie rozumiał pytań, ponieważ ks. Vianney mówił niewyraźnie.

mu było wmówić w siebie, że nie słyszał tego, co mu Maximin wyraźnie powiedział; stąd walczył okropnie z budzącem się w sercu powątpiewaniem. Tem tłómaczy się sprzeczność niejaka w jego odpowiedziach. Mając na względzie aprobatę Biskupa, odpowiadał, zapytywany, że można dawać wiarę, pozwalał też na pielgrzymki do la Salette i nawet nieraz zachęcał do nich. Ale gdy go kto pytał o osobiste zdanie, rad unikał odpowiedzi; a gdy nie mogąc jej nieraz uniknąć przez wzgląd na stanowisko pytającego, niepokoił się widocznie i powtarzał zaraz to samo: jeśli prawdą jest, co chłopiec powiedział, wierzyć w objawienie niemożna. Widzieliśmy nieraz, jak zapytywany o szczegóły owęj rozmowy z Maximinem kurczowo ręką pocierał czoło, jak gdyby był chciał jakieś przykre zatrzeć wspomnienie i błagalnym głosem się wymawiał: „Głowa mnie boli, gdy o tem pomyślę.“

Pan Aubineau w pięknej swój książce o Sługach Bożych przedstawił nam jasno położenie ks. Vianney.

„Proboszcz z Ars — pisze on — zanadto miał znajomości rzeczy Bożych, żeby go nie miało uderzyć znamię świętości w wypadkach w la Salette; on, tak pobożny, byłby chciał z radością powitać ten dowód miłosierdzia Bożego nad ludźmi. Ale odwołanie, jakie usłyszał, brzmiało mu w uszach i raniło duszę. Byłby chciał zatrzeć je w pamięci. Wiedział jak nadużywano jego imienia! czuł żywo, z jaką to musi być urazą dla Matki Najświętszej; mieszał się tem, niepokoił i cierpiał nad tem okropnie. Byłby wolał nigdy nie słyszeć tych słów, które go tak dręczyły; ale nieprzyjaciel duszy rad mu je nieustannie powtarzał. Biedny Proboszcz zwierzał się nieraz ze swych wewnętrznych katuszy. Napróżno chciano zatrzeć w nim to wspomnienie, zagłuszyć to głośnie i długie a tak bolesne w duszy jego echo. Wmawiano weń, że Maximin prawdopodobnie uległ niecierpliwości, nie zeznał prawdy, z powodu iż mu bardzo dokuczono w Ars. „Niestety, odpowiadał Proboszcz, jam go nie dręczył! — I znów powracał dawny niepokój.“

„Zebyś wiedział, jak mi ta sprawa cięży, jak mnie dręczy, mówił święty Proboszcz do jednego z pielgrzymów,

osoby bardzo wiarogodnej. O Boże, wybaw mnie od tej myśli, bo już dłużej nie wytrzymam! Skoro tylko pokonam w sobie wątpliwość, jestem spokojny i wzbijam się wysoko! wysoko!.... Ale szatan znów mnie w nią ściąga; a wtedy zdaje mi się, jakoby mnie po cierniach i kamieniach włóczył.

Po ośmiu latach takiego doświadczenia, nagle niepokój i wątpliwości świętego ustały. W październiku roku 1858 ks. Toccanier pisał do jednego z prawników marsylijskich, znanego ze swych prac o la Salette.

„Po wysłaniu ostatniego mego listu, ks. Proboszcz wytłomaczył mi jaśniej swój powrót do pierwotnej wiary w objawienie, którą utracił skutkiem nieszczęsnego odwołania Maximina. Wiem, że te szczegóły Pana ucieszą.

„Powiedział mi więc Proboszcz, że prosił Boga o uwolnienie go od tej wątpliwości, którą przytłumiał w sobie przez uszanowanie dla władzy biskupiej. Przez dwa tygodnie wielkim miotany był niepokojem, który w jednej chwili ustał na jedno jego słowo: Credo, Wierzę.... Pragnąłem, dodał, sposobności jakiejś, aby komu z dycezyi Grenoble oznajmić tę moją wiarę, gdy nazajutrz przybył do zakrystyi nieznanym mi ksiądz, który mnie zapytał, czy można i czy się powinno wierzyć w objawienie w la Salette. Odpowiedziałem: Tak. Prosiłem Boga o łaskę doczesną za przyczyną Matki Najświętszej z la Salette, i otrzymałem ją.

„A zatem, wbrew zaprzeczeniu Maximina Proboszcz z Ars wierzy w la Salette. Nowy to wypadek w Ars, który bezwątpienia wielką radością wiele serc przejmie.“

W równym czasie ks. Guillemain, kanonik z Belley, potwierdzał to samo.

Kanonik des Garets z Lyonu pisał:

„W drodze do la Salette w czerwcu 1858 roku spotkałem ks. B., kapelana przy wojskowym lazarecie do jednego ze mną dążącego celu w D.... Ksiądz ten jest całkiem wylany na dobre uczynki; lecz głównem jego zadaniem czuwać nad duchownemi potrzebami wojskowych. Szczególna potrzeba wiodła go na miejsce cudowne: od dawna bowiem kilku pobożnych panien, których był przewodnikiem, prosiło go o złączenie ich w stowarzyszenie pod wezwaniem Matki Boskiej z la Salette.

„Ksiądz B. długo myślał nad tem, i przed postanowieniem czegoś, pragnął cudownej Pani polecić się w samemże miejscu w la Salette.

„Wyjeżdżając z la Salette, powiedział mi, że pójdzie poradzić się Proboszcza z Ars. Nic mu na to nie odrzekłem; nie przestęgałem o niepewności ks. Vianney, o której musiał wiedzieć, i czekałem, co z tego wyniknie. Za powrotem do domu ks. B. napisał do mnie w te słowa:

„Miałem szczęście rozmawiać dość długo z świętym Proboszczem. Bez najmniejszego wątpienia wierzy w cudowność la Salette; ale czemuż nie mogę ci powtórzyć słowo w słowo co mi powiedział o zamierzonym dziele! Choć prawdopodobnie nigdy o niem nie słyshał, i zanim otworzyłem usta, on pierwszy o niem zaczął, pytając, kiedy się do niego zabiorę. Rzecz ta nadzwyczajna tak mnie przeraziła, że nie mógł wyjść z osłupienia. Niema się czego wahać.... On, święty tłumacz woli Bożej, chce, abym się wziął do rzeczy niezwłocznie.... Ale czy doprawdy mój Ojciec, mówiłem mu przy pożegnaniu, Bóg chce tego dzieła? — »Miej tylko wiarę synu, odparł mi. Pocóż ci mam kilka razy to samo powtarzać? Brak ci wiary.... Odmów nowennę do Ducha św. i do św. Filomeny, i bierz się do dzieła.

„Widziałem z tego, że zaszła zmiana w przekonaniu świętego Proboszcza; ale co się stało nie wiedziałem, i nie tak łatwo było mi dowiedzieć się. Trudno było docisnąć się do Proboszcza z Ars przez oblegające go codziennie tłumy. A potem nie miałem sumienia zabierać mu drogiego czasu rzeczą nie zbyt ważną; więc długi czas nie pytałem go. Aż dopiero w październiku, upatrzawszy sobie wolną chwilę, zapytałem go: Pamięta Ksiądz Proboszcz ks. B., który tu był w czerwcu? »Pamiętam.« Pamięta Ksiądz Proboszcz o jego zamiarze? — »O! tak, uda mu się.« — Nie byłbym śmiał dalej go badać; ale sam ciągnął dalej: »Co do mnie, mój drogi, wycierpiałem bardzo wiele; kilka dni byłem bardzo nieszczęśliwy; cierpiałem, jak potępieniec. Sam nie [wiedziałem, czy mam wierzyć, czy nie wierzyć; a prawdę chciałem poznać. Nareszcie postanowiłem wyrzec po prostu: Wierzę! i w tej chwili jak gdyby mi kamień spadł ze serca: odzyskałem pokój. Wtedy prosiłem Boga o znak, że mam wierzyć. Nazajutrz profesor seminaryum przyszedł mnie zapytać, co sądzić o la Salette.« —

Tu wyznać muszę, zakończył kilku niewyraźnemi słowy, niemógłem ich pochwycić; usłyszałem tylko, jak dobitnie powtórzył: Więc teraz wierzę. Rozmawialiśmy na placu, gdzie tłumy pielgrzymów otaczały ks. Vianney, udającego się do kościoła.

„Jeśli mnie zadziwiła dobitność i jasność pierwszych jego odpowiedzi, w większy jeszcze podziw wprawiło mnie to poufne zwierzenie, którego nawet nie wywoływałem, a które tak wymownie wyrażało udręczenie świętego kapłana...,”

„W kilka dni po mnie kanonik Gérin z Grenoble przybył do Ars. Otóż notatka, w której spisał słowa Proboszcza:

»Dziękuję ci, żeś do mnie przyjechał. Wiele mam ci do powiedzenia o Matce Boskiej z la Salette. Nie umiem ci wyrazić, jakie katusze przeszedłem z jej przyczyny; bo cierpiałem nad wszelki wyraz. Wyobraź sobie naprzykład człowieka na pustyni wpośród tumanów piasku, człowieka, co niewie w którą obrócić się stronę. Nareszcie, miotany straszliwym niepokojem i udręczeniem, zawołałem: Wierzę! I od tej samej chwili odzyskałem od dawna utracony pokój. Prosiłem Boga, aby mi przysłał z Grenoble kapłana światłego, któremu mógłbym powierzyć moje zdanie i uczucia moje w tej sprawie. Ksiądz przybył nazajutrz. Nie pamiętam jego nazwiska; ale jest on profesorem przy seminarjum. Teraz jużby mi niepodobna wątpić o objawieniach w la Salette. Prosiłem Boga o znak, że mam wierzyć i otrzymałem go. Więc nietylko można, ale powinno się wierzyć w cudowność la Salette.“

ROZDZIAŁ X.

Ks. Vianney udręczony pragnieniem samotności.

„Kto mi da skrzydła jako gołębie, a będę latał i odpoczywał. Oto oddaliłem się, uciekając.“ (Ps LIV, 7).

„W ucieczce, ból jakiego doznawał, idąc dalej, który ustawał, gdy wracał, znie-wolił go do powrotu.“

(*Brev. Rom. z legendy o świętym Romualdzie*).

Ksiądz Raymond, ofiarowawszy Proboszczowi swe usługi, z największą gorliwością poświęcał się pielgrzymom przez lat dziesięć, i otoczył świętego miłością, za którą tenże równaż mu się odpłacał.

„Nie wiem, czy to dla tego, że kocham księdza Raymond, — mawiał ks. Vianney, — ale mi się wydaje, że nikt tak dobrze nie każe, jak on.... Zawdzięczam mu wiele dobrego; bo i naucza moich parafian, i mnie też z wad moich poprawia.

Proboszcz nie postanawiał nic ważnego, bez porady i przyzwolenia współpracownika swego; zdawał przed nim sprawę z wszystkiego co robił. Razu jednego nie wiedział jak ma przeprosić przyjaciela za to, że go nie uprzedził, iż chce dać komuś znaczną sumę pieniędzy. „Żadne dobrze wychowane dziecko, — mówiły przełożone Opatrzności, — nie mogłoby okazać tyle żalu i tyle zawstydenia, że matkę obraziło.“

Przed przybyciem ks. Raymond w roku 1839, Bóg przysposobił dla większej chwały swego sługi innego męża na świadka wielkiej jego cnoty. Za łaską Bożą władza duchowna pozwoliła ze wszech miar godnemu ks. Tailhades, pójść za dziwnym pociągiem do zawodu misjonarza.

Ten zaś, słysząc o znamienitej świętości Proboszcza z Ars, udał się do niego po radę na drogę nowego, a trudnego zawodu. Po kilkakroć spędzał w Ars trzy do czterech miesięcy. Chętnie byłby chciał stale tam zamieszkać, ale Pan inaczej rozrządził.

„Za pierwszą mą bytnością w Ars, w tej ziemi cudów, — pisze nam ks. Tailhades, — widziałem i słyszałem takie rzeczy, jakich się nigdzie nie widzi i nie słyszy. Zapowiedziałem trzem kierowniczkom Opatrzności, z blizka przypatrującym się życiu Proboszcza, że ważne mają przed sobą zadanie, bo żyją przy wielkim świętym i kiedyś, jeśli go przeżyją, będą musiały świadczyć o nim przed ludźmi. Że już teraz, aby się do tego przysposobić, powinny codziennie zapisywać ważniejsze wypadki w Ars. „A tobyśmy dopiero miały roboty! zawołała jedna z nich, chcąc przez to wyrazić, że się codziennie na tyle cudów napatrzą, że już im wreszcie spowszedniały i wcale uwagi ich nie zwracają.

Ks. Tailhades stał się bardzo pożyteczny Proboszczowi, pomagając mu w pracy duchownej i w jego imieniu odpisując na najważniejsze listy.

Ale wreszcie zniewolony wyjechać z Ars, chciał na pożegnanie ostatni raz ukłęknać u stóp świętego Kapłana i otrzymać odeń rozgrzeszenie. Jakież wtedy było jego zdziwienie, gdy za pokutę spowiednik mu zadał, aby nigdy nie opowiadał tego, co widział w Ars, mianowicie o jego osobie. Penitent pokornie się wypraszał od tej niespodzianej pokuty. „No! to zresztą, — odparł mu spowiednik, — opowiadaj sobie o Proboszczu z Ars co chcesz w innych parafiach, to mi wszystko jedno, tam mnie nikt nie zna i nikt na te wieści uwagi nie zwróci. Ale zastrzegam sobie dyczezye Beleyską i Lyońską.

W roku 1859, na rok przed śmiercią ks. Vianney pojechaliśmy do Montpellier w celu odwiedzenia ks. Tailhades i zaczerpnięcia w skarbach nagromadzonych w jego tece i w pamięci z dawnych wspomnień o Ars. Opowiedziawszy nam wiele drogocennych szczegółów, gdy się zabierał pokazać nam autografy i rękopisy, przypomniał sobie nagle, że związany jestadaną pokutą w obec jednego księdza z dyczezyi Beleyskiej. Powiedział nam też, że dobrześmy zrobili, przybywając do niego; bo w obwodzie

Lyonu i Belley nie byłby się czuł upoważniony nawet do przesłania nam piśmiennych dokumentów.

Biskup Devie pod koniec pięknego swego życia umyślił założyć w Ars filią misyonarzy, gdzieby młodzi zakonnicy mogli się kształcić na wzorze tej znakomitej świętości i przejmować cnotami iście apostołskimi, pokorą, ubóstwem i umartwieniem.

Lecz pełen cnót i zasług zakończył długi swój żywot, otoczony błogosławieństwem, czcią i wdzięcznością; z jego wyboru Biskup Chalandon zasiadł po nim na stolicy arcybiskupiej.

„Po odprawieniu rocznych rekolekcyi w seminaryum w Brou, — pisze ks. Toccanier, — wybierałem się właśnie do naszego zacisza w Pont de'Ain, gdy mi przełożony oznajmił, że Biskup Chalandon, urzeczywistniając myśl swego poprzednika, przeznaczają mnie na Misyonarza w Ars, gdzie przy wzmagającym się pielgrzymstwie pomocnik jest koniecznie Proboszczowi potrzebny.

„Proboszcz z Ars przyjął mnie z zwykłą swą dobrocią, przecież z jakimś zakłopotaniem. Czuł potrzebę samotności; — do samotności wzdychał nieustannie pośród ciągłego ruchu, jaki go otaczał: moje zatem przybycie zdawało mu się pomyślną sposobnością, aby złożyć w inne ręce zadanie, którem nie tyle był znudzony, ile przerażony.“

Wyjątkowe to zadanie było bardzo przykre i w zasługi obfite dla Proboszcza z Ars. Wystawiało go bowiem na ciągłą, nieustającą ofiarę jego upodobań i skłonności duszy. Natarczywie ścigała go jedna myśl, aby uciec do Trapistów, do Kartuzów, do jakiegobądź zacisza, gdzieby mógł oplakiwać nędzny swój żywot i wyblagać sobie miłosierdzie Boże. Widzieliśmy, jak raz już uległ pokusie i uciekł do rodziny na dni kilka. Na trzy lata przed tą ucieczką, w tym samym celu wstał w nocy i puścił się w drogę; gdy w tem, przechodząc obok krzyża nad drogą, stanął nagle i zapytał sam siebie: »Czy ja też spełniam wolę Bożą? Co lepiej, nawrócić choćby jedną tylko duszę, czy modlić się w samotności? W odpowiedzi, jaką w sercu usłyszał, uznał głos Boży i wrócił do domu. Lecz za przybyciem misyonarza, sil-

nię, niż kiedykolwiek zapragnął tej samotności, gdzieby go już żadne stworzenie od Boga nie odrywało; gdzieby mógł usunąć się przed straszną odpowiedzialnością dusz pasterza; gdzieby mógł w skupieniu i zatopieniu się w Bogu zażyć trochę ciszy i spokoju przed śmiercią.

Nazajutrz więc po wprowadzeniu w urząd ks. Toccanier, w niedzielę rano, zwierzył się ks. Vianney przełożonym Opatrzności w wielkiej tajemnicy, że zamierza uciec. Zdradził się również, choć niewyraźnie przed bratem Hieronimem ze Zgromadzenia Świętej Rodziny, wydając mu jakieś polecenia na czas swój niebytności. Domyśły wywołały popłoch w całym gronie jego przyjaciół; urządzili czuwać całą noc i przeszkodzić zamiarom Proboszcza. „O północy, — opowiada ks. Toccanier w wspomnieniach swych, — silne uderzenia do drzwi obudziły mnie i w jednej chwili stanąłem na placu z dwoma braciszkami, szpiegującymi każde poruszenie ks. Vianney. Widzimy, jak zabiera brewiarz i kapelusz, schodzi na dół, zmierza ku domkowi zamieszkałemu przez Katarzynę Lassagne i pukając do niego woła: »Jesteście gotowe?.. ruszajmy! — W tej chwili wszyscy trzej stawamy naprzeciw niego. Ksiądz Vianney widząc nas, surowo wymówił Katarzynie: »Zdradziłaś mnie!« Na to pierwszy Brat Atanazy zapytał: »Gdzie się Ksiądz Proboszcz wybiera? jeśli nas porzuci, uderzymy w dzwony.« — »Rób co chcesz, — odrzekł mu Proboszcz krótko i stanowczo, — i przepuść mnie.«

„Nie chciałem odgrywać roli żandarma, — opowiada dalej ks. Toccanier, — lecz uczepiłem się zbiega i idąc z nim, starałem się mu wybić z głowy jego zamiar. Gdy przecież wymowa moja była daremna, przyszła mi myśl zagasić latarkę. Jakoż stało się, jak powiedziałem, ksiądz Vianney w ciemności zmylił drogę i zamiast ku Lyonowi, puścił się ku Juy, otoczony zastępem pielgrzymów, którzy nocowali w dzwonnicy i kilku Arsanami. Doszedłszy do rzeki stanąłem mu w poprzek drogi, lecz gdy nie mogłem przełamać jego silnego postanowienia, zabrałem mu brewiarz. Odpowiedział mi na to spokojnie, że w Lyonie oficyna swe odmówi. — Jakto? zawołałem, cały dzień ks. Proboszcz nie odmówisz brewiarza? Zakłopotало go to zapytanie; dał się namówić na powrót do plebanii po bre-

wiarz, odziedziczony po Biskupie Devie. Udałem, że go wraz z nim szukam; a tymczasem pochwyciwszy portret Biskupa, rzekłem, ukazując go: Księżę Proboszczu, cóż on tam mówi na twój postępek? zdaje mi się, że jeśli za życia wolę jego szanowałeś, to tem więcej powinieneś ją szanować po jego śmierci. Przypomnij sobie, co on powiedział dziesięć lat temu.“

Ksiądz Vianney zmieszany przypomnieniem władzy, którą czczył i poważał, tłumaczył się z dziecięcą prostotą: „Nie gniewałby się na mnie, bo wie, że mi potrzeba opłakać nędzne me życie.“

Pan des Garets przyszedł mi w pomoc, podobne moim czyniąc mu przedstawienia; lecz Proboszcz nie słuchając go, sucho mu odpowiada, że idzie za natchnieniem Bożem, w przeczuciu blizkięj swęj śmierci.

Świadkowie zauważyli przez cały ciąg tęg sceny, jakiś niezwykle wyraz smutku i goryczy w jego głosie i na jego twarzy. Jawna w tym znaku była obecność pokusy.

Na pierwszy odgłos dzwonu zbudzeni mieszkańcy Ars wybiegli z chat, krzycząc pełni trwogi: Ksiądz Proboszcz! Ksiądz Proboszcz! Ale ponieważ nikt nie wiedział, co ks. Proboszczowi zagraża, wybiegali z fuzyami, widłami, kijami; a inni z wiadrami, myśląc że to pożar. Kobiety zalegały kościół i modliły się głośno, mężczyźni zaś, jak się to wyżej mówiło, uzbrojeni stanęli na placu i dokoła plebanii. „Zadna scena nie mogła lepiej przypomnieć pojmania Pana Jezusa w Ogrójcu, — powiedziała Katarzyna, z tą różnicą, że Pan Jezus był łżony, a ksiądz Proboszcz nie.“

Ksiądz Vianney z trudnością przez ten tłum się przecisnęła, na ulicę wyjść mu nie dozwolono; jeden z jego najgorętszych wielbicieli, stanąwszy u wrót placu, wołał z zaciśniętymi pięściami: »Nie przepuszczę, księdza Proboszcza!« Proboszcz prosił się łagodnie; chodził od jednéj bramy do drugieję, zawsze nadaremno; i jak Katarzyna podaje, płakał. Tymczasem lud nie ustawał go błagać: »Zostań, ach zostań z nami!«

Ale wreszcie otworzono bramę, droga stała przed nim otworem. „Czułem, — pisze ks. Toccanier, — że chwila

była stanowcza; chciałem ją wyzyskać i począłem nalegać słowy, jakimi mnie chyba sam Bóg natchnął. »Księżę Proboszczu, — mówiłem mu, — znasz dobrze życie świętych; czy zapominasz jak stałą i wielkoduszną była gorliwość św. Marcina, który blizki już nagrody wołał: Nie wymawiam się od pracy. A Ksiądz Proboszcz chciałbyś porzucić zagon przed końcem dnia? Czy zapominasz słowa św. Filipa Nereusza: Choćbym był u samych wrót raj, a grzesznik przyszedłby mnie prosić o ratunek, porzuciłbym cały dwór niebieski, aby go wysłuchać. A ty, księżę Proboszczu, miałbyś serce zostawić rozpoczętą spowiedź tylu z dala przybyłych pielgrzymów? czy nie odpowiesz Bogu za ich dusze?«

Każdy z mych wyrazów wierny znajdował oddźwięk w sercach zebranego ludu; padał mu do nóg, błagając ze łkaniem: »Ach! Ojcie nie odchódź, zanim wysłuchasz naszej Spowiedzi!« I tak się cały zastęp ścisnął dokoła niego, że rzec można zanieśli go do kościoła.

Ksiądz Vianney według swego zwyczaju długo pozostawał pochylony przed ołtarzem, długo tam płakał, poczem przeszedł do zakrystyi, gdzie z panem des Garets pomówiwszy chwil kilka, zasiadł spokojnie do konfesyonału jak gdyby nic nie było zaszło. Uwiadomieni księcia z Lyonu i okolicy przybyli już po Mszy ks. Vianney i do innych łączyli swe prośby i zaklęcia, aby nigdy nie myślał o ucieczce. Lecz nic im przyrzec nie chciał.

Przez następne trzy dni Proboszcz rozplýwał się w łaskach i pociechach Bożych w nagrodę za poświęcenie swęj woli. Gdy go ks. Toccanier badał o przyczynę tęj ponownęj uciezki, powiedział mu, że chciał, jeśli się tak wyrazić godzi, przyprzeć Pana Boga do muru i powiedzieć: »Nie z własnej woli umarłem Proboszczem, ale z Twojéj Panie Boże.«

Jakoż w rzeczy samej Bóg jawnemi znakami objawiał, że chce, aby sługa jego pozostał w Ars. Niektóre osoby chciały mu ułatwić nocną wycieczkę, kusiły go do niej. Opatrzność Boża widocznem działaniem wstrzymała go.

Ks. Toccanier tak znów wypadek ten opisuje:

„Dnia 26 stycznia 1855 roku, bratanek ks. Vianney

przybył z Dardilly z oznajmieniem, że umierający ojciec jego pragnie się z nim widzieć. Po długich targach, brat Hieronim i ja zasiedliśmy do wygodnego powozu wraz z księdzem Proboszczem i jego bratankiem i ruszyliśmy w drogę. Lud zaniepokojony jego wyjazdem, klękał na drodze, prosząc o jego błogosławieństwo.

Ale zaledwo zatoczyły się koła, już mu się słabo zrobiło. W Balmes kazał okna otworzyć i dostał mdłości. Wsiadł z powozu drżący; po chwili ująć nie mógł, chciano mu uciąć kij w nadbrzeżnych zaroślach; ale się temu oparł, utrzymując, że toby było kradzieżą. Przyszedłszy do Parcieux, drogą nierówną i górzystą, wyznał, że dalej już iść nie może. Na to ofiarowałem mu się, że pojedę do jego brata i w jego imieniu zapytam, czy ma mu co do polecenia. Proboszcz przystał na to i nawrócił ku Ars wraz z bratem Hieronimem. Choć jechali szybko, droga już go wcale nie męczyła. Stanąwszy zaś w domu, bez wytchnienia zasiadł do konfesynału, gdzie wielkie czekały go zdobycze.

„W Dardilly, — pisze dalej ks. Toccanier, — dla złych dróg i wielkiego śniegu, stanęliśmy w późnej nocy. Na odgłos turkotu powozu, pierwsze zakonnice z Dardilly przybiegły, i widząc z daleka księdza, dają znać znajomym, że Proboszcz z Ars przybył. Biedny chory cieszył się niewymownie. Tymczasem jakież było rozczarowanie wszystkich, gdy w miejscu Proboszcza jego wikary się ukazał! Dopelniwszy polecenia przy chorym, pospieszyłem nazajutrz do ks. Vianney, którego tak cierpiącego zostawił. Nie mało się zadziwiłem, gdy mi powiedziano, że zaledwo powóz skierował się ku Ars, minęły u niego wszelkie objawy choroby, i że wprost z powozu udał się do zwykłej swej pracy, nie okazując najmniejszego znużenia. Ciekawym szczegółem jego powrotu było to, że gdy pod Trévoux spotkali go pielgrzymi jadący do Ars, wysiedli z powozu i pieszo odprowadzili go do kościoła.

„Pomiędzy tymi pielgrzymami, zapytałem go, byli zapewne jacy zatwardziali grzesznicy? — »Zgadłeś mój drogi, niektórzy od lat czterdziestu nie byli u Spowiedzi.« Widzisz, Księżę Proboszczu, jak to Sam Bóg cię powrócił dziełu najmilszemu dla Jego Serca.

„Dobry Proboszcz odpowiedział mi z uśmiechem. W kilka godzin potem, przybyły zakonnice i wikaryusz z Dardilly ostatni przypuścić szturm do ks. Vianney, namawiając go na podróż koleją, aby go droga tyle nie męczyła. »Niepodobna, niepodobna, — bronił się biedny, — uczyniłem, com tylko mógł.« Wtedy wikary, gorąco pragnąc go mieć w Dardilly, nacierał jeszcze, przedstawiając, jak gorzko będzie bratu jego umierać, nie powierzwszy mu tajemnic, jakie mu chciał powierzyć. Lecz zmieszany odpowiedzią Proboszcza, żem ja już brata jego wypytał się o wszystko, cokolwiekby miał mu do powiedzenia, poprzestał go namawiać. Przecież za dni kilka wrócił do swego, i korzystając z nocnej doby, gdy ks. Vianney przechodził z plebanii do kościoła, usilnie począł go namawiać, aby wsiadł do czekającego już powozu i pojechał z nim do Dardilly. Lecz Proboszcz oparł mu się stanowczo, zastawiając się, że nie uprzedził o tem Biskupa, i wyjechać nie może.

Po czwarty raz już Proboszcz z Ars widział się zniewolon uledez widocznęj woli Bożęj; uznał, że jego pragnienie spokoju i spoczynku w modlitwie było pokusą; a pomimo to często przychodziło mu z nią walczyć, i często powtarzał, że to rzecz okropna z probostwa przechodzić na sąd Boży. Zresztą na żadnej pustyni nie byłby on znalazł upragnionęj samotności i ciszy, bo przykład jego życia i siła jego cnoty byłyby do niego przyciągały ludzi. Wszędzie tłumy, pragnące pociechy i nauki byłyby go odkryły i dotarły do niego.



ROZDZIAŁ XI.

Cześć oddana ks. Vianney przez kilku znakomitych gości.

I będę poniżonym w oczach moich: Chwalniejszym się pokaże.

(II. Król VI, 22).

Miły Bogu i ludziom, którego pamiątka jest w błogosławieństwie. Podobnym go uczynił świętym w chwale i uczynił go wielkim.... Uczynił go zacnym w oczach królów.

Ekkł. XLV, 1-3).

A u mnie w wielkiej uczciwości są, Boże, przyjaciele twoi: bardzo się zmocniło ich panowanie.

(Ps. LXXXVIII, 17).

Nie wiem, czy za naszych czasów był człowiek, któryby zażywał tak wielkiej i powszechniej czci i sławy, jak Proboszcz z Ars. A jakżeż dziwną, cudowną ona się wydaje, zwłaszcza, gdy się zważy, że nic innego mu jęj nie wyrobiło, jak tylko jego pobożność. Cnota była jedyną podstawą jego chwały; ona to opromieniła nawet jego prostotę, którą on głupotą swą nazywał; i dla cnoty Bóg nieudolność jego namaszczył, że tak powiem, darem proctwa i cudów. Gdy się zaś zważy skromność ks. Vianney, jak pilnie unikał wszelkiego rozgłosu, tedy nabiera się tém więcej przekonania, że ludzkość nie upadła jeszcze tak nisko, jak się z pozoru wydaje, i że przykład kilku świętych pomiędzy nami ożywilby w martwych sercach wiarę, co świat zbawia.

To przekonanie wynosili z Ars wszyscy pielgrzymi, jakichbądź przekonani religijnych i jakichbądź warstw społecznych. Boć serce zamiera ostatnie w człowieku, a każde żyje podziwem piękna i upodobaniem w dobrem. Piękno i dobro pod jakąbądź postacią, zawsze czynią wrażeń.

nie w sercach. Widok ich uszczęśliwia je, zapala, rozrzewnia je i pobudza do czci i miłości.

Jeśli nie wszyscy pielgrzymi patrzeli na Proboszcza okiem wiary, której nie posiadali, wszyscy chyliłi czoło przed jego wielkością duchową, podziwiali jego mężstwo w pokucie i jego gorliwość apostołską. Jeden ze znakomitych uczonych mówił nam z uniesieniem: „Zaiste, od stajenki Betleemskiej świat nie równego nie widział.“ — Oczywiście uczony ten nie znał dziejów Kościoła naszego, ale o tyle pojął rzecz prawdziwie, że życie Proboszcza z Ars, jako też życie wszystkich świętych Bożych jest tylko ciągiem dalszym żywota Chrystusa Pana. Kolebką ich Betleem, gdzie się wszelka cnota zrodziła, z kąd mocą Bożą promienie jej wystrzeliły na cały świat i po wszystkie wieki.

Sławny jeden poeta, nie mogąc powstrzymać wrzuseń podziwu, gdy widział i słyszał Proboszcza, w jego obecności zawołał z zapalem: «Nigdy Boga nie widział tak blisko.» — «To prawda, odparł mu święty, wskazując na wystawiony N. Sakrament, Bóg tu bardzo blisko. Jest z nami tam w przybytku swojej miłości.» Gdy zaś poeta nie ustawał wynosić jego zasług i przymiotów, ks. Vianney wziął go za rękę i powiedział: Mój drogi, uważ jak trafne są słowa św. Jana. «Gdyby nas ludzie znali, mówiliby daleko gorzej o nas.» — Poeta opowiadał mu dalej o wierzeniach swych, które poświęca na dochód Kościoła, na co mu Proboszcz odparł: «Zapewne Kościół z cegły zbuduje się, ale najważniejsza, zbudować we własnem sercu duchowy Kościół, żywy przybytek, w którymby sobie Chrystus Pan upodobał.» — Poeta pożegnawszy Proboszcza, wołał: «Cóż to za pierwowzór świętości! Ten człowiek przewyższa sławę swego imienia! Nigdy nie zapomnę tej głowy, za życia już otoczonej promieniem błogosławionych, tego ognistego spojrzenia, tej dziecięcej prostoty...»

Przybył też do Ars zamorski misyonarz Marceau; zapytany, czy spostrzegł w ks. Vianney dużo nauki, odpowiedział: «Ludzkiej nauki ani źdźbła, ale za to co w nim nauki Bożej!... Najwięcej mnie przejęło, żem widział w Proboszczu z Ars jakoby jedno z onych dziełek, jakie

Chrystus Pan ukochał. Jest on najpiękniejszym wzorem chrześcijańskiego dziecięcia i dla tego to Bóg jest z nim!»

Nie będziem się silili na wyliczanie wszystkich dowodów zaufania, czci i miłości, jakie składano ks. Vianney, boć wiadoma, jakim przez lat trzydzieści Ars był ogniskiem, u którego składano wszystkie prośby i wszystkie modlitwy. Wzięła nas ciekawość przejrzeć raz książkę przybyłych podróżnych do hotelu; wyczytaliśmy z niej nazwiska z wszystkich krajów i miast europejskich, a nadto podróżnych z nad wybrzeży Missipi, Ohio i La Plata.

Wielu Biskupów i Arcybiskupów długo odbywało narady w ubogim pokoiku ks. Vianney.

Biskup Dupanloup po kilkakroć wracał do niego, spowiadał się przed nim i opowiadał swoim przyjaciółom, że dobry Proboszcz temi słowy uspakajał jego obawy przed ciężarem obowiązków pasterskich: «Biskupów jest wielu w martyrologii, proboszczów prawie wcale. Osądź Wasza Przewielebność, czy masz tyle powodu do obawy, co ja?»

Biskup Lyonnet, mając objąć stolicę w Walencyi, przybył po błogosławieństwo ks. Vianney. Ten zaś, nie mogąc znieść u swoich stóp Dostojnika Kościoła, po długim naleganiu uczynił nareszcie na nim znak krzyża św., ale zaraz padł przed nim na kolana, wołając: «Niech to błogosławieństwo na mnie spłynie.»

Trzeciego maja r. 1845 po skończoném nabożeństwie majowem, skromny zajechał powozik, w którym lud zebrany przed kościołem dostrzegł białą sukienkę zakonną, przybywającego księdza. Wnet wszyscy sobie powtarzali: «to ten wielki kaznodzieja!...» Tak nazywano w okolicy Lyonu O. Lacordaira, który znakomitą swą wymową cały świat poruszał. — Nazajutrz podziwiali wszyscy słynnego Dominikanina, słuchającego ze skupieniem kazania Proboszcza z Ars. Geniusz korzył się przed świętością, która mu się tu w największej prostocie ukazywała. Rozrzuwniony nim ks. Vianney, powiedział do kogoś: «Podczas bytności O. Lacordaira przyszło mi na myśl, że uosobiona wielkość w nauce przyszła się tu unżyć przed uosobioną małością w nieuctwie... Dwie ostateczności zetknęły się z sobą.....»

Gońce wezwanie sługi Bożego do nabożeństwa do

Ducha św. i modlitwa jego, aby Duch św. napełnił serca parafian jego dary swemi, wzruszyło niezmiernie O. Lacordaira. Powiedział, że gdy będzie mówił o tym przedmiocie, uczyni to w tym samym duchu, choć nie tymi samymi wyrazy. «Ten święty kapłan i ja, — dodał, — nie mówimy jednemi słowy, ale przynajmniej mogę sobie dać świadectwo, że równo czujemy, choć inaczej się wyrażamy.» Święty uprosił sobie wymownego zakonnika, aby też w kościółku jego powiedział słowo Boże, a nawet zapowiedział to ludowi, obiecując, że ktoś inny lepij wam powie odemnie. Ojciec nagłony prośbami Proboszcza, przez uszanowanie dla niego podjął się kazania, ale się skarżył, że byłby wolał słuchać, niż mówić. «Przybyłem tu, mówił, aby się poradzić i zbudować,» i z tak głęboką pokorą i głębokiem przekonaniem poniżał się przed cnotą sługi Bożego, że wszyscy parafianie chlubili się wielkością swego świętego.

Wszystkich rozrzewnił widok znakomitego mówcy, idącego pokornie i ze skupieniem ze starcem, do którego może przyszedł po prorocstwo dla przyszłości zakonu, który on miał odnowić we Francyi. Ks. Vianney ze łzami patrzył na jego pokorne postępowanie; wielkość jego myśli i urok jego słowa oczarowały i zapaliły go. «Nie śmiem, teraz, — mówił on, pokazać się na mój ambonie, tak samo jak ten, co pożyczwszy Papieżowi swego konia, już nie śmiał go dosieść.» Gy rozmawiano przed nim, że konferencye jego wielkie wywierają wrażenie w Lyonie, a przecież mało się ludzi skutkiem nich nawraca, rzekł: «Jest to już wielka rzecz, jeżeli kaznodzieja dowiedzie uczonym, że więcj wie od nich, i pysznym tego świata, że nie oni najbieglejsi... Trzeba ich porwać do podziwienia gmachu, aby nabrali ochoty wnijsć do niego.

Tak więc wzajemnie podziwiali się ci dwaj znakomici mężowie. O. Lacordaire przejęty świętością Proboszcza, postanowił wrócić jeszcze do niego; jakoż dotrzymał słowa. Nie zwierając się z swój poufnj z Proboszczem rozmowy, wyznał tylko, że mu tenże rozjaśnił niektóre poglądy i dał zadatki nadziei niezawodnych co do zakonu kaznodziejskiego.

Mówiąc o świetle, jakiego zaczerpnął od ks. Vianney,

powiedział: «Nauka ciąglą przepaść kopie w życiu, a nigdy jęj nie zapelni; pobożność oświeca je, podnosi i przepelnia.»

Sędziwy O. Muart, założyciel Benedyktynów w Piere qui-vire uczul się całą duszą pociągnięty do Proboszcza z Ars. Wielcy bowiem słudzy Boży nie mijają się obojętnie, lecz raz się spotkawszy, ściśle się łączą. Przeczuciem jakięś przedziwnem się poznają; wzajemny pociąg ku sobie czują do wymiany swych myśli.

Jednego dnia, gdy misyonarz wszedł do kościoła o piątęj z rana, aby odprawić Mszę św., zastał w zakrytyi klęczącego i łzami zalanego księdza, o pięknej, rozumnej twarzy z białym wieńcem włosów w koło głowy. Był to ks. Combalot. Rzucił mu się w objęcia, wołając: «Jakiegoż to człowieka macie!... I jam posiwał, nie poznawszy go!... Ach wróćę tu, wróćę do niego!» I nie mógł się nasłuchać szczegółów o Proboszczu z Ars, uznawał w nim rzeczywistą świętość; równał go z św. Bernardem i św. Bonawenturą, upatrując jakieś zbliżenie w tém co On mówił, ze słowami tych wielkich mistrzów życia wewnętrznego.

Pisał ktoś z Paryża:

«Zeszłej niedzieli doznałem wielkiej radości. O. Pé-tétot, kaząc w Saint Sulpice na cześć św. Karola Boromeusza, patrona seminaryum, wynosił chwałę świętych i laski, jakie Bóg zlewa na tych, co mu się bezwarunkowo oddają. Nagle przerwał sobie wzruszonym głosem: Widziałem raz świętego, slyszalem jak nauczał lud.... Wy-mowa jego polegała na tém, że powtarzał: «Moje dzieci, kochajcie Pana Boga!... On taki do-bry!... Kochajcie Go bardzo...» a zwracając się do kleryków, dodał: Święty, którego mam szczęście znać, więcej dusz nawraca temi prostemi slowy, niż my długimi kazaniami.»

Nieskończony szereg pielgrzymów przesuwacbyśmy musieli przed oczyma czytelnika, i zdwoić ramy naszej pracy, gdybyśmy mieli wymienić tych wszystkich Ojców, męzców, żony, przełożonych szkół, zakonów i nowicyatów, którzy świętemu Proboszczowi przyprowadzali swoje dzieci, żony, wychowanców i nowicyuszów zakonnych.

Prezes Tow. św. Wincentego a Paulo z Villefranche, nieodżałowanej pamięci hr. de Montbriant, wszystek na dobre uczynki wylany, przyprowadził do Ars swych członków Towarzystwa, pragnąc dla nich błogosławieństwa i zachęty z ust ks. Vianney. Nie trudno było zamówić sobie u niego intencją osobną we Mszy św. «To przyjaciele ubogich, — mówił, — jam też ubogi, będzie mi dobrze z nimi i w pośród nich. Wiedzano atoli naprzód, że z pokory wymówiłby się przewodniczenia jakiemuś zebraaniu, użyto więc podstęp. Po jego Mszy św., po kazaniu ks. misyonarza i po katechizacyi, w której Proboszcz przedziwnie mówił o używaniu bogactw, dołączając wiele ustępów niewymownej, a czarującej prostoty, towarzystwo zebrało się na dziedzińcu przed plebanią. Proboszcz wracając do domu, zdziwił się ich obecnością, ale powitał dobrotliwym uśmiechem, mówiąc: «A! i tu przyjaciele ubogich!... Wszędzie ich dziś spotykam! Przyjaciele ubogich są przyjaciółmi Boga; to istny dzień rajski na ziemi.»

I mimo wiedzy spełnił życzenie pielgrzymów; od niechcienia mówiąc im o ubóstwie, o jego godności i rozkoszach, i przeplatając opowiadanie legendami o św. Franciszku Serafickim, o św. Janie Bożym i innych gorących wielbicielaeh świętego ubóstwa. Słuchacze byli tak mową jego zachwyceni, że choć mówić przestał, słowa jego brzmiały im jeszcze w uszach i oderwać się nie mogli od miejsca, gdzie według wyrażenia Proboszcza, rajską na ziemi spędzili chwilę.

Jednym z najwspanialszych rysów obrazu podziwianego w Ars, były objawy czei, jaką oddawano księdzu Vianney. Znakomity pewien gość państwa des Garets, generał, wysłuchał jego kazania bez osobliwego wrażenia, lecz do głębi duszy poruszył się, gdy ujrzał z jakim uwielbieniem lud padał przed świętym starcem na kolana, błagalne ku niemu wznosząc ręce o jego błogosławieństwo, podczas gdy on uśmiechnięty i łagodny, do każdego słówko przemówił i wszystkim błogosławił.

Pielgrzymi nie przestawali na rozmowie, nauce i błogosławieństwie Proboszcza z Ars; domagali się koniecznie jakiejś po nim pamiątki. Ztąd poszedł zwyczaj bardzo dla pokory ks. Vianney przykry, że po Mszy św. poświęcać

musiał medaliki i koronki i podpisywać się na książkach i obrazkach, które mu podawano.

Początkowo wychodząc z kościoła na krótko, komeżkę zarzucał na mur cmentarny i brał ją na siebie z powrotem. Lecz wkrótce nie było mu podobno wcale jej zdejmować, bo mu ją na kawałki pocięto i rozebrano. Taki sam los spotkał i jego kapelusz, aż w końcu przestał go używać. Kilka razy ucięto mu po kawałku rewerendy. Znalazły się dość śmiało niewiasty, że w czasie katechizacyi targnęły się z nożyczkami na siwe jego włosy. Gdy go za mocno pociągnęły, ze zwykłą słodyczą opędział się mówiąc: «Dajcie mi pokój!» Ubolewał nad tē, ale zwyczajnie czynił, jakoby wcale tego nie spostrzegł. Nieraz wrywano mu karty z brewiarza. Jednem słowem, trudno wypowiedzieć, z jaką chciwością ludzie poszukiwali choćby najmniejszej drobnostki, która mu służyła, lub której się tylko dotknął. Po kilka razy przedawano sprzęty z jego pokoju. Żaden gość obcy nie wyszedł z plebanii bez jakiejś pobożnej kradzieży. Wyciągano słomę z jego łóżka, narzynano jego stół, wydzierano karty z jego książek, z szufladek zabierano mu piórka, z grzebienia pozostałe włosy. Kto nie mógł nic złupić w domu, łamał gałązki z dzikiego bzu z przed plebanii; skromniejsi rwali polne kwiatki i trawy z jego ogrodu.

Kto nie mógł widzieć Proboszcza z Ars, starał się o nabycie jego wizerunku. Portrety jego wywieszane były we wszystkich oknach, na każdych drzwiach wiejskich chat — były najróżnorodniejsze, czasem do śmieszności dziwaczne. Korciło go to wszystko zwłaszcza z początku; w końcu, jak do tylu innych przykrości, tak i do tēj przywyknął. A przecież gdy wśród głośnych objawów czci przechodził z kościoła do plebanii, po wyrazie jego twarzy, spuszczonej głowie i zawstydzeniu jego widać było, jak go one męczyły. Jeśli spostrzegł swój portret na ścianie, mawiał: «Biedny tēż to ten Proboszcz z Ars! wieszają go... przedają... nieszczęśliwy!...»

Na widok jednego z bohomazów jaskrawszych, niż zwykle, zawołał wesoło; «Patrzcież tylko, czy ja to nie wyglądam, jak gdybym z karczmy wychodził?»

W r. 1852 pewnemu artyście udał się dość dobrze

portret ks. Vianney, odbito podług niego litografie, które sprzedawano po trzy franki. Żartował z tego Proboszcz, mówiąc: «Jak też to co chwila można przekonać się o lichęj wartości swojej. Póki mnie sprzedawano po dwa grosze, było wielu na mnie kupców, gdy mnie podnieśli do trzech franków, nikt mnie nie chce.»

Rozmaici artyści prosili go, aby pozwolił im się odfotografować, ale napróżno. P. Cabuchet, utalentowany rzeźbiarz, wyjednał sobie list Biskupa Chalandon do ks. Vianney z prośbą, aby pozwolił mu się odwzorować, lecz Proboszcz w odpowiedzi postawił za warunek, że za portret Biskupa pozwoli mu opuścić Ars. Pomimo to p. Cabuchet nie dał za wygraną; siadał w pośród słuchaczy w czasie katechizacji naprzeciw Proboszcza, i wpatrując się w niego, urabiał z wosku jego głowę.

P. Cabuchet należy do tych chrześcijańskich artystów, którzy przed pracą w modlitwie szukają natchnienia. Zapragnął on spowiadać się przed św. Proboszczem, i choć go przestrzegano, aby swych zamiarów nie wyjawiał, gdyż Proboszcz gotów za pokutę kazać mu zniszczyć jego wzór z wosku, nie mógł się przeciw powstrzymać i powiedział, że jest twórcą figury św. Wincentego w Chatillon. Ośmielony pochwałą proboszcza, wyraził, że chciałby jeszcze jedną podjąć się pracy na chwałę Boga w swych świętych, na co ks. Vianney, domyślając się jego zamiaru, ze surową twarzą odpowiedział mu: «Co do tego, nigdy nie nie zezwolę ani dla ciebie, ani dla ks. Biskupa!...»

Po tej rozmowie, Proboszcz z Ars spostrzegł swego penitenta na przeciw siebie w czasie katechizacji, a domyślając się jego podstępu, nachylił się ku niemu i rzekł łagodnie: «Mój drogi, przeszkadzasz i mnie i innym...» Na to upomnienie rzeźbiarz przerwał sobie robotę już prawie na ukończeniu i dopiero po kilkudniowej wycieczce wrócił do Ars na swe stanowisko, myśląc, że go Proboszcz nie pozna.

Lecz tenże od razu go zapytał: Czy to nie masz roboty w domu? — A czy ks. Proboszcz chciałby mnie za drzwi wyrzucić?... No nie, mój drogi, ale radbym cię wykluczyć z tego grona. — Za jakąż to zbrodnią? — No

no, dość tego... wiesz dobrze... znów mi dziś rano przeszkadzałeś...

«Było to prawdziwem szczęściem dla mnie, poznać Proboszcza z Ars, — mówił później p. Cabuchet, bo wiedzieć musi świętego, kto świętych chce przedstawiać.

Nie możemy zamilczeć zaszczytów, jakie od władz spotykały ks. Vianney. Biskup Chalandon przysłał mu (camail) płaszczyk biskupi. Ubrał się weń raz w dzień przyjęcia, ale było mu to przykrzejsze, niż gdyby go obito. Nieco później markiz de Castellane, podprefekt z Trévoux wyjednał mu krzyż legii honorowej, który udano przed nim za relikwiarz, żeby go skłonić do przyjęcia.

Pocziwy Proboszcz, poznawszy się na podstępnie, oddał krzyż ks. Toccanier, dodając, żeby z taką przyjemnością go przyjął, z jaką on mu go ofiaruje. Prefektowi zaś z Ain, hr. Coëtlegon, powiedział, że godniejszemu od niego powinien być cesarz krzyż ten ofiarować. Ten odparł: «Cesarz dając księdzu krzyż legii, nie chciał jego zaszczyścić, lecz zaszczyścić legię honorową.»

Zanim zakończym ten rozdział, wspomnieć nam należy o dziwnym sporze, jakby nie z naszych, lecz gdzieś z zamierzchłych czasów św. Marcina. Mimo obojętności w wierze dzisiejszych pokoleń, mieszkańcy z Dardilly cheiwi byli niezwykłej spuścizny po współziomku swoim. Nie pragnęli pieniędzy, które dobrze wiedzieli, świątobliwy starzec zaledwo odebrał zaraz hojną dłońią rozdawał; pragnęli mieć u siebie zwłoki jego pośmiertne.

Na ich prośby Proboszcz testamentem przekazał pochować zwłoki swe w parafii urodzenia swego, tłumacząc się przed Biskupem, że «byle dusza jego była u Boga, wszystko mu jedno, gdzie trup jego spocznie.»

Przecież na naleganie Biskupa, że ma po śmierci pozostać, gdzie pracował tyle za życia, zawstydzony Proboszcz w przeddzień swęj śmierci zmienił testament i według objawionego mu życzenia, zwłoki swe kazał pogrzebać w swojej parafii; lecz Dardillanie, nie ustępując, u wszystkich władz domagali się praw swoich, chociażby do części z tych relikwii.¹⁾

¹⁾ Zob. poświadczenie lit. B.

Przez cały ciąg sporu tego, Arsanie byli do tego stopnia zaniepokojeni i wzburzeni, że strażą grób Świętego otoczyli.

Podobne fakta wymownie świadczą o głębokiém uczuciu ludu, i w jak wielkiej był czci za życia i po śmierci Proboszcz z Ars.

P o ś w i a d c z e n i a .

A.

List Markiza de Castellanne, podprefekta z Trévoux do prefekta z Ain, z prośbą o krzyż legii honorowej dla Proboszcza z Ars.

Trévoux, 28 czerwca 1858.

Wielmożny Panie Prefekcie!

W jednej z gmin mojego obwodu, liczącej 500 dusz, jest ksiądz, któremu świętość ewangeliczna i wysoka pobożność zjednały wielką sławę. Łatwo się domyślić, że nie o kim innym mówię, jak o ks. Vianney, proboszczu z Ars.

Nieznane, ubogie Ars, stało się dziś celem niezmiernie licznych pielgrzymek. Musiano urządzić regularne poczty dwa razy dziennie z Lyonu do Ars, dwie inne kursują z Villefranche, piąta dowozi podróżnych z Villars, Villefranche i dalej. Liczą tam rocznie około dwudziestu tysięcy pielgrzymów z różnych stron Francyi i Europy.

Ten napływ ludu od lat dawnych, a spowodowany jedynie sławą świętości tego pokornego kapłana, jest naprawdę cudem w wieku antyreligijnych doktryn. Zaufanie do ks. Proboszcza z Ars jest bez granic: istna to wiara ewangeliczna, co góry przenosi. Mówią głośno o faktach, które z pomocą naturalnych przyczyn trudnoby sobie wytłómaczyć. Nie podobna mi ich tu wymieniać, zapewniam tylko, że w postępowaniu sędziwego Proboszcza żadnego nie ma podstępu.

«Ks. Vianney jest przedziwnej prostoty i pokory. To drugi św. Wincenty a Paulo, którego miłość czyni cuda. To nowy apostoł, który z niewyczerpanem poświęceniem zaprawia się i pracuje na chwałę Bożą i dla dobra bliźnich.

Dobrodziejstwa jego materyalne, aczkolwiek dodatkowe tylko, są ogromne. Gorliwość jego zbudowała w Ars kilka dobroczyn-

nych zakładów. I tak: przytułek dla ubogich dzieci pod nazwą Opatrzności i bezpłatną szkołę pod kierunkiem Braci św. Rodziny. Również przyczynił się do podobnych fundacyi w okolicznych gminach. Jest on istną Opatrznością na ziemi dla wszystkich ubogich księży i kościołów. Już więc ze stanowiska materyalnego jest człowiekiem niezmiernie pożytecznym.

Z pomiędzy duchowieństwa w moim obwodzie, jest on niezaprzeczenie najgodniejszy honorowego odznaczenia i byłoby wielce pożądaną rzeczą, aby mu je Rząd udzielił. Prawdopodobnie pokorny kapłan nie przyjmie go, wszelako będzie w tém odznaczeniu zasłużone uznanie dla religijnych uczuć ludu i dla duchowieństwa.

Mam zatem zaszczyt prosić Pana Prefekta, aby przy sposobności Imienin Jego Cesarskiej Mości, raczył wyjednać dla ks. Vianney, proboszcza z Ars, tytuł kawalera orderu cesarskiego legii honorowej,

Z wysokiem poważaniem

Podprefekt,
Markiz de Castellane.

B.

List hr. des Garets, naczelnika gminy z Ars do Biskupa Belley w sprawie żądania mieszkańców z Dardilly.

Przewielebny Biskupie!

«Czas mi nie starczył wczoraj, aby Waszój Przewielebnej Mości wyłuszczyć wszystkie powody, dla których pod żadnym warunkiem przystać nie można na żądanie Dardillan. Nasamprzód ks. Vianney stanowczo oświadczył swą wolę w testamencie, aby zwłoki jego spoczywały w Ars. Wolę tę wyraził już we własnoręcznem oświadczeniu z 10 października 1855. Jest więc moim obowiązkiem tak serca jak urzędu bronić jego woli i bronić jej będę do ostatka.

Drugim powodem jest sam grób, w którym złożona jest trumna. Zasklepiiony ogromnymi kamieniami, zacementowany, przywalony nadto tablicą marmurową, musiałby być cały rozebrany; trzebaby wyjmować święte członki z trumny.... Toć Dardillanie żadnego nie mają prawa domagać się tego. W dzień pogrzebu powiedziałem im, że kiedyś przy przeniesieniu zwłok dostaną znaczną część relikwii; powinni zatem na tej obietnicy poprzestać, aż się rzeczy nie zmienią. Jako dawny przy-

jaciel tego świętego kapłana i jako naczelnik gminy z Ars, nie pozwolę na pogwałcenie jego woli i jego grobu.

Arsanie stawiliby równie opór, któryby wiele niepokoju wywołał. Gdy po śmierci Proboszcza rozeszła się pogłoska, że Dardillanie wybierają się uwiesić jego zwłoki, miałem sposobność przekonać się, do jakich rozmiarów doszłoby wzburzenie, gdyby się pogłoska ta miała urzeczywistnić.

Wreszcie, zważ Wasza Wielbna Mość, że ks. Viánney przeżył w Ars czterdzieści dwa lat. Tu go świat poznał, tu On cuda czynił, tu nawracał, pocieszał, uzdrawiał tysiące pielgrzymów, tu tyle osób budował cudowną swą świętością; tu rozlewał na wszystkich bezmierną, bezprzykładną swą miłość. W Ars on żył, modlił się i płakał. W Ars głos ludu uznał go świętym. Tu też chce, aby spoczywały zwłoki świętego.

Otóż powody, które chciałem wczoraj już przedstawić Waszêj Przewielebnej Mości. Wasze serce zrozumie ich doniosłość. Mam wszelką ufność, że Wasza Przewielebność stanie w naszêj obronie. A ja, silny poparciem Waszêj Przewielebności w sprawie sprawiedliwej i świętej, spełnię do końca zadanie, które było głównym celem mego życia, jak dziś jest jego pociechą i nadzieją.»



ROZDZIAŁ XII.

Dar rady Ksa. Vianney.

„Kto się trzyma sprawiedliwości, dostanie ją. I zabieży mu jako uczciwa matka, a jako żona panną pojęta przyjmie go. Nakarmi go chlebem żywota i rozumienia, a wodą mądrości zbawienną napoi go: i umocni się w nim, i nie pochyli się. I zatrzyma go i nie zawstydzi się i wywyższy go u bliźnich jego. I w pośród Kościoła otworzy usta jego, i napełni go duchem mądrości i rozumienia i szata chwały przyodzieje go
A on jako deszcze wyda z siebie wymowy mądrości jego: a będzie Pana wyznawał w modlitwie. A on wyprostuje radę i umiejętność jego a będzie się chlubił zakonem testamentu Pańskiego.“
(*Ekkł. XV, 1–5; XXXIX, 9, 10, 12.*)

Do Proboszcza z Ars możnaby zastosować ustęp z homilji św. Jana Chryzostoma, w której obrazowo przedstawia nam św. Pawła, Apostoła narodów, kierującego światem, jak się łodzią kieruje; ratującego rozbitków tonących, wspierającego słabnących; napominającego wiosłarzy raz na tyle, to znów na przodzie okrętu; ściągającego żagle, to bijącego wiosłami, raz jako sternik, drugi raz jako żeglarz, wszystko znoszącego, byle innym dopomódz¹⁾ Ks. Vianney był, żeby zastosować doń porównanie św. Franciszka Salezego, ogromną studnią, dla powszechnego użytku, z której wszyscy czerpać mają prawo. Gdy w trudnych razach potrzeba było komu rady, śpieszono do Ars. Wielu, mając tylko słowo zapytania, a tracąc nadzieję docisnąć się do jego konfesynału, stawali na jego drodze, i zadawali pytania,

¹⁾ Homilia św. Jana Chryz. XXI w 2im liście do Koryntyan.

na które z nieprzebraną cierpliwością odpowiadał. A jakież to były nieraz te zapytania?

„Ojcie! matka moja bardzo chora: wyzdrowieje, czy nie? Ojcie! jedna z mych krewnych zagrożona ślepotą: czy ma się poddać operacyi? — Ojcie! czy córka moja będzie zdrowa? — Czy mąż mój nawróci się? — Moje dzieci będąż zbawione? — Mamże wziąć spółnika do handlu, czy nie? — Chwałą mi pewną osobę, mamże ją przyjąć do spółki? — A czy ja mam więcej urzędników przybrać? — Czy mam sprzedać mój majątek? — Czy mam kupić fabrykę? — Czy mam mieszkać na wsi? — Któraż szkoła będzie najkorzystniejsza dla mego syna, tak dla jego duszy, jak dla ciała? — Czy syn mój ma zostać urzędnikiem kolejowym? — Mamże zezwolić na małżeństwo córki? — Co sądzić o La Salette? — Co myśleć o cudzie w Rimini? — Co myśleć o Ludwiku XVIII?”

Pytano go nawet, co sądzić o jakiej modzie w ubraniu kobiecem. Niepodobna nam przywieść listu jakiejś pani w tym przedmiocie, nad którym ks. Vianney uśmieł się serdecznie. „Biedne panie, mówił on, całe góry wloką za sobą i nie tylko sobie, ale i drugim tem zawadzają! Dobrze przynajmniej, że teraz budują szersze ulice; ale i drzwi będą musiały być szersze... Biedne panie z temi modami swojemi: cierpią tu i jeszcze na drugim świecie dla nich cierpieć będą.“

Gdy mu zadawano próżne lub pochlebne zapytania, odpowiadał z lekkim przekąsem.

„Ojcie! mówiła mu pewna pani, od trzech dni czekam, a nie mogłam jeszcze ani słówka z Tobą pomówić! — W niebie moje dziecko! w niebie pomówimy? — O mój Ojcie! dotąd nie mogłam się z Tobą widzieć! — Nie wieleś na tem straciła! — Ojcie! czy mąż mój jest w czyśćcu? — Nie byłem tam, moja pani. — O! powiedz mi, Ojcie, jakie moje powołanie? — Twojem powołaniem, moje dziecię, iść do nieba! — Mój Ojcie! jam bardzo zła i niegodziwa! — Kto sobie takie wyrzuty czyni, winien wiedzieć co robić, aby ich nie mieć.“

Czasami nadprzyrodzonym jasnowidzeniem odgadywał, że nie przychodzono do niego po radę, lecz po prostu, by zaspokoić miłość własną lub ciekawość. Wtedy był surowy.

„Ojczy! pytała go pewna panienska pobożna, ale nie wolna od uczuć ludzkich i samolubnych zwrotów ku sobie; powiedz mi, gdzie mam odbyć nowicyat? u Wizytek, czy u Sercanek? Wolałabym u Wizytek, bo one mnie znają. — No, odparł jęj sucho ks. Vianney, to tęż niewiele co znają?“ — Panienska poszła sobie bardzo zmieszana, ale wnet to upokorzenie przyczyniło się jęj do lepszego poznania siebie i że odtąd w sprawie swego powołania zaczęła szukać jedynie chwały Bożęj.

Nudna, natrętna kobieta, jakich było bardzo wiele, na każdym kroku ścięgała biednego Proboszcza, na wszystkie tony opowiadając mu w kółko jednę historyę, którą już znał na pamięć. Jednego wreszcie dnia, uśmiechając się do nięj dobrotliwie, aby jęj nie urazić, zapytał: „Powiedz mi, moja córko, w którym ty miesiącu najmniej mówisz?“ Natrętna przygryzła sobie wargi, nie wiedząc, co odpowiedzieć. „To pewnie będzie w lutym, bo to najkrótszy miesiąc.“

Wszyscy jednogodnie nazywali go Ojcem, dobrym Ojcem, świętym Ojcem. Nazwa ta najwymownięj wyrażała uczucia, jakie obecność jego budziła. Przez szacunek dla człowieka, który się wyrzekł ojcowstwa krwi, aby mocą ofiary nabyć prawo do wielkiego ojcowstwa dusz, chętnie mu tę chwalebłą nazwę dajemy. — Dobry Ojciec z największą uprzejmością odpowiadał na wszystkie jakiego bądź rodzaju wymagania ludzi. Żadnego zapytania nie zostawił bez odpowiedzi, chyba że było zanadto niedorzeczne. Odpowiadał jasno, trafnie i bez namysłu; a często zanim dokończono zapytania. — Rzecz tēm dziwniejsza, gdy się zważy jego wielką sumiennosc i ważność niektórych spraw, jakie mu do rozstrzygnięcia dawano.

Od razu umiał każdą sprawę wyrwać z cieni namiętności, pożądań miłości własnej i przypatrywał jęj się w jasnym świetle zasad bożych. Jasne światło duszy świętej to wieczność. Niepojęte wydarzenia, niejasne dla wszystkich innych rzeczy, on od razu jednym słowem wyjaśniał przez wysoki dar sądu.

Nie zawsze w równym stopniu Bóg mu go udzielał.

On był wybranem naczyniem łask bożych dla ludzi: to tęż Bóg udzielał mu ich, w miarę wiary tych, co się

doń o radę zgłaszali i oświecał go Bóg tylko jakoby z li-
tości nad duszami szukającymi światła u Boga.

Zwykle zalecał nowennę do Ducha św. lub do serca
Maryi we wszystkich potrzebach duszy; do św. Filomeny,
w potrzebach ciała.

Ktokolwiek prawdziwie szukał światła i rzetelnie pra-
gnał łaski jakiej, otrzymywał je w Ars w miarę swego
pragnienia. Ale trzeba było korzystać z pierwszego błysku
światła Bożego i poprzestać na niem. Wiele osób szuka-
jących zaspokojenia swoich ambicyi i własnej swęj woli,
natrętnie żądało innej odpowiedzi, więcej schlebiającej ich
próżności. Takim ks. Vianney albo nie odpowiadał wcale,
albo ich zbywał nic nie znaczącą odpowiedzią.

Każda okoliczność dawała słudze Bożemu sposobność
do dobrej rady lub do wzbudzenia myśli pobożnej. Wypo-
wiadał je nie kaznodziejskim tonem, lecz tak serdecznie
i odpowiednio dla każdego, że słowa jego rozgrzewały i roz-
jaśniały serca. Święci, znając potęgę słowa wypowiedzia-
nego w imię Jezusa Chrystusa, nawet do tych, którzy
Go nie znają, uważają się za jego wysłanników do wszel-
kiego stworzenia, jakie w swęj drodze spotykają, i starają
się, nim się rozstaną, jaką zbawienną myśl jakoby ziarnko
zbawienne wrzucić do ich duszy, do serca. Słowa ks.
Vianney wszczepiały się głęboko, na zawsze w pamięci
słuchającego.

Czasami jedno proste słówko, które w innym razie
niczyjéj nie zwróciłoby uwagi, gorącością jego ducha ogrzane,
rzucało jakoby fale ciepła i światła na całe życie, na
teraźniejszość i przyszłość. Takie jedno słowo prostowało
błędne pojęcia i krzywe drogi życia; wyrывało nieraz złe
z korzeniem lub przynajmniej postęp jego tamowało; goiło
dawne rany, lub najskuteczniejsze na nie lekarstwo wska-
zywało.

Widocznie Bóg wielką ks. Vianney nieufność ku sobie
i wielkie jego ubóstwo w duchu nagroził tym darem roz-
sądzania i rady. Często otaczało go grono ludzi pałają-
cych najgorętszym pragnieniem, żeby służyć Bogu najdo-
skonalej. A przecież każdemu radził co innego. Jednym
kazał się wiązać małżeńskim ślubem; innym radził za-
konne życie, innym wreszcie pozostanie w świecie, w dzie-

wictwie. Przyszłość okazywała każdemu z nich, że słuchając rady świętego, spełnili wolę Bożą.

Panienka jedna w ciężkiej chorobie ślubowała Bogu dziewictwo, lecz później usilnie nalegana przez pewnego młodzieńca, aby mu rękę oddała, a nie czując w sobie powołania do zakonu, już miała ulédz jego natarczywym prośbom. Proboszcz z Ars atoli przedstawił jej, że niczém nie będzie zdolna zastąpić téj ofiary z siebie, uczynionéj niegdyś Chrystusowi Panu, który raczył śluby jej przyjąć. Oświadczył jej, że jeśli wyjdzie za mąż, będzie nieszczęśliwą; i doradził, aby przynajmniej nowicyat przeszła, żeby się wypróbować. Po długiem wahaniu panienka wstąpiła do klasztoru św. Józefa i doskonałą była zakonnicą.

Inna młoda osoba, radząc się Proboszcza co do powołania swego, mówiła mu: „W czasie rekolekcyi przed pierwszą Komunią, uczułam silny pociąg do życia zakonnego. Chciałabym spełnić to, co w sobie za wolę Bożą uważam; lecz rodzina moja stanowczo mi się sprzeciwia. Jój opór napełnia mnie goryczą; czuję się nieszczęśliwą i niecierpliwę się na tych co się pragnieniom moim sprzeciwiają. Czasami zdaje mi się, że pragnienie moje jest złudzeniem, które mi szatan podaje na obrazę Bożką.

— Biednaś ty! Bóg rzeczywiście cię woła i zdaje mi się, wstąpisz do klasztoru; ale rodzice twoi muszą na to zezwolić, gdyż nie możesz im być nieposłuszna. Gdybyś wyjechała wbrew ich woli, nie wytrwałabyś w klasztorze. Nadto, takbyś zmartwiła ojca i matkę, żeby wyjazdu twego nie przeżyli, tak bardzo cię kochają!... W każdej rodzinie jest dziecko ukochane: Tyś tym pieśczochem w Twojej rodzinie. Trzeba ci więc zostać z rodzicami do ich śmierci. Bo z dniem twego wyjazdu wszystkoby się w domu twym przewracało!“

Młoda osoba poszedłszy za radą św. Proboszcza, stała się podporą i pociechą starych rodziców, aniołem domowego ogniska i łącznikiem całej rodziny, a dopiero uwolniona od wszelkich przeszkód, została szczęśliwą i świętobliwą Oblubienicą Chrystusową.

Ksiądz pewien radził go się, czy po odbytych u Dominikanów rekolekcyach może do nich wstąpić.

„Nie nie, mój drogi! to jakieś błędne pragnienie;

zostań na tém stanowisku, na jakiem cię Pan Bóg postawił.“

„Ależ, Ojczy, czy nie sądzisz, że kiedyś będę musiał odpowiadać przed P. Jezusem za zaniedbanie tego nauczania.“

„Nie, odparł po raz drugi ks. Vianney stanowczo. Jesteś tam, gdzie Cię Bóg mieć chce, i zawsze będziesz miał więcej sposobności do dobrego, niż go spełnić będziesz zdolny.“

„W takim razie, pobłogosław mi, Ojczy, abym zawsze mógł poznawać i spełniać wolę Bożą.“

„Niech cię to błogosławieństwo porywa ku Bogu a wstrzymuje w osobistych zapędach!“

Osoba jedna poddała Proboszczowi z Ars bardzo zawiłą i delikatną rzecz sumienia. Proboszcz, widząc, że odpowiedź jego nie zaspokoila jęj, prosił, aby mu wolno było zasięgnąć rady duchownych, zebranych dnia tego w Ars. Zdania ich były podzielone; wielu z nich nie godziło się z ks. Vianney, który swoim zwyczajem odwołał się do władzy biskupięj. Biskup Devie zatwierdził jego zdanie i to piśmiennie, żeby tém więcej zaspokoić osobę radzącą się.

Proboszcz jeden z dyecezyi Autun miał rozstrzygać w bardzo trudnej sprawie co do wynagrodzenia krzywdy. Myślał nad nią wiele, szukał światła w książkach i w mądrzej radzie ludzi: nigdzie jasnej odpowiedzi nie odbierał. Ks. Vianney dał mu ją od razu jednym prostym słowem, które najciemniejszy punkt pytania natychmiast rozjaśniło. Zdziwiony i przejęty kapłan tak osobliwym darem Proboszcza z Ars zawołał: „Gdzieżeś ks. Proboszcz uczył się teologii?“ Ks. Vianney wskazał mu na swój klęcznik.

Proboszcz z Ars nie wdawał się w tłumaczenia swych odpowiedzi. Odpowiadał krótko: „Bóg chce, abys tak a tak zrobił.“ — I, choć uczeni mistrze życia duchownego całkiem innego nieraz bywali zdania; w skutku okazywało się zwykle, że ks. Vianney miał słuszość.

Nie można powiedzieć, aby ten jasny i doraźny pogląd Proboszcza z Ars wypływał z wrodzonej jego przenikliwości lub też aby był nabytkiem jego wykształcenia, czy owocem głębokich nauk. Nic z tego w nim nie było. Powiedzieliśmy, że w duszę pokornego kapłana wlany był

pierwowzór prawdy na miarę nieomylną do sądzenia spraw wszystkich. Ta mu była kluczem do najskrytszych tajemników serca; nicią, za którą pewien siebie kierował się w labiryncie sumień i struną, która pełnym dźwiękiem odbrzmiewała mu wszędzie, gdzie była prawość, a fałszywie, gdzie było złe.

Jak się biskup Devie słusznie wyraził: Proboszcz z Ars nie był uczonym, ale był oświeconym. Światło jest darem; oczy nasze podziwiają jasność słońca, nie tworzą go. Wiele ludzi otrzymuje ten dar; ale wiele zaciemnia go cieniem własnym, to jest pychą. Niezbędnym warunkiem światła Bożego jest czystość serca. „Wszelka namiętność, pisze św. Tomasz z Akwinu, przyćmiewa jasność poglądu i nie pozwala dobrze radzić. Człowiek bowiem opanowany jaką bądź namiętnością, zawsze widzi rzeczy albo większe albo mniejsze niż są w rzeczywistości.“¹⁾ Ponieważ ks. Vianney nie był ani skąpym, ani pysznym, ani cheiwym, ani wyniosłym, nie rządziły nim ani upór, ani słabość. Nie uganiał się za błędnymi ognikami wyobraźni, ani też ulegał panowaniu zmysłów. Miał tę jasność poglądu, jaką daje czystość intencji i którą obdarza Duch św., zanim jeszcze doświadczenie przyjdzie z laty. We wszystkich jego sądach rozsądek mu był prawem, wola Boża pochodnią.

Ks. Vianney często o najważniejszych sprawach stanowił: nie było pobożnej fundacji, dzieła dobroczynnego, czy pisma katolickiego, któreby powstały bez jego błogosławieństwa, modlitwy i rady. Wszystko, co tylko dobrego się robiło, opierało się oń, przechodziło przez jego serce. Przenikliwość jego od razu dostrzegała trudności; powody przemawiające za przedsięwzięciem, lub przeciw niemu. Bezwzględnie odrzucał każdy pomysł bez rzeczywistego pożytku, który pochodził ze zbytnej gorliwości, z woli własnej, z chęci popisu, czy z niespokojnej działalności roznamiętnionego umysłu. Za to najserdeczniejszą życzliwością otaczał dzieła, w których myśl była szczerą, a cel był szczerze chrześcijański. Winszował założycielom, dziękował im za podejmowane trudy, cieszył się ich zasługami, i szcze-

¹⁾ Summ. Theol. 1a, 2, Quant. 44 — art 2.

gólniejsze okazywał im względy; zachęcał ich i przyspasiał na zawody nieuniknione w każdym przedsięwzięciu. Za wiele byłoby mówić o wszystkich; o jednej przecież fundacyi przemilczeć nie mogę.

Pierwszego listopada 1853 r. pobożnej jednej duszy przyszła myśl na modlitwie przed N. Sakramentem, żeby zawiązać stowarzyszenie dla modlitwy za umarłych. Prosiła Boga o znak jego woli w tej rzeczy; niebawem otrzymała go; nazajutrz, w dzień Zaduszny, po Komunii św. przesuwały jej się przez myśl różne zakony, odpowiadające wszystkim potrzebom Kościoła wojującego, podczas kiedy Kościół cierpiący nie miał żadnego na swoje usługi. Zdawało jej się, że ją Bóg wzwwa do zapelnienia tej próżni. Z razu przelękała się tego zadania; ale prosiła Chrystusa Pana, przez najświętsze Rany Jego, by raczył jej objawić wolę swoją.

Od listopada r. 1853 do lipca 1855 myśl ta ciągle jej krążyła po głowie; a jakaś siła nieprzeparta pchała ją ku celowi, któremu ni przypatrzeć się nie miała odwagi. W tém przypomina sobie proboszcza z Ars, o którym jej niedawno po raz pierwszy ktoś opowiadał. Z uczuciem coraz to większej pewności, że Bóg go przeznaczył jej na pomocnika w tém przedsięwzięciu, prosiła P. Jezusa o jakibądź sposób, żeby jej dał z nim się zobaczyć. Po dziewięciu dniach oczekiwania jedna z jej krewnych zgłosiła się do niej po polecenia do Ars. W sierpniu zaś przesłała jej bardzo pomyślną od Proboszcza odpowiedź.

Przyszła założycielka prosiła ks. Vianney, aby zechciał nad jej projektem pomyśleć. W dzień Zaduszny Święty długo pozostał zatopiony w myślach, łzami się zalał i rzekł: „To dzieło, którego Bóg od dawna żąda.“ I kazał założycielce odpowiedzieć, że myśl założenia klasztoru w celu wspomagania dusz czyscowych wprost ze Serca Jezusowego wyszła i że Bóg pobłogosławi to wzniosłe poświęcenie. Ks. Toccanier, piszący w jego imieniu, dodał: „Może Pani być pewną dwóch rzeczy: że ks. Proboszcz uznaje jej powołanie do życia zakonnego, i że nowemu zakonowi szybkie rozkrzewienie zapowiada się w kościele.

Fundatorka, przewidując przeciwności ze strony ro-

dziny, udała się znów po radę do ks. Vianney. „Nie mało mnie zadziwiło, odpowiedział jęj ks. Toccanier, że ks. Proboszcz, który zawsze radzi młodym osobom, aby się woli rodziców nie sprzeciwiały i czekały w cierpliwości, bez wahań Pani radzi inaczej. Powiedział, że prędzej oschną łzy wylane przez tkliwość przyrodzoną, aniżeli łzy, jakie się w czyscu leją. Będzie się modlił o zwycięstwo łaski w tęg strasznej walce z naturą.“

Za radą Proboszcza z Ars, założycielka udała się do Paryża 19 stycznia 1856 r. Na samym wstępie przeróżne krzyże uciskały szczupłe grono dusz pobożnych, jakie sobie zebrała; nie miały ni pracy ni pieniędzy, za to cierpień wiele. Gdy o nich wspomniano św. Proboszczowi, uśmiechnął się i rzekł do swego misjonarza: „Zanim się wzięła do dzieła, rozważyła wszystko w modlitwie, radziła się i w myśli zważyła wszystkie ofiary, jakie ją czekają; miała wszystkie rękojmie: czego jęj więcej potrzeba jeśli nie krzyża. Teraz go ma. Powiedz jęj że te krzyżyki są kwiatami jęj życia, co wnet owoc wydadzą.“

Zgromadzenie, któremu przybyło otuchy przez te słowa, podwoiło modlitw. Wkrótce potem, pierwszego lipca 1856 zajęło dom na ulicy de la Barouillère. Odtąd chleba powszedniego P. Bóg nie poskąpił służebnicom swoim, poświęcającym wszystek czas posłudze chorych i modlitwie za zmarłych. Z mnożącą się liczbą zakonnice Pan przymnaża im swych łask i świętości. Zgromadzenie to wierne jest przyjętemu hasłu: Modlić się, cierpieć i pracować za dusze w czyscu cierpiące. Z powodu śmierci głównego ich opiekuna, prałata Sibour, ks. Vianney kazał do nich napisać: „Dom, którego fundamentem jest krzyż, niewzruszony stać będzie wśród wiatrów, deszczów i burz. Krzyże najlepiej świadczą o tęg, ile dzieło jakie miłe jest Bogu. I wy możecie być pewne, że wasze trudy i ofiary już wielką ulgę przyniosły duszom cierpiącym.“

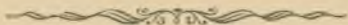
W odpowiedzi zaś na list, w którym przełożona donosi o złym stanie swego zdrowia ks. Toccanier pisał: „Ksiądz Proboszcz powiada, że nie dziwnego, iż Siostra cierpi, skoro się oddała Bogu w ofierze za dusze czyscowe. Bóg żąda tego mę c z e ń s t w a.“

Na zapytanie, czy Zgromadzenie ma nadal żyć z Opa-

trżności i usługiwać ubogim chorym, Proboszcz z Ars odpowiedział stanowczo: „A oczywista! toć rzecz jasna jak słońce. To ubóstwo i ciągłe zaprzanie się siebie są doskonałe rzeczy. W tém poświęceniu się na miłosierne uczynki ku ratunkowi dusz w czyscu cierpiących mieści się w pełni Duch Chrystusowy; od razu bowiem niesie się ulgę członkom jego cierpiącym i na ziemi i w czyscu.“

Ks. Vianney rzadko kiedy zstępował do spraw bieżących z tych wyżyn, do których w kontemplacyi wzbijała się dusza jego. Zniewolony naleganiem, wypowiedział tylko kilka razy sąd swój o obecnych stosunkach świata, wróżąc największe niebezpieczeństwa grożące społeczeństwu.

Jakkolwiek mało mówił o czasach obecnych, a nie wtedy nie zapowiadało jeszcze tego, co się stało, on już przewidział zachwianie się dobrych i podły zwrot słabych ku złemu. Z rozbolałej jego duszy wychodził wtedy proroczy okrzyk trwogi.



ROZDZIAŁ XIII.

Proboszcz z Ars jako spowiednik.

„Prawda moja i miłosierdzie z nim.“

(Ps. 88, 25).

„Wielka tu praca, aby zmienić usposobienie serca, aby wyrwać błąd, a zaszczerpić prawdę.“

(Św. J. Chryz. Hom. III w l. do Kor.)

„Choć spowiednik powinien być z równą dla wszystkich miłością, nie dla wszystkich równego używa lekarstwa; bo miłość jednych odradza na duchu, drugich rozpieszcza; jednych stara się budować, drugich lęka się zgorszyć; zniża się do jednych, podnosi się do drugich; dla jednych pieczotliwa, dla drugich surowa; dla nikogo nie jest nieprzyjaciółką, dla wszystkich matką.

(Św. Aug., *de cat. rud.*, — 15.)

Różne zaiste były przyczyny do poważania, jakim współcześni otoczyli i jakim historyja bez wątpienia otoczy Proboszcza z Ars; wszakże jako spowiednik przedewszystkim pociągał ku sobie one rzesze pielgrzymów z wszystkich stron świata. Życie całe Proboszcz z Ars strawił w konfesyonale. Na ośmnaście do dwudziestu godzin pracy dziennie dał sobie zaledwie tyle czasu, ile mu było potrzeba do odmówienia kapłańskich pacierzy i do tego, co się miało nazywać obiadem. Niepojęta, że po tak natężającej a dłużej pracy nie okazywał znużenia i zachowywał zupełną swobodę ducha. Wyjątkowo możnać jakie szesnaście godzin wytrwać w konfesyonale; ależ nie co dzień, dzień po dniu, bez wytchnienia i odpoczynku, przez lat trzydzieści, przez życie całe.

Od północy spowiadał do siódmej z rana. O siódmej, wychodząc z konfesyonału dla odprawienia Mszy św., prze-

drzeć się nieraz niemógł przez ścieśnione tłumy. Zdarzało się, że w natłoku popchnięto go tak silnie iż o mało nie upadł; inni go chwyтали za ręce, darli na nim rzeczy: w milczeniu to wszystko znosił. Przykłękał na chwilę przed ołtarzem i w niemem pozostawał zatopieniu, jak gdyby zachwycony widokiem swojego Pana! — Wielu z pielgrzymów ubiegało się o zaszczyt służenia mu do Mszy św.; oddawano przecież pierwszeństwo kapłanom i znakomitym osobistościom. — Po Mszy, poświęciwszy pobożne przedmioty, jakie mu podawano, wracał na plebanją na filiżankę mleka, do której go nękano. Po tém śniadaniu śpieszył spowiadać mężczyzn: o dziewiętej przerywał sobie, i zamknawszy się w zakrystyi, klęcząc bez oparcia, odmawiał pacierze kapłańskie. Następnie udawał się do ustronnego miejsca pod dzwonnice, gdzie słuchał kaleki i osoby, o których wiedział, że nie mogą długo bawić w Ars. Trzebaż było widzieć, jak się tam wszyscy cisnęli mimo dzielnego oporu stróżów porządku!

Po jedenastej, gdy ks. Vianney wracał z katechizacyi, pielgrzymi rzucali się ku niemu tak natarczywie, że bez pomocy nie byłby się przez tłum przecisnął. Jedni podawali mu listy, pieniądze, drogocenne przedmioty, inni błagali o błogosłowieństwo, lub pobożną pamiątkę jaką; matki przynosiły mu swe dzieci; chorzy klękali przed nim: jednem słowem był to ruch tak gorączkowy, że potrzeba było dwóch ludzi, aby rozgorączkowanych do porządku przywołać.

Czasami Proboszcz zawodził oczekiwania pielgrzymów, inną drogą wychodząc do którego z chorych, i poboczną drogą wracając do domu. Często zastawał u siebie kilka potajemnie przed innymi wprowadzonych gości.

W czasie obiadu ks. Vianney niecierpliwe zastępy czatowały przed pierwszą na jego wyjście do Opatrzności, gdzie się naradzał z misyonarzami o potrzebach parafii i pielgrzymek.

U misyonarzy stojąc, w kilku minutach obmawiał różne z nimi sprawy, jako i z pielgrzymami, którym tam pozwolono wnijsć.

W kościele zastawał już dwa zwarte szeregi czekających, przeciw niecierpliwości których silna obrona dwóch

ludzi była mu konieczną, aby się dostać do kaplicy. Tu, klęczący odmówiwszy nieszpory, słuchał spowiedzi do piątęj. Ztąd przechodził do zakrystyi, gdzie przyjmował mężczyzn i kilka kobiet nie mogących czekać.

Po większej części pielgrzymi odbywali przed ks. Vianney spowiedź z całego życia; a on, wiedząc, że przez naprawę niejednego może świętokradztwa uratuje duszę od potępienia, chętnie się temu ciężkiemu zadaniu poddawał. Skutek tych spowiedzi może był największém dobrodziejstwem w Ars. Często porównywano Kościół do wielkiego lazaretu; ale rzeczywiście o Ars słusznie powiedzieć można, że był szpitalem dusz. Tu bowiem gromadziły się wszystkie kalectwa, wszystkie rany moralne, wszystkie zawiłe sprawy sumienia. Dziwnym pociągiem wszyscy grzesznicy lgnęli do niego, i ulegali zbawiennemu jego wpływowi na całe życie. Pomimo tak rozlicznych, tak nieustannych i nużących prac, Proboszcz z Ars z taką troskliwością zajmował się każdą duszą z osobna, jak gdyby ona jedna była przedmiotem jego opieki. Posiadał on bowiem ten wielki dar i tę wielką umiejętność poświęcenia się obecnej chwili i obecnemu zajęciu tak doskonale, jak gdyby nic innego nie miał na myśli: przeszłość poruczał miłosierdziu, przyszłość Opatrzności Bożej. Tym sposobem unikał niepotrzebnych trosk, pośpiechu i nawału. Choć setki ludzi go otaczały, słuchał każdego penitenta tak spokojnie, jak gdyby jego miał jednego. Prawda, że krótką chwilę poświęcał każdemu; bo wołał ich widzieć częściej, a krócej. Łaska Boża towarzyszyła każdemu jego słowu; od razu dostrzegał główną serca strunę, w którą należało uderzyć; i prawie zawsze osiągał swój cel. Są ludzie, obdarzeni od Chrystusa Pana jakimś bezpośredniem jakoby jasnowidzeniem, które im nadaje nadprzyrodzoną i nieprzepartą moc nad duszami. O ks. Vianney można było powiedzieć za Ekklesyastikiem, „że był jako ogień, a słowo jego jako pochodnia gorzała. — Słowu jego towarzyszyło tyle łaski, że od razu wprowadzał do duszy promienie światłości wiecznej.

„Przez grzech, mawiał on, gardzimy Bogiem, krzyżujemy Boga! Jakaż to szkoda zatracać dusze tylu cierpieniami Chrystusa Pana okupione!... Powiedz mi przyjacielu, cóż ci to

uczynił Pan Jezus, że się tak źle z nim obchodzisz?... O gdyby nieszczęśliwi potępiency mogli wrócić na ziemię!... Gdyby oni mogli na naszém być miejscu!...

O jakże jesteśmy niewdzięczni! Pan Bóg woła nas do siebie, a my uciekamy od niego. On nam chce dać szczęście, a my je odpychamy! Każe nam, abyśmy Go kochali, a my serca nasze oddajemy szatanowi! Czas, jakiego nam udziela na zbawienie, my używamy na potępienie. Przeciw Niemu obracamy wszystko, co nam daje na to, abyśmy Mu służyli...

Gdybyśmy spojrzeli na krzyż, gdy grzeszymy, słyszelibyśmy z głębi duszy wyrzut Pana Jezusa: Więc i ty stajesz po stronie moich nieprzyjaciół? na nowo chcesz mnie do krzyża przybić? Spójrzj na Chrystusa ukrzyżowanego i powiedz sobie: Oto cena, którą Zbawiciel mój wynagrodził Bogu zniewagę, jaką Mu grzechy moje wyrządziły... Bóg zstępuje na ziemię, jako ofiara za grzechy nasze; Bóg cierpi, Bóg umiera, Bóg męczarnie ponosi, bo chciał ponieść ciężar zbrodni naszych... Na widok tego krzyża pomyśl, jak wielką jest złość grzechu, i jak go nienawidzieć powinieneś. Zastanów się nad sobą; przekonaj się, co ci czynić wypada, abyś nędzne swe życie naprawił... W godzinę śmierci Bóg ci powie: Obraziłeś mnie, a Jam Cię tak bardzo miłował!... O moje dziecię! jakże to straszne obrazić Boga, który samo dobro nam daje, a służyć szatanowi, który tylko na zgubę naszą czyha!... co to za szaleństwo!“

Słowa te, wprost z serca płynące, a wypowiedziane głosem przez łyzy tłumionym, pokonywały najwynioślejsze, najuporniejsze umysły. Gdy penitent, po wyznaniu win swoich dodawał, że tylko o tem Boga obraził, ks. Vianney wołał: „Jako! mówisz tylko o tém? a cóżbyś jeszcze więcej chciał do tego dodać?...”

Czasami Bóg przychodził w pomoc wymowie swego sługi i przyspieszył tryumf łaski cudownymi znaki. Razu jednego grzesznik, którego ani modlitwą, ani łzami, ani błaganem nie mógł skruszyć, nagle pada mu do nóg ze łkaniem i obiecuje poprawę. Ujrzał bowiem jasną poświatę nad głową świętego Proboszcza, i ten widok przekonał jego zatwardziałość. Sam ks. Vianney to potwierdził, czego nam wiarogodnym dowodem list niniejszy z r. 1846.

Święty Proboszcz mówił mi o łaskach, jakie Bóg zléwa w Ars i jak wiele z tego doznaje pociechy. Nigdy z taką

swobodą nie otworzył mi duszy swojej, jak wtedy. Zapewniał mnie, że pielgrzymki ratują co rok niezliczoną moc grzeszników ze szponów szatana; że nieustannie zgłaszają się do jego konfesjonału ludzie, którzy od trzydziestu i czterdziestu lat nie byli u spowiedzi...

Z dziecięcą prostotą opowiadał mi, że jednego wieczora miał w zakrystyi starego grzesznika, który nie chciał dać się namówić do spowiedzi, gdy nagle z łkaniem niezmiernie zmieszany zaczyna się spowiadać. Proboszcz pyta się go, czego płacze i czego taki pomieszany; a on mu wyznaje, że widział obwódkę światła nad jego głową. Święty się wyraził: widział jakieś świeceki dokoła méj głowy... Mówił nadto o innym grzeszniku, który wśród nocy usłyszał głos: „Idź do Proboszcza z Ars.“ — Przyszedł i nawrócił się.“

Ks. Vianney, jak wiadoma, przyjmował wszystkich bez wyjątku z dobrocią; lecz z osobliwą serdecznością i radością jakoby braci witał ludzi poświęconych Bogu ślubem czystości.

Ci, co potrzebowali kierownictwa do coraz większej doskonałości, wracali do Ars po kilka razy. A któż lepiej mógł ich na te wyżyny prowadzić, jak święty Proboszcz? Wyżyny te były jego mieszkaniem. Podobnie jak on w górach przewodnik, który skalistą przedziera się drogą, by podróżnemu ze szczytów najpiękniejsze ukazać widoki i ani mu przez myśl nie przejdzie z nich się pysnić, tak Proboszcz z Ars prowadził do Boga każdą duszę, która go o drogę pytała, całkowicie o sobie zapominając, jęj tylko szczęścia wieszował i z nią razem się cieszył.

Dla każdéj słabości, boleści, obawy i walki odpowiednią miał radę i naukę. Odgadywał najtajniejszą słabość duszy i w nią głównie godził za pierwszym zaraz spotkaniem.

W kierownictwie dusz najważniejszą rzeczą prowadzić penitentów drogą, jaką im Bóg wytyka; nie uprzedzać Ducha Świętego; samemu stósować się do dusz, aby je uczynić podobnemi Chrystusowi Panu. W każdéj duszy inny jest charakter, każda więc innego potrzebuje sposobu w każdéj inne popędy, różnéj potrzebują rady. Nie każda; rzecz dobra, dobrą jest dla wszystkich. Niech tylko każdy trzyma się przez Boga naznaczonej mu drogi; niech każdy

na swoim sieje zagonie, niech będą stopnie w zasłudze i odcienia w enocie, gwiazdy i mniejsze i większe na niebie tej saméj chwały.

Ks. Vianney posiadał w wysokim stopniu dar rozróżniania. Poznawszy zasoby duszy i jéj drogę, wiele wymagał od jednych, mniej od drugich; dla jednych przedstawiał na przykazaniach, innym otwierał obszerne pole rad ewangelicznych. Swoje działanie stosował do działania łaski i zarazem do usposobienia natury. Wiedział, że łaska rozwija się na gruncie naszych przyrodzonych skłonności, popędów, zdolności, abyśmy jak słusznie pisze św. Jan Chryzostom zgoła nie mogli mieć wymówki w obec natchnień łaski, kiedyć ona nie żąda od nas, żebyśmy się przeinaczyli, lecz właśnie na podwalinie skłonności przyrodzonych każe nam budować gmach cnoty; a do tego każe nam brać wszystko co w nas już z urodzenia Bóg wlał i włożył. Podobni jesteśmy do latorośli, z szlachetnego drzewa zaszczipionéj na dzikiem drzewku. Oliwne drzewo pozostaje oliwnem. a migdałowe migdałowem; tylko zamiast rodzić cierpkie, dzikie owoce, wydaje owoce dobre i słodkie: tak i nowe życie: przez łaskę w nas wszczepione, podnosi, oczyszcza i uświęca przyrodzone nasze przymioty, nie niszcząc z nich nic dobrego, zacnego i prawego. — Spowiednik powinien być względem dusz, czém ogrodnik względem młodych szczepów.

Znamienity dar rozeznania duchów wielce Świętemu naszemu ułatwiał zadanie. Cielesna powłoka, która oku duszy zasłania wiele rzeczy, dla niego tak się stała przejrzystą, że widział prawie tak jasno, jak nam kiedyś dano będzie widzieć po za grobem. Wyprzedził poniekąd ten stan udoskonalonéj natury. Jak w otwartéj książce czytał w sercach swych penitentów i odkrywał najtajniejsze ich wady. Niewątpliwą jest rzeczą, że miał jasnowidzenie wewnętrzznego stanu swych penitentów i że przenikał najskrytsze ich myśli. Wiemy to z pewnością, że wielu swym penitentom oznajmiał, iż go oszukiwali. Codziennie zaś mówił obcym ludziom, których pierwszy raz widział, jakie były ich pociągi, ich powołanie i jakimi drogami Bóg wieść ich zamierzał.

Takie jasne poznanie rzeczy duchownych nie rzadko

się znachodzi w życiu Świętych. Św. Dominik, św. Franciszek z Asyżu, św. Bonawentura, św. Tomasz z Akwinu, św. Ignacy, św. Józef z Kupertynu, św. Filip Nereusz i po większej części mężowie, którzy się uświęcili w kierownictwie dusz, posiadali ten dar znamienity. Posiadało go też wiele niewiast świętych; pomiędzy innymi św. Klara, św. Koleta, św. Katarzyna Seneńska, św. Teresa, św. Julia, św. Róża.

„Gdym się udała po raz pierwszy do ks. Vianney, opowiadała nam jedna z jego penitentek, zwykły mój spowiednik zakazał mi odbyć przed nim spowiedź generalną. Nadto pośpiech nie pozwolił mi zgoła mówić o dawnych mych grzechach, ani o doznanych łaskach; jak to zwykle czynię, gdy chcę, aby mnie spowiednik dokładnie poznał. Ks. Vianney tymczasem z wielkiem mojem zdziwieniem powiedział do jednej pani kilka słów o mnie, odnoszących się do łask wewnętrznych, jakie przed niedawnym czasem otrzymałam, a o których tylko przez Ducha Świętego mógł wiedzieć. Tak widoczną stało mi się, że czytał w duszy mojej rzeczy, których ja sama rozróżnić nie mogłam.

Pod wrażeniem udręczenia duchowego, które było w związku z mojem powołaniem, wahałam się, czy mu o niem mówić; obawiając się, aby skutkiem niejasnego mego przedstawienia rzeczy, z których sobie sama zdać sprawy nie mogłam, ks. Vianney nie postanowił coś takiego, coby mnie było mogło na całe życie zaniepokoić. Wiedziałam, że nic nie byłoby zdolne zatrzeć w mem sercu wrażenia, jakiego słowa jego na mnie wywarły. Ponieważ zaś rzecz ta nie należała do spowiedzi, nakazałam sobie milczenie. Aliści, nie podobna mi wypowiedzieć wrażenia, jakiegom doznała, gdy nagle sam z siebie z największą dokładnością i stanowczością odpowiedział mi na rzecz, o której mu mówić nie chciałam. — Często przypominał mi grzechy, których nie dostrzegałam w sobie, lub o których zapomniałam. — Razu jednego, gdy mi okazywał radość z powodu mego przybycia, mimowolnie doznałam uczucia miłości własnej. Proboszcz z Ars dał mi zaraz poznać, że ją we mnie widzi, dodając, że to obecność mego Anioła Stróża go cieszy.“

„Znałam od dawna panienkę wysokiej cnoty, której mimo bardzo wyraźnego powołania, rodzice stanowczo wzbronili wstąpić do klasztoru. Było to dla niej męczarnią, która zdrowie jej podkopywała. — Ks. Vianney, wysłuchawszy jej spowiedzi, po-

cieszył ją zapewnieniem, że za rok smutek jój się skończy. Jaśniej się nie tłómaczył. W rok potém panienska umarła na bardzo dotkliwą chorobę, pomimo ślubowań rodziców, że ją oddadzą na służbę Bogu, jeśli ją uzdrowi.“

„Przybyła do Ars osoba bardzo pobożnego życia, wysoko w swojej okolicy ceniona od duchowieństwa; przyczyniła się bowiem do założenia dobrego zakładu. Lecz prowadziła życie wygodne, miłe, swobodne. Ks. Vianney przyłożył starań, by ją porwać do wyższej doskonałości, chociaż chwilowo z narażeniem jój na wielki niepokój. Długo opierała się światłu Bożemu, nie rozumiejąc go, a pełna trwogi i zamieszania. Księża z jój parafii wszelkimi sposobami chcieli ją uspokoić; odradzali jój, aby wracała do Ars; ale pociąg łaski był silniejszy: pojechała raz jeszcze do ks. Vianney, przyjęła światło Boże i doznała wielkiego pokoju i bezmiernego szczęścia. Święty wprowadził ją na drogę oderwania się od wszelkiego stworzenia tak dalece, że jój nie pozwolił mieć pieska, do którego miała zbyt żywe przywiązanie. Pod tak świętym i silnym kierunkiem do wysokości doszła doskonałości.“

„Razu jednego posłałam do Ars grzesznika, który od lat wielu nie chodził do spowiedzi. Proboszcz rozplakał się nad nim i zachęcał do tój powinności; a gdy grzesznik się opierał, położył mu rękę na serce, mówiąc: „Tu coś nie dobrze idzie. Jak dawno byłeś u spowiedzi? — Czterdzieści lat temu. — Nie, mój przyjacielu, byłeś przed czterdziestu czterema laty.“

Robotnik kolejowy, od dawna odwykły od praktyk religijnych, słyszy o Proboszczu z Ars; a ulegając niepokonanej chęci poznania go osobiście i sprawdzenia cudów o jakich mu opowiadano, stawa w zakrystyi przed ks. Vianney. „Od wielu lat nie byłeś u spowiedzi, mój przyjacielu? — A no, toć tak temu dawno, że sobie nie przypominam. — Pomyśl tylko trochę... czy nie przed dwudziestu ósmiu laty?... — Prawda! przed dwudziestu ósmiu laty... przed dwudziestu ósmiu!... — I nie byłeś wtedy u Komunii św.: otrzymałeś tylko rozgrzeszenie. — I to prawda!“ Grzesznik, do reszty pokonany tём jasnowidzeniem Świętego, nawrócił się i przykładnym stał się chrześcianinem.

Łotr osławiony, który podróży rozbił na publicznych drogach, straszliwej dostał choroby. Dowiedziawszy

się, że chorzy uzyskują uzdrowienie w Ars, przyszedł też po ulgę. Lecz Proboszcz nie chciał się z nim widzieć. Rozżalony człowiek chciał już odejść do domu, gdy mu przyszła myśl, aby wrócił do kościoła. Ks. Vianney spostrzegł go i kazał go do zakrystyi wprowadzić. „Oho! pomyślał sobie grzesznik, każe mi się spowiadać, ale już ja wiem, co mu powiem, a co nie. — Po mniemanój spowiedzi, Proboszcz zapytał go: „Czy to wszystko? — A tak, wszystko! — Jakto! odparł znów spowiednik, a nie powiedziałaś mi, że tego a tego dnia, w tém a tém miejscu popełniłeś tę zbrodnię.“ — I zaczął mu opowiadać dzieje jego życia dokładniej, niżby on sam je był opowiedział. — Zbyteczne dodawać, że człowiek ten wyznał szczerze swe winy i nawrócił się zupełnie; nawet zdrowie uzyskał i budował dawnych swych znajomych życiem pobożnym i pokutnym.

Osoba bardzo szanowna, penitentka Proboszcza przez lat dwadzieścia wyznała nam, że zawsze ją przyspasabiał naprzd na przyjęcie jakiego ciężkiego krzyża, których wiele miała w życiu. Szczególniej przed stratą dwóch synów w przeciągu pół roku, powiedział jej wyraźnie: Moja córko, zbierz wszystkie swe siły, bo wielka dotknie ciebie boleść.

Jedna z sierót z Opatrzności po kilku spowiedziach wstrzymywała się od Komunii św. Wreszcie przełożone zaczęły ją badać i dziewczynka przyznała się, że od niejakiemu czasu ukrywa przed Proboszczem ciężki grzech, i dla tego odmówił jej rozgrzeszenia.

W r. 1847 babka i matka z córką przybyły z Besançon do Ars. Po kilkodniowém próżnym wyczekiwaniu za spowiedzią, znudzone, myślały już o wyjeździe, gdy wtém Proboszcz przeszedł obok nich, spojrział na nie przenikliwym swym wzrokiem i kazał panience iść za sobą do zakrystyi. Ta młoda osoba wdała się bez wiedzy rodziców w stosunek niebezpieczny tak dla jej sławy, jako i zbawienia... Ks. Vianney przejrzał od razu tajniki jej serca tak, że mu ich sama odkrywać nie potrzebowała. Uporządkowawszy zawile sprawy swój duszy, wróciła do domu pocieszona, wzmocniona i oświecona.

Pewien młodzieniec z Rive de Gier cieszył się, że oszuka Proboszcza z Ars, udając przed nim wielki żal za

grzechy. „Wielki grzesznik przychodzi do ciebie Ojczy z rozbolełą duszą, rzekł na wstępie. — Proboszcz przyjął go sucho, tłumacząc się, że nie ma czasu dla niego i tyłem się do niego odwrócił. Młodzieniec skarżył się na niego; powiadają mu, że zapewne musiał wyczytać w duszy jego brak żalu, i zachęcają, aby się szczerzej do skruchy pobudził. Wraca tedy do kościoła, gdzie za ledwo uklękawszy, czuje się przejęty gorącym pragnieniem poprawy. Stawa przed Proboszczem, który go teraz z otwartymi przyjmuje ramiony, tak jak zawsze przyjmował szczerze pokutujących grzeszników.

Bóg pokornym daje łaskę, odmawia jej pysznym: i Proboszcz z Ars zamykał przed nimi swe serce, był dla nich zimny i suchy. Niejeden doznał tego obejścia, co tak wielce różniło się od zwykłego usposobienia jego dla grzeszników.

Pierwszą przeszkodą dla łaski w duszy to nie te ułomności, których się winowajca wstydzi, lecz pycha, pycha rozumu, pycha serca, pycha małego, pycha wielkiego, pycha bogatego i pycha ubogiego, pycha jawna i pycha ukryta. Skutki jej były zawsze te same. Któż to chodził za Zbawicielem, słuchał jego nauk, któż oblegał drzwi i zdejmował dachy domu, w którym On mógł spocząć? Któż chętnie poświęcał wygody życia a nawet niezbędne jego potrzeby, byle się nasycić Jego słowem.“ Otóż biedni grzesznicy, zgubione Izraela owieczki: taki Natanael, Zachęsz, Magdalena. — Któż odwracał się od Jezusa z zawziętą radością, zastawiał mu zasadzki i ścigał go swą obłudą. Do kogoż Chrystus Pan zwracał swe skargi i słowa potępienia? Do faryzeuszów, do fałszywych uczonych swego czasu; do tych próżnych doktorów, którzy jedynie dla tego udawali ściśle przestrzeganie prawa, aby mieć sławę ztąd przed ludźmi. Tych ludzi Zbawiciel głośno nazwał pobielanymi grobami, im to zarzucał, że mówią a nie czynią, że oczyszczają kubek tylko po wierzchu, że wszędzie chcą być pierwszymi, że są chciwi tytułów, zaszczytów i chwały, że na innych wkładają ciężary, których sami i palcem się nie dotkną.

Nieszczęścia i winy sprowadziły do Ars pewną osobę, która wiele cierpiała upokorzeń, jako i wyrzutów sumienia.

Dziwiła się, że zachwalony z dobroci Proboszcz, dla niej nie był bardzo pobłażliwy. Czuję, mówiła ona, że sprawiam mu jakąś odrazę. „Musi być w Pani pycha, która mu się nie podoba, odpowiedziano jej. Odgaduje ją, przeczuwa: Sprzeczności odbiegają od siebie daleko. Ale upokórz, uniz się pani, powtarzaj często akty dobrowolnego poniżenia, a z pewnością Proboszcz zmieni się dla ciebie.“ — Nie-szczęśliwa usłuchała dobrej rady i odkryła w sercu świętego obfite skarby dobroci, namaszczenia i miłosierdzia.

Wielu grzesznikom ks. Vianney mawiał po spowiedzi: „Nie wyznałeś mi wszystkiego, nie powiedziałeś mi o tej a o tej winie. Nie wyznałeś, żeś dotąd spowiedników twych oszukiwał, żeś w. t.ém a t.ém miejscu był z tą osobą: żeś taką a taką nieprawość popełnił lub krzywdę wyrządził, żeś do tej a tej namiętności skłonny.“ — Czasami zaś mówił po prostu; „To nie koniec, masz jeszcze coś do powiedzenia; albo: zapominasz o jednym grzechu.“ — Nie było dnia, żeby w tłumie ludzi nie był odróżnił jakiego najzatwardzialszego grzesznika, żeby jednego z nich nie przywołał do siebie. A zwykle zdobywał serca tych, których sobie w ten sposób wybierał.

Zapewne to wszystko zadziwiająca, ależ kto ściśle z Bogiem złączony, temu dana władza przenikania głębin sumienia. W stanie mistycznym dusza tak wysoko podniesiona, że w świetle światłości prawdziwej przenika rzeczy zmysłom zakryte.

W dłuższej kontemplacji dusza, skupiwszy wszystkie swe władze jakoby w jedno ognisko, ginie, zaprzepaszcza się w ognisku wszystkiego, co jest, w Bogu. Gwar świata, ani żadna rzecz ziemska nie zajmuje jej i nie rozprasza. zatopiona w najśłodszej rozmowie z Panem nad Pany, słucha Jego mowy i każde słowo Jego chwyta chciwie. Myśli jej, zwrócona już nie ku rzeczom zewnętrznym i zmysłowym, lecz ku wyżynom prawdy, widzi jaśniej i bez uludy. — Gdy za pomocą łaski dusza dojdzie do tego stopnia łączności z Bogiem, Bóg upodoba sobie w niej; mieszka w niej szczególną obecnością, która oświeca i zapala ducha. — „Kto mnie miłuje, powiedział Chrystus Pan, tego miłuje Ojciec mój i mieszkanie sobie w nim uczynimy.“

W tym stanie człowiek staje się jedno z Bogiem. Tak zjednoczony z Tym, który jest Jednością istotną, nabywa wewnątrz swęj istoty coraz większej zgody i jedności; a im większej dochodzi jedności, tém wyżej się wznosi. Wznosząc się wyżej, więcej wyniszcza się sam w sobie, a przekształca się sam w Boga, aż się stawa przejrzysty jako kryształ, i czysty jak złoto czyszczone w ogniu.



ROZDZIAŁ XIV.

Proboszcz z Ars jako katecheta.

„Zródło żywota usta sprawiedliwego.“
(Ks. przyp. X. 11).

„Zdawało mi się, że słyszę szmer rzeki
przejrzystej, spływającej z jednej skały
na drugą, a świadczącej o obfitości swego
źródła.“

(Dante o Raju r. X).

Nie słusznie miano Proboszcza z Ars za człowieka bez zdolności umysłowych. Prawda, że natura mu ich poskąpiła, ale za to łaska ubogaciła go najświetniejszymi dary Ducha świętego, wyposażając go nadto przymiotami i zdolnościami, za którymi świat się ubiega.

O. Gratry*) pięknie powiada, że czystość serca, niewinność bądź zachowana, bądź odzyskana, wiara i religia nadają sercu, ciału i duszy człowieka dary, których wielu nie pojmuje. Takie dary teologia nazywa nauką wlaną. Technie je w nas Słowo Przedwieczne Boga, gdy w nas zamieszka przez miłość i wiarę. — Z uniesieniem przytacza dalej słowa jednej świętej, która żyła w XI wieku, w jednym z ascetycznych klasztorów nadreńskich: „Otóż, co jasnym czyni oko serca i zaostrza je do wpatrywania się w prawdziwe światło: pogarda rzeczy doczesnych, umartwienie ciała, skrucha serca, obfite łzy, rozmyślanie nad przedziwną istotą Boga i nad świętą prawdą Jego, modlitwa usilna, czyste wesele w Bogu, gorące pragnienie nieba. Ogarnijcie to wszystko, — dodaje Święta, — i trwajcie w tem. Idźcie dalej ku światłu,

*) Logique I. V Les vertus intellectuelles inspirées.

które się wam oddaje i które samo w serca wasze wstępuje. Wyrwijcie serca z piersi waszój, a oddajcie je Temu, który do was mówi; a On je napelni wspaniałością Boską i staniecie się synami światła, aniołami Boga.“

Tą drogą tak wysoko zaszedł ks. Vianney w szkole Ducha świętego. — „Kto był twoim nauczycielem teologii? — pytał go ktoś z przekąsem.“ — „Ten sam, który uczył św. Piotra, odpowiedział sługa Boży z prostotą.

Cośmy z ust świętej onej zakonnicy słyszeli, ziszczają się w życiu i w sercu Proboszcza z Ars we wszystkich szczegółach. Któż więcćj nad niego pogardził rzeczami doczesnemi? Któż więcćj ciało swe umartwiał? Któż więcćj we łzach się kąpał?

Dalój i owo rozmyślanie nad przedziwną Istotą Boga, nad świętą Jego prawdą, i modlitwa usilna i czysta i wesele w Bogu i gorące pragnienie nieba, jakżeż to wszystko widzimy u niego jako jedyny cel życia! On się zbliżył ku światłu, a światło samo wstąpiło w jego serce. On wyjął serce z własnej piersi, i oddał je Temu, który do niego przemawiał; a Ten, który do niego przemawiał, Słowo, które się Ciałem stało, Słowo Przedwieczne Boga, na pełniło go wspaniałością Bożą. Nie wątpili o tem ci, którzy mieli szczęście słyszeć jego katechizacye, słyszeć to dziwne jego słowo, i którzy widzieli silne wrażenie, jakie ono wywierało na słuchaczach wszelkich warstw. Cała jego dusza przechodziła niejako w słuchaczy i przejmowała ich swoją wiarą, miłością, nadzieją.

Człowiek, którego z trudnością przyjęto do wielkiego seminarjum dla braku zdolności i który od czasu swego wyświęcenia strawił czas na modlitwie i pracy w konfesyjonałach, jakżeż doszedł do tego, żeby wykładać prawdy wiary, jakby jaki Ojciec Kościoła? Zkąd mu się brały te jasne pojęcia o Bogu i Jego dziełach, o naturze i dziełach duszy? Jakim sposobem wypowiadał tę samą myśl a nawet tymi samymi słowy, co najuczniejsi święci w Kościele jako św. Augustyn, święty Bernard, święty Tomasz z Akwinu, św. Katarzyna Seneńska, św. Teresa?

Słyszeliśmy, jak często mawiał, że serce Świętych jest płynne. Podziwialiśmy to piękne a pełne siły wyrażenie, z nie małą radością znajdując je późniój w Sum-

mie św. Tomasza z Akwinu. Ks. Vianney nigdy dzieł wielkiego teologa nie czytał, nie zapożyczył więc sobie z niego wyrażenia.

Duch Boży kładł w serce tego świętego Kapłana to, co miał sam wiedzieć, aby drugich uczyć; a ubogacał je z tem większem upodobaniem, że było czyste, proste, i wolne od próżnej nauki ludzkiej.

Całą nauką Proboszcza była jego wiara; księga jego sam Chrystus Pan. Tylko w Chrystusie, w Jego męce i śmierci na krzyżu szukał on mądrości i nauki. Nie szukał jej w zapyłonych księgach i w szkole uczonych; lecz ją znalazł w modlitwie u stóp Pana, które łzami oblewał, wobec Najświętszego Sakramentu, przy którym dnie i noce spędzał wtedy, gdy tłumy grzeszników nie zabierały mu wszystkiego czasu.

Gdy mówił o niebie, o człowieczeństwie Syna Bożego, o Najświętszym Sakramencie, o Najświętszej Pannie i świętych w niebie, o piękności duszy, obecni słuchali go z przekonaniem, że musiał mieć jasne widzenie rzeczy, które opisywał tak wymownie, z taką gorącością duszy i z taką lez obfitością. Jakoż i słowa jego przejmowały jakimś dziwnem skupieniem i niezrównaną słodkością. Trudno było pozostać zimnym, patrząc na niewysłowiony odblask jego oblicza przemienionego i w obec jego cudownej potęgi. Myśli od Boga podane inną mają doniosłość od myśli pracą własną zdobytych. Sposób przedstawienia prawdy u ks. Vianney był tak prosty, a tak dobitny i jasny, że od razu kruszył najtwardsze serca i rugował z nich wątpliwość.

Nadto słowo Proboszcza z Ars było tem skuteczniejsze, że sam widok jego budował. Kto widział na kazalnicy jego blade, wychudzone, prawie przezroczyste oblicze, kto słyszał jego wzniosłe myśli w prostej ludowej formie, wypowiedziane cienkim a przenikliwym głosem: temu się zdawało, że widzi przed sobą biblijnego męża — proroka. I poszanowanie i zaufanie nakazywało słuchać i korzystać.

Przed rozpoczęciem, sędziwy katecheta obejrzał się dokoła po swoich słuchaczach. Czasami utkwiał wzrok w jednego z nich i zdawało się, że duszę jego przenika,

czierpiąc w niéj przedmiot do mówienia. Wieluż ich tam w jego obrazach własne rozpoznawało słabości! wieluż usłyszało opis tajemnych dziejów swoich, pokus, walk, upadków i zgryzot sumienia!

W czasie katechizacyi równie ciekawa rzecz była widzieć słuchacza jak katechetę. Katecheta wylewał całą duszę, duszę świętą, płonąca miłością i wiarą, która się z twoją łączyła, od której odbite promienie czułeś w głębi istoty własnej. Co do słuchacza, czuł się oderwany od ziemi w jakieś wyżyny niebiańskie; pod wrażeniem słów Świętego rozjaśniało się przedziwnie w jego myśli; niebo ziemia, życie obecne i przyszłe przedstawiały ci się w nowem, nieznanem dotychczas świetle.

Człowiek światowy, pełen przekonań i wrażeń światowych, dostawał zawrotu, słuchając jego nauk: tak silnie potępiał to wszystko, co świat wielbi i za czem goni. Po pierwszym uczuciu jakiegoś osłupienia, słuchacz ten miękł zwolna i bezwiednie łzami się zalewał.

Jeden ze znakomitych lekarzy lyońskich opowiadał nam, że przybył do Ars w licznej grupie krewnych i przyjaciół, nie mając naturalnie pojęcia czem jest święty; ani przygotowany na to, co go tam spotkać miało. Z początku wykładu ks. Vianney pusty śmiech go ogarnął; lecz nie chcąc zgorszyć ludu, zakrył twarz rękoma.

W parę minut później, już się nie śmiał; przeciwnie, rzewne łzy splywały mu po twarzy; zdawało mu się, że śni na jawie, tak dziwne rzeczy słyszał. Wyznał, że podobnego wrażenia doznał również, słysząc O. Lacordaira.

Proboszcza z Ars słuchano jako apostoła zesłanego Kościołowi ku odnowieniu świętości i gorliwości Ducha Bożego, w czasach, gdy zepsucie na wskroś ludzkość przejęło. I rzecz dziwna, że słuchano go, choć przykrą głosił naukę dla ludzi pojonych światowemi zasadami; mówiąc o krzyżu, upokorzeniu, umartwieniu, ubóstwie i pokucie. Ci, co nie czuli się na siłach, iść tą twardą drogą Chrystusową, przynajmniej ją podziwiali.

Choć ks. Vianney prostaczek sobie bez nauki, ludowym mówił językiem, niepoprawnym i grubym narzeczem, możnaby jednak i o nim powiedzieć to co o Apostołach, że jego opowiadanie dotarło aż do krańców ziemi. Z całego

świata dążono do niego, jakoby do proroka, ażeby go się radzić i od niego uczyć się, jak kochać P. Jezusa. Nie prostaczkowie, lecz możni i uczeni, nie sami świątobliwi i cnotliwi, ale i niedowiarkowie czuli się pociągnięci jego namaszczeniem i tym oddźwiękiem, jaki tylko świętość prawdziwa człowiekowi nadaje.

Nieustanne w Bogu skupienie było jedynem przysposobieniem świętego Proboszcza do jego kazań; z konfesyonału szedł wprost na kazalnicę, a mówił z największą pewnością siebie i z największym spokojem. Mówił zaś w taki sposób, że słuchacz musiał umieć sam siebie badać i sądzić; na sądzenie kaznodziei nie stawało mu myśli.

Ks. Vianney nie dbał o sąd ludzki; z równą swobodą mówił przed prostaczką, jak przed najwyższymi dostojnikami Kościoła, i rzecz dziwna, on taki skromny, nieśmiały, gdy się przeciskał przez tłumy pielgrzymów, załugających kościółek, na ambonie wyglądał jak zwycięzca, z podniesioną głową, z rozpromienioną twarzą.

Słuchacze nie ambarasują ks. Proboszcza? pytano go. Przeciwnie, im więcej ich mam, tem jestem szczęśliwszy, ale dodał co prędkiej: To tak bywa, pysznym zawsze się zdaje że dobrze robią. Mówiąc, zapominał zupełnie o sobie, a miał na względzie jedynie dusze i chwałę Bożą. W tem zapomnieniu siebie cała tajemnica jego potęgi przekonywania.

Świętość jego niemniejszą była siłą na opanowywanie serc słuchaczy. Jak powiada św. Izydor, pierwszym przymiotem męża powołanego do niebezpiecznego zaszczytu nauczania ludów, musi być świętość. Ten, który ma innych odwozić od grzechu, sam musi być odeń wolny. Ten, który ma drugich prowadzić do doskonałości, musi sam być wzorem doskonałości.¹⁾ Gdy Proboszcz z Ars mówił o pokorze, łagodności, cierpliwości, poświęceniu, o ubóstwie i pożądaniu cierpienia, wypowiadał tylko to, czego wzór z siebie dawał.

Forma jego przedstawienia rzeczy najwznioślejszych

¹⁾ Hym. ks. II de offic.

była tak prosta, że największy prostaczek zrozumiał jego wykład o prawdach najwyższych.

Ks. Vianney sam tak skromny, tak skory do głoszenia swego niedołęztwa umysłowego, lubił w drugich naukę; chwalił w drugich rozum, cieszył się darem wymowy u drugich i dziękował Bogu, że na swoją chwałę tak pięknym przywilejem obdarzył człowieka. Lecz sam dla siebie o ten przywilej nie dbał. Tak mało się troszczył o zasady gramatyczne, że się czasami zdawało, jakoby z umysłu mówił niepoprawnie na upokorzenie swoje, a pomimo to mowa jego, choć pełna usterek językowych, oświecała i nawracała. „Mowa wyglądzona, wyszukana, powiedzial św. Hieronim, podoba się uszom; prosta toruje sobie drogę do serca.

W mowie ks. Vianney nie było obmyślanego składu i ładu; wszystko tu było doraźne; myśli wyrwały mu się z duszy jak strzały; czasami wzniosłe, głębokie, za nimi szły zupełnie proste, gminnym wyrażone językiem. Często zabieraliśmy się do spisania rzeczy usłyszanych; nie udało nam się nigdy nadać formy tym myślom, któremi nas najwięcej poruszył. Krzepły pod piórem jak ostygła lava. Tak jak nie opisze szumu lasów, ani jęku fal morskich co się rozbijają o skały, tak i tego co Boże w sercu człowieczem, w słowa zakuć nie podobna.

Otóż blade zapiski nasze, które chyba jakimś dalekiem przypomnieniem nauk Proboścza z Ars być mogą.

„O! jakże piękna rzecz miłować Boga!... Bez nieba niepodobna zrozumieć miłości!... Modlitwa dopomaga nam trochę do tego, bo modlitwa to podniesienie duszy do samego nieba.“

„Im bliżej poznaje się ludzi, tem mniej ich się kocha. Z Bogiem przeciwnie: im więcej Go się poznaje, tem więcej Go się kocha. Ta znajomość zapala duszę taką miłością, że już nie innego ani kochać, ani pragnąć nie może, tylko Boga jednego!... Człowiek stworzony z miłości, dla tego tak skłonny do miłowania. A serce jego tak wielkie, że nie go na tej ziemi nasycić nie zdoła. Dopiero wtedy się zaspokoi, gdy się do Boga zwróci. Wyjmij rybę z wody, a żyć nie może: Takż człowiek bez Boga.“

„Są ludzie, którzy Boga nie miłują, nie modlą się do

Niego, a dobrze im się powodzi; zły to znak. Mają trochę dobrych uczynków wśród wielu złych. Pan Bóg płaci im za nie już za życia.“

„Ta ziemia jest mostem do przebycia przez wodę i służy za podporę dla naszych nóg, nie więcej... Jesteśmy na tym świecie, ale nie jesteśmy z tego świata, kiedy codziennie mówimy: Ojciec nasz, któryś jest w niebie. Czekajmy zatem za odebraniem nagrody, gdy będziemy u siebie, w domu Ojca naszego. Dla tego to dobrzy chrześciance znoszą nieustanne krzyże, przeciwności, nieszczęścia, pogardę i oszczerstwa. Bogu dzięki za nie!... Ale ludzie się temu dziwią. Zdaje im się, że ten co trochę Boga miłuje, nie już nie powinien cierpieć!... Mówimy: Ot, tamten niegodziwiec, a wszystko mu się powodzi, ja się męczę i wszystko mi na opak idzie. Tak, my nie pojmujemy wartości krzyża i szczęścia w krzyżu. Powiadają czasem: Bóg karze tych, których miłuje. To nieprawda. Próby Boże nie są karami, ale łaskami dla tych co Boga miłują... Tylko nie trzeba zważać na trud podjęty, lecz na nagrodę zań. Kupiec nie liczy sobie trudu, lecz zysk jaki mu handel przynosi... Czémże są dwadzieścia, trzydzieści lat w porównaniu do wieczności?... I cóż my tu tak bardzo cierpimy? Trochę upokorzenia, trochę przykrości, jakie słówko dotkliwe: toć to nie zabija.“

„Piękna to rzecz, że my, choć tak nędzni i mali, możemy się Bogu podobać!“

„Język nasz niczem innym nie powinien być zajęty jak modlitwą; serce niczem, jak kochaniem; oczy opłakiwaniem.“

„Jesteśmy czemś wielkiem, a przecież nicością... Nic większego z jednej strony, jak człowiek; z drugiej nic podlejszego. Nic większego ze względu na jego duszę; a nic podlejszego ze względu na jego ciało... A przecież tyle dbamy o to ciało, jak gdybyśmy nie mieli nad nie godniejszego przedmiotu naszych starań.“

„Jesteśmy dziełem Boga... Każdy kocha swoje dzieło... Łatwo zrozumieć, że dziełem jesteśmy Boga; ale jakże trudno pojąć, żeby ukrzyżowanie Boga było naszym dziełem.“

„Niektórzy oddają Ojcu przedwiecznemu serce twarde!.. Biedni oni, zaślepieni!... Ojciec Przedwieczny, żeby rozbroić własną sprawiedliwość, dał Synowi swemu niewymownie dobro

serce; nie można dać czego się nie ma. Chrystus Pan tedy zawołał do Ojca swego: „Ojcze! nie karz ich!”

„Chrystus Pan więcej cierpiał, niż było potrzeba dla naszego zbawienia. Bo to, co wystarczało na zadosyć uczynienie sprawiedliwości Boga Ojca, nie wystarczało Jego miłości.”

„Gdyby Pan Jezus nie był za nas umarł, wszyscy ludzie razem nie byliby zdolni zadosyć uczynić za jedno małe kłamstwo.”

„Znak krzyża straszliwy jest dla szatanów, kiedyż widok krzyża ich rozprasza... Trzeba się żegnać z wielkiem uszanowaniem. Podnosimy najpierw rękę do czoła: to głowa, to stworzenie, to Ojciec; następnie do serca: to miłość, życie, odkupienie, Syn; na ramiona: to siła, Duch św. Wszystko przypomina nam krzyż. My sami uformowani jesteśmy w kształt krzyża.”

„W niebie karmić się będziemy tchnieniem Bożem... Pan Bóg umieści nas jak budowniczy kamienie w budowie gmachu; każdego w miejscu stósownem.”

„Niebo przelewało się w duszę świętych; oni w niem zanurzali się i zatapiali... Jako apostołowie na górze Tabor już nic nie widzieli, jedno Jezusa! tak dusze wewnętrzne na Taborze serc swoich już nic a nic nie widzą, jedno samego Jezusa. Są z Nim złączone przyjaźnią, która nigdy się nie uprzykrzy!...

„Są ludzie, którzy tracą wiarę, a piekło widzą dopiero wtedy, gdy już zstępują do niego.”

„Potępiency są tak otoczeni gniewem Boga, jak ryba wodą.”

„Nie Bóg nas potępia, ale my sami przez nasze grzechy. Potępieni nie oskarżają Boga! sami siebie oskarżają, wołając: Z własnej winy straciłem Boga, duszę moją i niebo.”

„Nikt nie został potępiony za to, że za wiele nagrzeszył; ale wielu jest w piekle za jeden grzech śmiertelny, za który nie chcieli żałować.”

„Gdyby potępieniec choć raz mógł powiedzieć: Boże kocham Cię! nie byłoby piekła dla niego... Ale niestety! biedna ta dusza utraciła władzę kochania, jaką jej Bóg dał, a której zużyć nie umiała. Serce jej wyschło jak grono pod prasą. Stracone w niej szczęście, stracony pokój; bo miłości w niej nie ma.”

Święta Teresa mawiała też o potępiencach: „Nieszczęśliwi nie miłują.”

„Piekło wynika z dobroci Bożej. Potępieńcy wołają: Ach! gdyby nas Bóg nie był tyle umiłował, mniej byśmy cierpieli i piekło byłoby znośniejsze! Ale tak być ukochanym, a mimo to zginąć wiecznie: och! to okropnie!...“

I Dante wyczytał wyryty ciemnymi głoskami napis nad piekłem: Jestem dziełem pierwszej miłości. Myśli ks. Vianney są i głębokie i trafne. Cmentarz nazywał wspólnym domem, czyszciec infirmerią (szpitalem) Pana Boga, ziemię magazynem.

„Jesteśmy tu na ziemi tylko na chwilę, jak towary na składzie... Zdawało by się, że się nie ruszamy z miejsca; a my wielkim krokiem ku wieczności pędzimy, jakoby parą.“

„Pytano raz umierającego, jaki chce mieć napis na grobie, a on odpowiedział: Tu spoczywa szalenciec, który zszedł z tego świata, sam nie wiedząc, jak się nań dostał! Wieluż to ludzi nawet schodzi z tego świata, nie wiedząc po co tu przyszli, i którzy też wcale się o to nie troszczyli. O! nie naśladujmy ich.“

„Gdyby potępieńcy mieli ten czas, jaki my marnujemy, jakżeby go dobrze użyli! Gdyby im dano choć pół godzinki, w te pół godzinki wypróżniło by się piekło.“

„Umierając, spłacamy dług; oddajemy ziemi to, co ona nam użyczyła... Małą garsteczką prochu staniemy się; w proch wszyscy się obrócimy: nieprawdaż, jest się z czego pysznić!..“

„Na tym świecie trzeba pracować, cierpieć, walczyć: w wieczności będziemy -wypoczywać.“

„Gdybyśmy umieli pojąć nasze szczęście, moglibyśmy sobie przyznać, żeśmy szczęśliwsi od świętych w niebie. Oni żyją już tylko z dochodów; już nie więcej wysłużyć sobie nie mogą, my zaś możemy z każdą chwilą skarb nasz powiększać.“

„Przykazania Boże są nauką Boga, jaką drogą iść mamy do nieba; są one drogokazami, które z nazwiska wskazują nam drogę, czy ulicę.“

„Łaska Boża pomaga nam i wspiera nas. Jest nam tak potrzebna jak krukwię kalekom na nogi.“

„Idąc do Spowiedzi, trzeba zrozumieć, co się czyni. Rzec można, że wtedy idziemy zdejmować z Krzyża Zbawiciela naszego.“

„Po dobrej spowiedzi, okuwasz w kajdany szatana.“

„Grzechy, które ukrywamy, staną się kiedyś bardzo jawne. Kto chce dobrze grzech swój ukryć, niech go szczerze wyspowiada.“

„Nasze winy są ziarnkiem piasku w obec olbrzymiej góry miłosierdzia Bożego.“

Ks. Vianney lubił używać porównań w swoich naukach; zestawiał wielkie prawdy z obrazami wziętymi z życia i natury, mianowicie z życia wiejskiego. Zdawało się, że z przyjemnością zwracał się po nie do wspomnień z lat dziecięcych, i do ich niewinnych rozkoszy. Za przykładem Chrystusa Pana z najpospolitszych, wypadków z codziennego życia brał obrazy dla uzmysłowienia prawd z życia duchowego. W ewangelii pełno tych przenośni od rzeczy zmysłowych, znanych, do rzeczy nadprzyrodzonych, wiecznych. Podobneż obrazy, przypowieści, przenośnie krasily nauki Proboszcza z Ars. W każdej mówił o strumykach, drzewach, lasach, ptakach, rosie, kwiatach itd. Wszyscy ludzie kontemplacyjni lubili ten sposób porównań i lubili wspominać te wszystkie rzeczy, któremi Stwórca upiększył swe dzieło. Św. Franciszek Salezy jest wzorem tego stylu, który zresztą nie dziwi u biskupa genewskiego, ale z kąd się wziął u wiejskiego plebana? Któż go nauczył wiązać tak wspaniałe snopy? Któż go nauczył cieniować myśli tak delikatnie, z tak przedziwnem uczuciem i taktem? — Posłuchajmy go:

„Jak owa piękna biała gołąbica, która wychodzi z wody i strzepuje skrzydełka nad ziemią, tak Duch święty wychodzi z oceanu bezmiernych doskonałości Bożych i bije skrzydłami nad czystymi duszami, aby w nich rozpuścić woń miłości Bożej!“

„Duch św. spoczywa w czystej duszy, jak gdyby na pościeli z róż. — Z duszy, w której Duch św. zamieszkuje, wychodzi zapach, jak z kwitnącej latorośli winnej.“

„Człowiek, który nie utracił niewinności Chrztu św., podobien do dziecka, które nie przestąpiło zakazu ojca.“

„Ten, który zachował niewinność, tego miłość unosi wysoko, jak ptak wzbija się w górę na skrzydłach.“

„Ludzie czystego serca szybują w górę, jak orły lub ja-skółki.... Chrześcianin czystego serca jest na ziemi, jak ptaszek uwiązany na nitce! Biedne ptaszę czeka tylko, aż się nie zerwie, by sobie ulecieć.“

«Dobrzy chrześciane podobni do ptaków o wielkich skrzydłach a małych nóżkach, które nigdy nie siadają na ziemi, gdyż nie mogłyby się już wznieść w górę i byłyby złowione. Dla tego ścielą one sobie gniazda na szczytach skał, na dachach, na wysokościach. Tak samo chrześcianin powinien się trzymać wyżyn, bo za ledwo zniżymy myśli nasze ku ziemi, jużemy schwytni.¹⁾

«Dusza czysta podobna do pięknej perły. Póki w muszli ukryta i spoczywa na dnie morza, nikt jej nie podziwia. Ale wystaw ją na słońcu, blask jej pociągnie wszystkich oczy. Tak i dusza czysta ukryta przed światem, błyszczyć będzie kiedyś przed aniołami w słońcu wieczności.

«Czysta dusza jest ową piękną różą; wszystkie trzy osoby Trójcy Przenajświętszej zstępują wonią jej pieścić się.

«Miłosierdzie Boże jak rzeka co wylała po za brzegi i prądem swym porywa wszystkie serca, jakie napotka...

«Dobry Bóg prędzej przebaczają pokutującemu grzesznikowi, niż matka zdoła z ognia dziecię swe wydobyć.

«Wybrani są jak te snopy zboża, których żniwiarz nie zbierze do gumna, które pozostawi w polu i jak te grona, które po winobranii zostają.

«Wyobraźmy sobie matkę, któraby musiała topór katowski spuścić na głowę swego dziecięcia; w tém położeniu jest Pan Bóg, gdy ma potępić grzesznika.

«Jakież to szczęście dla dusz sprawiedliwych, gdy przejęte już wonią nieba, zstąpią przy końcu świata z ciałem do nieba, by już na wieki zażywać rozkoszy w Bogu. Wtedy ciała nasze wyjdą z ziemi, jak bielizna z prania.

«Ciała sprawiedliwych błyszczyć będą w niebie jak piękne brylanty, jak światy miłości.

— A to porównanie, czyż nie zdaje żywcem wzięte z Dantego?

«Z jakimże okrzykiem radości dusza złączy się ciałem swem uwielbionem, z tém ciałem, które już nie będzie dla niej narzędziem grzechu, ani przyczyną cierpienia! Dusza zanurzy się w woni miłości Bożej, jak pszczoła za nurza się w kwiatach..

¹⁾ Prorok Ezechiel powiedział: Animas ad votandum. Dusza musi się unosić. (Ez. XIII, 20).

Widać z tego, że Proboszcz z Ars, choć bezwiednie, był poetą w najrozleglejszém znaczeniu: miał głębokie uczucie, a z serca jego płynęły najczystsze i pełne prawdy dźwięki. Czyż to nie najpierwsze i najdoskonalsze warunki dla poety?

«Pewnego razu, mówił on — szedłem do chorego; było to na wiosnę; w krzewach roiły się tysiące ptasząt, które się rozkrzykiwały w śpiewach. Z przyjemnością przysłuchiwałem się im, myśląc sobie: Biedne ptaszęta, nie wiecie co robicie; wielka to szkoda, bo wy chwałę Bogu śpiewacie...»

Czyż się tu nie przebija język i głos św. Franciszka z Asyżu? Ks. Vianney lubił przytaczać poetyczną legendę o św. Maurze, który niosąc raz obiad św. Benedyktowi, napotkał ogromnego węża; zabrał go w poję swój szaty i pokazując go św. Benedyktowi, rzekł: «Patrz, ojcze, co znalazłem.» Gdy się św. patriarcha zgromadził z zakonnikami, wąż począł syczeć i rzucił się ich kąsać. Wtedy św. Benedykt kazał św. Maurovi odnieść węża na to samo miejsce, skąd go wziął; a gdy odszedł, powiedział braciom: «Wiecie, czemu wąż jest tak łagodny dla dziecka? otóż dla tego, że zachował niewinność Chrztu świętego.»

Wdzięcznie przedstawił św. Franciszka z Asyżu, kążącego do ryb, o czém nam rozpowiada książka: „Kwiateczki“ ś. Franciszka. (I fioretti). Jednego dnia, mówił on, św. Franciszek przemawiał w miejscu, gdzie wielu było heretyków. Ci zatulali sobie uszy, aby go nie słyszeć. Natenczas święty przeniósł się na wybrzeże morza i zawołał na ryby, aby one przyszły go słuchać, gdyż ludzie nie chcieli. Ryby stanęły na zawołanie, nasamprzód małe, a za nimi duże. Święty zapytał je: «Jakże, jesteście wdzięczne Bogu, że was ocalił w czasie potopu?» Ryby pochyliły główki. Wtedy święty zwrócił się do ludzi: «Widzicie, te ryby wdzięczne są Bogu za dobrodziejstwa, a wy niewdzięczni pogardzacie niemi!»

Ks. Vianney często wplatał do swoich przemówień wspomnienia z pastuszego swego życia:

«Trzebaby tak robić, jak pasterze pozostający w polu zimą. Zimą okropnie im się czas przykrzy. Oni sobie rozpalają ogień i raz po raz odbiegają do lasu po suche nań gałązki. Gdyby-

śmy tak umieli jak ci pastuszkowie utrzymywać bezustannie ogień miłości Bożej w sercach naszych przez modlitwę i dobre uczynki, nie wygasłby nigdy. Biedny jesteś bardzo bez miłości Boga. Jesteś jak to drzewo ogołoczone z owocu i liści.

«W duszy z Bogiem złączonej trwa ciągła wiosna.

Najwdzięczniejsze i najobfitsze porównania płynęły mu, gdy mówił o modlitwie.

«Modlitwa to rosa wonna, ale trzeba się modlić czystym sercem, aby czuć tę rosę.

«Z modlitwy wypływa rozkoszna słodycz, jak wyborny sok z winogrona dojrzałego.

«Modlitwa odrywa duszę od zmysłów i podnosi ją wysoko, jak ten ogień, który nadyma balon.

«Im więcej się człowiek modli, tym więcej pragnie się modlić. To tak samo jak ryba, co nasamprzód płynie po powierzchni wody, potem się zanurzy, tonie coraz głębiej a głębiej. Dusza się zanurza, zaprzepaszcza, rozpływa w słodkości rozmowy z Bogiem. Czas się nie przykrzy na modlitwie. Nie wiem, czy można wtedy pragnąć nieba! ale przecież... Rybie dobrze w małym strumyku, bo już jest w swoim żywiole, lecz jeszcze lepiej jest jej w morzu.

«Gdy się modlimy, otwierajmy Bogu nasze serca, tak jak ryba skrzele nadchodzącej fali wody.

«Bóg nas nie potrzebuje; jeśli nam nakazuje modlitwę, to dla tego, iż chce naszego szczęścia, a szczęście nasze jedynie w modlitwie. Gdy się do Boga zbliżamy, zniża On serce ku swemu stworzeniu, jak ojciec, który się nachyla do mówiącego dziecięcia.

«Od samego rana czynmy tak, jak małe dziecię. Skoro oczki otworzy, zaraz wygląda z kołyski za matką. Gdy ją spostrzeże, uśmiecha się do niej, płacze, gdy jej nie widzi.

Ks. Vianney, mówiąc o kapłanie, ten piękny przedstawił obraz:

«Ksiądz jest także matką dla nas, jak karmicielka dla kilkumiesięcznego dziecka. Matka mówi do dziecka: «Bierz i jedz, moje dziecię.» Kapłan wam mówi: «Bierzcie i jedzcie, oto Ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa, niech was strzeże i prowadzi do żywota wiecznego.» O! cudne to słowa!... Gdy dziecię ujrzy matkę, bieży ku niej i wyrывa się tym, co je chcą wstrzymać, otwiera usteczka, wyciąga ku niej rączki, aby ją

uściskać. I wasze dusze wrodzonym popędem zrywają się do kapłana, ale są skrepowane więzami ciała u ludzi zmysłowych, którzy żyją tylko dla tego trupa.

«Dusza nasza zawinięta w ciało, jak dziecię w pieluchy, tylko jój twarz widać.»

Prawda w następującym obrazie i trafność porównań ks. Vianney zadziwiająca.

«Dostał się tu raz do nas wilk, który wszystko pożerał. Napotkawszy dwuletnie dziecię na drodze, pochwyił je i uciekł, ale ludzie, zajęci w winnicy, spostrzegli go i wydarli mu biedną ofiarę. Tak samo Sakrament Pokuty wydiera nas ze szponów szatana.»

Gdy porównywał chrześcian z ludźmi światowymi, mówił:

«Najbiedniejsi są ci ludzie światowi. Mają oni na ramionach płaszcz podszyty cierniem, które ich kłuje za każdym poruszeniem; dobrych chrześcian podszyty jest miękkim futerkiem królikowem.

«Dobry chrześcianin nie troszczy się o dobra światowe, ucieka od nich, jak ten szczur co z wody wyszedł.

«Na nieszczęście serca nasze nie są dość wolne od przywiązań ziemskich. Weźmij suchą i czystą gąbkę i zanurz ją w wodzie, a przesiąknie nią aż w nadmiar, ale jeśli nie będzie ani sucha, ani czysta, nie nie przyjmie. Takoz z sercem; gdy nie będzie czyste, wolne od rzeczy stworzonych, choćby nie wiem jak zatapiało się w modlitwie, nie przejmie się nigdy jój duchem!

«Serce złych jest mrowiskiem grzechów. Podobne do kawała zepsutego mięsa, które toczy robactwo.

«Jesteśmy jak krety młode. Zaledwo nam się światło ukaże, uciekamy przed niem, zanurzając się w ziemi.

«Szatan bawi nas do ostatniej chwili, jak się zwykle zabawia człowieka, po którego mają przyjść żandarmi. Żandarmi przychodzą, on krzyczy, wydiera się, ale naprózno, już go sprawiedliwość nie minie.

«Gdy człowiek umiera, podobien często do zardzewiałej sztaby żelaznej, którą trzeba oczyścić w ogniu.

«Biedni grzesznicy tak są odrętwiiali, jak węże podczas zimy...

«Oszczercy podobni do liszki, która przesuając się po kwiatach, brudzi je swą ciecżą.

«Cobyście też powiedzieli o człowieku, któryby uprawiał zagon sąsiada, a swój własny zaniedbał? A wy jednak nie inaczej postępujecie. Radzicie nieustannie nad sumieniem drugich, a swemu pozwalacie chwastem zarastać. O mój Boże, jakże będziem żałowali w godzinę śmierci, żeśmy tyle myśleli o drugich, a tak mało o sobie! toć za siebie, a nie za drugich trzeba będzie zdać rachunek... Myślmy o sobie, o naszym sumieniu, któremu powinniśmy się przyglądać, jak oglądamy ręce, czy są czyste.

«Mamy zawsze przy sobie dwóch pisarzy, szatana, który zapisuje nasze złe uczynki aby nas potępić, dobrego anioła, który zapisuje, cośmy dobrego uczynili, aby nas obronić w dzień sądu. Gdy wszystkie nasze sprawy zostaną przedstawione Bogu, jakże mało, nawet z pomiędzy najlepszych, będzie Mu miłych! Tyle w nich przymieszek niedoskonałości, myśli próżnych, ludzkiego zadowolenia, zmysłowych przyjemności, samolubnych zwrotów. Dobrze one nieraz wyglądają, ale tylko pozornie — zupełnie tak, jak te owoce, które się zdają dojrzalsze dla tego, że je robak toczy.»

Z tych urywków widzimy, że ks. Vianney był uczniem szkoły św. Franciszka z Asyżu, św. Bonawentury, bł. Henryka Suzo i tylu innych kontemplacyjnych mężów, którzy bądź przez wzgląd na swych uczniów, bądź też skutkiem wrodzonego pociągu dobrych ku pięknu, zawsze swe zasady pod wdzięczną i obrazową podawali formą: Nie tak to łatwą ani powszednią rzeczą kochać naturę; by ją ukochać, trzeba nie szukać siebie, patrzeć na świat bezinteresownie i poważnie, i szukać w nim nie używania, lecz nauki. Chrześcijaństwo, któremu tak często zarzucano, że gardzi naturą, uczy człowieka, jak ją uczyć i ukochać, wskazując mu myśl Bożą, która ją utrzymuje, oświeca i uświęca.

Ks. Vianney tak patrzył na stworzenie, przebiegał wszystkę jego mnogość, w każdym z osobna wielbąc Boga swego. Odbicie piękności nieskończonej widział w piękności stworzenia. Jak Adam przed upadkiem wszystko stworzenie widział w świetle Bożem i kochał je najczystsza miłością bratnią, tak i Proboszcz z Ars, odzyskawszy po-

niekąd niewinność rajska, pałał także miłością nietylko do ludzi, ale do wszystkich widomych i niewidomych stworzeń. Słowa jego tętnęły miłością do całego stworzenia, bo je niezawodnie widział w pierwotnej zacności i nieskazitelności. W naturze widział on siostrę, która, choć w odmienny sposób, wyrażała te same co on myśli, te same co on śpiewała pienia miłości. Gdzie inni widzą przemijającą piękność, on odkrywał jakiś przedziwny ład Boży i odwieczną zgodę rzeczy w porządku fizycznym i moralnym; odnajdował skojarzone tajemnice przyrody z tajemnicami wiary. Tak samo przeglądał dzieje świata. Wieki, wypadki i ludzie stawały mu w oczach jako symbole i alegorye, jako proroctwa, jako głosy pytające i odpowiadające sobie, jako figury, które wzajemnie powtarzają się za sobą.

Nie piękniejszego i wznioślejszego nad jego zestawienie legendy o św. Aleksym z rzeczywistą obecnością Pana Jezusa w N. Sakramencie. W chwili, gdy matka św. Aleksiego poznaje syna w martwym żebraku, który trzydzieści lat żył pod wschodami jej pałacu, woła: O synu! czemużem cię tak późno poznała!...

«Dusza opuściwszy ciało, ujrzy wreszcie tego, którego tu miała w N. Sakramencie, a na widok pociech, piękności bogactw, których nie zaznała wprzódy, zawoła również: O Jezu! o Boże mój! czemużem Cię tak późno poznała!...»

Nieraz świeże wydarzenia i okoliczności, które uczyniły wrażenie na ks. Vianney, posłużyły mu do budujących uwag.

«Dla tego, że Pan Jezus nie ukazuje się nam w całym swoim majestacie w N. Sakramencie, zachowujecie się tu bez uszanowania. A przecież to On! On tu w pośród was!... To tak jak ten Biskup, który tu był w tych dniach, a którego wszyscy potracali... No, żeby tylko kto był wiedział, że to był Biskup!...

«Młodość naszą oddajemy szatanowi; resztki życia Panu Bogu, a Bóg tak dobry, że i to przyjąć raczy... Na szczęście, przynajmniej nie wszyscy tak czynią.. Była tu dziś u nas panienka z wielkiej rodziny francuzkiej, bogata, bardzo bogata. Ma lat zaledwo dwadzieścia trzy.. Otóż ta panienka ofiarowała się Bogu na zadosyćczynienie za grzechy i za nawrócenie...

grzeszników. Nosi na sobie kolczasty pasek, umartwia się w różny sposób, a rodzice jej nic o tem nie wiedzą. Jest blada jak ściana... O! piękna to dusza i Bogu miła..., są przecież jeszcze dusze Bogu miłe, które ratują świat od zatracenia.

W tych dniach przybyło tu dwóch protestanckich pastarów, którzy nie wierzyli w obecność Boga w N. Sakramencie. Zapytałem ich: «Wierzycie, żeby kawałek chleba mógł sam z siebie wyrwać się z ręki do ust osoby, która przystąpiła go przyjąć? — Nie! — W takim razie nie byłby chlebem. A więc powiadam wam: Był człowiek trapiiony wątpliwościami o N. Sakramencie i mówił: Któż to może wiedzieć? nie ma nic pewnego, czem jest konsekracya i co się dzieje w czasie konsekracyi na ołtarzu!... Ale pragnął wierzyć i prosił o wiarę za przyczyną Matki Bożkiej. I cóż się dzieje? Słuchajcie, bo to co opowiadam, nie stało się gdzieś w nieznanem nam miejscu, ale mnie samemu się wydarzyło. Gdy się ten człowiek zbliżył do Stołu Pańskiego, Przenajświętsza Hostya uleciała mi z palców, gdym jeszcze był nieco od niego oddalony, sama spoczęła na języku jego.»

Trudnoby przedstawić w całości nauki ks. Vianney. Choć był niejaki w nich związek, związku tego być nie mogło w nagłych jego natchnieniach, w promieniach nadzwyczajnego światła. W ogóle, katechizacye jego nie nadawały się do rozbioru; uporządkować je wedle ścisłej nauki, to byłoby to samo, co je popsuć. Podajemy zatem czytelnikom naszym streszczenie najznakomitszych tylko nauk jego: o duszy, o modlitwie, o kapłanie, o Duchu św. o cierpieniu. Były to wszystko ulubione jego przedmioty.

Nauka o duszy.

O jakże piękną jest dusza! Gdy Chrystus Pan pokazał duszę św. Katarzynie, tedy Święta, zachwycona jej pięknnością, zawołała: «Panie! gdybym nie wiedziała, że to nie jest Bóg, myślałabym, że ona jest Bogiem.» Obraz Boga tak się przebija w duszy czystej. jak słońce w wód zwierciadle.¹⁾

¹⁾ Bossuet powiedział: Ktoby widział duszę, w której Bóg panuje przez łaskę swoją, myślałby, że widzi samego Boga; tak jak się widzi w czystym kryształe odbite słońce drugie z wszystkimi jego promieniami. (List 26).

„Dusza czysta jest podziwem wszystkich trzech Osób Trójcy Przenajśw. Bóg Ojciec z upodobaniem spogląda na nią, jako na doskonałe dzieło ręki swojej. Bóg tem szacuje w niej cenę Krwi Swojej Najświętszej: wszak wartość przedmiotu poznajemy z ceny, jaką się zań daje. Duch św. mieszka w duszy jako w świątyni swojej.

„Nadto poznajemy piękność duszy z wysiłków szatana, aby ją tylko zatracić. Całe piekło sprzysięga się przeciwko niej; niebo całe jest za nią.... — jakaż jej wielkość!..

„Aby nabrać pojęcia o naszej godności musimy sobie często przypominać niebo, kalwaryą i piekło. Gdybyśmy rozumieli doniosłość tego szczęścia, że jesteśmy dziećmi Boga, jużbyśmy grzeszyć nie mogli: bylibyśmy aniołami na ziemi. Cóż to za niepojęta godność, być dzieckiem Boga!.. Jakże piękna rzecz mieć serce; i choć to serce tak maleńkie, objąć niem Boga niezmiernego w chwale, kochać, wielbić Go!.. Wstyd człowiekowi przez grzech upaść tak nisko, gdy go Bóg tak wysoko wyniósł!“

„Gdy aniołowie zbuntowali się przeciwko Bogu, ten Bóg tak dobry, widząc, że oni już nie będą mogli zażywać szczęścia, do którego ich stworzył; uczynił człowieka i stworzył świat wszystek na utrzymanie jego ciała. — Ależ potrzeba było jeszcze pokarmu dla jego duszy; ponieważ zaś nic stworzonego nie może nakarmić duszy, co duchem jest, Bóg stał się sam pokarmem dla niej.“

„Wielka szkoda, że tak często ludzie, przebywając pustynię ziemskiego życia, nie przyjmują tego Boskiego zasiłku. Zupełnie jak ten co umiera z głodu przy suto zastawionym stole; niektórzy z nich po pięćdziesiąt i sześćdziesiąt lat obywają się bez tego pokarmu duszy!“

„Gdyby chrześcianie mogli zrozumieć Chrystusa Pana, gdy do nich mówi: Pomimo twój nędzy chcę z blizka oglądać tę piękną duszę, którą stworzyłem dla Siebie. Uczyniłem ją tak wielką, że tylko ją Sam mogę napełnić; uczyniłem ją tak czystą, że Sam głód jej zaspokoić mogę!“

„Pan Jezus zawsze wyróżniał dusze czyste. Oto najmilszy uczeń Jego, św. Jan spoczywa na Jego piersiach... Św. Katarzyna, bardzo czysta dusza, często chodziła po raj. Po jej śmierci aniołowie przenieśli jej ciało na górę Sinai, z której to góry Mojżesz odebrał przykazania Boże. Tym cudem dał

nam Bóg poznać, że dusza tak mu jest miłą, iż dla jej zasług pozwala, aby nawet ciało, które się do jej czystości przyczyniło, zostało pochowane przez aniołów.

„Na czystą duszę patrzy Bóg z upodobaniem i daje jej wszystko, o co Go prosi. Jakżeż mógłby się oprzeć duszy, która żyje tylko dla Niego, w Nim i przez Niego? Ona Go szuka, a Bóg jej się ukazuje; woła Go, a Bóg przychodzi; tak się z Nim łączy, z Jego wołą jednoczy, że już nie dusza żyje, ale Bóg żyje w niej. Czysta dusza ma niejako wszechwładzę nad sercem Pana Jezusa.

„Czysta dusza jest w tym stosunku do Boga co dziecko do matki. Dziecko tuli się do niej, ściska ją; matka nawzajem pieści się z niem i pocałunkami okrywa.“

O Modlitwie.

„Uważcie, moje dzieci; nie na ziemi, lecz w niebie jest skarb chrześcianina. Więc myśl nasza zdążać powinna tam, gdzie jest skarb nasz.

„Piękne jest zadanie człowieka: modlić się i kochać. Gdy umiesz modlić się i kochać, już posiadasz szczęście na ziemi.

„Modlitwa niczem innem, jak jednoczenie się z Bogiem. Serce czyste i z Bogiem złączone czuje w sobie jakiś balsam, słodczy upajająca, światłość olśniewająca. W tem ścisłem połączeniu dusza tak zlana z Bogiem, jak dwa kawałki roztopionego wosku: trudno je odłączyć. Cudowne jest to połączenie Boga z ubogiem swem stworzeniem: jest to szczęście niepojęte.

„Nie zasłużyliśmy sobie na przywilej modlenia się, a przecież Bóg w nieskończonej swój dobroci pozwolił nam rozmawiać z Sobą. Modlitwa nasza to woń kadzidła, którą bardzo mile przyjmuje.

„Moje dzieci, serca wasze małe, ale modlitwa je rozszerza i do miłości Boga usposabia. — Modlitwa jest przedsmakiem nieba; pozostawia nam zawsze smak rajskiej słodkości. Jest istnym miodem który przenika duszę i wszystko w niej słodzi. Po dobrej modlitwie smutek ginie, zuika jak śnieg od promieni słońca.

„Na modlitwie płynie czas tak prędko i tak miło, że zapomina się o nim. Naprzykład, gdym obchodził całą okolicę

wyręczać chorych księży, w drodze modliłem się: i zapewniam was, że mi się nic a nie nie przykrzyło.

„Niektórzy tak się zatapiają w modlitwie, jak ryba w wodzie, bo są całkiem Bogu oddani: w ich sercu nie ma rozdziału. Ach! jakże kocham te wspaniałe dusze! Św. Franciszek z Asyżu i św. Koleta tak widzieli Pana Jezusa i rozmawiali z Nim, jak my jeden z drugim. My tymczasem przychodzimy do kościoła, sami nie wiedząc po co i o co prosić. A jednak gdy idziemy do kogo, dobrze wiemy po co. Czasami się zdaje, jakby niektórzy mówili Panu Bogu: No, przychodzę tu, aby Cię zbyć... A ja sobie nieraz myślę, że gdy przychodzimy uwielbić Pana Jezusa, moglibyśmy wszystko od Niego uzyskać, gdybyśmy Go prosili z gorącą wiarą i sercem czystym. Ale to tak bywa: nie mamy ani wiary, ani nadziei, ani pragnienia, ani miłości...

„Człowiek wydaje dwojaki okrzyk: okrzyk anioła, modlitwa; okrzyk zwierzęcy, grzech... Ci co się nie modlą zaryją się w ziemię jak ten kret co sobie dziurę kopie, aby się w niej ukryć. Tacy stają się podobni do zwierząt, i nie odrywają myśli od rzeczy ziemskich... Przykładem umierający skąpiec, który gdy mu podano srebrny krzyż do pocałowania, zawołał: Ten krzyż waży co najmniej dziesięć uncyi.

„Gdyby jeden dzień przestano Boga wielbić w niebie, nie byłoby niebem; a gdyby nieszczęśliwi potępińcy mogli Go wielbić w mękach piekielnych, nie byłoby już piekła. Niestety! dał im Bóg serca, aby Go kochali; dał im język aby Go wielbili: kochać i wielbić było ich przeznaczeniem... A dziś muszą Go przeklinać przez całą wieczność. Gdyby mogli mieć nadzieję, że będzie im kiedyś wolno modlić się przez chwileczkę, oczekiwaliby tej chwili z taką niecierpliwością, że jużby mieli ulgę w swych katuszach.“

Ks. Vianney, mówiąc o modlitwie, tak nieraz rozbraiał modlitwę Pańską:

„Ojczy nasz któryś jest w niebie... O moje dzieci, cóż to za szczęście mieć Ojca w niebie!... Przyjdź Królestwo Twoje... Jeśli oddam Bogu królowanie w sercu mojem, i on mi pozwoli kiedyś w chwale wiekiustej królować. Bądź wola Twoja... Nic słodsze i nic doskonalsze, jak spełniać wolę Bożą... Aby dobrze rzecz jaką zrobić, trzeba ją robić z zupełnem poddaniem się woli bożej i ze zdaniem się

na wolę Bożą, na Jego święte wyroki. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... Mamy duszę i ciało. Prosimy Boga o chleb dla naszego trupa: i oto Bóg każe rodzić ziemi tyle, ile potrzeba na nasze utrzymanie... Ale prosimy Go też o pokarm dla duszy naszej, która jest najpiękniejszą częścią nas samych: ziemia za mała, aby duszy naszej dostarczyć pokarmu; dusza łaknie samego Boga i Bóg sam może ją jedynie nasycić. I oto Bogu nie wydawało się to za wielką łaską dla nas, że zstąpił na ziemię i przyjął na Siebie ciało ludzkie, aby to Ciało oddać na pokarm dla duszy... Ciało moje prawdziwy jest pokarm... powiedział Chrystus Pan. „Chleb który Ja wam dam jest Ciało moje za żywot świata.“ Chleb dusz jest w cyboryum; cyboryum jest spiżarnią chrześcian. Uważcież dzieci drogie, jak to rzecz cudowna! Gdy wam kapłan podaje Najśw. Hostyą, dusza wasza może sobie powiedzieć: Bóg sam moim pokarmem!... Ach! to zbyt wielkie szczęście dla nas!... Nie pojmujemy go i pojmiemy dokładnie dopiero w niebie: jaka to szkoda!..“

Te ostatnie wyrazy domawiał wśród łez.

O Kapłanie.

„Doszliśmy moje dzieci do Sakramentu Kapłaństwa. Jest to Sakrament, który na pozór nikogo z was z osobna nie obchodzi, a przecież obchodzi wszystkich. Ten Sakrament wynosi człowieka tak, że go czyni prawie Bogiem na ziemi. Czem bowiem jest kapłan? Człowiekiem, który tu zajmuje miejsce Boga, który przyobleczonej wszystką władzą Boga. Chrystus Pan powiada do kapłanów: Jako mnie Ojciec mój posłał, tak i Ja was posyłam... Dana mi jest wszelka władza na niebie i na ziemi. Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody.

„Gdy kapłan rozgrzesza, nie mówi: „Bóg ci przebacza; mówi: Ja cię rozgrzeszam.“ — Przy konsekracyi nie mówi: To jest Ciało Chrystusa Pana; lecz mówi: „To jest Ciało moje“ bo i we mszy św. wyraża i przedstawia osobę samegoż Chrystusa Pana.

„Sw. Bernard powiedział, że wszystko mamy przez Maryą, ale można również powiedzieć, że wszystko mamy przez kapłana. Całe szczęście, wszystkie łaski, wszystkie dary.

„Bez Sakramentu kapłaństwa nie mielibyśmy N. Sakramentu

Ołtarza. Któż bowiem składa na Ołtarzu Ciało Pana Jezusa? Kapłan. Któż przyjął duszę waszą po przyjściu na świat i przeniósł ją na łono Boże? Kapłan. Któż ją karmi i wzmacnia na ziemską pielgrzymkę? Kapłan. Któż ją przysposobi na sąd Boży, oczyszczając ją po raz ostatni z grzechów Krwią Chrystusa Pana i zasilając na drogę wieczności? Kapłan i zawsze kapłan. — A któż przywróci duszy życie i pokój? Znowu kapłan. Ani jednego dobrodziejstwa Bożego nie wspomnicie, żeby wam zaraz obok niego nie stanął obraz kapłana w pamięci.

„Idźcież się spowiadać Matce Najświętszej lub Aniołowi! Czy was rozgrzeszą? nie. Czy dadzą wam Ciało i Krew' Pańską? nie. Najświętsza Panna nie ma władzy przemieniać chleba i wina w Ciało i Krew' Pana Jezusa. Ani też cały hufiec Aniołów rozgrzeszyłby was nie mógł. A choćby ostatni z kapłanów może wam powiedzieć: „Idź w pokoju, grzechy twoje są ci odpuszczone.

„Jakaż więc wielkość kapłana!

„Dopiero w niebie zrozumiemy wielkość kapłaństwa. Gdybyśmy ją zrozumieli na ziemi, umarlibyśmy nie z przerażenia, lecz z miłości...

„Bez kapłana na nic by nam się dobrodziejstwa Boże nie przydały. Na cóżby się przydał dom pełen złota, gdyby nam nikt drzwi jego otworzyć nie mógł? Kapłan ma klucz do wszystkich skarbów niebieskich; on do nich drzwi otwiera, on jest szafarzem Boga, on rządzi Jego dobrami.

„Bez kapłana na nicby nam się męka i śmierć Zbawiciela nie przydały. Weźmy pogan. Cóż im z tego przyszło że Chrystus Pan umarł? Nieszczęśliwi nie będą mogli mieć udziału w dobrodziejstwie odkupienia tak długo, aż im kapłan nie otworzy skarbów Krwi Pańskiej.

„Kapłan nie został kapłanem dla siebie; bo ani sam siebie rozgrzeszać ani sobie innych Sakramentów udzielać nie może. On jest kapłanem dla was.

„Po Bogu kapłan jest wszystkim!... Zostaw przez lat dwadzieścia parafią bez pasterza, a chyba zwierzętom oddawać tam będą cześć Boską.

„Gdybym wraz z Misyjonarzami opuścił ten kościół, powiedzielibyście: Niema tu co robić, bo ani tu Mszyśw. niema, ani Pana Jezusa w N. Sakramencie; lepiej pomodlić się w domu. Gdy wróg chce podkopać religią, najprzód w kapłanów uderza,

bo gdzie księdza niema, niema i ofiary; a gdzie niema ofiary, także i religii niema.

„Gdy śpieszycie na odgłos dzwonów do kościoła, a spytałby was kto: gdzie idziesz? moglibyście odpowiedzieć: Idę zasilić mą duszę. Gdyby was kto zapytał o cyboryum co to jest? moglibyście odpowiedzieć: To spiżarnia mojej duszy. — Któż ma klucz od niej, kto do niej zasobów dostarcza, kto ucztę przyrządza, kto stół zastawia? — Kapłan. — A cóż to za pokarm? Najdroższe Ciało i Krew Pana Jezusa... O mój Boże! mój Boże! jakżeś Ty nas bardzo ukochał!..

Tu łyż tak dławily świętego Proboszcza, że mówić nie mógł. Po chwili prawił dalej:

„Zmierzmy potęgę kapłana! Jedno jego słowo przemienia chleb w Boga! Większa to moc, niż światy tworzyć... Ktoś tu powiedział, że św. Filomena jest powolną Proboszczowi z Ars. Zaprawdę, nie w tém dziwnego, skoro sam Bóg jest mu powolny.

„Gdybym spotkał księdza i anioła, pokłoniłbym się najpierw księdzu, a potem aniołowi. Anioł jest przyjacielem Boga, ale kapłan jest Jego zastępcą.. Św. Teresa całowała ziemię, gdzie ksiądz przeszedł. — Gdy wy widzicie księdza, powiedzcie sobie: Oto ten, który mnie uczynił dzieckiem Boga i przez chrzest św. otworzył mi niebo; ten który mnie oczyścił z grzechów, który karmi duszę moją..

„Z jakąż radością patrzeli Apostołowie na Pana Jezusa po Zmartwychwstaniu Jego; z podobną radością ksiądz patrzy na Pana, którego Ciało Przenajdroższe piastuje w rękach swoich. — Ludzie bardzo sobie cenią przedmioty na chwilę złożone w kubek Najświętszej Panny i Dzieciątka Jezus w Loretto. — A czyż nie cenniejsze są ręce, któremi kapłan dotyka się Przenajświętszego Ciała Chrystusa Pana, które kładzie w kielich gdzie była Krew Jego Najświętsza?

Kapłaństwo to miłość Serca Jezusowego. Gdy widzicie księdza, pomyślcie zawsze o Jezusie Chrystusie.“

Ks. Vianney kończył swe nauki zwykle jaką silną a praktyczną myślą, która się wpajała w duszę słuchacza.

Nauka o Duchu Świętym.

Ulubiony Jego przedmiot nauki był o Duchu św., który zapewne Sam poddawał mu najwznioślejsze myśli.

„Moje dziecię, jakże to rzecz cudowna: Ojciec jest naszym Stworzycielem, Syn Odkupicielem, Duch św. naszym Przewodnikiem.

„Człowiek sam przez się jest niczem, przez Ducha św. wielkie ma znaczenie. Człowiek jest istotą ziemską, zwierzęcą; Duch św. jedynie zdolen duszę jego podnieść wysoko ku niebu. Czemuż to święci byli tak oderwani od ziemi? Bo pozwalali się prowadzić Duchowi św. Ci, których Duch św. prowadzi, mają pojęcie jasne. Ztąd widzimy tyle prostaczków, którzy więcej posiadają prawdziwej mądrości od uczonych. Nie może się omylić ten, którego prowadzi Bóg światła i wiary.

„Duch św. jest światłem i siłą. Przez Niego rozróżniamy prawdę od fałszu, dobre od złego. — Jak przez szkła powiększające widzimy najdrobniejsze sprężynki zegarka; tak przez światło Ducha św. rozróżniamy najdrobniejsze szczegóły nędznego życia naszego. Wtedy najmniejsze niedoskonałości zdają się nam ciężkimi upadkami, najmniejsze grzechy zgrozą nas przejmują. Dla tego to N. Panna nigdy nie zgrzeszyła, że Duch św. dał Jęj poznać całą szkaradę grzechu: drżała na widok najmniejszego złego.

Ci, co posiadają Ducha św., widzą tak głęboką swą nędzę, że nie dobrego sobie przypisać nie mogą. Pyszni nie mają Ducha św.

„Światowi ludzie też Go nie mają; chyba w przelocie, na chwilę. Duch św. nie zatrzymuje się w nich: przed gwarem świata się usuwa. Nie trudno chrześcianinowi, którego Duch św. prowadzi, porzucić dobra ziemskie, by gonić za niebiańskimi. Umié on rozróżniać. Oko światowe nie widzi dalej, jak do kresu życia doczesnego; tak jak moje oko widzi tylko do tych murów, gdy kościół jest zamknięty. Oko chrześcianina przenika aż na dno wieczności. Dla człowieka, którym Duch św. rządzi, jakby wcale nie było tego świata; zaś światu zdaje się, jakoby Boga nie było... Przekonajmy się zatem, kto nami rządzi. Jeśli nie Duch św., tedy cokolwiek byśmy robili, w niczem nie znajdziemy treści ani słodyczy. Jeśli z Ducha świętego będziemy czynili, ogarnie nas słodycz taka przedziwna, że umierać z rozkoszy!...

„Ci, co się dadzą Duchowi świętemu prowadzić, czują się

szczęśliwi, podczas gdy zli chrześcianie po skalistej i ciernistej drodze stąpają.

„Dusza pełna Ducha św. nigdy się w obecności Bożej nie nudzi. Z jej serca wychodzi technienie miłości.

„Bez Ducha św. jesteśmy jak ten kamień nade drogą.. Weź gąbkę umaczaną w wodzie w jedną rękę, w drugą kamyczek i ściśnij je mocno. Z kamienia nie wyciśniesz nic, z gąbki dużo wody. Gąbką jest dusza pełna Ducha św., kamykiem serce twarde i zimne, od którego Duch św. daleki.

„Dusza posiadająca Ducha św. czuje taką słodycz w modlitwie, że jej czas na nią poświęcony zawsze za krótki się wydaje. Ona zawsze w obecności Bożej żyje. Jej serce przed N. Sakramentem u stóp najmilszego Zbawiciela rozplýwa się jak winne grono pod prasą.

„Gdzie nie ma Ducha św., tam wszystko zimne; to też gdy czujemy, że tracim gorącość i gorliwość, prędko odprawmy nowennę do Ducha św. na uproszenie sobie wiary i miłości.. Uważcie, po odprawionych rekolekcyach, lub po jubileuszu mamy pełno dobrych postanowień: te postanowienia są natchnieniem Ducha św., który owionął naszą duszę i odnowił ją, jak ten ciepły wietrzyk, pod którym stopniały śniegi i zajaśniała wiosna.. Wy, którzyście przecież nie wielkimi świętymi, macie też chwile słodyczy w modlitwie i w obecności Bożej; wtedy to was Duch św. nawiedza. Gdy Duch św. w sercu: tedy serce się rozplýwa, zanurza w miłości Bożej. Rybie nigdy za wiele wody; tak i dobremu chrześcianowi nigdy za długo być z Bogiem. Są tacy, którym się pobożność przykrzy; nie mają oni Ducha św.

„Gdyby się zapytać potępionych, za co są w piekle, odpowiedzieliby: Za opór Duchowi św.; a gdyby świętych zapytać, za co dostali się do nieba, odpowiedzieliby: Za posłuszeństwo Duchowi św. Gdy nam dobra myśl przychodzi, Sam Duch św. do nas przychodzi.

„Duch św. jest siłą. On to trzymał św. Szymona słupnika na owym słupie. On dodawał siły męczennikom. Bez Ducha św. męczennicy byliby padali jak liście z drzewa. Gdy rozpalano stosy aby ich spalić, Duch św. gasił dla nich żar płomieni ognia gorącością miłości Bożej.

„Bóg, dając nam Ducha św., uczynił dla nas to samo co król jakiś wielki, któryby poddanego swego poleciał swemu mi-

nistrowi, mówiąc: „Chodź za nim wszędzie, a przyprowadź mi go napowrót zdrowo.“ — O moje dzieci! jakże cudowna rzecz być prowadzonym przez Ducha świętego! Jakże to doskonały przewodnik... A podobno są tacy na świecie, którzy niechęć iść za nim... (Na te słowa Proboszcz z Ars łzami się zalewał.)

„Duch święty jest jako człowiek, któryby miał powóz i konia dobrego, i chciałby nas zawieść do Paryża. Nic więcej nie byłoby potrzeba, jak żebyśmy zechcieli z nim pojechać i wsiąść do jego powozu.... Wielka mi rzecz przystać na to... No! i Duch święty chce nas zawieść do nieba, byleśmy tylko przystali na to i dali się prowadzić.

„Duch święty jest jakoby ogrodnikiem, który uprawia zagon duszy naszej.... Duch święty jest tedy jakoby sługą naszym.

„Otóż strzelba! nabijasz ją... ale ktoś musi wystrzelić... Tak w nas jest materyał do czegoś dobrego... Przychodzi Duch święty, zapala, i strzały dobrych uczynków padają.

„Duch święty spoczywa w duszach sprawiedliwych, jak gołębica w swem gniazdku. W czystej duszy pielęgnuje pobożne uczucia, jak gołębica swe pisklęta....

„Duch święty prowadzi nas, jak matka dwuletnie swe dziecię za rękę, jak osoba, która widzi, wie dzie niewidomego.

„Bez Ducha świętego Sakramenta, ustanowione przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, nie byłyby nam środkiem do zbawienia. Nawet sama śmierć Jego nie przyniosłaby nam żadnego pożytku. Dla tego Pan Jezus rzekł do Apostołów: »Pożytecznie wam, abym ja odszedł; bo jeżeli nie odejdę, Poczieszyciel nie przyjdzie do was.« Duch święty musiał zstąpić, aby ten zasiew łask wydał plon. To tak, jak z tym ziarnem, które wrzucasz w ziemię: aby zakiełkowało i w bujny kłos wyrosło, potrzeba ci i słońca i deszczu.

Pożytecznieby nam mówić co rano: O mój Boże! ześlij mi Ducha Twojego, któryby mi dał poznać czem Ty jesteś, a czem ja.“

Nauka o cierpieniu.

Najulubieńszy przedmiot nauk Proboszcza z Ars, o którym mówił z pełni serca i wśród łez obfitych, był o Męce Pańskiej. Przedstawiał wszystkie szczegóły krwa-

wój drogi na Kalwaryą; wnikął w nie z przedziwną bystrością. Wpatrywał się z miłością w ukrzyżowanego Mistrza swego; liczył okrutne Jego rany, jako i niemal krople Krwi spływającej po Jego Ciele najświętszem, i mieszał z nimi łzy swoje. Wielu innych świętych już przed nim napawało się tą błogosławioną gorzkością. Dla Boga niema przeszłości: męka Syna Jego zawsze mu obecna; a gdy raczy uchylić zasłony czasu, która nam ją zakrywa, ukazuje się nam natychmiast tak, jak się spełniła w Jerozolimie.

Ksiądz Vianney rad też mówił o zamiłowaniu krzyża i o szczęściu cierpienia. W prześlicznym związku wyprowadzał jedną myśl z drugiej. I tak opowiadanie o Męce Pańskiej kończył wspaniałym obrazem cierpień świętych pańskich: zdawało się, że to te same dzieje.

Często wspominał różne pokuty, jakeimi dawny mistrz jego ks. Balley trapił swe ciało. Lubił mówić o św. Róży, która nosiła na sobie wieniec o dziewięćdziesięciu kolcach, której Pan Jezus dał do wyboru wieniec z cierni, i drugi uwity z róż; która sypiała na ostrych kamieniach i na potłuczonych skorupach. Często przypominał historię św. Reginy, która wzywała lud do poprawy podczas gdy ją katowie męczyli, to paląc pochodniami, to znów zanurzając w zimnej wodzie; albo o św. Wawrzyńcu, który, gdy go upieczono żywcem z jednej strony na rozpalonej kracie, wzywał sędziego, aby go na drugi bok kazał przewrócić; o św. Tyburcym, który chodził po żarzewiu, a zdawało mu się, że po różach stąpa; o św. Klemensie, który po długich męczarniach w więzieniu i na rusztowaniu cieszył się na śmierć, mówiąc: „Żegnam was więzienne lochy, żegnam was szubienice i ciebie ziemio! Idę do Boga mego, od którego nic mnie już nie rozłączy.“

„Patrzcie na św. Katarzynę; ma ona dwie korony: koronę dziewictwa i koronę męczeństwa. Jakżeż szczęśliwa ta droga święta, że wolała cierpieć aniżeli na grzech zezwolić! Był zakonnik, co tak się rozmiłował w cierpieniu, że przepasał się powrozem, który mu się tak głęboko werznał w ciało, iż robactwo się w ranach zaległo. Zakonni bracia zażądali, aby go wydalić z klasztoru. Poszedł, radując się, aby ukryć się w pieczarze skalistej. Tymczasem tej samej nocy Pan przemówił

do przełożonego: »Straciłeś skarb twojego domu.« Posłano tedy niezwłocznie po świętego. Chciano się przekonać, z kąd robactwo u niego się brało. Przełożony kazał mu zdjąć powróż, za którym rwały się sztuki ciała. — Święty wyzdrowiał.

„W sąsiedniej parafii odwiedziłem raz małego chłopczyka, który był okryty ranami i ciężko chory. Cierpisz bardzo, mój biedaku? pytałem go. — A on mi na to: »O nie Księżu Proboszczu, dzisiaj nie czuję tego, co mnie wczoraj bolało; a jutro nie będę czuł tego, co mnie dzisiaj boli.« — Ale radbyś wyzdrowiał? — »Nie: przed chorobą byłem bardzo nie dobry; mógłbym znów do złego wrócić. Dobrze mi tak.«

„My tego nie rozumiemy, bośmy nazbyt ziemią zajęci. Dzieci, w których Duch święty mieszka, zawstydzają nas.

„Gdy nam Bóg zsyła krzyże, przykrzemy je sobie, skarzemy się, szemrzemy. Tak, nienawidzimy wszystko to, co nam się sprzeciwia; chcielibyśmy zawsze być, jakoby w wywatowanym pudełku; a tymczasem nam w ciernistym pudełku być przystoi. Tylko krzyż prowadzi do nieba. Wszystkie choroby pokusy, przykrości nas do niego wiodą. A wszystko to tak prędko przemija.... Patrzcie na świętych, którzy nas już tam wyprzedzili.... Pan Bóg nie żąda od nas męczeństwa ciała, żąda tylko męczeństwa serca i woli.... Chrystus Pan jest naszym wzorem: weźmy krzyż nasz i idźmy za Nim. Czyńmy tak, jak Napoleonscy żołnierze gdy trzeba było przejść przez most, z którego strzelano; nikt nie śmiał przejść przezeń. Napoleon pochwylił chorągiew, przeszedł pierwszy i wszyscy przeszli za nim. Czyńmy podobnie: idźmy za Chrystusem, który nam pierwszy utorował drogę.

„Żołnierz jeden opowiadał mi, że w straszliwej bitwie całe pół godziny chodził po trupach tak gęsto zasłanych, że nie było gdzie nogą stąpnąć; ziemia cała była krwią zafarbowana. Tak i drogę życia przejść trzeba po krzyżach i znojach, aby dojść do Ojczyzny niebieskiej.

„Krzyż jest drabiną do nieba.... Jakże błogo cierpieć pod okiem Boga; a przy wieczornym rachunku sumienia powiedzieć sobie: O moja duszo, dzisiaj przez dwie, trzy godziny byłaś podobną Panu Jezusowi! Z Nim byłaś bicowana, cierniem ukoronowana, ukrzyżowana!.... Cóż to za skarb w godzinę śmierci!.... Jak dobrze umierać temu, co żył na krzyżu!

„Czy kto chce, czy nie chce, cierpieć musi. Jedni cierpią tak jak dobry łotr, inni jak zły. Obydwaj cierpieli jedno. Ale jeden z nich umiał z cierpień swoich uskarbić sobie zasługę; zniósł je na zadosyćuczynienie nieprawości, a zwracając się do Jezusa ukrzyżowanego, usłyszał z ust Jego te piękne słowa: »Dziś jeszcze będziesz ze mną w raj.« Drugi przeciwnie, krzyczał, przeklinał i bluźnił i skonał w najokropniejszej rozpacz.

„Jest dwojaki sposób znoszenia cierpień: z miłością i bez miłości. Święci wszystko znosili cierpliwie, wesoło i stale dla tego, że miłowali. My zaś cierpimy z uprzykrzeniem, z niecierpliwością i złością, bo nie kochamy. Gdybyśmy kochali Boga, miłowalibyśmy i krzyże, pragnęlibyśmy ich, byłyby nam drogie... Mielibyśmy się za szczęśliwych, że możemy cierpieć z miłości ku Temu, który raczył za nas cierpieć. I czegoż narzekamy? Wszakże niewierni, którzy nie znają Boga, ani nieskończonego miłosierdzia Jego, także cierpią, jako i my, a nie mają tych pociech, jakie my mamy.

„Mówicie, że to ciężko jest cierpieć! Ależ przeciwnie, to rzecz słodka i rozkoszna; szczęśliwy kto cierpi! Ale trzeba, cierpiąc miłować, miłując potrzeba cierpieć.

„Moje dzieci, uznajcie to same: na drodze krzyża pierwszy krok najtrudniejszy. Sama obawa przed krzyżem jest nam krzyżem najcięższym... Nie mamy odwagi podźwignąć naszego krzyża: w tem wielki błąd. Bo, żebyśmy niewiem co zrobili, krzyż nas nie ominie. Cóż przezeń stracimy? Czemuż raczej nie ukochamy krzyża naszego i po nim nie wspinamy się do nieba? Większa część ludzi odwraca się od niego i ucieka przed nim. Im zaś więcej kto przed krzyżem ucieka, tem więcej na niego spada i tem więcej go przygniata... Kto ma rozum niechaj owszem obejmuje krzyż, tak jak ś. Andrzej, który, widząc krzyż swój na obłokach, zawołał: »Witaj mi drogi krzyżu! cudowny! upragniony krzyżu!... Weź mnie w objęcia swoje, weź mnie z pośród ludzi i oddaj mnie Zbawicielowi i Panu mojemu, który mnie przez ciebie odkupił.«

„Uważcie to dobrze, dzieci moje: kto z dobrą wolą przyjmuje krzyże, pokocha je i mężnie je zniesie. Krzyże łączą go z Panem Jezusem, oczyszczają go, odrywają od świata; z serca jego usuwają się wszystkie przeszkody do zbawienia. Jak most służy ludziom do przejścia przez wodę; tak krzyże służą im

do przejścia przez życie.... Patrzcie na świętych: gdy ich ludzie nie prześladowali, oni się sami prześladowali. Gdy Bóg nie zsyłał na nich cierpienia, oni je sami sobie nakładali.... Zakonnik jeden tak się raz skarżył na swoich prześladowców: »Panie, mozem zawinił, że tak się ze mną ludzie obchodzą?« — A Pan mu odpowiedział: »A cóżem ja zawinił, że mnie aż na Kalwaryą zawiedli?« — Wtedy zakonnik zrozumiał wartość cierpienia; ze łzami przeprosił Boga, i już więcej nie narzekał.

„Ludzie światowi smucą się, gdy mają krzyż jaki; dobrzy chrześciance płaczą, gdy go nie mają. Chrześciance tak swobodny wśród krzyżów, jak ryba w wodzie.

„Powinniśmy tak się ubiegać za krzyżem, jak chciwcy za pieniędzmi.... Sam tylko krzyż będzie nas bronił w dzień sądu ostatecznego. Bóg chce, abyśmy nigdy krzyża nie tracili z oczu, dla tego stawiamy krzyże po wszystkich drogach, placach i po wszystkich wzgórzach, abyśmy tym widokiem pobudzeni, mogli sobie przypominać, jak nas Bóg umiłował.

„Krzyż ogarnia świat cały; zatknięty jest na czterech krańcach świata; każdemu odłamek z niego się dostaje.

„Gdyby cię kto zapytał: Co mam robić, aby się wzbogacić? odpowiedziałbyś mu: Pracuj. — A więc kto chce iść do nieba niechaj cierpi. Chrystus Pan wskazuje nam drogę zbawienia na osobie Szymona Cyrenejczyka, który krzyż Chrystusów niósł na Kalwaryą; wszystkich swych przyjaciół wzywa, aby krzyż swój nieśli za nim.

„Krzyż jest tem na drodze do nieba, czem piękny most kamienny na rzece. Chrześciance, którzy nie cierpią, przechodzą przez tę rzekę po kruchym moście drucianym, który lada chwilę zarwać się może.

„Ten, co niechętnie znosi krzyż swój, może się wprawdzie zbawić, ale z biedą wielką: będzie chyba bladą gwiazdką na niebie. Ten zaś, który tu na ziemi cierpi i walczy dla Bożej chwały, świecić tam będzie jako słońce cudne.

„Krzyż przemieniony w ogniu miłości, jest jak ten snop ciernia rzuconego w ogień i spalonego na popiół. Ciernie jest przykre, kolące, lecz popiół zeń miękki.

„Ach! jak słodko na duszy tym, którzy w cierpieniu oddają się Bogu! To tak, jak ta woda, do której się doleje

trochę octu a dużo oliwy. Ocet pozostaje zawsze octem, ale oliwa łagodzi jego ostry smak, tak że go prawie nie czuć.“

„Jak z winnego grona pod prasą wychodzi sok doskonały: tak dusza nasza pod ciężarem krzyża wydaje sok, który ją żywi i wzmacnia. Serce nasze, gdy nie cierpi, jest oschłe; gdy cierpi z poddaniem się, przejęte jest jakąś błogością, szczęściem i rozkoszą; kosztuje niejako przedsmak nieba. Bóg, Najświętsza Panna, aniołowie i święci otaczają je, patrzą na nie. Gdy dobry chrześcjanin doświadczony cierpieniem przechodzi na tamten świat, to tak mu błogo, jakoby go przenoszono na posłanie z róż.

„Z cierni wychodzi balsamiczna woń, z krzyża płynie niewymowna słodycz. Ale trzeba dobrze do serca przycisnąć i ciernie i ten krzyż, aby wydały sok żywota, który w sobie zawierają.“



ROZDZIAŁ XV.

Niedzielne homilie Proboszcza z Ars.

„Pan da słowo przepowiadającym Ewangelią, moc wielką.“
(Ps. LXVII, 12).

„Powstał jako ogień, a słowo jego jako pochodnia gorzała.“
(Ekkles. XLVIII. 1),

„Gdy kazał, z gorącego jego serca padały słowa ogniste, które nawracały dusze.“
(Ribadaneira Żywot św. Edmunda Kantorb.)

Co niedzielę, gdy dzwoniło na Anioł Pański, parafianie i pielgrzymi zapełniali kościółek w Ars. Jeszcze trudniej niż w powszedni dzień było znaleźć sobie miejsce w tych ściśniętych, nieprzebranych tłumach, z ludzi wszystkich stanów społeczeństwa. Sędziwy Proboszcz wychodził z konfesyonału wprost na ambonę.

Ci, co go słyszeli podczas katechizacyi, poznali go przez pół tylko. Wynosili wyobrażenie o wielkości światła Ducha świętego i nadprzyrodzonej łaski w nim, o głębokiej nieraz wzniosłej myśli jego, pełnej rozblasków genialnych; ale nie poznali jeszcze, co było w słowie jego życia, ruchu, gorącości i namaszczenia. Dopiero w niedzielnych kazaniach występował w całej pełni uroku i siły misyonarz, apostoł natchniony, prorok, święty trawiony pragnieniem zbawienia dusz.

W kazaniach swych łączył uczucie głębokie z wzniosłością, wiarą żywą i gorącą, oraz zapał ognisty: z czego u kaznodziei tyle było namaszczenia, a u słuchacza tyle przejścia i wzruszenia. Ztąd też ona cudowna a tak częsta w Ars nagła odmiana usposobień, myśli i serca, nagłe

ły i rozrzewnienie, któremi się poczynaly nawrócenia w czasie kazania, a dokonywały się w tajemnych rozmowach przy konfesyonale.

Znaczące, szlachetne ruchy ciała dopełniały niejako słowa.

Widzieliśmy nieraz, jak pyszne rozумы i ludzie wcale bez wiary ulegali potężnemu, nadprzyrodzonemu urokowi tak spojzeniu księdza Vianney jako i wyrazu jego twarzy, z której bił promień świętości błogosławionych.

Nauki jego zajmowały i pouczały wszystkich bez wyjątku słuchaczy, choć najrozmaitszego stopnia wykształcenia. A przecież nieznaną była Proboszczowi z Ars owa kwiecistość, którą wielu kaznodziejów krasi swe mowy. Nowy w tem dowód siły słów Ewangelii: choć w najprostszy sposób wypowiedziane, podbijają serca słuchaczy, niekiedy i bardzo wybrednych.

Jeden z sławnych chrześcijańskich mówców nowoczesnych skarży się, że kapłani zaniedbali ten prosty sposób nauczania ludzi. „Od czasów Bossuet'a, — mówi on, — którego kazania są dalszym ciągiem nauk, jakie Ojcowie Kościoła ludowym wypowiadali językiem, z rzadkim wyjątkiem kaznodzieje albo źle wykładają Ewangelię, albo jej nie wykładają wcale. Niektórzy z przypadającej Ewangelii co prędkiej przechodzą do nauki o przepisach oderwanej jakiejś moralności; inni trzymając się jej litery, omawiają ją sucho, zimno, w czem ani jednej iskierki ożywczej, nie coby oświecić, wzruszyć lub zbudować mogło. Tym sposobem wielka część chrześcian niezna zgoła Ewangelii... A przecież nauka moralności nie straci nic na zestawieniu z tajemnicami życia Chrystusa Pana, przeciwnie w nich zaczerpnie istotnego życia i wpływu zbawienego. Prorok powiedział: „Musí człowiek wysoko wznieść się sercem, aby Bóg był w nim uwielbiony.“ To znaczy, że trzeba człowieka oderwać od zmysłowego poziomu do wyżyn ducha; oderwać od ziemi, a podnieść do nieba, i wprowadzić go w głębokości Boże. Chcąc w człowieku wzbudzić pogardę świata, nienawiść złego i zaparcie się samego siebie, trzeba mu mówić o Chrystusie Panu, o tej najwyższej Mądrości o Bogu mocnym, w którym się mieszczą wszystkie skarby niewyczerpanej nauki; trzeba opowiadać

mu Ewangelią najprostszym językiem na modłę św. Pawła i Ojców Kościoła.*)

Proboszcz z Ars zaczynał swe nauki od Jezusa Chrystusa i na Nim je kończył. Miał Go zawsze przed oczyma, i Jego zawsze na ustach; bo go miał nieustannie w sercu.

Jednego roku w dzień Ofiarowania mówił:

„Myśleliścież też o miłości, jaką płonął starzec Symeon w chwili swego zachwyty? — Boć niezawodnie był w zachwyceniu, gdy na rękę trzymał Boskie Dzieciątko. Prosił był Boga, aby mu pozwolił oglądać Zbawiciela świata; Bóg mu to obiecał. Pięćdziesiąt lat oczekiwał, trawiąc się najgorętszem tem pragnieniem. Nareszcie gdy Marya i Józef weszli do świątyni, Bóg mu powiedział: »Otóż On!«. Sędziwy starzec biorąc na ręce i przyciskając do serca gorejącego miłością to Dziecię, które to serce zapalało, zawołał: »Teraz Panie, weźmij sługę swego!« I oddał Dziecię Matce; nie mógł go dłużej zatrzymać, jak chwilę. Ale my, bracia moi, nie jesteśmyż szczęśliwsi od Symeona? Wszakżeż jeśli chcemy, możemy Go na zawsze zatrzymać; On nietylko w nasze objęcia, lecz do serc naszych przychodzi.

„O człowieku, jakżeś ty szczęśliwy, a jak mało pojmujesz twe szczęście! Gdybyś je zrozumiał dostatecznie, żyć prawie byś nie mógł!... O z pewnością nie! nie przeżyłbyś tego!... (tu dla łez dalej mówić nie mógł). Ach umarłbyś z miłości.. Ten Bóg oddaje się tobie; gdy zechcesz, możesz Go z sobą zabrać gdzie tylko chcesz... On z tobą jedno stanowi!

Ciągnął dalej swe kazanie w samych wykrzyknicach, wśród łez i łkania. Często zbyt nie rozrzucając mowa mu wcale nie dała. Czasami mowa jego była prostym wykrzykiem; wykrzykiem miłości, szczęścia lub boleści. Gdy wykladał Ewangelią na drugą niedzielę postu o zachwyceniu Apostołów na górze Tabor, pod silnem wrażeniem szczęścia duszy zapatrzonej w jasnym widzeniu oblicza Boga-człowieka, zawołał z uniesieniem: „Ujrzymy Go! ujrzymy Go!... O moi bracia pomyśleliścież wy kiedy nad tem? I my Boga widzieć będziemy! będziemy

*) O. Ventura „Niewiasty ewangeliczne“ — Wstęp.

Go oglądać na prawdę! będziemy Go widzieli takim, jakim jest.... Twarzą w twarz!“ Przez cały kwadrans nie ustawał płakać, powtarzając: „Będziemy Go widzieli! będziemy Go widzieli!!“

Inną razą, gdy mówił o sądzie ostatecznym, zatrzymał się nagle nad straszliwym wyrokiem: „Idźcie przeklećci!“ zapłakał jęcząc, i już nie innego powiedzieć nie mógł, tylko powtarzał: „Przeklętym być od Boga!.... co za straszne nieszczęście!...“ Wszyscy słuchacze truchleli.

W mowach swych ks. Vianney potraçał niekiedy o zdarzenia świeże, czem dodawał im uroku świeżości i dziwnój mocy.

W roku 1849 mówił:

„Chrystus Pan zdaje się sam przychodzić na ziemię pod nieobecność swego Namiestnika; jakoby się na nowo przyoblekał w człowieczeństwo, aby się ludziom pokazać. Zapewne wiecie o tym cudzie, jaki się świeżo zdarzył w Rzymie: wystawiono chustę, którą św. Weronika otarła twarz Pana Jezusa, ale na której wieki zatarły prawie rysy Pańskie. Podczas gdy Kardynałowie klęczeli przed tym cudownym obrazem, nagle spostrzeżono twarz Chrystusową coraz wyraźniejszą, bardzo smutną i niebawem łzy po niej spłynęły. Wielu jest takich, co temu cudowi nie dadzą wiary: każ niewidomemu rozróżnić kolory! Przez to objawienie i te łzy Pan Jezus pytał Kardynałów: »Gdzież jest syn mój a wasz ojciec? Wypędzili go! gdzież on jest? Tak jak Matka Najświętsza po śmierci Pana Jezusa pytała św. Piotra: »Gdzież jest wasz ojciec a syn mój. Już go nie widzę.« — Pan Jezus płakał nad swym Namiestnikiem, jak ojciec po stracie syna, jak oblubieniec po stracie oblubienicy: dla Ojca św. uczynił ten cud. Widać jaki on święty! jakżeż więc miła Bogu jałmużna, oddana dla papieża! Ubogich macie zawsze, a nie zawsze macie sposobność składać ofiarę dla Ojca św. Za to będziecie mieli udział w Jego modlitwach. Pan Jezus zawsze okazywał łaskawość swemu Namiestnikowi; On bowiem jest Jego skarbnikiem. Nie możemy tu nic miłszego Bogu uczynić, jak modłać się za niego tak długo, aż nie wróci do Rzymu. Pan Jezus temi łzami wzywa nas, abyśmy się także modlili.“

W roku 1850, gdy się dowiedział, że we Francyi w kilku miejscach zburzono krzyże, zawołał w czasie katechizacyi z oburzeniem, które do głębi obecnych poruszyło: „Żeby niewiém co robili, krzyż mocniejszy od nich, nie zawsze będą go mogli wywracać. Kiedy się Chrystus Pan ukáže na niebie, nie wyrwą mu go z ręki.“

W trzy lata potem kary Boże dotykały kraj: cholera pustoszyła Marsylią i Paryż, zagrażała Lyonowi. Wtedy święty Proboszcz zaczął swą naukę od tych słów: „Moi bracia, Bóg zabiera się wymieść świat...“ Powiadają, że te proste słowa, niezwykłym wypowiedziane tonem, takie wrażenie wywarły na młodego artystę, że się nawrócił.

Ale otóż jeszcze urywki niektórych homilii:

„Z dzisiejszj Ewangelii widzimy, bracia moi, że gospodarz zasiał dobre ziarno na dobrze uprawionj roli; a tymczasem gdy zasnął, przyszedł nieprzyjaciel i zasiał mu kłokół. Ta przypowieść oznacza, że Bóg stworzył człowieka doskonałym, a nieprzyjaciel przyszedł i zasiał grzech... I tak nastąpił upadek Adama, upadek straszny, bo dał wstęp grzechowi do serca człowieka... I otóż dobrzy pomieszani ze złymi: nawet obok cnoty tuż pojawia się grzech...“

„Powiadacie, że trzeba wyrwać kłokół. — Nie, — odpowiada Pan, — abyście wrywając kłokół, snać nie uszkodzili pszenicy. Czekajcie aż do żniwa. Aż do końca więc trzeba człowiekowi być mieszaniną dobrego i złego, wad i cnót, światła i ciemności, dobrego ziarna i kłokółu... Bóg nie chciał niszczyć tój mieszaniny i przerabiać naszj natury wyłącznie na dobre ziarno. Chce, abyśmy walczyli, abyśmy pracowali i bronili kłokółowi zadusić plon dobry.“

„Szatan oczywiście rzuca nam pokusy pod stopy, ale z łaską Bożą możemy je zwalczyć, możemy zdeptać kłokół... Kłokółem głównie są nieczystość i pycha. Święty Augustyn powiedział, że gdyby nie było nieczystości i pychy, nie byłoby zasługi w opieraniu się pokusie.“

„Trzy rzeczy koniecznie są potrzebne w pokusie: modlitwa dla naszego oświecenia, Sakramenta święte dla naszego wzmocnienia, i czuwanie dla naszj obrony... Szczęśliwe dusze, które doznają pokus! Szatan właśnie wtedy staje się wścieklejszy, gdy widzi, że dusza dąży do połączenia się z Bogiem. O! błogosławiona ta łączność!“

Tę homilią zakończył okrzykami uwielbienia nad rozkoszą życia wewnętrznego, złączonego z Bogiem.

„W dzisiejszej Ewangelii bracia moi, czytamy, że ojciec rodziny wyszedł bardzo rano najmować robotników do winnicy swojej... Czyż do tego czasu nie było nikogo w tej winnicy? I owszem, moi bracia, Najświętsza Panna Marya narodziła się w tej winnicy.... A cóż to za winnica? — To łaska. Najświętsza Marya Panna narodziła z niej, skoro poczęta bez zmazy.

„Co do nas, byliśmy do niej powołani. Ojciec rodziny wyszedł nas szukać. Najświętsza Panna zaś zawsze w niej była... Co za prześliczna z niej robotnica! Bóg mógł być piękniejszy świat stworzyć; ale nie mógł dać życia istocie doskonalszej, jak Marya Panna.... Ona jest wieżą zbudowaną w winnicy Pańskiej...

„Dam wam mały przykład, słabe porównanie, moje dzieci. Znacie te jajka w morzu, z których wychodzą te maleńkie rybki, które tak szybko prują wodę... Tak i Najświętsza Panna, zaledwie zrodzona, żyje w całej pełni łaski, zanurza się w oceanie łaski Bożej....

„Po Najśw. Pannie jest ktoś, co był przez chwil kilka po za winnicą, ale który zaraz do niej wrócił: to święty Jan Chrzciciel. Wszyscy inni przyszli dopiero po św. Janie i ojciec rodziny musiał wyjść ich szukać.

„Którzy to są robotnicy pierwszej godziny? To św. Alojzy Gonzaga, św. Stanisław Kostka, św. Koleta. Jednym słowem ci wszyscy, którzy wszedłszy do winnicy przez Chrztę świętą nigdy z niej nie wyszli; bo zachowali niewinność.... Szczęśliwe te dusze, które powiedzieć mogą: »Panie! jam zawsze była Twoją!«

„Jak to pięknie, co za wielkość oddać się Bogu od najmłodszych lat! jakież w tem oddaniu się szczęście i wesele!

„Za tymi idą ci, którzy się w męzkim wieku poświęcają Bogu. Mogą i oni szczerze się nawrócić i być dobrymi i wiernymi pracownikami w winnicy Pańskiej.... Ale jakże godni pożałowania są ci zatwardziali grzesznicy, którzy całe życie przeciw Bogu wojowali, i w późnym dopiero wieku, gdy już nie innego robić nie mogą, przychodzą do jego winnicy; którzy szukają, aż ich grzech opuści, żeby się z grzechem rozstać.... Biedni oni!... Chyba cudu potrzeba, aby się ten, co

przez długie lata walał się w grzechowej kałuży. Ach bracia! moi, prosimy o ten cud dla nich!”

Homilia z Ewangelii na pierwszą niedzielę postu.

„Pan Jezus chciał nam być przykładem we wszystkim, a więc i w tem jak się zachowywać w pokusach.

„Jak dobry żołnierz odważnie idzie do boju, tak dobry chrześcjanin nie powinien bać się pokus. Żołnierze na leżach zimowych wszyscy zdają się dobrzy; a gdy staną do boju, dopiero się okaże, który z nich waleczny, a który tchórz.

«Największą dla nas pokusą jest to, gdy wcale jej nie doznajemy. Rzecz można, że szczęśliwy ten, co doznaje pokus, bo to dla niego sposobność, iżby zebrał sobie plon duchowy dla nieba. W czasie pokus to tak, jak w czasie żniw; wstaje się wcześniej, pracuje się w pocie czoła, a nikt się nie skarży, bo wiele zbiera.

«Szatan kusi tylko te dusze, które chcą porzucić grzech i te, które są w stanie łaski. Inne już do niego należą, więc ich kusić nie potrzebuje.

«Pewien święty, przechodząc obok klasztoru, ujrzał wielką moc szatanów, dręczących zakonników, lecz bezskutecznie. Potem przechodził niedaleko miasta i zobaczył nad nim jednego tylko szatana, który siedząc sobie z założonemi rękoma, rządził wszystkimi mieszkańcami. Spytał go tedy zakonnik, jakim sposobem on sam jeden kieruje całym miastem, podczas, gdy cały zastęp szatanów dręczy małą garstkę zakonników. Szatan mu odpowiedział, że sam wystarcza na to miasto, bo nie trudno mu skusić ludzi skłonnych do nienawiści, nieczystości, pijaństwa; podczas gdy z zakonnikami nie tak łatwa sprawa. Wojsko piekielne kusząc ich, traci czas; daremne jego wysiłki wszystkie, gdyż nie może ich pokonać. Ale czeka ono na przybycie nowych, którzyby sobie uprzykrzyli surowość reguły.

«Gdzie indziej znów zakonnik jeden widział w czasie Mszy św. szatanów krążących dokoła braci zakonnych, mianowicie jednego z nich widział depcącego jednego z zakonników po głowie, innego zaś, który się zbliżał, to znów oddalał. Po Mszy św. zapytał zakonnik braci, co ich zajmowało w czasie nabożeństwa. Pierwszy z nich się przyznał, że myślał o powale, którą miał dawać w klasztorze; drugi zaś, że szatan nagaby-

wał go po kilka razy, ale że go zawsze odpędzał. Tak czynią dobrzy chrześcianie i dla tego pokusa jest dla nich źródłem zasług.

«Najczęściej kusi szatan do pychy i nieczystości. Jednym zaś z najdzielniejszych środków do odpędzenia ich, jest życie czynne na chwałę Bożą. Wielu ludzi oddaje się miękkiemu życiu i lenistwu — cóż więc dziwnego, że takim szatan po głowie chodzi?

«Jeden zakonnik skarżył się przełożonemu swemu, że okropne przechodzi pokusy. Przełożony nakazał ogrodnikowi i kucharzowi, aby mu ciągle dawali zajęcie; po jakimś czasie spytał zakonnika, jak mu jest. O mój Ojcze, odpowiedział tenże, już nie mam czasu myśleć o pokusach.

«Gdybyśmy byli przejęci myślą, że Bóg jest obecny, pokonalibyśmy nieprzyjaciela bardzo łatwo. Ciągła myśl: Bóg patrzy na ciebie! nie pozwoliłaby nam grzeszyć.

«Święta Katarzyna Seneńska, po silnej pokusie, tak się skarżyła Panu Jezusowi: O mój najmilszy Zbawicielu, gdzieżeś Ty był w czasie tej okropnej burzy? A Pan jej odpowiedział: Byłem w sercu twojem i z przyjemnością patrzałem, jak się broniła....

«W pokusie trzeba gorąco ponawiać przyrzeczenia uczynione przy Chrzcie św. Otóż tak będzie najlepiej, pamiętajcie: gdy pokusa przyjdzie, ofiarujcie Bogu zasługę z niej na otrzymanie przeciwnej cnoty. Masz pokusę do pychy? ofiaruj ją na otrzymanie pokory; masz nieskromne myśli? ofiaruj je na otrzymanie czystości; masz pokusy niechęci, nienawiści naprzeciw bliźniemu? ofiaruj je na otrzymanie miłości. Ofiarujcie też pokusy wasze za nawrócenie grzeszników: taka rzecz gniewa szatana i zmusza go do ucieczki, bo pokusa przeciwko niemu się obraca. A przytęm bądźcie zawsze spokojni.

«Chrześcianin powinien być zawsze gotowy do walki. Jak na wojnie rozstawione są czaty z wyteżonym okiem, czy z której strony nie nadchodzi nieprzyjaciel, tak i my czuwajmy nieustannie i baczmy, czyli nam wróg nie stawia zasadzek...

«Jesteśmy na tej ziemi, jak okręt na morzu. Cóż porusza bałwany? burza. W życiu naszym namiętności też podnoszą burzę: walka przeciwko nim wysługuje nam niebo.

«Nie sądźmy, abyśmy w jakimkolwiek zakątku tej ziemi mogli ujść tego boju. Wszędzie spotkamy się z szatanem, a on

wszędzie wysilać się będzie, aby nam niebo wydrzeć. A zawsze i wszędzie możemy zwyciężać. Tu walka nie równa innej walce. Z dwu stronnictw zawsze jedno zwyciężone; tu byleśmy zechcieli, wsparci łaską, której nam Bóg nigdy nie odmawia, zawsze możemy zwyciężać.

«Gdy nam się zdaje, że wszystko stracone, wystarczy, gdy zawołamy: Panie! ratuj, bo ginimy! Pan Jezus tuż przy nas, tuż bliźutko nas, odpowie nam z dobrocią: Naprawdę miłujesz mnie? — widzę, że mnie miłujesz. Tak to w walce przeciw piekłu, w walce z pokusami okazujemy Bogu miłość naszą.

«Wieleż to dusz cichych, nieznanych w świecie, ujrzymy kiedyś wzbogaconych wszystkimi temi zwycięztwami. Do tych dusz odezwie się Bóg: „Pójdźcie błogosławieni Ojca mego... wniǳcie do wesela Pana swego...”

«Nasz Anioł stróż niedłubnie stoi przy nas i pilnie zapisuje nasze zwycięstwa. Co rano powiedzmy sobie: Nuże, duszo moja, pracujmy na niebo. Do wieczora skończy się walka nasza. Na wieczór zaś mówmy sobie: Kto wie, może do jutra skończą się twoje trudy i znoje.

«Żaden z nas nie wycierpiał jeszcze tego, co wycierpieł męczennicy. A spytajcie ich się, czy oni dziś żałują tego...

«Przecież Bóg tak wiele od nas nie wymaga... A niektórych jedno słowo mięsza i zniechęca. Lada upokorzenie rozbija słabą ich łódź.... Odwagi, bracia moi! więcej odwagi! W ostatniej życia chwili błogosławić będziecie ten dzień, w którym zdobyliście niebo.

«Walczmy mężowie; gdy tylko szatan spostrzeże się, że nie może nam dać rady, zostawi nas. Zwykła jego taktyka z nawróconymi grzesznikami jest taka: z początku pozwala im kosztować słodyczy pierwszych chwil nawrócenia, bo wie dobrze, że napróżno by ich kusił w chwili takiej gorącości ducha. Czeką parę miesięcy, aż gorliwość ich ostygnie, potem zniechęca ich do modlitwy, do Sakramentów św., uderza na nich silnie i ot — budzi się w sercu walka; wtedy to czas prosić gorąco o siłę, aby się nie dać pokonać. Niektórzy są tak słabi, że zaledwo przyjdzie pokusa, ulegają jej bez oporu. Gdybyśmy szli naprzód z podniesioną głową, jak dobrzy żołnierze, w czasie pokusy czy walki, wznieslibyśmy serce do Boga, i nie dalibyśmy się niczem ustraszyc. Ale się wielu cofa, mówiąc: Bylem był zbawiony, mniejsza o resztę; do świę-

tości nie roszczę prawa. Ależ, bracie, jeśli nie zostaniesz świętym, będziesz potępionym; pośredniego stanu pomiędzy świętością a potępieniem nie ma; trzeba wybrać, albo jedno, albo drugie — nie ma innej rady. Wszyscy ci, co kiedyś wnijdą do nieba, będą świętymi. I dusze czyścowe będą święte, gdyż nie ciąży na nich grzech śmiertelny i są w zgodzie z Panem Bogiem, a tylko się oczyszczają z mniejszych przewinień. Pracujmy, dzieci moje, a przyjdzie dzień, gdzie się przekonamy, żeśmy wcale nie nadto pracowali dla nieba.»

Homilia podług Ewangelii na dwudziestą pierwszą niedzielę po Zielonych Świątkach.

A odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy.
«Pan Bóg przebaczy tym tylko, co bliźnim przebaczali; takie jest prawo. Są ludzie, którzy tak dalece posuwają nierozum, że opuszczają tę część Modlitwy Pańskiej, jak gdyby Bóg nie widział skrytości serc, i jakoby potrzeba Mu było porużeń języka!

«Święci nie znają nienawiści, nie mają żółci; wszystko przebaczą, wyznając, że na gorsze zasłużyli grzechami swoimi. Lecz źli chrześcianie są mściwi.

«Bóg nienawiścią płaci nienawiść do brata swego; naszym pociskiem w nas samych godzi. Mówiłem raz do kogoś: Więc nie chcesz się dostać do nieba, nie chcesz kiedyś widzieć się z tym człowiekiem? O! i owszem, ale w niebie będę go unikał, aby go nie widzieć... No, bracie, nie spotkasz się z nim w niebie, bo niebo zamknięte dla nienawistnego. W niebie niechęci, nienawiści nieznane. To też dobre i pokorne serce, które obojętnie lub z weselem przyjmuje obelgi i oszczerstwa, już tu na ziemi ma raj; a nieszczęśliwi są ci, co w sercu żal przechowują; zasepione mają czoła, oczy pałające żądzą pomsty.

«Są osoby na pozór pobożne, które się obrażają o lada obelgę, o lada oszczerstwo... Choćby kto cuda czynił, a nie znał miłości, nie wnijdzie do nieba. Zakonnik jeden, który wiódł życie nie nazbyt umartwione, nie oddane wielkim pokutom, w godzinę śmierci był spokojny. Przełożony wyraził mu swe zadziwienie, na co on mu odpowiedział: Przebaczałem zawsze wszelkie urazy i przebaczałem całym sercem — ufam więc, że i Bóg mnie przebaczy.

«Najlepszy sposób na szatana, gdy nam podsuwa uczucie zemsty i nienawiści dla naszych nieprzyjaciół, jest modlić się zaraz o ich nawrócenie.

«Złych chrześcian szatan nie zaczepia wcale; nikogo przeciw nim nie burzy. Za to przeciwko dobrym podsuwa różne obelgi i różne oszczerstwa. Mogą z nich wiele zasług sobie uskarbić.

«Tak to dobrem zwycięża się złe, i tak postępują święci, ale ci malowani chrześcianie nie chcą znieść, wszystko ich obraża, na ostre słowo ostrzejszemu odpowiadają. A raz tylko puść wodze namiętności, to nienawiść srodze wybuchnie. Serce nasze, to ściekowisko pełne żółci, którąśmy zawsze gotowi wylać na innych.

«Skutkiem miłości własnej zdaje nam się zawsze, że na same zasługujemy pochwały, a myśmy raczej powinni wyczekiwać zniewag, na jakie zasłużyliśmy. — Jam przecież niewinny, mówisz, nie uczyniłem nic takiego, aby się w ten sposób ze mną obchodzono. Być może, żeś sobie nie zasłużył na to dzisiaj, aleś zasłużył dawniej, dawniejszemi grzechami na to, co cię dziś spotyka i powinienesz dziękować Bogu za to, że ci pozwala w ten sposób odpokutować.

«W okolicy, gdzie był wikarym, była jedna osoba, która umieszczala dziewczęta ubogie. Często z tego powodu spotykały ją zarzuty. Ona, nie broniąc się, z pokorą, wszystko dobrotliwie przyjmowała i przepraszała. Wszyscy też o niej mówili, że święta! W rzeczy samej, takimi są święci. To znak prawdziwej pobożności... Św. Jan Boży pozwolił się mieć za szalonego. A gdy ktoś napisał do dyrektora szpitala, zwracając mu uwagę, że to święty, który dobrowolnie chce uchodzić za obłąkanego, dyrektor przepraszał go; święty zaś żałował tego tylko, że go tak wczesnie poznano, i że już nie mógł znosić upokorzeń, bicia i zażywać przykrego lekarstwa, które z największym posłuszeństwem przyjmował.

«Biedna matka, której pohaniec zabrał w niewolę jedyne go syna, przyszła z ciężkim swem utrapieniem do ś. Wincentego à Paulo. Ten, nie mając pieniędzy na wykup niewolnika, bardzo był zakłopotany. Ale po chwili namysłu, rzekł do biednej kobiety: Pójdę i zajmę miejsce twojego dziecka, sprzedaj mię na jego okup. Kobieta ofiary takiej przyjąć nie chciała, lecz uległa naleganiom. Syn wrócił do matki, a misyonarz został nie-

wolnikiem Turków, którzy bardzo źle się z nim obchodzili. Otóż wzór doskonałej miłości — człowiek ten więcej kocha bliźniego, niż siebie samego. My przeciwnie, zawiścimy powołania drugim.

«Smutno wam na sercu, gdy chwałę waszych przyjaciół, a was nie. Jeśli widzicie osobę nawróconą, która szybko postępuje na drodze doskonałości, markotno wam, żeście sami nie zaszli tak daleko. Korci was, gdy słyszycie, że ją chwałą i mówicie: Tak, ale ona zawsze taką nie była. Ona to, a to złego zrobiła. Te wszystkie uczucia pochodzą z pychy. A nie się tak nie sprzeciwia miłości, jak pycha — to jakby ogień i woda.

«Nie takim jest dobry chrześcjanin, porównują go do gołębic, bo żółci nie ma; kocha wszystkich dobrych dla tego, że dobrzy; złych przez miłosierdzie dla tego, że się spodziewa, iż kochając, naprawi ich, i dla tego też, że widzi w nich dusze odkupione Krwią Zbawiciela. Modli się za nimi: Boże! nie daj, aby te biedne dusze zginęły.... Taką to drogą zachodzi się do nieba. Przeciwnie ci, którzy się mają za coś, dla tego, że używają niektórych praktyk pobożnych, a przytém są zazdrośni, nienawistni, ci bez zasług i bez cnoty staną przed Odwiecznym Sędzią.

«Nienawidzić mamy tylko szatana, grzech i siebie samych.

«Powinniśmy się starać o miłość św. Augustyna, który się cieszył na widok człowieka cnotliwego. Przynajmniej ten, mawiał on, wynagrodzi Panu Bogu za oziębłość moją.

«Zacny jeden człowiek spotkał w lesie zabójcę, jednego ze swych krewnych. Kilka razy postanawiał sobie zemścić się na nim; spostrzegłszy go, dobywa pałasza, ale zabójca pada mu do nóg i woła: Na miłość Boską, przebaż mi! Na wspomnienie Boga, szlachetny człowiek mięknie, składa pałasz do pochwy i przebacza nieprzyjacielowi. Nazajutrz, gdy się modlił przed Ukrzyżowanym Jezusem: Panie! wszakże mi odpuszczysz, skorom ja odpuścił? Zbawiciel pochylił głowę na znak zatwierdzenia.

«Człowiek inny, oskarżony niesłusznie o kradzież i więziony za to, był w rozpacz. Wtém ukazał mu się anioł i rzekł: Prawda, nie jesteś winien występku, jaki ci zarzucają, ale pamiętasz, nie wyratowałeś tonącego, chociaż mógłś — za to teraz cierpisz.

Nauka na ostatnią niedzielę roku.

«Świat przemija i my z nim. Cesarze, królowie, wszystko przemija. Wszystko tonie w przepaści tej wieczności, z której się już więcej nie wraca. O jedno tylko chodzi: o zbawienie.

«Patrzcie na świętych. Oni nie kochali się w dobrach ziemskich, myśleli tylko o niebieskich. Tymczasem ludzie światowi myślą tylko o doczesności.

«Dobry chrześcjanin urządza się tak, jak owi, co idą do dalekich krajów po złoto; ani im się śni zostać tam na zawsze; tęsknią za ojczystą ziemią i spieszą do niej z powrotem, gdy tylko jaki taki mająteczek sobie uskładają. Albo też tak jak król, który się lęka, że wnet ma być zrzucony z tronu; wyseła on już naprzód skarby swoje. Dobry chrześcjanin wyseła wszystkie swe dobre uczynki do bram niebieskich.

«Pan Bóg kazał nam żyć tu na ziemi, żeby się mógł przekonać, jak będziemy postępować, czy Go kochać będziemy, ależ nikt na zawsze tu nie zostanie. Jeden człowiek podobno został skazany na sto lat do ciężkich robót i po stu latach wrócił do swego miasta. Oczywiście — już wszyscy znajomi jego pomarli i tylko domy rozpoznawał.

«Gdybyśmy się zastanawiali nad sobą, nieustannie wznosilibyśmy myśli ku niebu, ku tej prawdziwej ojczyźnie naszej. Ale myśli nasze zajęte są bogactwami, próżnościami, rozkoszami, wszystkim, tylko nie tą rzeczą jedynie ważną, która je sama jedna zajmować powinna, zbawieniem duszy.

«Patrzcie na świętych, jak oni byli oderwani od rzeczy ziemskich! jak oni niemi pogardzali. Jeden zakonnik przez śmierć rodziców stał się panem wielkiego majątku. Gdy mu doniesiono o tém, zapytał: Jak dawno temu, jak rodzice moi pomarli? Odpowiedziano mu, że przed trzema tygodniami. A powiedzcie mi, czy umarły może dziedziczyć? Zapewneć nie. A zatem i ja dziedzictwa tego przyjąć nie mogę po tych co zesli z tego świata przed trzema tygodniami, bom ja umarł już przed dwudziestu laty. — Och! święci rozumieli dobrze całą nicność i próżność tego świata, i znali, jakie to szczęście wszystko opuścić dla nadziei nieba.

«Są dwa rodzaje skąpców. Jest skąpiec niebieski i skąpiec ziemski. Skąpiec ziemski nie sięga myślą po za doczesność; nigdy mu nie dosyć bogactw, gromadzi i gromadzi... A w go-

dzinę śmierci będzie zeń nędzarz. Nieraz wam o tём mówiłem — to tak jest jak z onymi, co za wielkie zapasy czynią na zimę; gdy przychodzi czas nowego żniwa, nie wiedzą co z zapasami zrobić, zawadzają im. Toż samo, gdy śmierć przychodzi, bogactwa zawadzają tylko. Nie z nich zabrać nie możemy, wszystko zostawić trzeba. Cobyście powiedzieli o człowieku, któryby napchał cały dom zasobami żywności, którą ostatecznie musiałby wyrzucić, dla tego, żeby mu się popsuła? a któryby nie dbał o złoto i drogie kamienie, któreby przecież mógł przechować łącno, i wszędzie ze sobą zebrać, a któreby stanowiły majątek istotny? My zaś, moje dzieci, nie inaczej robimy. Przywiązując się do dóbr doczesnych, do rzeczy przemijających, nie troszczymy się o niebo, ten jedyny, prawdziwy skarb nasz.

«Dobry chrześcjanin, ten skąpiec niebieski, mało sobie ceni dobra tój ziemi; myśli tylko, jakby przyozdobić duszę swoją, jakby nagromadzić rzeczy nieprzemijających, które mają go uszczęśliwić po wszystkie wieki. Patrzenie na tych królów i cesarzów, opływających w dostatki, czyż przez to już są szczęśliwi? Są, jeśli Boga miłują, ale też tylko wtedy. Nikogo mi tyle nie żal, ile tych, co nienawidzą Boga.

«Święci nie byli tak przywiązani do dóbr ziemskich, jak my. Byli przywiązani tylko do tego, co miało być ich szczęściem na zawsze.

«Szukaj szczęścia we wszystkich częściach świata, we wszystkich królestwach, we wszystkich majątnościach, nie znajdziesz go. Cała ziemia nie wystarczy, by nasycić duszę nieśmiertelną, jak szczypta mąki nie nasyci zgłodniałego.

«Apostołowie od czasu, gdy widzieli Wniebowstąpienie Pańskie, czuli taki smutek tój ziemi, taką jej nędzę, niedostatek, że ubiegali się za męczarniami, po którychby mogli połączyć się wreszcie z Mistrzem i Panem swoim. Matka Machabejska, która patrząc na śmierć siedmiu synów, siedemkroć na duszy umierała, zagrzewała ich do odwagi, wołając: Patrzenie w niebo!

«Pan Jezus wynagradzał wiarę świętych, dając im widzenie nieba. Niektórym z nich pozwolił przechadzać się po raju. Św. Szczepan widział niebo nad sobą otwarte w chwili, gdy go kamienowali. Św. Paweł w zachwyceniu widział rzeczy niebieskie, jakich żadnem słowem opisać nie podobna. Św. Teresa

widziała niebo i mówiła, że po tém widzeniu wszystko na ziemi jój się błotem wydaje.

«My niestety! tak jesteśmy zagrzęźli w ziemi, że już nam tylko czołgać się po ziemi, ale nie wzbijać się ku niebu. Jesteśmy zanadto ociężali do tego.

«Ziemia dla nas powinna być tylko jakoby pomostem po nad wodą.

«Zły chrześcianin zgoła nie pojmuje pięknej nadziei nieba, która pociesza i ożywia dobrego chrześcianina. Wszystko to, co uszczęśliwia świętych, złemu wydaje się ciężkie i przykre.

«A rozważcie, dzieci moje, z kimże to będziemy społecznie w niebie! Z Bogiem, Ojcem naszym, z Chrystusem, Bratem naszym. z Najświętszą Panią, Matką naszą, z aniołami i świętymi, przyjaciółmi naszymi.

«Król jakiś umierając, mówił z boleścią: Więc mam opuszczać królestwo i iść do krainy, gdzie nikogo nie znam. — Biedny on, nigdy nie pomyślał o szczęściu w niebie. Już za życia musimy tam sobie zjednać przyjaciół, abyśmy już ich tam zastali, a nie będziemy się lękali, jak ów król, że wszyscy nam tam obcy będą.

Otóż streszczenie niedokładne nauk Proboszcza z Ars. Są z nich zaledwie urywki, ale wiernie powtórzone; żyje w nich jego myśl, wyrażenia i obraz, dają one nam choć niejaki wyobrażenie, w jaki sposób nauczał. Nie dziw, że pomiędzy duszami, zasilanemi tak jędrnym pokarmem, są niektóre silne wiarą, oświecone boską nauką religii, gorliwe i dzielne w jój praktykach.

Wszakżeż miłość Chrystusowa jest podstawą wszystkich cnót. Jój ogień zapala duszę, oczyszcza ją i przemienia. Najpewniejszym zaś sposobem, by rozpalić ten ogień w duszach wiernych, to wyklądać im ewangelią, tę księgę miłości, której każdy wiersz przedstawia słodycz i dobroć, cierpliwość i pokorę Zbawiciela naszego, Pocieszyciela i Przyjaciela człowieka, co jedynie słowem miłości przemawia do nas, pociągając go ku sobie i miłością swą darząc



KSIEGA PIĄTA.

Życie wewnętrzne księdza Vianney

Jego wizerunek. — Jego przyrodzone przymioty, cnoty
i dary Boże.

ROZDZIAŁ I.

Wizerunek księdza Vianney.

„Albowiem Bóg który rzekł, aby z ciemności światłość zaświeciła, ten zaświecił w sercach naszych ku oświecenienu uznania chwały Bożej, w obliczu Jezusa Chrystusa. Lecz mamy ten skarb w naczyniu skorupianem: aby wywyższenie było mocy Bożej, a nie z nas.

(*Do Korynt. II, IV, 6—7.*)

W osobie Proboszcza z Ars łączyły się wszystkie znamiona świętości. Świętość objawia się najczęściej w pewnych znakach zewnętrznych, które mniej docieczy rozumowanie, aniżeli jasnowidzeniem serce odczuje. Przyczyną tych objawów świętości jest rzeczywista obecność Boga w człowieku: jestto życie Boże w nim. Mieć życie w sobie, to znaczy w myśl chrześcijańską, mieć w sobie Jezusa Chrystusa, dawcę żywota wiecznego. Z Boga się urodzić i być dzieckiem światłości, nosić w sobie Ducha świętego, być w stanie łaski: to wszystko różne wyrazy na jedno i to samo pojęcie świętości. Świętość zatem niczem innym nie jest, jak życiem Jezusa Chrystusa w człowieku, która go przemienia i niejako Bogu podobnym czyni, już

tu na ziemi objawiając go takim, jakim będzie w on dzień gdy przyjdzie Zbawiciel w majestacie swój chwały, gdy go będziem oglądać już bez zasłony, i jakimi będziemy, przemienieni na Jego podobieństwo.

Takie przeistoczenie zaczyna się już w chrześcianinie, który, mając na sobie wyrażony obraz Syna Bożego, może o sobie powiedzieć: „Już nie ja żyję, ale żyje we mnie Chrystus.“ Święty nosi Jezusa Chrystusa nietylko w duszy, lecz nawet i na ciele swoim. Jezus żyje w jego myśli, w jego sercu, w jego sprawach, nawet w każdym drgnięciu ciała i w rysach jego twarzy, na którą o ile tego zdolne oblicze ludzkie, odzwierciedla się godność, wdzięk i słodycz Zbawiciela. Cała osoba Świętego staje się jakoby przezroczystym kryształem, przez który przegląda wielka i Boska postać Chrystusa Pana wedle onych słów Apostoła: „aby i żywot Jezusów był okazem w śmiertelnem ciele naszym.“

Tym sposobem działanie Boże w człowieku staje się niejako widzialne i namacalne. W świętości łaska bije żywymi promieniami, porządek rzeczy nadprzyrodzony z przyrodzonym zlewa się ściśle, Bóstwo przejawia się przez zasłonę ciała. Objaw ten, jest tak potężny, że ludzie, których serce obce pobożnym uczuciom, oprzeć się nie mogą wpływowi świętych. Ludzie z gminu przeczuwają wyższe te istoty, nie wiedzieć po jakich znakach; podziwiają je, choć ich nie rozumieją; tak jak ślepi z urodzenia czują promienie słońca, nie widząc ich zgoła.

Proboszcz z Ars posiadał ten wielki dar, że wyrażał na sobie obraz Jezusa Chrystusa, że był niejako drugim Chrystusem, nosił życie Jezusa Chrystusa w sobie. Ztąd ta niepojęta jego władza nad sercami. Bezwiednie, on, tak lichój i nędznej postaci człowiek, przedziwną siłą pociągał wszystko do siebie. Kto się spotkał z jego wzrokiem, lub słowo jego usłyszał, tego ten wzrok i to słowo czarem owładało; tego oko już było olśnione, i słuch zamykał się na wszelki głos inny. — Ludzie światowi nawykli ulegać wcale innym czarom, wyznawali nieraz, że od czasu, jak widzieli Proboszcza z Ars, już go zapomnieć nie mogli, obraz jego ścigał ich wszędzie, o niczem innym

myśleć nie mogli. Trudno bo sobie wystawić postać, doskonalszą uosabiającą świętość.

Bezbożny pisarz nowoczesny, Renan, głosił niegdyś w piśmie *Journal des Débats*, dziwaczne spostrzeżenia swoje, wedle których dzisiejsi święci nie posiadają, jak dawniejsi godności, wspaniałości, i z pewnością o nich poezya nie potworzy legend.... To niedorzeczne twierdzenie przyszło na myśl p. L. Lacroix, gdy patrzył na Proboszcza w czasie katechizacji. I oto jak odpowiada na nie: „Kościół ma zaprawdę wyższe posłannictwo, nie żeby się ubiegać o zadawalnianie artystycznych dziwactw tych, którym się chce bawić w estetykę nawet w obliczu świętości; lecz nawet i pod tym zupełnie podrzędnym względem, świętość po dziś dzień odpowiada najwygórowańszym wymaganiom. Gdyby on krytyk zechciał być potrudzić się do Ars i był studyował Proboszcza, jestem pewien, że byłby sam uznał, iż Kościół zdolny rodzić wciąż jeszcze idealne piękno, jak nie przestaje głosić prawdy i czynić dobrze.“

Nazwano piękno, że jest odblaskiem prawdy; a my dodajmy, że jest także odbiciem dobra. Dobro zaś jest niewątpliwie i przede wszystkim święte. Ztąd jasno, jakim sposobem twarz o rysach pospolitych, ale opromieniona boską poświatą świętości, wywierała na wszystkich takie wrażenie, że im się wydawała nadludzko piękna.

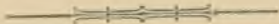
Śmiemy twierdzić, że sama Opatrzność ma w tem swe zamiary, aby święty nosił na sobie zamię odróżniające go od ludzi pospolitych. Dusza uświęcona i przemieniona ubłogosławia i ciało, które ją odziewa, i przemienia je. I jakżeż mogłoby być inaczej! Nie miałaby ten pokój duszy, jój ściśle z Bogiem zjednoczenie i to zapamięwanie nad sobą, nie miałyby to wszystko wycisnąć na osobie człowieka jakiegoś odrębnego, istotnego znamienia? Nie miałaby Bóg wycisnąć chwalebego piętna w nagrodę za tyle bohaterskich wysiłen, podjętych na to, by wiernie obowiązki spełnić. Kto w życiu spotkał świętego nie będzie wątpliwy co do jego świętości; a kto widział księdza Vianney, ten w nim znalazł pierwowzór wszystkich znamion świętości.

Książd Vianney był niskiego wzrostu, szczupły; tem-

perament jego, nie wyłączając pewnej dzielności w nim, oznaczał naturę bardzo nerwową. Ani wiek, ani ciężka praca nie zmniejszyły jego żywości, stanowczości i jakiejś dzielności w poruszeniach. Znać było po nim, że od młodu ciało jego rozwinęło się i zahartowało w twardem życiu rólników. To też do ostatniej chwili zachował czerstwość ciała i dzielność władz umysłowych, czego do spełnienia swego zadania tak bardzo też potrzebował. Słuch miał doskonały, wzrok przenikliwy i daleko sięgający, myśl zawsze swobodną, pamięć i przytomność znakomitą. Usprawiedliwiał to, co ktoś powiedział, że: dusza odrodzona ma jakieś nieznanne zasoby i właściwą sobie moc, któremi i ciało swe odradza.« A przecież doszło do takiego wyniszczenia tego ciała u Proboszcza z Ars, że robiło wrażenie, jakby już całkiem było uduchowione. Rewerenda jego jakiś nędzny pokrywała szkielecik. Chód jego, jakkolwiek ciężki, przecież zawsze pospieszny, jako u człowieka, któremu pilno każdą chwilkę zużyć. Długa, koścista a blada twarz jego, na której się wyrzyło długoletnie ostre umartwienie, lekko spadała na piersi, skutkiem nawyknienia, przejętego w długich modlitwach i kontemplacyi. Bujny włos do końca zdobił jakoby wieńcem, spokojne, pełne wyrazu i promieniejące jego oblicze, na którym pieczęć łaski tak silnie się wyrzyła, że już nie w nim ziemskiego nie pozostawało. Była to przejrzysta powłoka duszy, całkiem od ziemi oderwaną. Same tylko oczy tryskały życiem i nie zrównanem świeciły blaskiem. Z oczu, które są wyrazem duszy, trudno opisać, jakie nadprzyrodzone iskry ognia dziwnej potęgi padały. Gdy ks. Vianney mówił o miłości Boga, wzrok jego rozplomieniał się; gdy mówił o grzechu, to się łzami zalewał; raz był przenikliwy a łagodny, to znów groźny lub pieszczotliwy. Było to istne ognisko czułości i miłosierdzia, gdy się w kogo zapatrzył. Wtedy to wywierał tę tajemną a potężną władzę pociągania ku sobie, jakiej nieraz Bóg udziela tym, którzy się często w Niego wpatrują. Rzecz dziwna, że choć czoło się chyliło pod tym wzrokiem, co przenikał do dna duszy, nigdy nikogo nie przeraził.

Po oczach świętego Proboszcza najwięcej zwracał uwagi jego wdzięcznie a silnie zarysowany skład twarzy.

Jakkolwiek na obliczu jego rozlana była słodycz niewymowna, świadcząca o jego pokoju wewnętrznym, głównym i najczęstszym jego wyrazem była nieziemski smętność, znana tym, co zakosztowali wyższych w Bogu rozkoszy. Smętność ta wzmagala się w nim w obec nieustannego widoku nędzy duszy i ciała tych nieszczęśliwych, co się do niego cisnęli; często widok ten gorzkością go zalewał, wywołując na twarz całą grę uczuć miotających jego tkliwą duszą. — Ale gdy rozmawiał z ludźmi, odziewał się wdzięcznie Duchem świętym, według wyrażenia jednego ze starych Ojców Kościoła. Promieniejący wdzięcznym uśmiechem odpowiadał na wszystkie strony.



ROZDZIAŁ II.

Wrodzone przymioty ks. Vianney. — Żywość jego umysłu i wdzięk rozmowy. — Jego odpowiedzi. — Prostota. — Dobroć.

„Rozlała się wdzięczność po wargach twoich.“
(Ps. XLIII, 3).

„Mowa wasza niech zawsze będzie przyjemna. solą okraszona; abyście wiedzieli jako macie każdemu z osobna odpowiadać.“
(Do Kolos. IV, 6).

Dziwnie sobie świat wystawia pobożność, jakoby tłumiała dary przyrodzone, krępowała polot myśli, a nie godziła się z podniosłością umysłu i gorącością uczuć. Nic nad to błędniejszego, a przecież to zdanie bardzo upowszechnione zachwiało już niejednego chrześcianina słabiej wiary, a zasnucało prawdziwych chrześcian. — Pobożność, pobożny! to słowo drażni ucho wielu ludzi światowych, jakoby najszlachetniejsze i najwznioślejsze władze człowieka traciły na tem, gdy poddają się prawu bożemu; a zyskiwały, gdy wylamują się z pod niego. A rzecz się ma wcale przeciwnie. Nieustające zjednoczenie duszy z Bogiem przez miłość i modlitwę, to nieustanne zwyciężanie niższej części natury człowieka przez wyższą, ten nieustanny tryumf dobrego nad złem, czyli jednym słowem stan łaski dziwnie rozjaśnia nasz umysł, tudzież wywiera wpływ dobry na niższą część istoty naszej. Leczy duszę naszą, dając jej Boga nieskończonego; przywraca jej właściwą piękność, wielkość, siłę i godność.

Ale powie ktoś, wszakże podstawą moralności chrześciańskiej, jakoteż ostatnim wyrazem Ewangelii jest poświęcenie się i ofiara. Oczywiście: bo ofiara jest właściwym warunkiem duchownego i moralnego postępu, prawem, za-

konem świętości. Do ofiary dąży każda dusza, która rozwija, co w sobie ma najszlachetniejszego, pragnie się wzniesić coraz wyżej, oderwać od ziemi i zażywać chwalebnej wolności dzieci Bożych. By dojść do niej, idzie śmiało naprzeciw wszystkiemu co w poprzek jej drogi stawia; zwycięża wszystkie przeszkody; wszystko, co ją wstrzymuje i krępuje. Jest to przejście z śmierci do życia, z ciemności do światła, z niewoli do wolności. Póki szczerze nie zastósujemy do siebie nauki o poświęceniu, wyrzekając się wszelkiej stworzonej rzeczy, dopóty wolność duszy będzie w nas czczem brzmieniem. Dopóty jesteśmy wolni, ale tak jak ptak na nitce, który, póki nie próbuje wzlecieć, może myśleć, że wolny; ale niechno zapragnie przekroczyć zakłętę koło, które mu obca a silniejsza nadeń zakreśliła wola, dopiero spotrzeza, że jest jencem. Taką jest wolność, jaką nas obdarzają stworzenia i przywiązanie do nich. Miłość ku Chrystusowi sama jedna jest zdolna nas wyswobodzić.

„A przeto, jeśli was Syn wyswobodzi, prawdziwie wolni będziecie“ (św. Jan VIII, 36). Miłość ta nie wyniszcza serce, jak namiętność; nie tłumii niczego, co ma prawo do życia. Patrz na ten promień słońca, co przechodząc przez różnokolorowe wspaniałe szyby kościoła, rozlewa się po całym gmachu, oświeca, barwi, piękniejszy wszystko; niczego nie niszczy, nie z miejsca nie rusza. Miłość Chrystusowa w sercu człowieka jest tym promieniem słońca w przybytku świętym.... Jest w tem coś uroczego, widzieć w duszy uciszonej i uszczęśliwionej miłością Bożą, najspokojniejszy, a najsilniejszy, jaki sobie wyobrazić można, ogień, co w pierw ukryty pod popiołem, przez poświęcenie stał się płomienistym i czystszy.

Mniemają, jakoby osoba poświęcona Bogu, nie mogła mieć wyższego umysłu, szlachetnego i wspaniałego serca. Co za osobliwe pojęcie! Jak gdyby ideał piękności ludzkich uczuć nie wyrastał z walki z samym sobą, w obec obowiązku, który je podnosi i uzacnia. Jak gdyby świętość, co obala te zapory, które ścieśniają widnokrąg duszy i wiążą ją w pomrokach doczesnych, owszem nie wyswabzała jej, by się złączyć mogła z odwiecznym przedmiotem swęj miłości, a tak nie gotowała jej lepszego losu!...

Zerwać wszelkie ziemskie węzły i usunąć wszelkie przeszkody, nie znaczy wyrzec się wszelkiej miłości i zniweczyć wolność wszystką. Nie wysusza się źródeł przez to, że się je poświęca. Świętość nie tylko nie strząsa kwieciami z tego, czego się dotyka, ale podnosi wszystko i oczyszcza; do zdolności, które z przyrodzenia nam dane, przydaje siłę i mądrość, które są dziełem Ducha św.

Bijące w oczy było u ks. Vianney to udoskonalenie umysłowe i moralne, ten rozrost władz ludzkich uświęconych przez łaskę. Prawda, jego nauka w ludzkim rozumieniu nie była rozległa; zresztą gdzieżby jęj był nabył? Lecz miał to, co zastępuje i naukę i doświadczenie: miał wiarę, która przewiduje wszystko i wie wszystko. Miał tę mądrość Ducha świętego, głęboką znajomość dróg Bożych i ludzkiej nędzy, przedziwną przenikliwość, pogląd trafny, pojęcie jasne i doraźne. Nadto obdarzon był nadzwyczajną pamięcią, wielkim taktem i taką bystrością, że byłaby straszliwa osobom, co doń się zbliżały, gdyby miłość chrześcijańska nie podawała mu tej wielkiej pobłażliwości w sądzie o ludziach.

— Proboszcz z Ars jest niezaprzeczenie święty, mówił ktoś do jednego z profesorów filozofii; ale na tem też koniec.

— Przepraszam, odparł tenże, jest nietylko święty, ale i bardzo świątły. Jego mądrość tryska w każdej rozmowie o jakim bądź przedmiocie, o Bogu, czy o świecie, o ludziach, czy o rzeczach, o przeszłości, czy o przyszłości. Ach! jak tu widoczna, że dobrze widzi, kto przez Ducha świętego patrzy! Do jakichże wyżyn pojęcia i rozumienia podnosi nas wiara!

Inny człowiek znakomity pisał po rozmowie z księdzem Vianney: „Podziwiałem potęgujący się rozum naszego Świętego. Cóż może wyżej podnieść myśl i najpokorniejszego człowieka, jak świętość!

Lubo Proboszcz z Ars był tak bardzo zajęty swą pracą, żadna sprawa, co żywo obchodziła bądź religią, bądź porządek społeczny, nie była mu obojętna. Często rzeczy dla najbieglejszych zawikłane on rozsądzał od razu jasno i trafnie; orzekał o ich wartości wedle tego, czy mogły się przyczynić do chwały Bożej i do pożytku dusz.

Świat powie: Ależ ten człowiek, który się wyrzekł wszelkich uciech ludzkich, który nigdy nie zaznał przyjemności towarzyskiego pożycia, który nie kosztował wcale wygody i łatwości, jakie nam daje cywilizacya; który od najmłodszych lat żyje w najostrzejszym umartwieniu; ten, którego życie ubiegło w ciasnym obrębie konfesyonału, czyż może sądzić rzecz każdą inaczej, jak ciasnym i surowym poglądem? Surowość względem siebie samego nie pozwoli mu być pobłażliwym i wyrozumiałym dla drugich. — Omyłka i w tem. Ten człowiek tak surowy dla siebie, wyniszczony najstraszliwszą pokutą, dla drugich był miły, uśmiechnięty, serdeczny, dowcipny, wesoły. Z nieopisanym urokiem wypowiadał równocześnie słowa prawdy i pociechy. W obec duchownych i osób, które znał i miłował, był wylany; a wtedy jego swobodna wesołość, przeplatana to rzewnością, to dowcipnemi zwrotami, porywała wszystkich, i choć rozmowa jego wolną była od złośliwości i szyderstwa światowców, niemniej od ich rozmowy była miłą.

Jakże słodkimi dla nas zadaniem byłoby pospisywać te prześliczne jego rozmowy! Zbierać te złote ziarnka, jakie z ust jego padały! Ależ niestety! pominąwszy to, że niepodobnaby nam zebrać wiele drogocennych szczegółów, coby nam w najdrobniejszych odcieniach malowały tę świętą duszę, trudniej jeszcze byłoby oddać jego uśmiech, a rozmowa Proboszcza z Ars była jako uśmiech jego duszy. Nigdy się inaczej nie śmiał, tylko tym uśmiechem, który rzecz można, nie schodził z jego ust, pobudzając to do wesołości, to znów do ufności i zaufania. Duch Boży mieszkający w nim, nadawał słowom jego niezrównaną trafność i prostotę.

Otóż słabe próbki:

Pocziwy Proboszcz długo oplakiwał zgon panny d'Ars. Gdy nowym dziedzicom zamku oddawał pierwszą wizytę, z żalem przed nimi powtarzał: „Biedna ona! jakże mi smutno nie widzieć jej w ławce kościelnej!“ W tem lękając się urazić spadkobierców swęj dobrodziejki, dodał: „A przecież... nie powinniśmy się skarżyć. Pan Bóg obchodzi się z nami, jak z wybranym ludem. Gdy mu zabrał Mojżesza, zostawił mu Kaleba i Jozuego.

Na prośbę Biskupa Langalerie, czy mu pozwoli w swym kościółku odprawić Mszę św., Proboszcz odpowiedział serdecznie: „Załużę, że to nie Boże Narodzenie, aby Wasza Przewielebna Mość mogła trzy Msze odprawić.“

Gdy O. Herman przybył do Ars i z wielkiej pokory zaledwo dał się uprosić na wypowiedzenie kilku słów po katechizacyi ks. Vianney, tenże tak naukę swą zakończył: „Pewien święty gorąco raz zapragnął słyszeć Matkę Boską śpiewającą. A że Pan Jezus chętnie przychyła się do życzeń tych, co Go kochają, udzielił mu tej łaski. Święty ujrzał tedy piękną panią, która tak pięknie zaczęła śpiewać, że aż w zachwyceniu wołał: „Dość tego, dość tego; bo umrę, jeśli to dłużej potrwa!“ Owa piękna pani rzekła mu zaś: „Nie kwap się podziwiać mój śpiew, bo niczem nie jest. Jam jest Katarzyna Panna; a teraz usłyszysz Matkę Bożą.“ — Gdy Najświętsza Panna zaśpiewała, święty omdlał i skonał z rozkoszy! I wy moje dzieci użyjcie czegoś podobnego. Słyszeliście Katarzynę, a teraz usłyszycie Najświętszą Pannę.“

Gdy Biskup Chalandon odwiedził po raz pierwszy parafią Arsańską, Proboszcz powitał go taką przemową:

„Przewielebna Mości! Dni, w których święty Wasz poprzednik odwiedzał naszą parafią, były dniami błogosławieństwa! I nie dziw! Bo gdzie Święci przechodzą, Bóg przechodzi z nimi... Aleśmy nic nie stracili, przeciwnie zyskaliśmy: gdyż Biskup Devie błogosławi nam z nieba, a Wasza Przewielebna Mość, którą on sam wybrał do dalszego prowadzenia jego dzieła, błogosławi nam na ziemi. — Błogosław nam dostojny Biskupie, błogosław pasterzowi, błogosław owieczkom, abyśmy wszyscy coraz bardziej Boga miłowali.“

Przedstawiono księdzu Vianney świeżo przybyłego misyonarza, zwracając na to uwagę, że jest najmłodszy w Zgromadzeniu. „A! toś ty szczęśliwy, rzekł mu, całując go; dłużej będziesz służył dobremu Panu. Pan Jezus z pośród Apostołów więcej czułości okazywał Jakóbowi Mniejszemu dla tego, że był najmłodszy.“

Zapytany, czy pewien Ojciec rażony paraliżem będzie jeszcze mógł kazać, odpowiedział: „O mój drogi! on ciągle

kazać będzie; bo kazaniem świętych, to ich przykład święty.“

Ktoś wspomniał ks. Vianney dowcip pewnego Paryżanina, który znaną Siostrę Rozalię nazywał swą matką, Proboszcza z Ars swym ojcem. — „Biedny sierota! odparł na to, nigdy ojciec nie zastąpi matki.“

Ksiądz Toccanier, dłużej zatrzymanego przez chorych w czasie cholery, witał z otwartymi ramionami: „O mój drogi przyjacielu! nareszcie mi wracasz! myślałem nieraz nad tem, jak potępieńcy są nieszczęśliwi, że Boga nie widzą, kiedy już tu na ziemi tak bardzo przykro nie widzieć tych, których się kocha!“

Pewien ksiądz tłumaczył się, że nie wziął komeżki do wielkiej Mszy w niedzielę. „No, no, bądź spokojny, odparł mu Proboszcz, — białość twój duszy zastąpi komeżkę.“

W dzień Bożego Ciała, św. Proboszcz poszedł obejrzeć piękny ołtarz, jaki zwykle strojono przy zamku. Skarżono się przed nim na wiatr, który nie pozwolił urządzić iluminacji. Święty rzekł na to, wskazując na dzieci dziedziów, otaczające ołtarz: „Otóż pochodnie gorejące, których wiatr nie zgasi.“ I na pożegnanie dodał: „W tym domu zmieniają się mieszkańcy; pokolenia jedno następują po drugich, lecz to zawsze dom Boży.“

Za powrotem z procesyi bardzo nużącej, częstowano go chłodzącym napojem; odmówił wszystkiego, mówiąc: „Nic mi nie potrzeba! Jakże mógłbym być znudzony, gdy m niósł Tego, który mnie dźwiga!“

W czasie powodzi roku 1856, pielgrzymi czekający noc całą w kościele, jednego dnia zaryglowali drzwi. Gdy Proboszcz przybył po północy, pukał i pukał, lecz nikt mu nie otworzył, a tymczasem deszcz padał ulewnie. Święty przemókł do suchej nitki; lecz nie zważając na to, zasiadł najspokojniej w konfesyonale. Dopiero gdy się do Mszy ubierał, spostrzeżono, że woda ciecze z jego rewendy; proszą go, aby się przebrał, żalują go, a on na to z uśmiechem: „Nie warto o tem mówić, widzicie, żem nie z cukru.“

— Jakes ty szczęśliwy, żeś młody, mówił raz do kó-

goś. Nie licząc wielu innych korzyści, tyle masz sił i gorliwości do zużycia w służbie Bożej...

— Ależ, odparł zagadnięty, ksiądz Proboszcz młodszy odemnie.

— Tak, pod względem cnoty...

Ktoś inny mówił mu: Ksiądz Proboszcz tak kocha swych misjonarzy, że rozstając się z nimi zapewne zostawi im płaszcz Eliasza.

— O mój drogi! nie można spodziewać się płaszcza tam, gdzie i koszuli niema.

Pewnego razu spostrzegł, że jakiś niefortunny artysta umieścił niezręcznie poniżej jego portretu, jego krzyż honorowy i pelerynę. „Dla uzupełnienia tego obrazu, rzekł, potrzebaby podpisać: *Marność, pycha, nicosć.*“

Inną razą, gdy mówiono o jego tytułach, odpowiedział; „Tak, jestem kanonikiem honorowym ze zbytnej łaski Biskupa, kawalerem legii honorowej przez pomyłkę rządu, i... pasterzem osła i trzech owiecz woli mego ojca.“

Pewien niedowiarek powiedział mu, że są w religii rzeczy, których on w żaden sposób wierzyć nie może.

— Naprzykład? — zapytał Proboszcz.

— Naprzykład, w potępienie wieczne.

— Mój Przyjacielu, radzę ci nie mów nigdy o religii.

— A to czemu?

— Dla tego, że musiałbyś się naprzód nauczyć katechizmu. Czegoż uczy katechizm? Oto że trzeba wierzyć w Ewangelią, bo to słowa Chrystusa Pana. Czy wierzysz w Ewangelią?

— Wierzę.

— A więc! w Ewangelii czytasz wyraźnie: „Idźcie w ogień wieczny!“ — Cóż chcesz więc? zdaje mi się że to dość jasne.

Ks. Vianney długo raz mówił o miłości Bożej, o świętych, z najserdeczniejszym wylaniem, nie wiedząc, że ten do którego mówił, był innowiercą. Gdy na pożegnanie dał mu medalionik, tenże mu powiedział:

— Ksiądz Proboszcz daje medalionik heretykowi, przynajmniej za takiego uchodzę według jego pojęcia. Ale pomimo różnicy naszych wyznań, mam nadzieję, że się obydwaj spotkamy kiedyś w niebie.

Dobry Proboszcz wziął tego człowieka za rękę i zatapiając w niego wzrok, w którym się odbijała jego żywa wiara i miłość gorąca, rzekł mu z najczulszem uczuciem:

— Niestesty! mój przyjacielu, tam złączymy się tylko wtedy, jeśli już tu na ziemi będziemy złączeni. Śmierć nie nie zmieni; gdzie drzewo pada, tam leży.

— O mój drogi! Pan Jezus powiedział coś więcej. Powiedział, że ten co nie słucha Kościoła, ma być uważany jako poganin. Powiedział, że ma być jeden pasterz i jedna owczarnia; a św. Piotra wybrał na głowę tej trzody. — Mówiąc coraz mocniej i serdeczniej, dodał: Mój przyjacielu, niema dwóch sposobów służenia Bogu, jest tylko jeden, a tym: służyć Mu tak jak Sam chce abyśmy Mu służyli.

Na tém Proboszcz urwał rozmowę, zostawiając heretyka poruszonego najwyższym niepokojem, który widać był skutkiem łaski; bo jak nam mówiono później, ów heretyk się nawrócił.

Założyciel głównego Domu sierót radził się ks. Vianney, czyby sobie za pomocą pism publicznych zjednać przychyłność w narodzie dla dzieła swego. „Zamiast hałasować po dziennikach, odpowiedział sługa Boży, hałasuj u stóp Utajonego Boga w N. Sakramencie. No, odparł na to zagadnięty, radbym odbyć nowicyat przy księdzu Proboszczu. — Niema się o co kłopotać, już go przejdiesz i tak, odrzekł, zapowiadając mu tym sposobem próby, przez jakie powstające dzieło jego przejść miało.

W zręcznych i dowcipnych swych odpowiedziach ks. Vianney był czasem po swojemu cięty.

„Księżę Proboszczu, mówił mu raz jakiś otyły jegomość, którego okrągła i rozpromieniona twarz dziwnie odbijała przy wycińczeniu i bladości świętego starca. „Księżę Proboszczu, liczę trochę na ciebie, że mi w niebie dobre miejsce wyrobisz. Boć nie zapominasz o przyjaciołach i ofiarujesz za nich twe posty i umartwienia. Gdy ksiądz Proboszcz pójdiesz do nieba, uchwyć się twój rewerendy.

— Zlituj się, nie czynń tego, odparł Święty. Wniście do nieba takie wążkie, we dwóch nie przecisnęlibyśmy się przez tę bramę, dodał, spoglądając z uśmiechem na szerokie jego ramiona. Ale niebawem, obawiając się, czy

gościa swego nie dotknął, przeproszał go najserdeczniej i najpokorniej.

Inną razą znacznej tuszy dama pytała go co ma robić aby się dostać do nieba. „Moja córko, odpość trzy wielkie posty.“

Zakonnica pewna powiedziała mu dobrodusznie: Powszechnie ludzie mają Ojca za głupiego. — Nie myślą się moja córko; ależ na tem nic nie zależy: a powiem Ci więcej niż znieść będziesz mogła.

Gdy go proszono o relikwie dla osoby, która ich bardzo pragnęła, odpowiedział z uśmiechem: „Niech nam je z siebie uczyni.“

Jedna z jego parafianek, zacna i pełna poświęcenia osoba, ale w swój gorliwości nieraz natarczywa i gorzka, chciała mu dawać rady: „Nie dobrze, że ksiądz Proboszcz to zrobił. — Powinien ksiądz Proboszcz tak a tak postąpić. Ależ nie zapominajmy, że nie jesteśmy w Angliji, odciał jęć się razu jednego, robiąc aluzją do prawa angielskiego, które kobiecie stér Królestwa porucza.

Jeden z Braci zakonnych skarżył się ks. Vianney, że koń się z nim rozbiegał i w rów go wrzucił. Proboszcz żałował go, ale dodał: Widzisz, mój przyjacielu, św. Antoni nigdy nie wypadł z powozu; trzeba było tak zrobić jak on. — A jak zrobił św. Antoni? — Zawsze chodził pieszo.

Ależ dość tych próbek na przekonanie tych, którzy twierdzą, że ascetyzm obniża charakter ludzki, uboży umysł i wysusza serce.

Choć ks. Vianney lubił samotność, w obcowaniu był szczery, wylany i rozmowny; czuwał jednak nad każdym swem słowem. Aby uniknąć uwag, nad którymi pokora jego nieraz cierpiała, nigdy się o nic nie wypytywał; i ile możliwości zagradzał, aby jego wypytywano. Zwykle sam mówił i zdawał się mówić tak, aby nie wywoływać odpowiedzi i zbytecznego tłumaczenia się. Jeśli, co się rzadko zdarzało, mówił o sobie, miłość własna, od której był całkiem wolny, nie krępowała jego serdecznego wylewu; przeciwnie, rzec można że potrzeba jakiej poufnej rozmowy pochodziła z jego pokory. Zdawało mu się, że Bóg daje mu oparcie dla jego słabości, pozwalając zwierzać się pobożnym osobom: przedmiotem zaś tych zwierzeń było zawsze to,

co go przerażało i upokarzało. Lecz zresztą nigdy nie wypowiedział wszystkiego, co miał na sercu i wprowadzał przyjaciół tylko do drzwi duszy, nie dalej.

Wieleż to razy po wieczornej rozmowie z ks. Vianney, do której jako misjonarz bywałem przypuszczany, wołałem w duchu: O mój Boże! cóż to będzie w niebie, jeśli już tu na ziemi tak słodko i dobrze rozmawiać z świętymi! Każdy z nas czuł, że mu w tem obcowaniu dana jedna z najrzadszych łask Opatrzności; przyznawaliśmy to bądź słowem, bądź łzą, bądź świętem milczeniem, które jest najodpowiedniejszym oklaskiem prawdziwego a głębokiego wrażenia.

Po całodzienniej pracy znojnjej Proboszcz z Ars okazywał najwięcej serdeczności i zaufania, gdy rozmawiał, stojąc przy kominku lub przy swym stoliku wedle tego czy potrzeba mu było rozgrzać skostniałe swe członki, a twarz jego promieniała szczęściem wewnętrznem.

Według rady św. Pawła unikał próżnych i światowych rozpraw; wszelkich spraw które zapalają do sporów bez żadnego pożytku. Jeśli powstał jaki spór pomiędzy dwoma osobami, milczał, jak gdyby z obawy, aby wmięszaniem się, nie urazić jednej z nich. Gdy go zaś o zdanie proszono, odpowiadał jakim uprzejmem i łagodzącym słówkiem, lub też zasadniczem zdaniem, które godziło przeciwników, stawiając ich obu na gruncie, na którym już niema oporu. Anielska jego dusza unosiła się zawsze po nad wszelkie namiętności i po nad wszelki interes poziomy i osobisty. Na wszystkie rzeczy tej ziemi patrzył w jasnym świetle Bożem.

Od czasu gdy tak ciężko chorował, w maju r. 1843, kiedy to spędził dwa tygodnie u rodziny dla wypoczynku, nigdy nie zmienił swego trybu życia; nie opuścił swego kościółka i plebanii. Jedyńą jego rozrywką było nawiedzanie chorych lub krótki wstęp do ukochanych swych misjonarzy. Tylko rozmowa o Bogu była mu miłą i zajmującą. Gdzie skarb człowieka tam i jego serce. Najwyższe Dobro tak go pociągało, że myśli od niego oderwać nie mógł. Mówił o tajemnicach tamtego świata, jak gdyby z niego wracał; a o próżnościach ziemskich z tak żartobliwym przekąsem, że nie można się było utrzymać od

śmiechu. W miarę jak mówił, coraz więcej zbliżał ku sobie słuchaczy, zapalał się, i wylewał całe serce.

Jeśli jaki nudny gość mówił o świeckich rzeczach przed ks. Vianney, słuchał go cierpliwie; ale widocznie rozmowa ta nużyła go. Zresztą rzadko kto odważył się zajmować go ziemskimi sprawami.

W wieku tak gorączkowego ruchu, ciągłych wynalazków i nowości, Proboszcz z Ars żadnego nie miał życzenia; nie pragnął poznać nic z tego świata; wszystko do koła niego krążyło, nie zajmując wcale jego uwagi. Tak doszedł już do onęj doskonałości, „że używał, jakoby nie używając.“ Wszystka myśl jego i całe jego serce zatoneło w Bogu!

Ale jeśli obce mu były sprawy tego świata, żywo go zajmowało i nieraz radowało i pocieszało wszystko, co dotyczyło Kościoła św., czci i chwały Jego Pana i Boga; wszystko, co umacniało Królestwo Jego na ziemi, co się przyczyniało do uwielbienia Jego Imienia, do rozkrzewienia Jego nauki, do tryumfu prawdy. Całą duszą radował się, gdy słyszał o rosnącej liczbie wiernych, których przeznaczeniem śpiewać Bogu chwałę po wszystkie wieki.

Jakkolwiek rozmowa ks. Vianney była wzniosła, on sam był niezmiernie prosty; bo prostota jest cechą dzieci Bożych. Choć mówił o niebie i świętych jego mieszkańcach, czynił to najprostszemi wyrazy, robił porównania gminne, ludowe.

„Smutno to być królem ludzi! — mówił, — ale należeć do Boga! całkiem do Boga należeć! bez podziału; ciałem należeć do Boga, duszą do Boga!... Ciałem czystem, duszą czystą! Ach! cóż nad to piękniejszego? — A łyżę go tak dławili, że więcej mówić nie mógł.

„Dzisiaj, mówił, w uroczystość Serca Jezusowego, Pan Jezus przyciska nas do Swego Serca... O! gdybyśmy mogli wiecznie tam pozostać!... I wznosząc ręce i oczy łez pełne w niebo, wołał: „O Serce Jezusa! Serce miłości! Kwiecie miłości!... Jedynie Serce Pana Jezusa w czasie Jego męki pozostało całe w Najświętszem Jego Ciele, aż je Longin przebił, żeby z niego wytrysnęła miłość... Cóż umiłowemy, jeśli nie to Serce najświętsze? W tem Sercu sama miłość. Jak można nie kochać tego, co tak bardzo miłości godne!...

Gdy mówił o modlitwie i o życiu wewnętrznem serce jego się roplýwało.

„Modlitwa najwyzszem szczęściem człowieka na ziemi. O jakże piękne życie w zjednoczeniu z Panem. Wieczność nie dość długotrwała żeby pojąć to szczęście. Życie wewnętrzne jest jako kąpiel miłości, w której zanurza się dusza. Bóg trzyma w objęciach swych człowieka wewnętrznego, jako matka trzyma głowę dziecięcia, żeby ją okryć pocałunkami i pieśczołą. Wspominam sobie radość Apostołów, gdy znów ujrzeli Zbawiciela. Rozłączenie z nim było tak okrutne; nasz boski Zbawiciel tak ich miłował, był dla nich tak dobry. Przypuścić mozem że ich uściskał, kiedy im mówił: Pokój wam! Otóż tak Pan w objęcia swe bierze dusze nasze, gdy się modlimy. I do nas mówi wtedy: Pokój wam!

Ceni się rzecz wedle tego co nas kosztuje. Osądźcież, jakiej ceny jest miłość Boskiego Zbawiciela ku duszom naszym, co go kosztowały wszystką krew' jego. To też pragnie i łaknie On naszój wzajemności. Przykrzy Mu się gdy nie widzi dusz naszych u stóp swoich, gdy nie mówi z nimi.

„Dwie rzeczy konieczne, aby się z Panem Jezusem połączyć i duszę swą zbawić: Modlitwa i Sakramenta śś. — Wszyscy święci często przyjmowali Sakramenta śś. i podnosili serca w modlitwie. Trzeba zaraz z rana, ocknąwszy się ze snu ofiarować Bogu serce, ciało, duszę, myśli, modlitwy, sprawy i całego siebie na wyłączną Jego chwałę; trzeba odnawiać przyrzeczenia Chrztu św., dziękować aniołowi stróżowi, że nas strzegł podczas snu i prosić go o dalszą opiekę.

„Niektórzy chrześciance mają dobry zwyczaj powtarzać sobie: „Dzisiaj uczynię tyle a tyle aktów miłości Bożej, wypełnię taki a taki akt ofiary... To mi się bardzo podoba...

„Często wśród dnia trzeba wzywać światła Ducha św. O! bo jakże go nam potrzeba, abyśmy nędzę naszą poznali. Trzeba zmówić Ojciec nasz i Zdrowaś za nawrócenie grzeszników, za dusze czyscowe... i często powtarzać: „Boże zmiłuj się nademną... tak jak dziecko często mówi do matki: „Daj mi chleba... podaj mi rękę... albo uściskaj mnie... Kto się nie modli jest jako te domowe ptaki co się nie umieją wznieść w powietrze. Choć i latają cokolwieczek, wnet spadną grzebiąc w ziemi, tetrzą się w ziemi, i w ziemi wszystką swą radość mają. Dobry chrześciancein zasię jest jako orzeł nieustraszony

co wzbija się w powietrze wysoko, jakby chciał się zbliżyć do słońca. Otóż obraz chrześcianina wzbijającego się w niebo na skrzydłach modlitwy. Kto jest w stanie łaski, nie potrzebuje wcale żeby go uczyć jak się modlić: zna przez się modlitwę, bo ona jest potrzebą jego duszy. Zjednoczenie się z P. Jezusem przez Krzyż Jego: otóż zbawienie nasze. Znamieniem wybranych jest miłość, tak jak znamieniem potępieńców jest nienawiść. Zaden potępieniec nie miłuje potępieńca drugiego: brat brata nienawidzi, syn ojca, matka dziecię swoje; a ta nienawiść powszechna skupia się naprzeciw Bogu. Otóż czem jest piekło. Święci miłują świat cały; mianowicie miłują nieprzyjaciół swoich. Serce miłością Bożą zapalone rozszerza się w miarę ile dusz Bóg na drodze jego życia stawia; podobnie jak skrzydła kokoszy rozszerzają się wedle liczby młodych, co się pod nie garną.

To znowu inną razą mówił: »Serce świętych jest stałe, nie-wzruszone jak skała wśród burzy-

»Osoby pobożne, które się często modlą, spowiadają i przystępują do Stołu Pańskiego a nie mają uczynków wiary i miłości, podobne są do drzewa kwiecieną okrytego. Spodziewasz się po niem tyle owocu, ile jest kwiatu; a tymczasem inaczej się stanie.

»Prawdziwie nieszczęśliwi są tylko źli chrześcianie, którzy zaniedbują modlitwę, Sakramenta św. i gniją w grzechu; dobry chrześcianin szczęśliwy po nad wszystkich szczęśliwych, gdy posiada Boga. W uczuciu tego szczęścia o wszystkim zapomina. W tych dniach czytałem żywot świętego, który przetrwał w zachwyceniu od tłustego wtorku aż do Wielkanocy; zbudził się w sam dzień Zmartwychwstania... W takim szczęściu zapomina się o cierpieniu. Raz wiatr porwał niedźwiedzią skórę z św. Szymona Słupnika. Ludzie widząc, że siedzi zmartwiałą, weszli na jego słup i skostniałego włożyli w ciepłą wodę, aby go docerać. »Czemuście mnie ruszali? — wymawiał im, — byłem tak szczęśliwy!«

»Nie potrzeba wielu słów, aby się dobrze modlić. Kiedyż Bóg mieszka tu w Ołtarzu, dość mu stworzyć serce, z upodobaniem trwać w Jego obecności: to najlepsza modlitwa.«

W uroczystość Nawiedzenia, w którym to dniu Siostry św. Józefa odnawiały swe śluby, ks. Vianney wołał z uniesieniem radości:

»O! jak piękną jest religia!... Jakże niepojęta Twa dobroć o Boże, dla bojących się Ciebie!... Przed chwilą zdawało mi się, że się toczy walka o to, kto da więcej... Aleć Pan Jezus zawsze zwycięża. Zakonnice oddają Mu swe serca. On, Serce i Ciało... Gdy Siostry mówiły: »Ponawiam me śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa«; jam mówił, podając im Hostyą: Niech to Ciało Jezusa Chrystusa strzeże duszę twoją do żywota wiecznego!»

Wpadłszy na ten przedmiot swój ulubiony, ciągnął dalej:

»Ktoby zrozumiał, jak wielkie dobra zawiera Komunia św., jużby nic więcej nie pragnął. Skąpiec nie goniłby za skarbami; pyszny, za chwałą; każdyby porzucił ziemię, otrząsałby się z jej pyłu i ulatywałby w niebo. Jakże Bóg zaszczyca swe stworzenie, przychodząc do niego w Komunii św!... Spoczywa na jego języku, przechodzi do serca, jakby do swego tronu! O mój Boże! mój Boże! (wołał ze łzami), niektórzy umieli ocenić ten zaszczyt. I tak, był święty biskup, który sam zamiatał kościół; a tak wysoko tę robotę sobie cenił, że ubierał się do niej w biskupie swe szaty. Król jeden własnemi rękoma wyciskał winne grona na wino do Mszy świętej i sam męł mąkę pszenną na hostye.

»Jedna dobra Komunia wystarcza, by duszę zapalić najgorętszą miłością, i oderwać ją od świata. Niedawno temu, przybył tu możny pan i przyjął Komunię św. Z znacznego swego majątku dał sto tysięcy franków na budowlę kościoła; sto tysięcy na ubogich; sto zostawił krewnym, sam wstąpił do Trajistów. Później był tu uczony prawnik; po dobrej Komunii św. wstąpił do Dominikanów. Ach! naprawdę nic więcej nie potrzeba nad jedną Komunię św. godnie przyjętą, by człowiekowi obrzydzić ten świat i wzbudzić w nim smak do rozkoszy niebiańskich!»

Jednego wieczora, nie wiem pod jakim wrażeniem wyszedł ks. Proboszcz z kościoła; ale z głęboką boleścią i ze łzami mówił nam o kapłanach nie odpowiadających wielkości swego powołania: „Co za potwór!... Kapłan, który w grzechu odprawia Mszę św... Ach! trudno pojąć podobną złość! Trzebaż być okrutnym i zatwardziałym, aby się na coś podobnego odważyć!...“ Wyznał nam, że ma od dawna zwyczaj odmawiać co wieczór siedem

Chwała Ojcu na wynagrodzenie Bogu za zniewagi wyrządzone Mu w Najśw. Sakramencie przez niegodnych kapłanów. Nawet w téjże myśli utworzył fundusz na Msze wynagradzające.

Inną razą tak był pogiębiony, że o mało nie omdlał z konfesynału wracając na plebania. Pokusa do ucieczki znów go opanowała. Pomimo to z niezmierną dobrocią i serdecznością rozmawiał z wszystkimi. „Ach! gdybym był na twojem miejscu, rzekł do Misyonarza, biorąc go za rękę, uleciałbym do nieba! Jam bardzo nieszczęśliwy, dodał z niewymownym smutkiem, nie znam istoty tak nieszczęśliwej jak ja. — Wielu jest takich, coby się chętnie z Księdzem Proboszczem pomieniali. — O mój drogi, toby zamienili złoto na miedź.“

Ks. Vianney mówił często o świętych Pańskich, a prawie zawsze ze łzami w oczach. Słyszając zaś jego opowiadanie pełne życia i poezji, wnikające w najdrobniejsze nieznanne szczegóły, zdawało się, że mówi o dobrych jakich znajomych, z którymi serdeczny wiąże go stosunek. Wszystkie legendy o świętych miały dlań wiele uroku; nie wstydział się ich przytaczać, choć wiedział że pycha i bezbożność gorszą się niemi. „Słońce, mawiał, nie chowa się, aby nie przeszkadzać nocnym ptakom.“ Wcale inaczej pojmował żywoty świętych, aniżeli niektórzy pisarze tych żywotów, którzy za szczyt chwały sobie uważają w tém, żeby ograniczać wielkość potęgi Boga, usuwając wszelką nadprzyrodzoność, jaką w żywotach napotykaają, jakby ta sama świętość nie była wynikiem tychże potęg nadprzyrodzonych. Ks. Vianney nie mógł nigdy dość nawielbiać mocy Boga w świętych Jego, a im rzecz była cudowniejsza i wspanialsza szła pospolitemu porządkowi, tém więcej się nią zachwycił. „Zdaje mi się, mawiał, że gdybyśmy mieli wiarę, bylibyśmy panami woli Bożej, trzymalibyśmy ją w rękę i Bóg nie by nam nie odmówił.“ — I z lubością rozwodził się dalej nad tém, jak Bóg ulega swym świętym. Miał zawsze tysiączne przykłady na pogotowiu, jeden cudowniejszy od drugich. Opowiadał o jednym świętym, który pałał gorącym pragnieniem żeby nocą czcić Utajonego Pana w N. Sakramencie: za ledwie się zbliżał do wrót kościoła, otwierały mu się same.

»Inny święty, modląc się w kościele przed figurą Najśw. Panny, która była zasłonięta, tak mocno zapragnął widzieć twarz Przczystej Dziewicy, że zasłona usunęła się sama przez się, i Matka Boża ukazała mu się promieniejąca pięknnością i wdzięcznym uśmiechem. Inny jeszcze chciał budować kościół, lecz góra mu zawadzała. Kazał jój się posunąć, i góra cofnęła się o pięćdziesiąt stóp. — Innemu zaproponował ktoś, aby rozkazał skale ruszyć się z miejsca. Święty zapytał: A nawrócisz się wtedy? — Nawrócę się. — Rozkazał tedy skale, która w tejże chwili znikła w powietrzu.

»Patrzcież, — dodawał święty Proboszcz, — do jakiego stopnia Bóg dobry dla tych, co Go miłują! Przy lada sposobności czyni cuda, gdy który z przyjaciół o nie prosi. Człowiek czystego serca panuje niejako nad wolą Boga. Św. Franciszek à Paulo dowiedział się raz, że rodzice jego skazani na śmierć; gdyż podejrzenie padło na nich o morderstwo człowieka, którego trupa znaleziono w ich ogrodzie. — Westchnął tedy: Boże! spraw, abym mógł być przy nich jutro! W nocy, anioł przeniósł go o dwieście mil, na miejsce ich pobytu. Nazajutrz, w obec zgromadzonych ludzi kazał przynieść zamordowanego. Gdy go przyniesiono, rzekł mu: »W Imię Boga Najwyższego rozkazując, wyznaj, czy moi rodzice cię zabili?« — Na te słowa nieboszczyk wstał i zawołał: »Nie; — nie twoi rodzice zabili mnie.« — Wtedy święty znów prosił Pana, aby go kazał przenieść do klasztoru, i w nocy anioł przeniósł go napowrót. Tak to Bóg nic nie może odmówić sercu czystemu. — Św. Wincenty Feryusz czynił tyle cudów, że przełożony, obawiając się o jego pokorę, zakazał mu władzy otrzymanej od Boga używać bez jego pozwolenia. Gdy dnia jednego święty modlił się przed N. Sakramentem, robotnik zajęty naprawą w kościele, spadł z rusztowania. Święty, widząc to, zawołał: »Nie spadaj, nie spadaj, bo nie mam władzy ratować ci życia.« I co tchu pobiegł po pozwolenie do przełożonego. Przełożony spojrzał nań zdziwiony; nie mógł zrozumieć, o co chodzi; przypuszczał, że w każdym razie pozwolenie jego przyjdzie zapóźno. Tymczasem jakże się zdziwił, gdy poszedłszy za św. Wincentym na miejsce wypadku, ujrzał robotnika wiszącego w powietrzu. »A rób sobie, co chcesz, — rzekł do świętego; — widzę, że niepodobna cię wstrzymać od cudów!«

Niejedni uśmiechają się złośliwie na podobne przyto-

czenia. Co zaś do nas, wyznajemy, że nas budowały i zachwycały: raz do śmiechu, to znów do łez poruszały. Zachwycały nas jego rzewność i uśmiech anielski, i to dziecięce poddawanie się wrażeniom, te niewinne igrzyska duszy, a to wszystko znów obok myśli tak wielkich, życia tak surowego i apostołskiej pracy tak ciężkiej. W wieku gdzie prostota znika z stosunków człowieka do człowieka, nie bez wzruszenia widzieć będzie każdy prawdziwy chrześcjanin, jak w życiu tego świętego kapłana ziściły się przedziwne słowa Zbawiciela, abyśmy się stali jako dziecięczki.

Praca ani cierpienia nigdy nie krępowały swobody Proboszcza z Ars w rozmowie; ani jej dla nich nie skracał. Dobroć i wesołość jego zdawały się zwiększać z latami i z cierpieniami jego. Smutna zwykle bywa starość, kiedy to wszystko w duszy milknie i wędnieje; a ks. Vianney ożywiały nieustająca świeżość myśli i serdeczne ciepło uczucia.

Prawdziży się nim słowa jednej niewiasty chrześcijańskiej, że „ostatnie myśli serca przepelnionego miłością Boga, podobne do tych ostatnich słońca promieni, które tem silniejsze i barwniejsze na samym zachodzie.“



ROZDZIAŁ III.

Uprzejmość, grzeczność, prostota, dobroć ks. Vianney.

„Przyobleczcież się tedy jako wybrani Boży, święci i miłowani, we wnętrzości miłosierdzia, w dobroć, w pokorę, w cichość, w cierpliwość.

(Do Kolos. IV, 12.)

Jeśli świat się myli, sądząc, że pobożność tępi pojęcia, myli się jeszcze więcej, gdy sędzi, że serce wysusza. Serce ks. Vianney jak wszystkich świętych, rozpływało się w miłości. Trudno lepiej charakter jego odmalować, jak słowami wyżej przytoczonych słów św. Pawła.

Prawda, nie każda pobożna osoba ma dar wykazać drugim ten wyraz dobroci właściwy pobożności, który do niej pociąga. I wielka w tém szkoda; boć nikt sobie nie ceni cnót człowieka, do którego nie chciałby być podobny. Posłannik Boga na świecie najłatwiej zyskuje Mu dusze wtedy, gdy się sam przyobleka urokiem Najśłodszego i Najmiłosierniejszego Pana swego. Może nieraz nieszczęsny bezbożnik spotykał prawdę na swój drodze, ale pod formą tak surową i straszną, że zamiast go pociągnąć, odpychała go od siebie. Aż nareszcie ukazuje się ona pełna uroku, w ciepłe uczucia ukochanej osoby. Wtedy ją poznał, uznał i z miłością na zawsze ję się oddał.

Słusznie ktoś powiedział, że sama świętość nie wystarcza, aby wywierać wielki wpływ i zamieniać sobie nieprzyjaciół czy obojętnych w przyjaciół; że cnota, ażeby była umiłowana i wszechwładna, winna się przyoblec w wnętrzości miłosierdzia i miłości Chrystusowej w sercu człowieka. Podano za przykład samegoż Syna Bożego, który się stał człowiekiem, gdy chciał, żeby religia, stała się prawem miłości.

Cóż dziwnego, że Proboszcz z Ars był tak kochany,

skoroż sam tak kochał? — Kochał z zapomnieniem siebie, nie licząc wcale na wdzięczność, ani wzajemność. Jedną sobie serca nie tyle jałmużną i hojnym wsparciem materialnem, ile dobrocią, łagodnością i tęp serdeczným współczuciem w doli i niedoli każdego. Wraz z życiem wewnętrzným rosła w nim miłość bliźniego. Im więcęj stawał się surowym dla siebie, tęp łagodniejszym był dla drugich.

Św. Jan Chryzostom, mówiąc o człowieku prawdziwie pokornym, powiedział, że jest dla wszystkich miły i dobry. Czy w tych słowach nie żywy obraz naszego Proboszcza? Nie trudno być miłym człowiekowi, który siebie nie szuka. Słodycz i uprzejmość łączą się prawie w jedno z zaprzaniem się i są kwiatem pokory.

Dobroć ks. Vianney nie była zimną i wyszukaną grzecznością światową, lecz była wylaniem szczeręj, miłęj serdeczności, która od razu wszystkich ośmielała. Za przykładem Tego, który po raz pierwszy objawił światu dobroć, łaskę i miłość, nie szukając nic dla siebie, sługa Boży myślał o wszystkim, czuwał nad wszystkim, tylko o sobie nie myślał. On nic nie potrzebował, ani pociechy, ani dowodów przychylności; czuł się ich niegodnym.

Probosz z Ars nigdy w obec nikogo sam nie siadał, a nie pozwalał, aby kto stał przed nim. Gdy kto wstawał za jego wejściem do pokoju, mieszał się ze wstydu: siadajcież! siadajcież! wołał nalegając, póki się nie usiadło. Jakkolwiek upadał od znużenia wieczorem, aż do sieni odprowadzał kilku wybranych, którym wolno było przychodzić do niego o tęp godzinie na rozmowę. Żegnając swych gości mawiał zawsze: Przyjmijcie moje uszanowanie, bo pokorniejszęj formy nie znał. Ale sam wyrazów uszanowania dla siebie przyjąć nie chciał. Gdy ktokolwiek w rozmowie nazwał go szanownym, przerywał mu stanowczo: „Nie zasługuję na niczyj szacunek, trochę twojęj przyjaźni, to dość dla mnie.“

Proboszcz z Ars nie należał do tych fałszywych tłumaczy Ewangelii, znać własną pychę zaślepionych, którzy głoszą pogardę dla wszelkięj wyższości społecznej i radziby wszystkie różnice stanów zrównać. On wierzył, że Chrystus Pan przyszedłszy na świat, aby wszystko naprawić

a nie burzyć, uświęcił oba stany: stan ubogi swem ubóstwem i cierpieniem, stan możny swém życiem chwaleb-
nym. W przedstawicielach wyższej klasy widział wiel-
kość i królewskość Chrystusa Pana i Jego téż ccił w ich
osobach. Lecz jeśli szanował możnych tego świata, jeszcze
więcej starał się o to, aby ich nakłonić do uwielbiania
Boga. Był dla nich uprzejmy, ale prawdę wypowiadał im
śmiało i nigdy nie krępował się względami ludzkimi. Gdy
było potrzeba, umiał stanowczo się oprzeć zdaniu i zasa-
dom przeciwnym nauce i przepisom Kościoła. Trudno wy-
powiedzieć ile ta szlachetna niezależność obok jego ubóstwa
i umartwienia nadawały mu powagi i przewagi. Tak to
jednem słowem nakłaniał do największych i najzbawien-
niejszych ofiar.

Nigdy mu się nie zdarzyło urazić lub odepchnąć kogo,
już nie szorstkością, ale nawet najmniejszym cieniem obo-
jętności. W każdej jego rozmowie górowała serdeczność
i miła swoboda, wśród których nigdy nie dopuszczał spod-
ufania. Nieraz przepraszał, że z przyzwyczajenia wielu
osobom, a nawet kobietom światowym mówił ma *petite*
moja mała, co przecież nikogo nie obrażało. Wiele już
przyczyliśmy jego trafnych odpowiedzi; dodajmy i to, co
powiedział pobożnej osobie, która mu mówiła o licznej swój
rodzynie: „Oh! moja mała, niech cię zadanie tve nie prze-
strasza; ciężkie ono, ale Pan Jezus dopomoże ci je dźwi-
gać. Pan Bóg zawsze dobrze robi to, co robi, a gdy
młodą matkę liczną obarcza rodziną, to widać, że ją uważa
za godną i zdolną wychować je pocziwie. To dowód za-
ufania z Jego strony... Niech tylko dzieci twoje więcej
sobie kiedyś przypominają twoje przykłady, niż twoje nauki.“

Święty Proboszcz nie umiał nic odmówić. Wszystko,
z wyjątkiem zezwolenia na to, co mu się złe wydawało,
można było u niego uzyskać. Przez długie swe życie
otwierał usta, tylko aby pocieszać; serce, aby w nie przy-
mować cierpienia drugich; ręce, by zlewać błogosławieństwa
i jałmużny.

Trudna to próba i dla najlepszych, żeby zachować
pokój wśród nieustannej czynności; skupienie przy ciągłej
zewewnętrznej pracy; doskonałe panowanie nad sobą i nie-
ustanną łączność z Bogiem, wśród nawału, odmetu, hałasu

i ruchu. — Proboszcz z Ars wyższy po nad to wszystko, jak prąd słodkiej wody przepływał przez to morze, nie przyjmując w siebie jego goryczy. Choć odgłos wszystkich ludzkich namiętności codzien mu się o uszy obijał, nie mącił przecież jego pokoju wewnętrznego, ani kaził czystości jego duszy. On nie zaznał wcale tego wahania, wśród którego nieraz serce najsilniejszych się chwieje. W jakiej bądź chwili, choć był strudzony przez natrętne i natarczywe tłumy, zarzucany pytaniami często niedorzecznymi, prośbami, których wypełnić nie mógł; rozrywany na wszystkie strony, tak że nie wiedział komu wpierv odpowiedzieć, był zawsze miły, słodki, pełen współczucia, zawsze gotów do wszelkich usług, spokojny i swobodny. Nigdy nie okazał zniecierpliwienia, ni szorstkości; nigdy czoło jego nie zasępiło się pochmurnym wyrazem niechęci, nigdy z ust jego nie wyszło słowo skargi, ni wyrzutu. I wtedy, gdy go otaczano najżywszemi objawy uwielbienia, gdy go noszono w tryumfie, gdy przed nim klękali; on zawsze ten sam, niezmienny, dobry, prosty, skromny, jak dzieciątko. Zdawał się nie przypuszczać, że to cnota jego pociągała ku niemu tyle ludzi i wyjednała dla nich tyle cudownych łask, jakimi Ars zasłynęło.

Ten niezamącony pokój duszy sługi Bożego nie powinien zadziwiać. Jedną bowiem tylko rzecz krępuje wolność człowieka i zamąca pokój jego duszy: obawa przed cierpieniem. Obawy tej nie mógł zaś znać ten, który się cieszył i chlubił z cierpienia. Wszystkie niepewności, niepokoje, burze, wszelkie radości i wszelkie smutki rodzą się z nieumiarkowanych pragnień i pożądań. Kto nie pragnie nic nad wolę Bożą, ten zawsze i wszystkiemu rad. Wczesnie święty nasz zyskał sobie ten skarb wielki, ono wyzucie się z siebie, nie szukanie siebie. Odrywając się od siebie i od wszystkiego, siebie i wszystko znalazł u Boga; umocnił się w tym pokoju, który jest niczem innym, jak szczerą miłością Chrystusową, obojętną na wszystko, co nie jest Boże, nie lękając się ani życia ani śmierci, ani rzeczy obecnych ani przyszłych, ani tego co na wysokościach, ani tego co w głębokościach, ani żadnej rzeczy stworzonej.

Wszyscy co znali ks. Vianney z bliska, nie dostrzegli w nim ani jednego poruszenia, któreby nie było odpowia-

dało godności świętego, któreby ómiło promienie jego świętości. W każdym położeniu, na każdym miejscu on zawsze był ten sam święty. Każdy człowiek ma swoje dni czarne, chwile słabości, i gdzie mu ciemno dokoła; a wtedy i najmężniejsze serca upadają: Proboszcza z Ars można było badać w najdrobniejszych szczegółach jego życia, a trzeba było zawsze podziwiać, jak każdej chwili, wszystko co robił, robił jak najdoskonalej, najroztropniej, najheroiczniej, z najczystsza intencją i z największą gorliwością. Nie wiem, czy można mu było kiedy zarzucić, że mógł być lepiej co uczynić, a nie uczynił. Z tej zgodności doskonałych jego uczynków z nauką, jaką głosił, wynikał jego potężny wpływ na serce. — Ale nie oglądali jeszcze najwznioślejszych stron duszy tego kapłana Chrystusowego ci, co tylko widzieli jego życie czynne: życie jego wewnętrzne, o ile można było sięgnąć do jego głębin, toż dopiero było przedziwne.

Ktoś powiedział, że prostota świętych jest ich potęgą. Sprawdza się to i na Proboszczu z Ars; bo prostota dodawała mu tyle potężnego uroku, że każdym słowem przekonywał; samo nawet milczenie jego tchnęło czemś tak niebiańskim, że rozpraszało złe a budziło dobre. Jego miłe i pociągające obejście przejmowało pokojem a równocześnie szacunkiem, zaufaniem i miłością. Jakiś urok nęcił do niego; wyobrażamy sobie, że podobnym urokiem apostołowie czuli się przykuci do Chrystusa Pana.

Świat wyobraził sobie, że aby dla siebie szacunek wymódz u drugich, potrzeba udawać i to udanie nazwał sztuką. Ludzie chcący się wywyższyć, do tej sztuki zwykle się uciekają. Wielkość i piękność moralna ks. Vianney nie były nadrobione sztuką; raczej odbłaskiem ślicznej jego duszy, prostym wybuchem uczuć jego serca. Przedstawiał rzeczy z największą prawdą i prostotą, i tak jak je sam czuł i w tej prostocie był wzniosły: nie udawał cnoty, posiadał ją na prawdę. Przestając z nim, doświadczało się prawdy słów Fenelona, że „prostota wraca na ziemię piękne dni ziemskiego raję.“ Zaledwie z nim kto się zetknął, z zdumieniem poznawał w nim człowieczeństwo wcale nowe: zapewne takie było wpięrw, nim przez grzech się zepsowało. Wszakżeż to miłość własna, jęj ukryte rachuby i wygórowane pragnienia mącą stosunki społeczne i jednego

człowieka czynią wrogiem drugiego. U Proboszcza z Ars ani odrobiny miłości własnej: nie było w nim nic na pokaz, żadnego udania, nic z tego co na człowieka fałszywy rzuca blask. Prostota, dziecięca otwartość, szczerłość, złączone z przedziwną trafnością i pewnością sądu dodawały rozmowie z nim niewysłowionego uroku. Był on już jako jedno z tych dzieci, którym P. Jezus obiecał niebo.

Nie mniej uwagi godną w służbie Bożym była dobroć. Obok cnoty pełnej męzkości najgłówniejsza znachodziła się w nim delikatność i czułość. Gdy się u stóp krzyża składa uczucia swoje wszystkie i najtkliwsze z nich oczyszczają się, upiększają i nabierają więcej hartu w tem nieustannem zwyciężaniu się przez umartwienie i pokorę chrześcijańską. Jest pewna miara dobrotliwości, której się chyba w bożych źródłach zaczerpnie. Dobroć jako też uprzejmość księdza Vianney pochodziły z zupełnego zaparcia siebie, wyniszczenia własnej osobistości, czyli innemi słowy z chrześcijańskiej pokory. Pokorne dusze jedyne prawdziwie kochają, jedyne biorą i oddają coś z promieni dobroci Najwyższej.

Trudno wypowiedzieć ile Proboszcz z Ars był dobry, dobry w najrozleglejszem słowa znaczeniu. Gdyby kto był serce jego jak gąbkę wycisnął, nie byłaby z niego wyszła ni kropla żółci. Był dobry dla wszystkich, był zawsze dobry; ale w szczególności dobry dla ubogich, dla kalek, dla małych i dla grzeszników: dla tych czterech wielkich nędz duszy i ciała. On je wszystkie ogarniał uczuciem serdecznego, szlachetnego współczucia. Był szczodry w łaski, w uwagę i troskliwość dla ostatniego z żebraków, który się doń zbliżał; starał się uszczęśliwić go w chwili, gdy go wspierał. Z największą zapobiegliwością usuwał od otaczających go najmniejszy zawód, najłżejsze przeciwności. Nie podobna wypowiedzieć wszystkich odcieni tej dobroci; była to czułość, pobłażliwość, litość, słodycz, wyrozumiałość, wyrzeczenie się, hojność. Jego miłosierdzie podobne było do miłości Boga: podobnie jak tamto czyste, bezinteresowne, niewyczerpane. Już na ziemi miał to samo serce, jakie ma teraz w niebie.

Wszystka delikatność tego serca objawiała się szczególnie w stosunkach z misyonarzami. O ile był bez li-

tości dla siebie samego, o tyle był czuły i troskliwy gdy chodziło o zdrowie swych współpracowników. Jeśli który z nich był cierpiący, zniewalał go do wypoczynku, zakazywał miewać kazań i spowiadać, sam go wyręczał.

„Jedną z pierwszych niedziel, którą miałem szczęście spędzić przy nim, opowiada ks. Toccanier, dobry nasz Święty zauważył podczas nieszpór, że dużo kaszlałem. Wieczorem po pacierzu patrzę zdziwiony, czcigodny mój Proboszcz wsuwa się z latarką w rękę, mimo niepogody przychodzi aby mi powiedzieć: Mój przyjacielu, uważałem że mocno kaszlisz; ja nie jestem zmęczony, jeśli pozwolisz, odprawię pierwszą Mszę w twoje miejsce i wyłożę katechizm dzieciom za ciebie. — To samo uczynił raz za tego, który te słowa kreśli. Moje przedstawienia i prośby nie nie pomogły i po całodziennej nużącej pracy pocziwy starzec trzy razy w jednym tygodniu powiedział za mnie kazanie. Aby mu się nie mógł oprzeć, spiesznie wyszedł z konfesyonału i niespodzinnie uprzedził mnie na kazalnicę. „Prosiłem św. Filomenę, mówił widząc mnie bardzo cierpiącym, aby na mnie przeniosła twój ból.“ „Niech ją ks. Proboszcz inaczej prosi, odrzekłem, św. Filomena wysłuchuje tylko słusznych prośb.“

Inną razą zauważył, że Przełożony Misyonarzy nie przywiózł z sobą płaszcza, a zimna się zaczynały; kazał mu natychmiast zrobić płaszcz z ciepłego sukna. Widział nas przechodzących przez plac w niepogodę. Wieczorem zastaliśmy parasol w pokoju. Posłał z umysłu do Villefranche po to zakupno.

Ks. Vianney odbierał podarunki, aby je rozdawać; rozdawanie to było jego największą przyjemnością. Pobożne pamiątki, jakimi go obdarzano, a do których jakąś wartość przywiązywał, przechodziły tylko przez jego ręce. Dawał je pierwszemu lepszemu, komu myślał podarunkiem tym przyjemność sprawić. Raz dostał bardzo piękny różaniec poświęcony w Jerozolimie na grobie Chrystusa Pana. Powiedziano mu, ofiarując go: „Ten zachowaj Ojczy.“ — W kilka minut potem przybył misyonarz mający kazywać w Ars przez cały miesiąc Maj: dobry Proboszcz dał mu różaniec.

Wieleż to razy mawiał o jakim pięknym relikwiarzu,

o złotym krzyżu lub cennym obrazie: „No to będzie dla mnie, zachowam go.“ — W tém przybywa ktoś, o kim się domyślał, że mu ten przedmiot będzie miły; już nie mógł się oprzeć pokusie, żeby go nim zaraz nie obdarzyć.

Ludzie mają i spełniają dobroć i hojność po swojemu. Ale i w najszlachetniejszych popędach rzadko kiedy żeby nie budziła się choć słaba nadzieja wdzięczności ze strony obdarzonych. Święta dusza przeciwnie szuka szczęścia w dawaniu bez nadziei odbierania. Czyż Chrystus Pan, oddając życie swe za ludzi, myślał że ludzkość wiecznie u stóp Jego Krzyża trwać będzie na kolanach, odpłacając nieskończoną miłością Ofiarę Jego? Nie. — To marzenie nie powstało w Ogrójcu ani na Golgocie! Przeciwnie, niewdzięczność przyszłych pokoleń była znana w tej samej chwili, gdy się ofiara spełniała. — Ks. Vianney miał ten boski wzór przed oczyma.



ROZDZIAŁ IV.

Cnoty księdza Vianney, Jego wiara, nadzieja, miłość ku Panu Jezusowi, Jego nabożeństwo do N. Panny i do Świętych.

„A teraz trwają wiara, nadzieja, miłość;
te trzy rzeczy; lecz z nich większa miłość.”
(*Do Korynt. XIII, 13*).

Proboszcz z Ars obdarzon był wiarą niezwyklej doskonałości. Duch św. napełnił jego duszę tak jasnym światłem, że patrzył na rzeczy boskie prostem okiem i z taką pewnością a błogością, iż zachwycał się niemi, płakał z radości na widok ich, i umysł jego niczego nad nie już nie pragnął. Tak był z Bogiem zjednoczony, że niejako dotykał się tych prawd. Co my spostrzegamy jakoby w oddaleniu, mglisto i przez zasłonę, to on widział wzrokiem pewnym, bezpośredniem widzeniem.

Wiara św. Proboszcza była główną siłą jego życia, całą jego nauką; ona mu wszystko wyjaśniała, a on wszystko wyjaśniał przez nią. Z dnia na dzień rosły jego władze umysłowe, pociągane do zanurzania się w onych świętych Ciemnicach, które odstraszały tylu innych, a w których duch sam się gubiąc, znajduje Boga. — Słyszeliśmy, jak młody ksiądz jeden, wychodząc z jego katechizmu, mówił: »Cóż to za wiara! możnaby nią obdzielić całą dyceczyą.«

»Wiara Ks. Proboszcza tak jest żywa, — powiada Katarzyna w swoich pamiętnikach, — że zdaje się jakoby widział rzeczy boże. Tak jest przejęty rzeczywistą obecnością Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie, że mówi o niej prawie we wszystkich swych naukach. A kiedy mówi o niej, miłość go krzepi i już wycieńczenia swego nie czuje. — »Gdybyście kochali Pana Jezusa, — mówił nam raz, — mielibyście zawsze przed oczyma duszy to złożone cybo-

ryum, ten dom Boga. Gdy jesteście w drodze i widzicie z dala dzwonnice, serce wasze powinno drgnąć z radości na ten widok, tak jak widok dachu, pod którym mieszka Oblubieniec, wzrusza serce Oblubienicy. Powinniście nie móżdź oderwać oczu od Niego.«

Proboszcz z Ars powtarzał często: »Jakże oczy nasze szczęśliwe, że mogą patrzeć na Boga dobrego!« A mówił te słowa z takim przejęciem, twarz jego taką jaśniała radością, że można było myśleć, iż już ogląda Boga! Raz po raz zabłysło w jego oku szczęście, którego nie zdolny zrodzić widok stworzonych rzeczy. Mówił jeszcze: »Słaba wiara oddala nas o trzysta mil od jej przedmiotu, tak jakby Bóg był po za morzami. Gdybyśmy mieli wiarę żywą, przenikliwą, jak święci Pańscy, widzielibyśmy, jak oni, Chrystusa Pana. Są kapłani, którzy Go codziennie widzą we Mszy św.« Czy to zdanie nie przypomina słów św. Pawła: *Novi homines!* „Znam człowieka, któremu Bóg objawił tajemnice swoje.“

»Dusze tych, co nie mają wiary, ciemniejsze od tych, co oczu nie mają... Jesteśmy na tym świecie jak we mgle; ale wiara jest wiatrem, co rozprasza ją i przepuszcza cudne promienie słońca do duszy naszej... Widzicie, jak wszystko smutne i zimne u protestantów!... tam nieustająca zima. — U nas wszystko wesołe, radosne, pocieszające!...«

Uważano, że, ilekroć ks. Vianney kazał od Ołtarza, tak był przejęty rzeczywistą obecnością Pana Jezusa znajdującego się tak blisko w N. Sakramencie, że brakło mu tchu i głosu. Zakłopotanie jego było widoczne; i, jakkolwiek chciał mówić o czem innem, zawsze wracał do tego wielkiego przedmiotu.

»Miałem szczęście, — podaje ks. Tailhades w swoich zapiskach, — być dwa razy obecnym, gdy udzielał ostatnich Sakramentów; i zapewnić mogę, że nigdy nie słyszałem nauki o przyszłym życiu, wypowiedzianej z takim przekonaniem i z taką wiarą. Zdawało się, że oczyma ciała widzi rzeczy, o których mówił. Budził pragnienie we wszystkich obecnych, żeby mogli umrzeć na jego rękę. Ogniste jego słowa przenosiły jego uczucia w duszę biednych chorych, i widzieli zbliżającą się chwilę oswobodzenia z świętą ufnością.«

Proboszcz z Ars choć jeszcze w więzach ciała, już Bogu tak był oddany całkowicie, jak one duchy szczerze, które zawsze świecą przed Nim światłem wiecznej miłości. Bojaźń sądów Bożych górowała wpośród wszystkich myśli jego; mimo to śmierć mu była pożądana i wzywał jej z upragnieniem; nazywał ją: »Połączeniem duszy z najwyższym Dobrem.« Mówił często, że napisze książkę »o rozkoszach śmierci.« — Podczas gdy inni z wielkiem wysileniem zaledwie się mogą zgodzić na śmierć, on wysilenia potrzebował, aby żyć. Czasem w jego rozmowach słychać było oddźwięki tego jęku, jaki się wyrwał z piersi św. Pawła i kazał mu pragnąć wyjść z więzów ciała swego, aby to, co było śmiertelne w nim, przemieniło się w nieśmiertelne.

W naukach swoich robił Proboszcz z Ars najwdzięczniejsze porównania o owem pragnieniu nieba. Mianowicie posługiwał się porównaniem o jaskółce, która zaledwo muśnie skrzydłem o ziemię, a rzadko na niej spocznie; o płomieniu, który ciągle w górę dąży; o balonie, który się unosi wysoko w powietrzu, gdy się zerwie lina, która go do ziemi wiązała. Mówił:

»Serce człowieka dąży do tego, co mu najmilsze: pyszny dąży do zaszczytów, skąpiec do bogactw, człowiek mściwy myśli o swęj zemście; człowiek lubieżny o swych brudnych rozkoszach. Lecz o czem myśli dobry chrześcjanin? — W którąż to stronę zwraca się jego serce? W stronę nieba, gdzie jego Bóg, jego skarb jedyny.

»Człowiek stworzony był dla nieba; szatan połamał drabinę, która doń prowadziła. Lecz Pan Jezus inną nam postawił przez swój krzyż, i otworzył nam bramę nieba. Matka Boska stoi u szczytu tej drabiny; oburącz ją trzyma i woła do nas: Pójdźcie! Pójdźcie!... Cóż za śliczne zaproszenie! Jakie piękne powołanie człowieka: widzieć Boga! kochać Go, dziękować Mu, uwielbiać Go po wszystkie wieki!... Gdy się myśli o niebie, jakże trudno zwrócić się ku ziemi!... Gdy św. Teresa wróciła z swęj przechadzki po niebie, już nie mogła patrzeć na rzeczy ziemskie. Choć jej piękne rzeczy pokazywano, ona odpowiadała: »To nic, to błoto wierutne.«

»Św. Koleta wypadała nieraz ze swęj celi, od zmysłów odchodząc z radości na myśl o niebie, i przebiegała korytarze,

wołając: Do raju! do raju! do raju!... W raju serce nasze tak się zaprzepaści w szczęściu miłości Bożej, że już nie będziemy się zajmować ani sobą, ani drugimi, lecz samym tylko Bogiem. — Gdy niewidomy z urodzenia na grobie św. Marcina nagle odzyskał wzrok, tak go piękność przyrody zachwyciła, że zem-dlał ze zbytnej radości. Względem nieba jesteśmy jako ten niewidomy,

»Dobremu chrześcianinowi powinno być duszno na ziemi i tęskno. Gdyby małe dziecko było tu w kościele a matka jego na chórze, wyciągałoby ku niej rączęta; i, gdyby samo nie mogło wejść na wschody, wzywałoby o pomoc tak długo, ażby się w objęcia matki nie dostało.

»Powiadają, że w niebie zasiądziemy na tronie, to ma znaczyć, że będziemy wielcy. Ten tron zbuduje nam miłość Boża: w niebie sama tylko miłość... Ona całe niebo zalewa... — Gdy się pytano św. Teresy, co widziała w niebie, mogła zaledwie wyjąkać: »Widziałam! widziałam!... Widziałam!... tchu i głosu jej brakło, by powiedzieć więcej.

»Cóż to za cudowne połączenie pomiędzy Kościołem na ziemi a Kościołem w niebie! Św. Teresa dobrze mówiła: »Wy tryumfując, my walcząc, łączymy się, by wspólnie wielbić Boga! „Św. Agustyn powiada, że ten, co się śmierci lęka nie kocha Boga: i prawda. Gdybyś od bardzo dawna nie widział ojca, nie cieszyłbyś się, gdybyś go nareszcie zobaczył.«

»Śliczny to nabytek, niebo!... Ale czegoż potrzeba, aby się do niego dostać?... Potrzeba mieć czyste serce, pogardę świata i miłość Bożą.«

Jednego razu ktoś pytał Proboszcza po pięknej jego nauce o niebie, co trzeba czynić, aby zasłużyć na nagrodę, jaką opisał, odpowiedział: »Mój przyjacielu, potrzeba łaski i krzyża.«

Ks. Vianney lubił często opowiadać tę legendę.

»Pewien poczciwy zakonnik myślał sobie, że mu się w niebie czas będzie długim zdawał. Pan Bóg pokazał mu, że tak nie będzie... Jednego dnia spostrzegł on zakonnik w ogrodzie klasztornym ptaszka przeskakującego z gałązki na gałązkę, który tem piękniejszym mu się wydawał, im więcej się weń wpatrywał. Aż w końcu był mu tak piękny, że zakonnik niemógł oczu oderwać od niego; zaczął nawet za nim gonić, tak pragnął go pochwyć. Wreszcie przestał tój gonitwy, sądząc, że

jakie pół godziny na niej strawił. Wrócił do klasztoru. Lecz jakże się zdziwił, zastawszy u ferty człowieka, którego nie znał, ani nigdy nie widział; zadziwienie jego było jeszcze większe, gdy przebiegając cały klasztor, ani jednej znajomiej nie napotkał twarzy, lecz same obce. Zapytał tedy: Gdzież są nasi Ojcowie? — Tamci patrzą na niego, nie rozumiejąc go wcale. Powiedział swe nazwisko: odszukano je w rocznikach klasztoru i przekonano się z nich, że przed stu laty wyszedł z niego... Pan Bóg pokazał mu tym sposobem, że się w niebie nie przykrzy nikomu.«

Aby dać wyobrażenie jaką była miłość ks. Vianney ku Panu Jezusowi, trzeba by opisać to wszystko, co tylko dusza za łaską Bożą objąć może najgorętszego, najsilniejszego, najśłodszego i najwspanialszego. Wszystkie władze jego duszy, rozumu i woli przejęte były najżywszą miłością. W nim było to doskonałe zjednoczenie, o jakim św. Jan Chryzostom tak się wyraża: »Pan Jezus Sam był wszystkim w jego myśli, w jego uczuciach i pragnieniach. Gdyby wpośród świętych w niebie nie było Zbawiciela, ich towarzystwo nie byłoby mu miłe.« Jezus był mu życiem, niebem, terażniejszością, przyszłością; a N. Sakrament jedynym ochłodzeniem pragnienia, jakie go trawiło. Nie mógł dość o Nim myśleć, do Niego wzdychać, o Nim mówić. Nie wyrazy, ale płomienia buchały z jego serca, gdy o Nim mówił. Imię Jezus wymawiał z tak dziwnem przejęciem, że każdy je odczuć musiał.

Najczęściej w naukach swych przytaczał wycytane w żywotach świętych gorące ich wyrazy, o Boskim Zbawicielu. Z lubością wspominał słowa Pana Jezusa do św. Teresy: »Na sądzie ostatecznym objawię dopiero ludziom, jak bardzo mnie ukochałaś.« — Albo: »Gdy mnie ludzie odepchną, przyjdę ukryć się w twem sercu.« I na te wspomnienia rzewnie płakał.

Przypominał często okrzyk miłości św. Katarzyny Seneskiej. »O drogi Zbawicielu! czemuż nie byłam tem kamieniem i tą ziemią, w którą zatknięty był Twój Krzyż? wieleż łask i wieleż pociech byłoby na mnie spłynęło z tą Przenajświętszą Krwią z Ran Twoich?« — Rozrzewniał się nad tem, co św. Koleta powiedziała do Pana Jezusa. »O mój Panie! pragnęłabym tak bardzo Cię kochać, a serce

me takie ciasne!» Zaledwo dokończyła tych słów, aliści ujrzała zstępujące ku niej ogromne i ogniste serce i usłyszała głos mówiący jej: »Teraz kochaj mnie, ile tylko zechcesz« — I serce świętj było jakoby zalane potokiem miłości.

»O Jezu! — wołał często Proboszcz z Ars wśród łez obfitych, — kto Ciebie pozna, ten Cię miłować musi!... Gdybyśmy wiedzieli, jak nas Pan Jezus umiłował, umarlibyśmy z rozkoszy! Niepodobna, aby serca nasze były tak twarde, żeby miały nie kochać, widząc że tak bardzo są ukochane... Miłość tak piękna!... to jest wylew Serca Jezusowego, które jest samą miłością... Jedyne nasze szczęście na tój ziemi, że możemy miłować Boga, i że wiemy, iż On nas miłuje...

»Czasami mi się zdaje, że niewiele naszych uczynków otrzyma nagrodę; zamiast je czynić z miłości Bożj, czynimy je ze zwyczaju, z miłości własnej... Jaka to szkoda!...

»A jak pięknie czynić wszystko pod okiem Boga, wszystko z Bogiem, — wszystko, aby się podobać Bogu! Nuże! duszo moja! będziesz rozmawiała z Bogiem, pracowała, chodziła, walczyła, cierpiała z Bogiem. Będziesz pracowała, a On będzie błogosławił twj pracy; będziesz chodziła, a On będzie błogosławił twym krokom; cierpieć będziesz, a On uświęci twoje cierpienia. Jaka wielkość, zacność i pociecha gdy wszystkie uczynki spełnione są z Bogiem i dla Boga! Mówmy sobie co rano: Wszystko, co czynić będę, uczynię, aby Ci się przypodobać, o mój Boże; wszystko czynić będę z Tobą! Jakże słodka i pocieszająca jest myśl o ciągłej obecności Bożj!... Deus meus et omnia! Bóg mój i wszystko moje. Nigdy się ta obecność nie uprzykrzy; w obec niej godziny mijają, jak chwile... Obecność Boża, to przedsmak nieba.

»Biedni grzesznicy: pomyśleć, że oni umrą, ani godziny nie zakosztowawszy szczęścia w miłości Bożj!... Gdy nam się kiedy ćwiczenia pobożne sprzykrzą, gdy nas rozmowa z Bogiem zacznie nudzić; idźmy tylko do wrót piekła; przypatrzmy się tym biednym potępieńcom, którzy już niemogą kochać Boga. Gdyby przynajmniej, potępiając się, można nie ranić Zbawiciela, toby jeszcze uszło. Ależ tak być nie może.

»Gdyby dobry chrześcianin mógł się przejąć prawdziwą wiarą, umarłby z miłości. — Patrz, jaki szczęśliwy ten chrześcianin, co kocha Boga i kocha bliźniego: a niepodobna kochać

Boga, bliźniego mając w nienawiści. Jakiż pokój w jego duszy!... To istny raj na ziemi. — Myślę sobie nieraz o tych biednych nieboszczykach spoczywających na cmentarzu, że ich język już nie może chwalić Boga, ani serce ich kochać Go nie może...«

Ks. Vianney często kończył swe nauki tym okrzykiem: Być kochanym od Boga, być złączonym z Bogiem, żyć w obecności Boga, żyć dla Boga: o takie życie jakże piękne i jakże piękna śmierć!

Słyszac raz śpiew ptaków, mówił z westchnieniem: „Biedne ptaszyny! stworzone jesteście do śpiewu i śpiewacie; człowiek stworzon do miłości Boga, a nie miłuje Go.“

„Dla tego nie kochamy Boga, — mówił inną razą, — bo nie doszliśmy do tego, aby nam miłe było to, co trudem okupione. A przecież, ktoby się nawet potępił, miałby przynajmniej tę pociechę, iżby mógł sobie powiedzieć: Przynajmniej na ziemi kochałem Boga! Są tacy, co ciągle płaczą, że niedość Boga kochają; a oni to właśnie Go kochają. I jakąż to pociechę pomyśleć, że, jeśli jest wierność i miłość na biednej ziemi, to przedewszystkiem względem Pana Boga.“

Proboszcz z Ars zalecał trojaki nabożeństwo: Do Męki Pańskiej i N. Sakramentu, Matki Boskiej i za dusze zmarłych. Z św. Bernardem twierdził, że, kto niema nabożeństwa do Ciała i Krwi Pańskiej, ten z pewnością niema łaski w sobie. »Męka Pańska, — mówił, — jest jako wielka rzeka, która spływa z góry, a nigdy nie wysycha...«

Trudno opisać jego gorące nabożeństwo do N. Sakramentu. Nazywał go najczulszemi i najslodszeimi imiony, wymyślał coraz to nowe wyrażenia, aby mówić o Nim godnie. Mówiac o Nim, sercem roztapiał się z wdzięczności, szczęścia i miłości; oblicze jego promieniało, z oczu płomień buchały, łzy dławily go. »O dzieci moje, — wołał, — cóż to czyni Pan Jezus w Sakramencie swój miłości? Umieścił tu Swe Serce, aby nas miłować; to Serce Jego wylewa się w czulości i miłosierdziu, aby zalać grzechy świata.« Komunią św. nazywał kąpielą miłości... »Po Komunii św. dusza zatapia się w miłości, jak pszczoła w kwiatach.« Nieraz mówił:

»Gdy po konsekracyi trzymam w rękę Najśw. Ciało Pańskie, a czuję się smutny i godzien piekła, mówię sobie: Gdybym go przynajmniej mógł zabrać z sobą! Piekło byłoby mi słodkie z Nim; nieby mnie nie kosztowało cierpieć całe wieki, gdybym był z Nim... Ale wtedy nie byłoby piekła, bo ogień miłości zgasiłby płomień sprawiedliwości.

»Jakaż to cudowna rzecz! Po konsekracyi Pan Jezus jest tu na ołtarzu, tak jak jest w niebie!... Gdyby człowiek mógł wniknąć w tę tajemnicę, umarłby z miłości. Bóg nam ją zakrywa przez wzgląd na słabość naszą. — Gdy Bóg postanowił dać pokarm dla duszy naszej, aby ją pokrzepić na pielgrzymkę życia; przebiegł okiem po wszystkich swych tworach i nie znalazł godnego jej wielkości. Wtedy postanowił dać nam Siebie Samego... O duszo moja! jakżeś ty wielka, skoro tylko Bóg jedyny nasycić cię zdolę! Pokarmem duszy Ciało i Krew Boga! cóż to za pokarm!... Gdyby to człowiek mógł zgłębić, toby zaginął na wieki w tej przepaści miłości! O! szczęśliwe te dusze czyste, które się łączą z Panem Jezusem w Komunii św. W niebie błyszczyć będą jako piękne brylanty, bo Bóg będzie siebie w nich widział. Duch św. powiedział: Gloria ejus in te videbitur. Chwała jego w tobie się okaże. Chrystus Pan rzekł: »O cokolwiek prosić będziecie Ojca w imię moje, da wam.« Nigdyby nam na myśl nie było przyszło prosić Boga o własnego Jego Syna. Ale o czem człowiek nie byłby ani mógł pomyśleć, to Bóg uczynił. Czego człowiek nie może wypowiedzieć ani pojąć, i czegoby nigdy nie był śmiały zapragnąć, to Bóg z miłości powiedział, pomyślał i sprawił. Bo czyż moglibyśmy się ośmielić, by mówić Bogu, ażeby wydał, Syna Swego za nas na śmierć, iżby dał nam Ciało Swoje na pokarm, Krew na napój?

»Szczęście na świecie byłoby niepodobne, życie nieznośne, gdybyśmy nie mieli N. Sakramentu. Przyjmując Komunię św. przyjmujemy szczęście i wesele nasze. — Bóg, chcąc się nam oddać w tym Sakramencie miłości, dał nam wielkie pragnienie, które On Sam zaspokoić może... Wobec tego Sakramentu Najś. jesteśmy jako człowiek, coby z pragnienia umierał nad rzeką, choćby potrzebował tylko się nachylić, by się napić do syta; jako człowiek co umierałby z nędzy, mając pod ręką skarb, po który tylko rękę ściągnąć potrzeba. Człowiek przyjmujący Ko-

munią św. zaprzepaszcza się w Bogu, jak kropla wody w bezdennym oceanie. Rozdzielić ich niepodobna.

»Na sądzie ostatecznym Ciało Chrystusa błyszczeć będzie w uwielbionych ciałach tych, co tu na ziemi godnie je przyjmowali; jak złoto błyszczy na miedzi, lub srebro na ołowiu.

»Gdyby nas kto zapytał, gdy wracamy od Komunii św., »co zanosimy do domu, -- moglibyśmy odpowiedzieć, — zanoszę niebo.«— Jeden święty powiedział, że jesteście Nosicielami Boga. I prawda: ale, że wiara nasza zbyt słaba, nie pojmujemy godności naszej. Gdy wracamy od Stołu Pańskiego, jesteśmy szczęśliwsi od Trzech onych Mędrców; bo oni nie mogli zabrać z sobą Dzieciątka Jezus.

»Gdy chcemy, żeby wonny olejek nam nie wywietrzał, szczelnie zatykamy naczynie. Podobnie, gdybyśmy w skupieniu dobrze się zamknęli z Panem Jezusem po Komunii św., długo, długo czulibyśmy w sercu ten ogień trawiący, któryby zapalał serce, a wypalił w nim złe żądze.

»Serce nasze powinnyby pałać po przyjęciu Pana Jezusa. Serce uczniów idących do Emaus już pałało, gdy tylko mowy Jego słuchali. Nie lubię tego, gdy kto, wracając od Stołu Pańskiego, otwiera zaraz książkę do nabożeństwa. Pocóż mówić, gdy Bóg mówi? Trzeba właśnie być jak ten ciekawy, co podsłuchuje pod drzwiami. Trzeba słuchać, co Bóg u wrót serca naszego mówi.

»Po Komunii św. czujesz, że dusza twoja oczyszczona, skoro się pławi w miłości Bożej. Czujesz coś niezwykłego, jakąś błogość przejmującą cię do szpiku kości. I zkad ta błogość? Z połączenia Chrystusa Pana z nami: On to udziela się wszystkim cząstkom naszego ciała i drzeniem radosnem je przejmuje. Musimy wtedy wyznać z św. Janem: „To Pan!“ Prawdziwie biedni ci, co nic z tego nie czują!«

Katarzyna Lassagne podaje w swoich zapiskach: »Przedziwne jest nabożeństwo Proboszcza do Najś. Sakramentu. Gdy jeszcze nie było tylu pielgrzymów w Ars, oficya swe odmawiał zawsze klęcząc na ziemi, nisko pochylony, bez żadnego oparcia; często przestawał odmawiać modlitwy i wpatrywał się w cyboryum z taką radością i weselem, jak gdyby widział samego Zbawiciela. W czasie wystawienia N. Sakramentu nigdy nie siada, chyba w obecności jakiego

obcego księdza, aby się od niego nie wyróżniać. Wtedy zwraca się ku Ołtarzowi z wyrazem zachwytu.«

Wszyscy ci, co go widzieli odprawiającego Mszę św., wynosili przekonanie, że musiał oglądać Zbawiciela, tak był rozpromieniony wyrazem znamionującym działanie Ducha świętego. Zdawało się, jakoby spadał na niego jakiś promień chwały Bożej. Wszystkie jego władze duszy i myśli tak były zatopione w Bogu, że nie można było dostrzedz najmniejszego roztargnienia, gdy się modlił. Pomimo tysiąca oczu wlepionych w niego, on tak swobodnie zatapiał się w Bogu, jak gdyby był na samotności.

Wobec Boga utajonego w Najśw. Sakramencie, łązy radości ronił, łzami zlewał stopy Pana; zwykle płakał przez całą Mszę św. Katarzyna przytacza jego słowa, wypowiedziane przed uroczystością Bożego Ciała: Ach! gdybyśmy chcieli, moglibyśmy wszystko otrzymać w tym tygodniu. Bóg będzie nas błogosławił dwa razy na dzień... O mój Boże! jakaż to szkoda, że nie jesteśmy przejęci Twoją obecnością! Gdy pójdziecie drogą, którą przechodziła procesya, powiedzcie sobie: Bóg tu przechodził.

Przy ołtarzu nie był ks. Vianney ani zanadto powolny ani pospieszny; zważał więcej na słuchających nabożeństwa, aniżeli na własną skłonność osobistą. Tylko przed Komunią zatrzymywał się nieco dłużej na tajemnej rozmowie z Panem, któremu przypatrywał się z miłością, trzymając Hostyą Przenajświętszą w ręku. To wymówił słów kilka, to się zatrzymywał, słuchał i znów mówił, aż z widocznym jakimś wysileniem, jakby się żegnał z przyjacielem, pożywał św. postacie.

Proboszcz z Ars miał wzniosły dar modlitwy — dusza jego więcej była z Bogiem, niż z ciałem złączona. Jeśli tak wzdychał za samotnością, to tylko na to, aby całkiem się oddać tej świętej rozmowie, która już tu na ziemi daje nam niebo.

Nawet pośród największych zajęć nie wychodził z kontemplacyi; zawsze trwał w obecności Boga, upatrując Go z miłością we wszystkich stworzeniach. Umysł jego, wolny od tych ziemskich cieniów, które zaciemniają pojęcie, oświecony był czystym światłem Bożem, w którym jasno poznawał stosunek stworzenia do Stwórcy i cel stworzenia

według przedziwnych Stwórcy zamiarów. Z tego przenikania tajemnic nieba, wypływały inne jego przywileje, które go zbliżały do owego stanu błogosławionego, w jakim są święci Pańscy, co już Boga oglądają. Zatopiony w tej nieustannéj kontemplacyi, używał zmysłów uświęconych łaską tylko do uczynków świętych. Ale okrom skupienia ks. Vianney niczem nie okazywał darów otrzymywanych od Boga. Nie miał miny smutnéj, ani surowéj, jaka cnotcie nie do twarzy, bo czyż nią ma się przerazić Boga? co czynił dla Boga, chętnie i wesoło czynił. Ani w sobie, ani w drugich nie lubił przesady. Raz księdzu jednemu zalecił na spowiedzi, aby unikał w kościele rażącego ułożenia. — Nie zwracajmy na siebie uwagi, mój przyjacielu, rzekł mu z dobrocią. Ksiądz ten za nisko się pochylał, klęcząc przed ołtarzem.

Jedyną, ale gorącą, szlachetną, czynną, a nieznużoną myślą ks. Vianney było: kochać Boga i innych do miłości téj porywać. W tém dążeniu streszczało się całe jego życie. Przez ciąg trzydziestoletniej pracy ku temu wszystkie usiłowania kierował: szerzyć chwałę Bożą, nigdy w niczem nie szukać siebie, ni pociechy jakiegobądź dla siebie. Z miłości Bożej wypływało jego przywiązanie do Kościoła, téj Matki prawdziwych dzieci Boga, a Oblubienicy Chrystusowej, która z ran Zbawiciela wyszła, i w której On żyje przez prawdę i słowo swoje, przez łaskę i Sakramenta św. Ile razy wspominano przed nim o Rzymie, promieniał radością, to znów się rozrzewniał i wzdychał, wynurzając życzenie, żeby przed śmiercią chciał widzieć tę ojczyzną dusz, ten relikwiarz świata, ten grób Apostołów i Męczenników.

Proboszcz z Ars lubił wszystko co pośrednio, czy bezpośrednio odnosiło się do czci Boga; najdrobniejszy przedmiot pobożny miał dla niego znaczenie i był mu drogi. Zdobił swój kościółek, kaplicę, ochronkę i własny pokój mnóstwem obrazków, krzyżyków, medalików, relikwiarzy itp. Chwalił się raz, że ich ma przeszło pięćset. Nigdy mu nie było dosyć słowa Bożego dla siebie i dla drugich. Słuchał kazania ile tylko mógł, z największą uwagą i największym skupieniem. O kaznodziei wyrażał się zawsze najżyczliwiej, podnosząc jego zalety, a pomijając jego usterki. Zakonników kochał szczególnie, uważając ich za

chwałę i ozdobę Kościoła; lubił mówić z nimi o Bogu i o niebie. Zresztą wszystkim kapłanom okazywał cześć, miłość i uprzejmość wygórowaną.

Co do praktyk pobożnych, nasz święty szanował wszystkie zalecane przez kościół i sam je drugim zalecał. Należał do trzeciego zakonu św. Franciszka i do kilku bractw. Officya odmawiał w łączności z Panem Jezusem; ażeby zaś to zjednoczenie sobie ułatwić, do każdej części brewiarza odnosił inną część Męki Pańskiej; przy Jutrznicy czcił Jezusa w Ogrójcu, mdlejącego na widok kielicha męki, przy Laudes Jego krwawym potem oblanie, przy godzinie pierwszej Jego na śmierć skazanie, przy godzinie drugiej Jego krzyża dźwiganie, przy godzinie szóstej ukrzyżowanie, przy dziewiątej śmierć Pana Jezusa, przy Nieszporach zdjęcie z krzyża, przy komplecie do grobu złożenie. Lubił bardzo psalmy. „Gdy pomyślę o tych pięknych modlitwach, mówił, jestem gotów zawołać: *Felix culpa*. Szczęśliwa wina! Bo gdyby Dawid nie był popełnił grzechów, które oplakiwał, nie byłby psalmów wyśpiewywał.“ Aby uporządkować swe intencje, postanowił czcić w niedzielę Trójcę św.; w poniedziałek Ducha św., na uproszenie sobie Jego pomocy na cały tydzień, iżby go umiał zużyć na największą chwałę Boga. W ten dzień modlił się również za dusze czyścówce i na ich intencją ofiarowywał wszystkie swe zasługi. Wtorek poświęcał Aniołom stróżom; dziękował Bogu, że dał tym duchom czystym tak gorącą miłość, tak wielką gorliwość w wypełnianiu Jego rozkazów, tyle stałości i wierności w doświadczeniach i tyle miłości dla ludzi. W środę wielbił wszystek zastęp świętych Pańskich. Czwartek poświęcał czci N. Sakramentu, piątek czci Męki Pańskiej. W sobotę dziękował Bogu, że stworzył Najśw. Pannę niepokalaną, i że Ją obdarzył także miłosierdziem dla grzeszników. Nadto ks. Vianney odprawiał jak mógł najczęściej Mszę św. u ołtarza Matki Boskiej, a w sobotę nigdy tego nie pomiął. Co dzień odmawiał *Regina coeli*, Królowa nieba, na podziękowanie za łaski, jakie otrzymał przez Maryą Pannę; co wieczór odmawiał na ambonie koronkę Niepokalanego Poczęcia. Już, kiedy był wikaryuszem, ułożył sobie cały zbiór nabożeństw do Matki Bożkiej, a mianowicie postanowił sobie i nigdy

się postanowieniu temu nie sprzeniewierzył, żeby, gdy zegar bije, odmawiać *Zdrowaś Marya*, oraz wezwanie: „Niech będzie błogosławione Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny Matki Bożej. O Maryo, bądź błogosławiona od wszystkich narodów, niech cała ziemia wzywa i wielbi Niepokalane Serce Twoje!“ — Aby o tém postanowieniu nie zapomnieć, i parafian do téjże praktyki przyzwyczaić, kazał umieścić na dzwonnicy ogromny zegar, który było słyhać w całej wiosce.

Zanim jeszcze został ogłoszony dogmat o Niepokalaném Poczęciu, wierzył w tę prawdę; to téż z radością powitał zatwierdzenie wiary swojej przez Stolicę Apostolską i zawołał: „Co za szczęście! Zawsze sobie myślałem, że jeszcze tego promienia nie dostaje katolickiej prawdzie. Ta próżnia nie mogła pozostać w naszej religii.“ Z nabożeństwa do Najświętszej Panny lud nasamprzód poznał ks. Vianney i ocenił go, gdyż on nie pomijał, co tylko mogło się do większej jej czci przyczynić. Kiedy jeszcze pielgrzymi nie nawiedzali Ars, już uroczystości M. Bożkiej obchodził z wielką wspaniałością; mnóstwo ludzi przystępowało do Komunii św.; nigdy nie było w Ars tylu obcych, ile w święta Matki Bożkiej. Serce téj dobrej Matki było ucieczką św. Proboszcza w każdym jego utrapieniu; jego zbrojownią, do której udawał się po pomoc w walce przeciw piekłu. Bardzo często zalecał nowennę do Najsw. Serca Maryi! „Tyle razy czerpałem z tego źródła, mówił, że gdyby nie było niewyczerpane, od dawna nie byłoby w nim nic pozostało.“ W naukach swych nie mógł dość wypowiedzieć, jaką rozkoszą Trójcy Przenajświętszej jest to czyste, piękne i dobre Serce Maryi.

«Bóg Ojciec patrzy z upodobaniem jako na prawdziwe dzieło rąk swoich (a zawsze miło patrzeć na swe dzieło, mianowicie gdy dobrze zrobione); Bóg Syn patrzy na nie jako na Serce swój Matki, jako na źródło, w którym zaczerpnął tę krew, co nią nas odkupił. Duch św. patrzy na nie, jako na swój trwały przybytek. Prorocy głosili chwałę Maryi dawno przed jej narodzeniem; porównywali ją do słońca. I w rzeczy samej Najświętsza Panna zajaśniała nam jak piękne słońce w dzień pochmurny. — Serce téj dobrej matki jest samem miłosierdziem i miłością; pragnie tylko nas widzieć szczęśliwych. Dość za-

wołać do Niej, aby być wysłuchanym.... Bóg ukochał nas do tego stopnia, że aż śmierć podjął za nas, ale właściwością Serca Bożego jest sprawiedliwość; w Sercu zaś Matki Bożej miłosierdzie samo... Syn Jęj już, już ma karać grzesznika, aż oto Marya wstrzymuje grom gniewu Bożego i prosi za winowajcą. «O Matko moja, odpowiada Jęj Syn, Tobie nic odmówić nie mogę. Gdyby piekło mogło zdobyć się na żal, i jemu wyjednaćabyś przebaczenie.»

«Najświętsza Panna jest Pośredniczką pomiędzy nami, a Synem Swym. Im więcej grzechów cięży, tém ona czulsza i miłosierniejsza dla nas. Bo matce najmilsze to dziecko, nad którym najwięcej łez wylała; matka zawsze bieży naprzeciw temu, co najslabsze i najwięcej na niebezpieczeństwo narażone. Nawet lekarz więcej poświęca starań swych ciężko choremu. Serce Maryi tak jest czułe, że serca wszystkich matek razem zebrane, w porównaniu do niego, są bryłą lodu.

«A jakaż dobra ta Panienska Przeczysta! Wielki Jej sługa, św. Bernard, często powtarzał Zdrowaś Marya, a Ona mu raz odpowiedziała: Pozdrawiam cię synu mój Bernardzie.

„Nabożeństwo do Najśw. Panny napełnia słodkością, rozkoszą, pokrzepieniem. Rozmowa o sprawach ziemskich, o polityce, znuży i znudzi. Rozmowa o Najśw. Pannie niewyczerpana. — Zdrowaś Marya — to modlitwa, która nigdy nie znuży.

«Gdy chcemy coś ofiarować jakiej znacznej osobistości, podajemy mu przez osobę jej miłą, aby jej ta cześć sprawiła przyjemność. Tak i nasze modlitwy, ofiarowane Bogu przez Najśw. Pannę, są Mu o wiele miłsze, bo Ona jedynem stworzeniem, które nigdy Boga nie obraziło. Ocokolwiek Syn prosi Ojca, bywa Mu dane. Tak samo dane bywa Matce ocokolwiek prosi Syna. Gdy się pachnących ziół dotkniemy, ręce nasze pachną — i nasze modły, złożone w sercu Maryi, wydadzą woń Bogu miłą.

«Wyobrażam sobie, że po skończeniu świata, Matka Boska będzie miała pokój; póki świat trwa, rozrywają Ją na wszystkie strony... Jak ta matka, liczną obdarzona rodziną, tak Najśw. Panna nieustannie zajęta, chodzi od jednych do drugich. — Ona podwójnie matką naszą, raz nas poczęła przy tajemnicy Wcielenia, drugi raz pod krzyżem. — Często

Najśw. Pannę porównują do Matki, ależ Ona lepsza nad wszystkie matki najlepsze. Najlepsza matka nieraz ukarze dziecko, gdy ją zmartwi; złaje a nawet wybiję. Najświętsza Panna taka dobra, że zawsze obchodzi się z nami z miłością, a nigdy nas nie karze.

«Gdy Matki Boskiej nie było, gniew Boży wisiał nam nad głowami, jak miecz nieustannie grożący. Ale zaledwo Ona ukazała się na ziemi, gniew Boży ustał... A nie wiedziała, że Bóg Ją obierze na Matkę Zbawiciela, i gdy była dzieckiem, często powtarzała: „Kiedyż ujrzę tę przedziwną istotę, która ma być Matką Bożą?”

«Wszyscy święci wielkie mieli nabożeństwo do Najśw. Panny, bo nie ma łaski, coby nie przeszła przez Jój ręce. Jeden święty pytał Ją raz, co ma w Niej czcić, a Ona mu odpowiedziała: czystość niepokalaną; czcząc tę, wszystko otrzymasz.

Ks. Vianney nieustannie dziękował Bogu Ojcu, że stworzył N. Pannę tak wielką, piękną i dobrą, że Jój dał serce tak gorejące miłością; dziękował synowi Bożemu za Jój Niepokalane Poczucie, wieszował Duchowi świętemu, że czystość bez zmayı Oblubienicy Jego, tyle Mu chwały przyniosła. Aby zachęcić do nabożeństwa Różańcowego, opowiadał nieraz, że święty Dominik, każąc raz w kościele, spostrzegł jednego ze swych krewnych, ale ten zdał mu się tak okropnie brzydki, że aż święty głośno przerażenie swe objawił. Wszyscy zwrócili uwagę na tego człowieka i ze strachem puciekali od niego. Wtedy św. Dominik kazał mu odmawiać różaniec; im dłużej go ów człowiek odmawiał, tém więcej uciekali otaczający go szatani i twarz jego się przemieniała.

Proboszcz z Ars uważał świętych za prawdziwych swych przyjaciół, żył z nimi myślą i sercem i nazywał ich swymi rajcami. Kochał się w ich wizerunkach i w ich relikwiach.

W jego oczach nie było piękniejszego prezentu nad relikwiarz. Obdarzył nim misjonarzy z Pont d'Ain w dowód najwyższej przyjaźni. Był niewyczerpany, gdy mówił o swych dobrych świętych, miał zawsze na pogotowiu pełno o nich szczegółów, wydarzeń innym nieznanym. — Mówiliśmy już o jego wyłącznym nabożeństwie

do św. Filomeny. Od samego początku ta święta odpowiadała mu łaskami, lecz w ostatnich latach życia naszego Proboszcza, zaszczycała go swą rozmową i obecnością swoją. Z pomiędzy świętych najwięcej wychwalał tych, którzy najwięcej pracowali i najwięcej cierpieli z miłości dla Chrystusa Pana. Po św. Józefie, Janie Chrzcicielu, Janie Ewangelistcie i świętych Apostołach, najwięcej wzywał św. Franciszka z Asyżu, św. Franciszka Regiusza, św. Stanisława Kostkę, św. Mikołaja z Tolentino, św. Katarzynę Seneńską, św. Koletę i św. Teresę. Podziwiał św. Franciszka Seraficzego z jego gorącej miłości, która go zapalała do największego poświęcenia i do życia w ubóstwie, którego od Chrystusa Pana nikt do tego stopnia co on nie ukochał.

Nadto ks. Vianney miał wielkie nabożeństwo do dusz czyścowych; popierał wszystkie dzieła, których celem było przynosić im ulgę. Jak święty Dominik podzielił krew swoją na trzy części, tak on w sercu swém uczynił trzy działy z swoich prac, łez i cierpień: pracę swą ofiarował Bógu za własne grzechy; cierpienia swe za grzechy bliźnich; łzy swe za grzechy umarłych. Nadto ofiarował za nich bezsenne noce i wszystko, co w nocy cierpiał.

Mówiąc z założycielem stowarzyszenia, modlitw i dobrych uczynków za dusze w czyśćcu cierpiące, tak się o tych duszach wyraził:

«Ach! gdyby ludzie wiedzieli, ile łask mogliby sobie przez dusze czyścowe wyjednać, to z pewnością nie zapominaliby o nich!»

Te święte dusze, te Oblubienice Chrystusa Pana, są mu miłsze od nas, a choć nie mogą nic wyprosić same dla siebie, za swych dobroczyńców mogą się modlić. Ich modlitwy zaś skuteczniejsze są o wiele od naszych, bo te dusze świętsze od nas i są w stanie łaski. — Zresztą ponieważ nie mogą się same przez się uwolnić od straszliwych mąk, i według wyroku Opatrzności nie mogą wprost od Boga dostąpić odpuszczenia kar za grzechy swoje, zniewolone są uciekać się do naszego pośrednictwa. Tym sposobem dla własnego dobra modlą się za tych, co o nich myślą; dają im uczuć skutki ich wstawienia, aby ich zachęcić do coraz większej o nich pamięci.

Dobrze jest często modlić się za dusze, które znikąd ratunku nie mają.

ROZDZIAŁ V.

Jak ks. Vianney kochał bliźniego. Jego gorliwość, hojność.

Gdzie nie ma gorliwości, nie ma miłości.
Tłumy ubogich zbiegały się do niego, jak
pszczoły do ula.

(Boland. Aredii vita proluxior).

Bogaty dla ubogich, dla siebie ubogi.

(Rome. św. Sabina.)

Drugie przykazanie miłości miało to samo znaczenie dla ks. Vianney co pierwsze, bo on Boga kochał w swych bliźnich. Z takiej miłości Boga rodziły się znane nam cuda. Gdy Chrystus rzeczywiście żyje w sercu, pobudza je do czystej i gorącej gorliwości o dobro dusz, a ta się objawia w najpowszedniejszych stosunkach z bliźnim. Dobroć Proboszcza z Ars, dla wszystkich równa, płynęła z najczystszej miłości bliźniego i pobudzała go do wielkiego poświęcenia.

Ta dusza tak szlachetna i wierna, nie zrażała się wadami i słabościami innych: zniżał się do poziomu ich, wymawiał je, spodziewał się ich naprawy, licząc na niewyczerpane miłosierdzie Boże. W nieustannej pracy około dobra dusz, nie tracił skupienia, ani szczerości intencji i zawsze umiał wybierać to, co Bogu było miłsze. Taka siła ducha jest oczywistym wynikiem szczerzej miłości Boga, co łączy człowieka z Bogiem, oddaje go bliźnim uświęconego i poświęcającego się w tysiącnych uczynkach.

W nocy zamiast wypoczynku zażyć, święty nasz Proboszcz najwięcej cierpiał na ciele i na duszy. Przyznawał, że często i jednej godziny nie spał spokojnie. Bóg wysłuchał jego prośby, aby mu dał dużo cierpieć, dniami za nawrócenie grzeszników, nocą za dusze zmarłych. Gorączka go trawiła na tém nędzném jego łożu; kaszel nieu-

stanny rozrywał mu piersi; co kwadrans wstawał umęczony i potem zlany; już też tylko w chodzeniu szukał ulgi w męczarniach. A gdy wreszcie cierpienie trochę ustawało, gdy wreszcie, znużeniem pokonany, byłby może usnął, to siedemdziesięcioletni ten starzec heroicznym wysiłkiem zrywał się i wesoło śpieszył do długiej i uciążliwej pracy. Tak był wszelako zbolały i tak osłabiony, że zaledwo się włókł, chwytając się to ścian, to sprzętów, żeby nie upaść. Któż na jego miejscu nie byłby uległ pokusie, żeby wypocząć choć kilka minut dłużej? Jemu nawet na myśl nie przyszło, bo tam u drzwi jego czekały dusze w pętach grzechowych, które wzdychały za chwalebłą wolnością dzieci Bożych. Miłość ku nim, pragnienie ich zbawienia, porywały go do poświęcenia tak, że mu każde było łatwe. Gdy zaś już zasiadł w konfesyonale, Pan mu dawał potrzebne siły do całodziennej pracy. Rzec można, że nieustannie wzdychał nad utratą dusz. „O mój Boże, mówił do kogoś, czyż to podobna, Tyś tyle wycierpiał dla zbawienia dusz, a te dusze stają się pastwą szatana! — Trudno wypowiedzieć, jakie zadawał sobie pokuty za grzeszników. Raz sam powiedział: „Nie wiem, czy to był rzeczywisty głos, czy sen tylko, alem się obudził, a tu głos mi powiedział, że wyrwać duszę z grzechu, jest Bogu rzecz miłsza nad wszystkie ofiary, a był to czas, kiedy zamierzałem sobie różne pokuty.“ — Wnosiliśmy z tego, że Bóg tym nadprzyrodzonym głosem odwiódł go od nadzwyczajnych pokut, które byłyby do reszty wyczerpały siły jego.

Często odprawiał nowenny za zatwardziałych grzeszników; ustanowił fundusz na Msze za nich i wszystkim zalecał modlitwy za nich, jako rzecz wielce Bogu miłą, a to, iżby śmierć i męka Zbawiciela nie była dla nich daremną. Mówił: „Największa to boleść dla Serca Jezusowego, że tak wiele dusz traci na zawsze zasługi Jego męki... Módlmy się więc za nawrócenie grzeszników: to najpiękniejsza i najpożyteczniejsza modlitwa. Sprawiedliwi bowiem są na drodze do nieba; dusze czyścowe są także pewne, że do niego wnijdą... Ale biedni grzesznicy... biedni grzesznicy!... Los niektórych już się rozstrzyga — niekiedy jedno Ojciec nasz lub Zdrowaś, mogłoby ich

uratować... Ach! ileż dusz możemy modlitwami naszymi nawrócić! Kto piekłu wydziera duszę i zbawia ją, ten zarazem zbawia i swoją własną. Wszelkie nabożeństwa dobre, ale najlepsze ratować dusze.

Razu jednego św. Franciszek z Asyżu modlił się: Panie! miej miłosierdzie nad biednymi grzesznikami! Pan Jezus mu się ukazał, mówiąc: Franciszku! woła twoja zgodna z moją. Gotów jestem udzielić ci wszystko, o co prosisz. Św. Koleta prosiła o nawrócenie tysiąca grzeszników, i po namyśle przeraziła się swoim zuchwalstwem, lecz Matka Bozka ukazała jej się wraz z tysiącem dusz, które była nawróciła swojemi nowennami. — Można się oddać Bogu w ofierze na tydzień lub dwa za nawrócenie grzeszników. I wtedy można cierpieć zimno czy gorąco, odmówić sobie czegośkolwiek, odmówić sobie widzenia się z osobą miłą, odprawić nowennę, słuchać przez cały tydzień Mszy św. na tę intencją, a mianowicie w miastach, gdzie łatwiejsza sposobność wysłuchać Mszy św. Ci, co mają szczęście często komunikować, mogą ofiarować przez całą nowennę Komunie św. Taką praktyką nietylko przyczyniamy się do chwały Bożej ale nadto zyskujemy dla siebie obfite łaski.“

Pewien kapłan, który się skarżył, że nie może naprawić swoich parafian, spytał ks. Vianney: Modliłeś się za nich, płakałeś, jęczałeś, wzdychałeś za nimi. Ale czy też pościłeś, czuwałeś, sypiałeś twardo, biczowałeś się za nich? Póki tego wszystkiego nie uczynisz, nie mów, żeś wszystko wyczerpał.

„Ks. Proboszczu, zapytał go raz misyonarz, gdyby ci Pan Bóg dał do wyboru, albo w tej chwili iść do nieba, albo dalej pracować nad nawracaniem dusz, cobyś wolał? — Zdaje mi się, że wolałbym zostać. — Ach, księżo Proboszczu, czyż to podobna? święci tak szczęśliwi w niebie, nie znają już ani pokus, ani nędz żadnych... — To prawda, odparł z anielskim uśmiechem, ale święci już nic nie dorabiają, żyją dorobkiem dawnym. Dobrze pracowali, skoro Bóg pracę ich nagradza, ale już nie mogą tak jak my, wielbić Boga poświęceniem się dla zbawienia dusz. — Czybyś ks. Proboszcz pozostał na ziemi, aż do skończenia świata? — I owszem. — Ależ miałyś ks. Pro-

boszcz dużo czasu przed sobą, czy wstawałbyś równie wcześniej jak teraz? — Wstawałbym również o północy, mój drogi, trud mnie nie przeraża. . . Byłbym najszczęśliwszy z księży, gdyby nie myśl, że przyjdzie mi stanąć na sąd Boży z nędzném mém życiem proboszcza.“
Gdy to mówił, rzęsiście łzy twarz mu zalewały.

Po grzesznikach ubodzy najwięcej zajmowali myśl ks. Vianney; kochał ich już dla tego, że ich Chrystus Pan umiłował: a nadto dobrocią, uszanowaniem i pocieszającemi słowy chciał im wynagrodzić nędzę, jaką cierpieli i pogardę jakiej najczęściej biedni od ludzi doznają. Mógł ich zawsze hojną dłonią wspierać z wspaniałych datków, jakie na ręce jego składali bogaci, którzy również po pociechę w swych smutkach i cierpieniach do Ars przybywali. Był miłosierny nie tylko dla tych, co nędzą swą poruszają serca, umiał zabołec i nad nędzą tych, co wstydząc się jęj, ukrywają ją przed ludźmi kosztem krwawych nieraz ofiar i łez krwawych. Wiedział jak straszna ta boleść, której nikt nie podzieli, jak gorzkie te łzy, których miłosierna ręka nie otrze. Z największą delikatnością starał się wy badać położenie tych nędzarzy wstydlivych, a poznawszy ich potrzeby, utrzymywał całe rodziny podupadle. — Raz, gdy mu wierzyciel nie chciał oddać swego długu, twierdząc że ksiądz pieniędzy nie potrzebuje, św. kapłan zdradził się z tém, ile ma rodzin na swoim koscie, mówiąc z dobrocią: „Zdaje mu się że nie potrzebuję pieniędzy, a przecież teraz na św. Marcin muszę zapłacić za trzydzieści pomieszkań.“

Świat po swojemu czyni jałmużnę, dumą upokarzając obdarzonego; zapomina, że jeśli jałmużna zobowiązuje do wdzięczności tego, co ją odbiera, zobowiązuje podobnie do miłości tego, co ją daje. Według pojęć wiary, ubogi, przyjmując chleb z ręki bogatego tak, jak przyjmuje światło z ręki Boga, zaszczyca swego dobroczyńcę, bo ubóstwo jest rzeczą świętą. „Jakżeż jesteśmy szczęśliwi — mawiał ks. Vianney — że ubodzy przychodzą do nas; żeby nie przychodzili, musielibyśmy ich szukać, a do tego nie każdy ma czas.“ — Gdy ubogi pukał do drzwi jego, zamiast rzucić mu kawałek chleba, sam wychodził do niego; rozmawiał z nim, do jałmużny pieniężnej dołączając jałmużnę pociechy, zachęty do dobrego. — Mawiał często: „Są ludzie

co czynią jałmużnę dla popisu, aby ich drudzy chwalili i podziwiali... Niektórym się zdaje, że ubogi nie dosyć im dziękuje. To nie dobrze!.. Jeśli dla świata czynisz jałmużnę, nie dziw że się skarżysz, ale jeśli dla samego Boga obojętną rzeczą czy ci dziękują czy nie. Czynimy wszystkim tyle dobrego, ile tylko w naszej mocy, ale nagrody oczekujemy tylko od Pana Boga. Czyniąc jałmużnę, myślmy zawsze, że nie ubogim, lecz samemu Panu Jezusowi dajemy. Nieraz myślimy, że wspieramy biednego, a to nie biedny, lecz sam Pan Jezus. Święty Jan Boży mył zawsze nogi swym ubogim, zanim ich za stołem posadził. Jednego dnia spostrzegł, że jeden z ubogich ma nogi przebite. Podniósł głowę bardzo wzruszony i zawołał: „Panie, to Ty!“ A Pan Jezus mu rzekł: „Janie, miło mi patrzeć na twoją troskliwość o moich ubogich...“ i zniknął. — Albo co się stało świętemu Grzegorzowi, który codziennie do swego stołu brał dwunastu ubogich. Jednego dnia spostrzegł ich trzynastu, a gdy zwrócił na tego jednego uwagę sługi swego, tenże nie mógł się go dorachować. Wtedy święty zauważył, że ten trzynasty coraz się zmienia, to promieniał jasnością, to stawał się jako śnieg biały. Po obiedzie Papież wziął ubokiego za rękę i spytał go: Kim jesteś? — Jestem Aniołem. (Tu lzy polały się z oczu Proboszcza.) Pan Jezus mnie tu przysłał, abym się z bliska przypatrzył twemu obejściu z ubogimi. Gdyż to ja przedstawiam Bogu twoje modlitwy i twoje jałmużny. — Z tymi słowy Anioł znikł. Do dziś dnia pokazują w Rzymie ten stół, przy którym siedział anioł — Niektórzy mówią: Nie dam nic temu żebrakowi, bo na złe jałmużny mój użyje. — Niech robi z nią co mu się podoba; Bóg go osądzi według tego jak ję użyje; a ciebie, według tego, czyś mógł wesprzeć ubokiego, a nie wsparłeś. — Nigdy ubogimi nie należy gardzić, bo ta pogarda na samego Boga spada.“

Katarzyna Lassagne opowiada, że ks. Vianney sprzedawał swe meble, aby zadość uczynić dusznej swęj potrzebie dawania drugim. Nieraz wysoką cenę dostawał za znozione swe rzeczy od osób, którym każda pamiątka po nim była droga. Gdy się zaś już z wszystkiego ogołocił, sprzedał ostatni swój ząb, miłością, oną królową cnót pokonując tym sposobem pokorę, której się ten akt sprzeciwiał. Nie-

raz przyjaciele żartowali z jego dobroczynnych przemysłów; jeśli się ta rozmowa zbyt przedłużała, przerywał ją mówiąc: Mniejsza o to, byłem miał pieniądze dla mych ubogich. — Byłby z pewnością rozdał do ostatniej koszuli, gdyby mu zostawili bieliznę do dyspozycyi. Bywało tak zawsze, że dostarczano mu świeżej coraz to innej; używaną w tej chwili oddawał ubogiemu; toż działo się z jego rewerendą. — Raz, wracającego z Ochrony zaczepił żebrak boso z pokaleczonymi nogami: nasz Święty niezwłocznie zdejmując obuwie i oddaje mu je i zniżając się, by pod fałdzistą rewerendą zakryć bosc nogi, śpieszy na plebania. Innego dnia szuka po kieszeniach jałmużny dla ubogiego; nie znajdując w nich nic prócz chustki do nosa, oddaje mu ją, przepraszając, że nie ma nic lepszego. Ten rys przypomina św. Elżbietę, zdejmującą rękawiczki dla ubogiego. Później nie ruszył się bez grosza w kieszeni, aby nigdy jałmużny nie odmówić. Zdarzało się, że kazał w tłumie wyszukiwać żebraków, których nie dość hojnie obdarzył. — Zdybał złodzieja, który ukradłszy cynowe łyżki i widelce jakie zastał na plebanii, zabierał właśnie chleb sierót z *Opatrzności*. — Nietylko go nie ukarał, ale opatrzwszy sutą jałmużną, kazał mu uciekać, aby go policya nie przytrzymała. — Inną razą przestrzegł kobietę która mu 900 fr. ukradła, że ją żandarmi ścigają. — Inną wyznaczył roczną pensją, aby więcej nie kradła.

Dziwna jest własność miłosierdzia, że ono szczerego dawcy nie uboży, lecz przeciwnie majątku mu przysparza. Jak ocean odbiera wszystkie wody ziemi, że je niebu oddaje, tak serce i ręce Proboszcza z *Ars* były jako ocean. On, tak ubogi, nic nie posiadający, krom mizernych grzechów swoich, jak mawiał o sobie, wszystkich hojnością swoją wzbogacał. Złoto płynęło do niego z całego świata. Wystarczało mu zapragnąć sumy potrzebnej do jakiej fundacyi, by ją zaraz otrzymać; często zaś w sposób tak niezwykły, że nigdy nie zbadano, z kąd się niektóre pieniądze wzięły. — Zdarzyło się kilka razy, że już bogate to źródło wyczerpało się, lecz jak ks. Vianney zaczął suszyć głowę kochanym swoim Świętym, tajemniczy źródło znów się otwierał. Nieraz znajdował niespodzianie pieniądze w kieszeniach, w szufladkach, na stole,

a nawet w piecu. Gdy mu przyszła myśl fundacyi na cześć Serca M. Bożój, tak się do Niej modlił: „O Matko moja! jeśli Ci ta fundacya miła, daj mi pieniędzy na nią.“ — Tegoż dnia powiedział do Katarzyny: „Jaki Bóg dobry! znalazłem 200 fr. w moim stoliku.“ — A toć to cudowne pieniądze, odparła mu jedna z ochroniarek, trzeba z nich zachować parę talarów; kto wie, czy innych nie przyciągną. — Tak, tak, odrzekł Proboszcz, to pieniądze z nieba.

W zapiskach Katarzyny znajdujemy jeszcze ten szczegół: „Ks. Proboszcz powiedział nam dziś: Szczególniejsze miałem dziś zdarzenie, aż się śmiać było trzeba. Spostrzegłem, że mój worek coraz się rozszerzał: włożyłem doń rękę i wydobyłem całą garść talarów i jednego lujdora. Może je kto dał ks. Proboszczowi? — Nie wiem... ale zdaje mi się, że nie. Zresztą zdarza mi się to nie po raz pierwszy, wszakżeż i beczkę wina zastałem w mym sklepie, choć anim jój sam zaniósł, ani komukolwiek zanieść kazał. Im się jest uboższym z miłości Boga, tem się jest bogatszym w rzeczywistości.

Przez kilka dni, podaje ks. Tailhades, kazał Proboszcz odmawiać sierotom z Opatrzności nowennę do Najśw. Panny, do św. Józefa i do św. Jana Chrzciciela o rzecz ważną. W ciągu nowenny rzekł im: Mam kłopot, bom winien przeszło trzy tysiące franków... Oj! nie trzeba się wdawać w długi! — Oh! bądź ks. Proboszcz spokojny, pocieszałem go, Pan Bóg temu zaradzi. — Nazajutrz spotkał mnie i rzekł na prędce: Odchodzę, bo muszę porachować pieniądze. — Nie śmiałem go wypytywać i iść za nim; gdy w kilka chwil potem sam do mnie wrócił rozradowany: Widzisz! są pieniądze, i bardzo wiele pieniędzy!... Byłem niemi objuczony, a tak mi ciężko, że zaledwo mogłem ująć, aż rękami przytrzymać musiałem me kieszenie; wstyd mnie było, i bałem się, aby mnie kto nie widział. — No, to się teraz ks. Proboszcz przekonuje, że P. Bóg chce, aby tu pozostał skoro cudami przychodzi mu w pomoc. — O! to co Bóg tu czyni, mógłby wszędzie uczynić. Gdzie św. Wincenty się ruszył w sprawie swych fundacyi, Opatrzność Boska szła wszędzie za nim.

— Ale ostatecznie, gdzie ks. Proboszcz znalazł te pieniądze?

— No, znalazłem je gdzieś... Ale i dziś rano jakaś pani dała mi całą garść talarów. — Niechże mnie ks. Proboszcz nauczy, jakim sposobem czynić takie cuda? Na to zapytanie spoważniał, a nie dając mi wprost odpowiedzi, rzekł: „Mój przyjacielu, nie tak nie mięsza szatana i nie tyle łask Bożych nie ściąga, jak post i czuwanie. Gdy był sam i mógłem do syta to czynić, otrzymywałem wszystko... Tu wybuchnął płaczem: „teraz już nie mogę tak długo wytrzymać bez jedzenia; mówić nie mogę z osłabienia.“

„Dzisiaj, 2 listopada, pisze dalej ks. Tailhades, ks. Proboszcz powiedział mi uradowany: Znowu znalazłem pieniądze; wczoraj powiedziałem M. Boskiej: „O moja najmiłsza Matko, jeśli Ci miłe nabożeństwo do Twego Niepokalanego Poczęcia, daj mi pieniędzy na fundacyą, którąbym pragnął uczcić najświętsze Twe Serce.“ Dziś z rana znów powtórzyłem tę prośbę, dodając: Daj mi te pieniądze dziś do wieczora; bo gdybym je później otrzymał, nie byłyby już dla ciebie. — Na to jakaś osoba przyniosła mi trzysta franków. Powiedziałem jej, że to za wiele, że dwieście przyjmę chętnie.“ W dwa dni potem powiedział mi: „Przyszła mi znów myśl założyć inną fundacyą na cześć pięciu Ran Pana Jezusa, za nawrócenie wszystkich grzeszników z dyecezyi. Muszę to rozważyć przed Bogiem, i jeśli mi da znak, że mu ta fundacya miła, zajmę się nią. O fundusz nie się nie troszczę: Pan Bóg bogaty, potrafi mi ich dostarczyć. Ale co też Biskup powie na te wszystkie fundacye? Będą i dla księży i dla wiernych i dla wszystkich. No, wtedy spodziewam się że mnie puści; a w mojej samotni jeszcze będę pracował i będę pożyteczny za pomocą tych dzieł. O! jakże się będę modlił, gdy będę na samotności! Coś mi mówi, że będę bardzo szczęśliwy.“ „Ale po czemże ks. Proboszcz pozna wolę Bożą, badałem go dalej. — Błysnął mi jakby promyk słońca... każę sierotkom odmówić nowennę i przy Mszy św. przedłożę Panu mą intencyą. Zwykle przed ósmym dniem już wiem czego się trzymać. — Więc ks. Proboszcz prosi Boga o jaki znak? — Tak mówię zwy-

kle: Boże mój! jeśli chcesz tego odemnie, daj mi poznać Twą wolę po tym a tym znaku. Robię jak Gedeon, dał śmiejąc się, stawiam warunek i jeśli ten się spełni, poznaję wolę Bożą i coprędzej biore się do rzeczy.“

Ks. Vianney nie szukał wielkich tego świata; ale gdy oni do niego przychodzili, czynił ich swymi skarbnikami, opiekunami dzieł swoich. Był szczęśliwy że daje im sposobność wzbogacenia się przez ofiary dla Pana Boga. Tym sposobem całej okolicy pozostawił pamiątki swych dobrodziejstw. Nieskończony spis jego fundacyi: a wieleż to uczynków i dzieł jego zostało w ukryciu że nikt o nich nie wie! Jednego dnia wraz z ks. Toccanier zastaliśmy go rozpromienionego i o ile sobie przypominam, był to jedyny dzień, kiedy nie widziałem aby płakał. — Co ks. Proboszcz tak uradowany? zapytałem go. — Trudno się nie cieszyć, mój drogi. Odkryłem dzisiaj, że mam dwa kroć sto tysięcy franków. A co lepsza, kapitał ten umieszczony w najpoważniejszym w świecie banku, po bardzo wysokim procencie. Pożyczyłem trzem najbogatszym osobom jakie być mogą. — Nie zrozumieliśmy téj zagadki, i zapytaliśmy o nią brata Hieronima, który w miejsce odpowiedzi podał nam spis fundacyi. Fundusz przeznaczony na same tylko misye w dyecezyi wynosił dwa kroć sto tysięcy franków. Prócz tego Proboszcz z Ars ufundował przeszło 1,000 Mszy corocznie, za 4,000 fr. Ciekawą rzeczą będzie dla czytelnika przejrzeć niektóre jego intencye. Są tak rzewne i pobożne, tak pięknie świadczą o tym Świętym! Oto niektóre: Na cześć świętego Człowieczeństwa Pana Jezusa i na wynagrodzenie za zniewagi wyrządzone Mu w Sakramencie Jego miłości; na cześć pięciu Ran, za nawrócenie grzeszników; na cześć bolesnego Jego konania w Ogrójcu, za nawrócenie konających. Na cześć Ducha św. o rozkrzewienie Wiary św. wśród niewiernych. Na cześć Serca Matki Boskiej o Jój opiekę nad Misyami, które niosą światło Wiary ludom pogańskim. Na cześć Serca Maryi, o Jój opiekę nad duchowieństwem z dyecezyi Belleyskiej. Na cześć dwunastu darów N. Panny, o Jój opiekę nad przystępującymi do Sakramentu Pokuty św. — Na cześć M. Boskiej Bolesnej, o Jój opiekę nad umierającymi. — Na podziękowanie Bogu że uchronił N. Pannę

od grzechu pierworodnego; na wysławienie Ducha św. za cześć oddaną Jego Oblubienicy przez dogmat o Niepokalanem Poczęciu i na uproszenie opieki Maryi Dziewicy nad dziećmi przed ich urodzeniem, aby wszystkie doszły do łaski Chrztu św.

Inne Msze ufundowane na intencye szczegółowsze; niektóre na cześć św. Filomeny za pewne wymienione parafie; za dobrodziejów Proboszcza itd. Dusze zmarłych mają w nich nie skąpy udział.

Ks. Vianney tak znał swą hojność, że musiał się strzedz, aby nie rozdać pieniędzy przeznaczonych na Msze św. Oddawał je pod opiekę zaufanej wdowy, mówiąc jej: „Moja Klaudyno, schowaj je tylko dobrze. A przedewszystkiem strzeż się Proboszcza z Ars; gdyby on ci o nie mówił, odmów mu.“ — Pewien ksiądz, który budował kościół i wiecznie z tego powodu był zakłopotany o pieniądze, zapytał go raz: „Naucz mnie ksiądz Proboszcz twego sekretu, przydałby mi się, bo mój kościół zostanie nie wykończony. — Mój przyjacielu, sekret mój bardzo prosty: Wszystko oddać a nic nie zatrzymać. — Taką radę dawała w Paryżu Siostra Rozalia, która twierdziła, że trzeba ciągle dawać jedną ręką, aby wiele odbierać drugą. — Święty nasz, działając w swjej szczerobliwości w duchu wiary, cieszył się niezmiernie, że płata tem figle szatanowi a „Grappin“ — mówił on — wścieka się gdy widzi, że te pieniądze których on używa na zepsucie i na zgubę dusz, my obracamy na ich zbawienie.“

ROZDZIAŁ VI.

Pokora ks. Vianney. — Jego ubóstwo.

„Najdziwniejsza to, że w pośród tylu wielkich rzeczy dokonanych i wycierpianych, utrzymywał się w doskonałej pokorze.“

(*Św. J. Chryzost. Hom. do Kor.*)

„Któręj nikt podobnie jak śmierci z chęcią drzwi nie otwiera, z tą się połączył i potem z dnia na dzień goręcej ją miłował. Ona, wdowa po pierwszym mężu, przez tysiąc i sto lat i więcej nieznaną i opuszczoną, aż stanęła u boku jego.“

(*Dante O Raju, r. XI, o mistycznym małżeństwie św. Franciszka z cnotą ubóstwa.*)

Pozostaje nam mówić o trzech najznamienitszych cnotach Proboszcza z Ars. I choć jego pokora, ubóstwo i umartwienie, jedno z drugim splecione, stanowiły tło naszego opowiadania, nie możemy złożyć pióra, żeby ich nie uwydatnić jeszcze w pojedynczych szczegółach.

Kto nie znał Proboszcza z Ars, mógł naprawdę pomyśleć, że tak dokoła niego dziejące się cuda, jako i sława i uwielbienie co go otaczały, zapewne były mu powodem a co najmniej pokusą do wielkiej pychy i zarozumiałości. Boć nie łatwą rzeczą być pokornym wśród tak głośnych oznak czci powszechniej. Raz, gdyśmy w jego obecności poruszyli tę myśl, on z niewymownym smutkiem podniósł oczy w niebo i zawołał: O! mój drogi, gdyby mnie przynajmniej pokusa rozpaczy nie nagabywała. — Skupienie, ciągle nad sobą czuwanie, zjednoczenie z Bogiem chroniły go od wszelkich zwrotów ku sobie w pośród tego uwielbienia, którego uniknąć nie mógł. Pograżony niejako w pokorze, widział jasno swą nicość, czuł głęboko swą nędzę; dla tego, gardząc sobą, wśród sławy nie doznawał poru-

szeń miłości własnej; przeciwnie, pochwały do t \acute{e} m gł \acute{e} bszego doprowadzały go uniżenia się, do t \acute{e} m większej pogardy dla siebie i dla swych grzechów; a ta pogarda była mu znów bodźcem do coraz większej pokuty i do coraz większego wyniszczenia się. Tak się ubiegał o ukrycie się jak inni o sławę i zaszczyty u ludzi. Wolał być pokornym niż chwalonym. Trudno było wyczytać w jego twarzy jakieś zakłopotanie wywołane miłością własną, jakieś poruszenie uczucia radości czy obawy, spowodowane próżnością. On zamarł sobie, więc już nic osobistego nie poruszało jego duszą; czy go kto chwalił, czy ganił, on zawsze był zadowolony.

„Jednego dnia odebrałem dwa listy — opowiadał; w jednym z nich wynoszono mnie jako wielkiego świętego, w drugim nazywano obłudnikiem i szatanem... Pochwała nie mi nie dodała, nagana nie mi nie ujęła. W oczach Boga jestem tem czem jestem i nic więcej.“ Inną razą mówił: „Pan Bóg wybrał mnie na narzędzie do udzielania swych łask grzesznikom, bom jest najciemniejszy i najnędzniejszy z wszystkich księży. Gdyby był w dyecezyi inny ksiądz większy nieuk i jeszcze mniej wart odemnie, byłby jego Bóg wybrał.“

W tych słowach wyraża się duch św. Franciszka serafickiego, z którym nasz Proboszcz miał wiele podobieństwa. Jednego dnia brat Maseo, którego św. Franciszek nazywał owieczką Pańską, dziwił się, że wszyscy za nim biegli. „Winienem to spojrzeniu Najwyższego, odparł święty. On, który na każdym miejscu spogląda na złych i dobrych, gdy nie znalazł nędzniejszego i podlejszego grzesznika nademnie, ani istoty coby godną była większej pogardy, chcąc w słabości ludzkiej uczynić dziwy mocy swojej, mnie wybrał na poniżenie wielkości i siły, i piękności i mądrości tego świata.“

Ks. Vianney przeszedł rozmaite stopnie pokory, aż doszedł do doskonałej wzgardy siebie. Pomiedzy wszystkimi stworzeniami Bożemi nie widział podlejszego od siebie. Choć każdy czuł się wielce swobodny w rozmowie z nim, każdy miał tę jedną obawę, aby nie wymówić słówka obrażającego jego pokorę. Ks. Vianney stósował do siebie to, czego tak często nauczał: Jeśli kto źle o to-

bie mówi, mówi prawdę; jeśli ci grzeczności, pochwały prawi, wyśmiewa się z ciebie. A co lepsze, przestroga czy kłamstwo? co wolisz, czy aby do ciebie mówiono poważnie, czy aby z ciebie żartowano. Pod tym względem był tak drażliwy, jak na grzech drażliwe jest dziewicze serce. Dusza bowiem podobnie jak ciało ma swoją wstydlivość, i nie może znieść, aby jej się ciekawe przyglądały oczy. Trudno wypowiedzieć, jakim udręczeniem dla św. Proboszcza było, gdy nieustannie na każdym kroku śledziły go liczne tłumy. Nieraz plakał z wielkiej przykrości. Pod koniec jego życia, gdy się ukazała jego biografia, rzekł do autora: „Wy chyba na tém skończycie, że mnie na jarmarku sprzedawać będziecie.“ — Byłby wolał, aby go różgami sieczono, niż usłyszeć pochwałę swoją. Gdy mu prawiono jakie słowa pochlebne, odpowiadał na nie krótko i pokornie, a z wyrazu jego twarzy łatwo było można poznać, jak go dotkliwie dotykały. Biskup Devie zapomniał się raz i nazwał go swym świętym Proboszczem. Ach! jakem ja nieszczęśliwy, zawołał z największym żalem, kiedy nawet i Biskup mylił się co do mnie... widać ze mnie straszny obłudnik. Nieraz się zdarzało, że coprędzej wychodził z ławki i zamykał się w zakrystyi, gdy go kaznodzieja choć najmniej pochwalił. — Ks. Vianney nigdy pierwszy o sobie nie mówił. Zapytany, odpowiadał tak krótko i skromnie, a przy tém wyrażał się z taką pogardą o sobie, że nie śmiano go dalej badać. — Wychwalał raz jednego z duchownych, wyrażając się, że jest w nim coś z orła i jaskółki. — A co jest w księdzu Proboszczu? zagadnął go ktoś. — No, we mnie... do utworzenia Proboszcza z Ars wzięto chyba gęś, gułę i raka. — Misyonarz, któremu Proboszcz dziękował, że przybył im z pomocą duchowną, wymawiał mu się, że niema weale zasługi, gdy mu w pracy dopomaga, gdyż czuje się szczęśliwym, iż może żyć przy nim. — O mój drogi, Proboszczu, mu na to, — gdyś ty tu jest, to jeszcze idzie jako tako, ale gdy ja tu sam, to nie nie wart. Jestem jak to zero, które o tyle ma tylko wartości o ile za innymi liczbami stoi... Jam już za stary, jam do niczego. A kiedy Misyonarz odparł: Proboszczu, jesteś wiecznie młody, mło-

dością serca i duszy; nasz święty odrzekł pokornie: Prawda, mógłbym powiedzieć jak ów święty, którego o lata życia pytano, iż żyłem zaledwie dzień jeden.

Ks. Vianney tak lubił się uniżać, że mówiąc o sobie, do wszystkiego przydawał przymiotnik: biedny lub nędzny. Biedna moja dusza, nędzny mój trup, nędzne grzechy moje. Zawsze był gotów wyznawać swe winy; podług niego życie by mu nie starczyło, aby je opłacać. I w rzeczy samej, z pokory płakał nieustannie nad swoją ułomnością i głupotą, jak się wyrażał o sobie. Jedynie ufność w Bogu ocierała te łzy jego; nią przepełniony rzucał się w Jego objęcia z całą przepaścią swojej nędzy i niemocy. „Jakżeż Bóg dobry — mawiał często, że cierpliwie znosi wielką moję niegodziwość!“

Dziwną się wydaje, że człowiek tak wysokich cnót mógł się tak potępiać; — lecz przypomnieć trzeba, że dusze doskonale im więcej zbliżają się do Boga, tem więcej nabywają przy Nim światła i tem jaśniej rozpoznają wielkość i świętość Boga — a w przeciwstawieniu, tem głębiej widzą własną niegodność; im serce czystsze, tem łatwiej odkrywa najmniejszy proch na sobie. Ztąd sprawiedliwi i doskonali, jakkolwiek niewinnie, wszelako z najgłębszego przekonania wyrażali się o sobie z największą pogardą. Św. Teresa, żyjąca w Kastylii, przypisywała sobie przyczynę zaburzeń wywołanych w Niemczech przez Lutra. Św. Bernardowi ciągle się zdawało, że go ziemia pochłonie, i prosił Boga, aby za niego nie karał wsi, przez które przechodził.

Pięknie jest mówić w ten sposób o sobie, ale pod warunkiem, że się mówi z przekonania. Najlepszą zaś próbą szczerości będzie, czy nam miło, gdy i ludzie podobnież o nas sądzą i mówią. Zauważono, że ks. Vianney szczególnie był serdeczny dla osób, które go sądziły, ganiły i potępiały. Kochał je tak, jak święci krzyże swe kochają. Tak szczerze wierzył, że wszyscy mają prawo pogardzać nim, iż się naprawdę martwił, jakoby nim nie dość gardzono. Szczerze prosił Misyjonarzy, by mu zwracali uwagę na jego usterki; i skarżył się, że tego nie czynili. — Pokorny człowiek czuje się godnym zarzutów i złego obejścia; najmniejszy dowód dobroci czyjś rozbudza w nim poczucie

jego niegodności. To też trzeba było widzieć z jak żywą wdzięcznością ksiądz Vianney dziękował za najmniejszą przysługę.

— Co trzeba, aby Boga kochać, — zapytano go raz. — Ach! mój przyjacielu, pokory! pokory! Tylko pycha nie pozwala nam być świętymi. Pycha jest ogniwem wszystkiego złego, pokora ogniwem wszystkich cnót. Z prawdę, trudno pojąć, że takie lichy stworzenie, jak my, może się pysznić. (Tu się rozplakał). Szatan ukazał się raz św. Makaremu uzbrojony w bicz i powiedział mu: Cokolwiek ty robisz i ja robię; ty pościsz, i ja nigdy nie jem; ty czuwasz, i ja nigdy nie śpię. Tylko jedną rzecz pełnisz, której ja nie mogę. — I cóż takiego? — Upokorz się — odpowiedział szatan i znikł... Tak mój drogi, przed niektórymi świętymi szatan uciekał, gdy tylko wymówili: Jam bardzo nędzny!

Otóż kilka myśli sługi Bożego o pokorze.

„Pokora to tak, jak waga, im więcej się kto uniaza z jednej strony, tem wyżej idzie z drugiej.

„Przyjaciołmi naszymi są ci, co nas upokarzają; nie zaś ci co nas chwala. — Pytano raz świętego, która z cnót jest pierwszą? Odpowiedział, że pokora. — A drugą? — Pokora. — A trzecią? — Pokora!

„Nigdy nie zgłębimy całej przepaści nędzy naszój. Aż dreszcz przechodzi pomyśleć o niej! Bóg daje nam zaledwo maleńkie o niej wyobrazenie. Gdybyśmy się znali, jak On nas zna, nie moglibyśmy żyć; umarlibyśmy ze strachu.

„Święci lepiej się znali, niż inni ludzie; dla tego byli pokorni. Upokarzali się bardzo, widząc, że Bóg przez nich czyni cuda. Św. Marcin był wielkim świętym, a miał się za wielkiego grzesznika. Swoim grzechom przypisywał wszelkie zło, jakie się działo za jego czasów.“

Jak inni święci, tak i ks. Vianney widział jasno, że jedyny skarb serca w wyrzeczeniu siebie; że ofiara z siebie Bogu uczyniona nie niszczy, ale ożywia, przeszkody usuwa i zrywa więzy krępujące duszę, i tem wyżej podnosi do rzeczy wiecznych. Ks. Vianney zrozumiał znaczenie słów z Ewangelii: »Kto strzeże duszy swój, ten ją gubi; a kto ją gubi, ten ją zbawia.« On prawdziwie zatracił siebie,

by się odnaleść w Bogu; i dla tego wszystko zyskał: gdyż, »Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem oni odziedziczą ziemię« — oni zapanują nad tym światem, za którym się nie ubiegają, którym gardzą.

W wieku tak zmysłowym, gdzie wszyscy za używaniem dążą, Proboszcz z Ars poznał i wyraził to z uczuciem głębokiej zgrozy, że materya ciała, zmysły, zmysłowe używanie wrogo stoją naprzeciw Bogu. On coraz więcej wyzwał się z potrzeb ciała. Nie spał i nie jadł; unikał wszystkiego, co teńnęło wygodą; tak dalece nie potrzebował, że się nieraz zdawać mogło, jakoby był raczej duchem, niż istotą z ciała i z krwi. Zapewne Bóg zamierzył mu wynagrodzić jego zamiłowanie ubóstwa od lat dziecięcych tem, że od chwili, gdy wyszedł z domu rodzicielskiego, żył zawsze z dobroczynności. Czy w Ecully, czy w Noës, czy w Ars, wszędzie znajdował opiekunów, co się mieli za szczęśliwych, że mogli się przyczyniać do jego utrzymania. Ognisko jego kuchni stało puste i zimne; w całej plebanii jedyna jego sypialnia była jako tako umeblowana i to sprzętami pożyczanemi. Po dziś dzień oglądać można pokój ten, jak był za życia naszego świętego: ciemny, zadymiony, o dwu oknach bez firanek; kilka obrazów świętych, lub wizerunków biskupów na ścianach, z których strzępy obicia opadają. Naprzeciw drzwi pulki ze starymi książkami, w przeciwnym rogu stara szafa, w której szuflady składał zapasy krzyżyków i medalików, na środku mały dębowy stolik. — Wchodzącego do tego pokoju przejmowało głębokie wrażenie, jakieś uczucie poszanowania, z jakim się przekracza próg przybytku świętego. Boski w rzeczy samej był to przybytek pokory, pokuty i wszystkich najwyższych cnót. Tu było światło dla rozumów, nauka dla serc: sam widok tego dobrowolnego ubóstwa, tego wykluczenia rozmyślnego wszelkiej wygody nawracał dusze. Widzieliśmy tu grzeszników padających na kolana i zalewających się łzami.

Pieniądze płynęły do ks. Vianney jedynie dla tego, że sobie z nich nic nie robił; nie uważał ich ani za cel, ani za środek; wiedząc, że temu, co szuka królestwa Bożego, ta reszta w nadmiar przydana będzie. Pieniądz był dla niego po prostu narzędziem apostołowania; innego użytku.

grosza nie lubił. Zdarzyło mu się raz spalić przez nieba-
czność list zastawny dość znacznej wartości. Gdy nad tem
ubolewano, on odpowiedział: »Mniej w tem złego, niż gdy-
bym był popełnił najmniejszy grzech powszedni.« Inną razą
jakaś pani, co dała mu sto franków na intencją swego
zdrowia, kiedy nie odzyskała go, przyszła doń żądając
zwrotu onych pieniędzy. »I ks. Proboszcz oddał je?« —
zapytał ktoś, komu to zdarzenie opowiadał. — »Oczywista,
— odpowiedział. — Ale szczęście, że mi ktoś przed chwilą
ofiarował sto franków; poszedłem po nie i oddałem jej. —
I nie jej ks. Proboszcz nie powiedział? — Broń Boże!«

Proboszcz z Ars był bezinteresowny nawet w dobro-
czynnych sprawach, jakie podejmował. Gdy mu raz dobro-
czynna osoba ofiarowała pieniędzy na jego fundacye, on
jej odpowiedział: »Zachowaj je pani, masz u siebie wielu
potrzebujących wsparcia.« — Katarzyna osądziła za rzecz
konieczną kupić mu nową fajansową filiżankę w miejsce
starzej glinianej. Zbytek ten wystraszył świętego; coprędzej
pozbył się filiżanki, mówiąc: »A czyż nie będzie można
przeprowadzić ubóstwa we własnem swem gospodarstwie!«
Był to jeden z ostatnich rysów życia jego.

ROZDZIAŁ VII.

Umartwienie, łagodność i cierpliwość ks. Vianney.

„Albowiem jeśli podług ciała żyć będziecie, tedy pomrzecie; ale jeśli Duchem sprawy ciała umartwicie, tedy żyć będziecie.“
(*Do Rzym. VIII, 13*).

„Ten człowiek stał się duchem jakkolwiek obleczoney ciałem, ale w tej powłoce niema nic cielesnego, ani ziemskiego.“
(*Ś. Jan Chryz. Hom. XVIII w l. do Kor.*)

Gdy Chrystus Pan powiedział do Apostołów: »Nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz« (u Mat. X, 34) nie co innego miał na myśli, jak on miecz, którym uzbroił swój Kościół do walk duszy. Tłumaczą nam to dalsze Jego słowa: »Bom przyszedł rozłączyć człowieka.« (Mat. X, 35) czyli, przyszedłem umartwić, umorzyć, bo rozdział a śmierć prawie to samo znaczą. — »Umartwiajcież członki wasze, które są na ziemi« — pisze św. Paweł do Kolosensów w liście III n. 5, — albo do Koryntyan w liście IV, 10: »Zawsze umartwienie Jezusowe nosząc w ciele naszym; aby i żywot Jezusa w naszych ciałach był okazany.«

Niech się świat gorszy i naśmiewa, jak mu się podobą; to słowa są z Ewangelii i słowa, w których się streszcza cała religia chrześcijańska. Od dawna świat z oburzeniem się pyta: Po co umartwienie i surowość życia? — od dawna bada niepojętą dla niego tajemnicę miłości, i zarzuca fanatyzm tym pokutnikom, których umartwienie potępia jego uciechy i zmysłowy spoczynek. I równie dawno święci, nie zważając na zdanie świata, bezprzestannie ujarzmiają ciało, by wyswobodzić ducha. Zyskiem ich: zwycięstwo nad obawą i słabością, które wstrzymują na

drodze postępu większą część ludzi, i które ich samych byłyby wstrzymały na drodze do wielkich rzeczy. Gdyby ks. Vianney nie był się doskonale umartwił, nie byłby nigdy stał się tem, czem był; i nie byłby spełnił setnej części tego, co cudowne jego życie odznacza. Pokora i umartwienie były podstawą jego świętości, a siłą jego żywota.

Łaska i miłość Boża zakładają swe królestwo gdzie natura wyniszczona i gdzie zmysły umartwione. Nie znajdują Boga, którzy żyją życiem zmysłowem i rozrzucają się na wszystko, co ich otacza: On przychodzi z przedziwnymi swemi dary tylko do tej duszy, która Mu wszystko oddała i wszystko poświęciła. Aby się z Nim złączyć, umrzeć trzeba; bo, jak mówi Pismo św., nikt nie może żyć i widzieć Go. Tylko ci co są ukrzyżowani światu i których świat krzyżuje, zdolni są zatopić się w Bogu. Proboszcz z Ars pojął to tak doskonale, że serce i ducha i zmysły swe, wszystko umartwił. Można było powiedzieć o jego wielkiej duszy, że była samowładną panią swego ciała. On ciało swe nazywał trupem i jako z trupem się z niem obchodził; nie mógł znieść, aby go pytano o jego trupa. »Adamowi zawsze zanadto dobrze« — mawiał. — Cierpiał na wewnętrzne boleści bardzo dokuczliwe i prawie nieustanne; nie zważał atoli na nic: ani nawet dał po sobie poznać, że cierpi; chyba przypadkiem się zdradził.

Widzieliśmy, że od najmłodszych lat miał pociąg do pokuty; i tak się z nią zawczasu oswoił, że się stała największą potrzebą jego duszy. »Tylko pierwszy krok trudny na tej drodze, — mawiał; — gdy kto raz pozna słodycz umartwienia, żyć bez niej nie może, pragnie wychylić czarę do samego dna... Nie ma innego sposobu oddania się Bogu, jak zaprzeć się siebie i na nieustanne być gotowym ofiary. W tem ćwiczeniu człowiek oddaje się całkowicie, nie dla siebie nie zatrzymując. Cokolwiek się zatrzyma dla siebie, wszystko zawadza i przyczynia się do cierpienia... Nieraz sobie myślę, żebym się tak chciał wyniszczyć i zagubić, abym się tylko w Bogu odnalazł...«

To, co czytając o świętych zdaje się rzeczą niepodobną, i chyba zmyśleniem poetycznem, to ks. Vianney wypełniał, co do słowa. On tak żył w duchu pokuty, że

się stał żywą ofiarą, tem szczęśliwszą ze swego zjednoczenia z Bogiem, im częstsze się zdarzały sposobności, by nowemi dowody okazać Mu swą miłość. Dla umartwienia nie wachał kwiatka; nie pił, gdy go pragnienie paliło; nie spędzał muchy natrętnęj; znosił przykre wyziewy, jakby ich nie było; nigdy nie okazał wstrętu do rzeczy obrzydliwój; nigdy się nie skarżył na nic, co jego osobiście dotyczyło; nigdy nie siadał dla wygody; klęcząc, nigdy się nie opierał. — Choć był drażliwy na zimno, nigdy nic nie czynił, aby się go uchronić. Jeden z jego przyjaciół, widząc, że do krwi ściera sobie łokcie siedząc tyle godzin w konfesyonale, kazał mu go wybić małemi poduszczkami; skoro je święty pokutnik spostrzegł, poodrywał do ostatniój szmaty. A im więcej się dręczył, tem goręcej dusza jego pragnęła nowych cierpień. Bóg mu ich też nie szczędził.

W liście z roku 1840 znajdujemy o nim następujące wyrazy: »Widok cierpień naszego świętego Proboszcza serce rozrywa. I żal wielki i podziw nad jego wzniosłem a nieustającym poświęceniem ogarnia, patrząc na niego. Zawsze z równą gorliwością, z równą rezygnacją i z równą słodyczą znosi ścisk i natręctwo coraz to zwiększających się tłumów, proszących go o ostatnią radę, o ostatnie błogosławieństwo.

»Pytanie, czy do końca postu będzie jeszcze z nami odmawiał wieczorny pacierz, czy też ten zmęczony tu głos nie zanuci wkrótce wiecznego Alleluja w niebie? Nie-wiedzieć, czego wyczekiwać: tak święty nasz wydaje się słaby i wycieńczony. Lekarz twierdzi, że jest w nim zaród kilku ciężkich, a strasznie bolesnych chorób. Byłbyś się nad nim rozplakał wczoraj, gdy upadł z wielkiego osłabienia podczas pieśni wielkotygodniowój o krzyżu Pańskim vexilla. Zdawało mi się, że po raz ostatni wielbi ten krzyż, jedyną nadzieję swoją. Widać było po nim, że cierpi okrutnie; gdy w tem nagle podnosi się i głosem zmęczonym mówi nam gorąco o potędze modlitwy... Tłumy ludzi otaczają jego konfesyonale. Kościół dzień i noc przepelniony...«

Jednego dnia, pani des Garets, zauważywszy, że jęj święty Proboszcz dużo kaszle, posłała mu soku. »Cóż to

jest? — zapytał — odnieście to pani, i podziękujcie jej bardzo, i niech odmówi Ojciec nasz i Zdrowaś za swego biednego Proboszcza! — W czasie powrotu do zdrowia również nie chciał przyjąć konfitur, kazał je zanieść chorą kobiecie. Kilka dni przed tem uniósł się świętym gniewem, gdy z rozkazu dziedzica a patrona kościoła włożono mu materac i poduszkę w łóżko. Z oburzeniem wyrzucał te zbytki. Służąca, która wykonała rozkaz swego państwa, nie śmiała mu się pokazać; przywołał ją więc do siebie i przeproszał ją za swą szorstkość.«

Sam ksiądz Vianney opowiadał raz ks. Tailhades, że w czasie srogięj zimy marzły mu nogi i dodał: »Gdy wychodzę z konfesyonału, szukam rękoma, gdzie moje nogi; bo ich nie czuję. Chwieję się i wychodząc z kościoła, muszę się opierać o ławki i krzesła... Ba! w niebie będzie za to dobrze, ani myśleć o tem nie będziemy.« — Ks. Tailhades zapytał go, czy prawda, że się ofiarował Bogu na różne cierpienia za nawrócenie swych parafian. »Być może, — odparł, — żem przed kilku laty powiedział P. Bogu: „Daj mi Panie nawrócić parafią, a przyjmę na siebie wszelkie cierpienia, jakie Ci się spodoba na mnie zesłać.“ Inną razą powiedział: „Chętniebym najstraszliwsze boleści wycierpiał, gdyby Bóg raczył nawrócić moją parafią.“

Nieraz w naszej obecności rozmawiał wesoło; ze zwykłą sobie uprzejmością, i nie nie pokazując po sobie, że cierpi; gdy wreszcie pokonany wielkim bólem, nagle upadał na krzesło. Na nasze troskliwe pytania odpowiadał z uśmiechem: „Cierpię cokolwiek.“ — Nie znał wcale, co to jest oszczędzać siebie. Nieraz po całodziennęj ciężkiej pracy wezwany do jakiego kaleki, sam zgięty na dwoje i ledwo się wlokąc, szedł do mieszkania chorego na drugi koniec wsi.

Po takich trudach zaledwo trzy do czterech godzin przeznaczył sobie na spoczynek. Ale jakież to był ten jego spoczynek! Nikt nie śmiał go szpiegować; ale są pewne domysły, że święty Proboszcz, poświęciwszy dzień cały ludziom, w nocy szukał w Bogu pokrzepienia dla duszy i ciała. Wtedy to zapewne dobry Pan nasz setną lichwą odpłacał mu rozkosznem upojeniem, jaką obecność Jego przejmuje, za te uciechy, jakich dlań się wy-

rzekł; wtedy to zabierał go niezawodnie na łożo Swego Serca, aby mu dać wypocząć po trudach ponoszonych dla Jego chwały. — Ks. Vianney sam często przyznawał, że ani dwu godzin nie spał; a, że jedna godzina byłaby mu wystarczyła do dalszego marszu. Trudno sobie wyobrazić, jak cierpiał od letnich upałów, gdy, wyciągnięty na swem lichem łóżku, ledwo temu mógł dostać; kaszlał i cały się potem zalewał. Nieraz do pięciu razy wstawał na godzinę: tak był słaby, że na nogach stać nie mógł. Wychodząc z domu, kilka razy upadał z osłabienia w drodze do kościoła. Ale niczem się nie dał pokonać; zbierał swe siły i pracował dalej: można powiedzieć, że, im więcej upadał od znużenia, tem dzielniejszy okazywał się po chwili. Bóg mu udzielał cudownych sił, gdy było potrzeba, tak że mógł dosłownie powtórzyć za św. Franciszkiem Salezym: „Bóg tak dla mnie dobry, że raczy cowiedzór czynić cud dla mnie. Wieczorem niemogę się ruszać ani ciałem ani myślą, tak jestem znużony; a rano wstaję weselszy i raźniejszy, niż kiedykolwiek.“

Opowiedzieliśmy już o straszliwych umartwieniach ks. Vianney w pierwszych latach jego apostołstwa. Na uzupełnienie podamy tu jeszcze kilka rysów. Ks. Vianney jadł wtedy nie tyle, aby ciało swe przy siłach utrzymać, lecz aby go głodem nie umorzyć. Raz, gdy wrócił z kościoła ogromnie strudzony, zjadłszy kartofel, miał ochotę sięgnąć po drugą, pleśniejącą już na misie, ale wstrzymał się, mówiąc: „Pierwsza była dla potrzeby, druga byłaby dla przyjemności.“

Katarzyna opowiada, że nieraz, gdy miał już wziąć do ust jaki pokarm, nagle się zatrzymywał w głębokiej zadumie, jak gdyby w zachwycie. Ośmielała się budzić go zeń, zachęcając, aby jadł. Wtedy odpowiadał jej: Ach, Chrystus Pan powiedział, że inny jest pokarm!

Nietylko postem się trapił, lecz i innemi pokutami. Misyonarzowi wyznał, że sypia w sklepie, a gdy jeden bok mu zdrętwieje, przewraca się na drugi. Joanna Chaney i Katarzyna Lassagne odkryły w jego pokoju wiele narzędzi pokutnych: włosiennice, żelazne łańcuszki, powróż węzłowaty zakończony kulą z ołowiu, kilka żelaznych dyscyplin, które były błyszczące jak srebro od częstego uży-

cia. Na ich końcach były kawałki żelaza lub ołowiu. Widać do krwi biczować się niemi musiał, bo na bieliźnie jego ślady pozostały.

Pewna osoba, która wyjątkowym wypadkiem nocowała na plebanii, słyszała, jak się św. Proboszcz biczował przez dwie godziny, i co zdawał się już ustawać, znów z większą mocą zaczynał. Sam zaś zdradził się przed Katarzyną, mówiąc: „Rano muszę się trochę zsieć dyscypliną, aby orzeźwić mego trupa — to poruszy nerwy. Widziałś tych, co pokazują niedźwiedzie? Tylko kijem obłaskawiają oni te zwierzęta. Tym samym sposobem pokonuje się swego trupa, obłaskawia się starego Adama. — Nie wiem, w którym to było roku, podaje wiarogodny świadek, ale już dawno temu, ks. Proboszcz zamówił u wioskowego kowala łańcuch, którego przełękli się ci, co wiedzieli, że ma mu służyć do umartwienia. Często odnawiał swe narzędzia pokutne, bo bił się tak mocno, że prędko je kruszył.

Pod koniec życia, które tylko cudem Bóg utrzymywał, ks. Vianney musiał zwolnić nieco surowość względem siebie, rozumiejąc z innymi świętymi, że słabość i cierpienia, które z wiekiem przychodzą, są nieustanną pokutą, którą Bóg lepiej wybiera, niżby człowiek był zdolny. Zresztą uległ w tém woli przełożonych, których rozkazy uważał za rozkaz Boży, jakkolwiek to wiele go kosztowało. Nieraz wyrzucał sobie łakomstwo: aliści wedle świadectwa osób, które się żywnością jego zajmowały, jednego funta chleba nie zjadł na tydzień; niekiedy cały tydzień nie jadł, tylko pił. Mięsa nie jadał nigdy przez dwa dni po sobie; nieraz przez kilka tygodni go nie ruszył. Mówiąc o tém złagodzeniu surowego swego życia, powiedział: Gdybym to dawniej był miał czynić, byłbym umarł ze zmartwienia.

Biskup Devie nieraz chciał skłonić świętego pokutnika do umniejszenia sobie postów, przynajmniej, gdy był u niego na obiedzie. Raz posadził go przy sobie i sam kładł mu na talerz. Biedny Proboszcz jadł z posłuszeństwa prawie tyle, ile zwykli ludzie, lecz w parę godzin potem, Biskup zmartwił się niemało, gdy się dowiedział, że troskliwością swoją naraził gościa na wielkie boleści.

A! pość już sobie, mój drogi, rzekł mu z tą czułą dobrocią, jaka go cechowała; już cię nigdy nie będę nękał do obiadowania ze mną. — Od tego czasu Biskup Devie, jako i jego następcy zawsze sami jeździli do ks. Vianney, aby nie tracił chwili czasu tak dobrze zużytego.

Proboszcz z Ars z tą samą ochoczością podejmował umartwienia i cierpienia, jakie nań przychodziły ponieważ nie jak te, które sam sobie wybrał: a w tém jest prawdziwa cnota, w tém pewność, że pociąg ten nie pochodził ze złudzeń i miłości własnej.

Cokolwiek wypadło cierpieć, czy upokorzenie, czy niedostatek, czy jakąbądź przykrość, wszystko znosił w milczeniu, z niezrównaną swobodą twarzy, z najzupełniejszym zdaniem się na wolą Bożą, z takim spokojem i z taką pokorą, że dość było téj jego cierpliwości i tego co w pierwszych latach swego posłannictwa od ludzi znosił, żeby był świętym i to wielkim świętym! Nigdy nie widziano, aby obelga wprost przeciw niemu wymierzona, uraziła go; przeciwnie, tłumaczył swych winowajców z taką dobrocią, że aż mogło się zdawać przesadą. Ale Bóg mile przyjmował i błogosławił jego dobrą intencję.

Jednego dnia odebrał list bardzo niegrzeczny; wkrótce potem drugi, tchnący najwyższém poważaniem i zaufaniem — piszący nazywał go świętym... Opowiadając przełożonym ochrony o tém, rzekł im: „Uważcie, jak niebezpiecznie folgować uczuciom ziemskim. Gdybym był dziś z rana uważał na obelgi, jakimi mnie w pierwszym liście częstowano, byłbym utracił pokój duszy; a teraz byłbym się nadał pychą, gdybym dał wiarę pochlebnym wyrazom drugiego listu. Jak to dobrze nie zważać na próżną opinią i na próżne mowy ludzkie i nie dbać o nie.

Gdy wielkich doświadczał prześladowań i przeciwności, chciał pisać do Biskupa, czém od razu byłby się ich pozbył. List był już gotowy, a gdy mu podano do podpisu, podarł go, mówiąc: To dziś piątek, dzień, w którym Pan Jezus krzyż swój dźwigał, toż i jam powinien mój dźwigać. Dzisiaj mniej gorzki mi jest kielich upokorzeń.

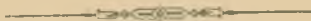
Ks. Vianney wyznawał, że z natury był niezmiernie porywczy i że potrzeba mu było wielkiego przewyciężenia, żeby być łagodnym i cierpliwym. Pomimo to nigdy,

i w największym natłoku natrętów, nie widzieliśmy niechęci na jego twarzy. Widzieliśmy, jak z największą cierpliwością po trzy razy wstawał z konfesynału, obłązonego przez licznych penitentów, aby dać Komunię św. trzem osobom, które mogły być komunikować razem. Widzieliśmy nadto, jak po kilka razy na dzień nachodziła go osoba, prosząc nieustannie o jedną rzecz, której przyzwolić jej nie chciał. Osoba ta nalegała z taką natarczywością, że drażniła go w największy sposób. Ks. Vianey stanowczo jej się opierał, lecz przyjmował ją zawsze z taką dobrocią, jak gdyby pierwszy raz ją słyszał. Nikt pojęcia mieć nie może, jakie niedorzeczności i gburowatości mówiono mu w oczy, że jest głupi, nieuk; że miano o nim wysokie wyobrażenie, ale poznawszy go, rozczarowano się... On tych wyznań słuchał z radością; publicznie je powtarzał, przekonany, że zupełnie słusznie tak o nim sądzono.

Ks. Proboszcz często mówił o zamarcu sobie i zaparcu się swęj woli: „Nie nie mamy własnego, krom naszej woli; to jedyna rzecz, którą o siebie ofiarować możemy Bogu. To też podobno jeden akt wyrzeczenia się swęj woli miłszy jest Bogu, niż trzydzieści dni postu. Ile razy możemy zaprzec się własnej woli, by spełnić wolę drugich, gdy ona Bogu się nie sprzeciwia, tyle razy zyskujemy wielkie zasługi, znane tylko samemu Bogu. Przez co życie zakonne ma tyle zasług? przez zaparcie się w każdej chwili woli własnej, przez to nieustanne zamieranie sobie w tém, co w nas najżywotniejsze. Naprzykład, nieraz sobie myślałem o życiu biednej służącej, która nie ma swęj woli, lecz ciągle idzie za wolą swego państwa; jeśli pamięta o tém, żeby ofiarować Bogu to swoje wyrzeczenie, może Mu być równie miła, jak zakonnica posłuszna swęj regule zakonnej. — Nawet w świecie zdarza się co chwila sposobność do zaparcia się swęj woli; można sobie odmówić miłych odwiedzin, spełnić jaki niemiły uczynek miłosierny, położyć się dwie minuty później, wstać dwie minuty wcześniej, z dwu rzeczy wybrać najmniej przyjemną. — Znałem piękne dusze, żyjące w świecie, które nie miały własnej woli i całkiem sobie zamarły. W tém cała podstawa świętości. Weźmy tego dobrego św. Maura, który tyle mógł u Boga, a dla swęj

prostoty i posłuszeństwa tak był miły swemu przełożonemu. Inni zakonnicy zazdrośnym okiem na niego patrzeli, więc przełożony chcąc ich przekonać, dla czego go tak ceni, obszedł wszystkie cele jedne po drugiej. Każdy z zakonników miał coś do dokończenia, zanim mu otworzył, sam tylko ś. Maurus w tej chwili rzucił pióro i pospieszył na wołanie św. Benedykta. Na tej drodze zaparcia się, tylko pierwszy krok jest trudny. Ale kto raz na nią wejdzie, sam nie wie, jak idzie dalej; a kto tę cnotę posiędzie, posiędzie wszystkie.“

Któż miał większe prawo mówić o zaparciu się, jak ks. Vianney, który przez to zaparcie wyrzekł się nawet pieszczonej myśli, żeby wypocząć kiedy na pustyni, zdala od ludzi, a w ściślejszem zjednoczeniu z Bogiem. Choć dusza jego była oderwana od wszystkiego, co z tego świata, wszelako bolała nad stycznością z nim. Ale i ten ból znosił on z doskonałym poddaniem się woli Bożej. — I otóż prawdziwa cnota nie pyta o trudy i przykrości życia oczyszczającego, ani o słodkości i rozkosze życia zjednoczonego z Bogiem, lecz ponad wszystko wybiera to, co najzgodniejsze z obowiązkiem, bo obowiązek, to prawo samego Boga. Nie jest to, jak u stoików, zaprzeczenie cierpienia. Chrześcianin uznaje ból, cierpi, lęka się, walczy usilnie, doznaje nieraz strasznych wstrętów, ale się poddaje i woła: Cokolwiek chcesz, mój Boże, jak chcesz i kiedy tylko zechcesz, nie moja, ale twoja wola niech się stanie!



ROZDZIAŁ VIII.

Cnoty wlane ks. Vianney. Jego dar wieszcey. Znajomość przyszłości. Inne dary.

Wiele rzeczy bowiem tobie nad rozum ludzki są pokazane.

(*Ekkł. III, 25.*)

Gdybyś miał w sobie dość czystości i niewinności, widziałbyś wszystko bez przeszkody. Czyste serce przenika niebo i piekło.

(*Naśladowanie Chr. II, 4.*)

Wypadało pióro z ręki pisarza kościelnego Teodoretą w chwili, gdy rozpoczynał żywot jednego z największych cudotwórców Kościoła, św. Grzegorza; lękał się rzucić prawdę na pastwę bluźnierstw fałszywych tych mędrków świata, którzy nie chcąc nic boskiego przypuścić w świecie, nie też cudownego w nim nie widzą. Przecież w końcu wziął się do pióra, jużto party siłą prawdy którą miał opowiadać, jużto przez wzgląd na liczbę tych, co świadomi tajemnic Bożych, zasługiwali na poznanie tych cudów, jakie Bóg w duszy sprawiedliwej działa, i którzy zdolni byli z tego opowiadania owoc zbawienia odnieść. To i nam pobudką i otuchą, gdy zabieramy się do opisu niniejszego. Nie godzi się zostawiać w niepamięci chwaly Tego, który przedziwny jest w świętych swoich. Z wszystkich nadzwyczajnych rzeczy, które tu opowiadamy, nie najtrudniejsze do wierzenia zewnętrzne objawy potęgi Boga, objawienia prorocstwa, dary i światła nadprzyrodzone, lecz najtrudniejszą do wiary rzeczą są: bohaterska stałość w pracy, duch w niczem sobie nie szukający, serce do tyła pokorne, że cieszy się z pogardy, z zapomnienia i owszem pragnie go szczerze, a smuci się, że nie dosyć je za nie mają.

W każdym razie dotykamy tu rodzaju wypadków, do których chrześcijańska przezorność nakazuje zbliżać się z największą ostrożnością i wysuniętą naprzód pochodnią krytyki. Ograniczamy się tylko na tém, cośmy słyszeli z ust wiarogodnych.

Nadprzyrodzone światła, które Proboszcz z Ars otrzymywał, odnosiły się zwykle do sprawy kierownictwa duszami, co było jego główném posłannictwem. Ks. Tocanier opowiedział nam następujący fakt:

Pewna panienska z Saoudyi, korzystając z bytności w Lyonie, dokąd przyjechała na obłóczyny swęj siostry, Trapistki, postanowiła dojechać do Ars, aby się Proboszcza poradzić w sprawie własnego powołania. Weszła do kościoła pod koniec wieczornego pacierza. Ks. Vianney, schodząc z ambony, spostrzegł ją w tłumie i przywoławszy ku sobie, powiedział: «Moje dziecko, jutro z pewnością pomówię z tobą.» — Młoda osoba sądząc, że ją wziął za kogo innego, weszła nazajutrz bez myśli do kościoła. Proboszcz odmawiał właśnie brewiarz, gdy wtém utkwił w nią wzrok i dał jęj znak, aby się doń zbliżyła i poprowadził ją do konfesyonału.

«Moje dziecicę, zaczął pierwszy, tyś więc zawsze pragnęła być w zakonie?» «Ależ mój Ojczy, skąd o tém wiesz, nie miałam jeszcze szczęścia mówić Ci o tém...» «O, moja ty mała, masz siostry bardzo dobre, szczególnięj młodsza, to istny anioł.» — Łatwo sobie wystawić wzruszenie tęj panienski, gdy pod wrażeniem wieszczych słów powtarzać sobie musiała za Samarytanką: «Znalazłam człowieka, który mi powiedział, częm jestem.» — Lecz wyjechała, nie widziawszy się z misyonarzem, który był ciekawy, jak Proboszcz o powołaniu jęj rozstrzygnął. Ten nie mógł się nic od ks. Vianney dowiedzieć, a gdy pytał, skąd Proboszcz wiedział o jęj stósunkach, święty odpowiedział: «Widocznie prorokowałem tak jak Piłat, nie nie wiedząc, że prorokuję. Powiedziałem jęj to, jak kalendarz przepowiada pogodę, czy niepogodę i przypadkiem zgadza się z prawdą.»

Zakonnica Wizytka pisze nam :

«Uparcie nastęczała mi się myśl, że Proboszcz z Ars przepowie mi dzień śmierci. Ta myśl tak mnie przerażała, że nigdy nie chciałam iść do niego, bo przez lat kilka śmierć

była dla mnie jakimś tak strasznym widmem, że mi każdą radość psuła i każde wesele zachmurzała. Lecz wreszcie, gdy pyszne serce do tyła zostało upokorzone i skruszone, że Bóg raczył do niego przemówić, usłyszałam głos Jego, i klasztor, który mi się wydawał gorszy jeszcze od śmierci, ukazał mi się teraz jako jedyny przytułek, gdzie bez obawy będę mogła na nią czekać. W takim usposobieniu wyjechałam do Ars.

«Przychodziłam do św. Proboszcza z żywą wiarą; taką miałam pewność, że to, co powie, duchem wieszczym mi przepowie, że Bóg natchnął go o tem, co ma mi powiedzieć. Stałam przed nim, przejęta jakimś świętym strachem, oraz i szacunkiem, że całkiem zapomniałam, o co go miałam pytać. Uklękałam więc z zakłopotaniem, aniżeli w myśli, aby mi pobłogosławił; zupełnie nie wiedziałam, co się ze mną działo. On mnie zapytał: «Czego chcesz, moje dziecko?» «Przychodzę do Ojca poradzić się o powołanie.» «O czyje?» «O moje» «O swoje powołanie?... weźmij więc cztery deski.» «Co? cztery deski.... zawołałam z niespodzianem przerażeniem.» «A tak, cztery deski.» «Ależ, Ojcze, nie rozumiem.... I w rzeczy samej nie byłam zdolna rozumieć; zdawało mi się, że się ziemia podemną rozstępuje, w głowie mi się mąciło. Św. Proboszcz wydawał mi się jakąś istotą niezemiąską. Byłabym chciała uchwycić się czegoś; miałam uczucie, że upadnę... On zaś ciągnął dalej. Dajmy na to, że są już trzy deski, a ty weźmiesz czwartą, żeby się przykryć, rozumiesz teraz? — Zakrzyknęłam... widmo śmierci znów stanęło przedemną. Proboszcz dodał poważnie, nieomal surowo: «Więc śmierć cię tak przeraża? — a łagodniejszym głosem i z wyrazem anielskim: ach, śmierć, to połączenie duszy z Bogiem!...» «Ależ ja chcę umierać w klasztorze...» «W którym?» «U Wizytek...» «O, to dobrze, piękne tam życie — niedaleko ztąd jest klasztor, który na ciebie czeka. Idź, moje dziecko, dobrze ci tam będzie.»

„Kto ks. Vianney powiedział, że myślała o Wizytkach i że tam już po dwakroć odprawiała rekolekcyje?... Co najdziwniejsza, że odeszłam tak spokojna, jak gdyby mi święty nie był mówił o rzeczy, której się najwięcej lękałam. Przechadzałam się po wiosce, powtarzając sobie: Wszakżesz tobie Proboszcz powiedział, że umrzesz niedługo!... Ale nic nie mogło poruszyć prawdziwie nadprzyrodzonego pokoju, jaki zapanował w méj duszy.

Wiesz i to Ojcie, że święty Proboszcz, przeniknąwszy mnie swym wzrokiem do głębi duszy, zaczął katechizacją od tych słów: «Wszyscy umrzemy, a nie wiemy, kiedy..» Mówiąc dalej o strachu, jakim śmierć przejmuje w świecie, a o rozkoszy, jaką przepełnia w klasztorze. Wiesz, Ojcie, jak się to stało, że wstąpiła do klasztoru wtedy, gdy się rzeczy tak składały, aby mnie w świecie zatrzymać. Teraz, aby się wszystko spełniło, pozostaje mi tylko umrzeć. Obym mogła, zanim śmierć zamknie mi powieki, zamrzeć sobie tak doskonale, iżbym tylko w Bogu i dla Boga żyła. Wtedy urzeczywistniłoby się pragnienie całego mego życia.

Pewna osoba radziła się Proboszcza z Ars, czy ma wstąpić do zakonu św. Klary. Odpowiedział jej, że jeśli się spóźni, nie zostanie w tym zakonie przyjęta i do innego wstąpi. Jak powiedział, tak się stało; podczas krótkiej zwłoki i wahania się młodej kandydatki, Klaryski dowiedziały się, że jest słabowitego zdrowia — odmówiły jej przyjęcia, natomiast Siostry św. Józefa przyjęły ją z radością.

W zapiskach misjonarzy z Ars, czytamy co następuje:

„W dniu 26 października 1857 r. przedstawiłem się czcigodnemu ks. Vianney, który, nie dając mi czasu ust otworzyć, przywitał mnie temi słowy: „Mój synu, trzeba ci wstąpić do Kartuzów, bo w świecie zbawienie twoje niepewne.“ Powtarzał mi to po trzy razy w różnych chwilach, i wyznaję to, nie pożałowałem, że w usłuchałem jego rady.

Brat Alfons-Marya, Kartuzyanin.“

«W podróży mej do Hyères — opisuje ks. Tocanier, przypomniał mi się ksiądz, który kiedyś był w Ars z jedynym synem p. de L., pobożnego i majątnego człowieka z okolicy.»

Więsz, dodał, że dobry Proboszcz, widząc tego młodzieńca pierwszy raz w życiu, rzekł mu z uśmiechem: «Więc ty, mój drogi, chcesz zostać Kapucynem?» Można sobie wystawić zdziwienie młodego, gdy usłyszał wypowiedzianą myśl, z którą się nosił od lat szczęściu, nie śmiejąc jej wyjawić ani przed rodzicami, ani przed spowiednikiem. Dziś jest Kapucynem w Marsylii.

Pewien przełożony klasztoru, znany nam osobiście, tak był zniechęcony ciągłymi przeciwnościami, że udał się

do Ars po radę i siły, żeby mógł zastosować się do nie-
 znośnego położenia swego. Prosił ks. Vianney, aby mu
 wyjednał u Boga światło, czy nie ma złożyć przełożenia.
 Sługa Boży obiecał mu modlić się w czasie Mszy św. —
 i wracając od ołtarza, rzekł mu: „Nie mój drogi, to nie
 jest wola Boża. — A jakżeś ją ks. Proboszcz poznał? —
 Prosiłem o znak i otrzymałem go. Uczułem się rozbity
 na całym ciele... Bóg nie chce, abyś składał twój urząd...
 Pozwól się tłuc i zmiążdżyć, jak ten kamień, co leży na
 drodze.“

Pewien bardzo godny kapłan opowiadał nam, że, gdy
 raz straszliwą miotany był burzą wewnętrzną, polecił się
 modlitwom św. Proboszcza. Tegoż dnia wieczorem w roz-
 mowie ks. Vianney wziął do ręki kilka rozrzuconych na
 stole obrazków i wybrawszy jeden z nich, zawołał z rado-
 ścią: „Otoż to doskonały obrazek dla ciebie.“ — Obrazek
 ten przedstawiał Pana Jezusa tulącego pod płaszcz swój
 stado owieczek, cisnących się do tego dobrego Pasterza.
 Był zatem jakiś związek pomiędzy obrazkiem a pobożną
 praktyką tego kapłana, który miał zwyczaj, w utrapieniach
 swych, duchem rzucać się w objęcia lub w Ranę Serca
 Jezusa, myślą cisnąć się do tabernakulum i wołać do
 Pana temi słowy: *Domine salve nos. Panie ratuj
 nas. Hic quem amas infirmatur... Ut quid de-
 reliquisti me... Oto, którego miłujesz, jest niemocen...
 Czemuś mię opuścił. Ależ o tych swoich praktykach nie
 ksiądz Vianney nie powiadał. — Od tego czasu pokój
 zapanował w jego duszy i burza już jęj nie wstrząsała
 więcej.*

Pewien prawnik miał trzy córki: średnia była już za-
 konnicą, najmłodsza też pragnęła poświęcić się służbie
 Bożej. Ta nowa ofiara bolesną była dla biednego ojca.
 Postanowił tedy udać się do Ars i poradzić się Probosz-
 cza. Weszli do niego bez poprzedniego zapowiedzenia się;
 Proboszcz spojrzawszy na nich, skupił się i po chwili rzekł
 do starszej siostry: „Pani musisz iść za mąż i pamiętać
 o ojcu.“ Do drugiej zaś: „A Pani musisz wstąpić do kla-
 sztoru.“ — Widząc łzy w oczach ojca, dodał: „Panu trza
 przyjąć ten krzyż; jeśli go mężnie zniesiesz, zaprowadzi
 cię do nieba.“

Założyciel nowego bardzo mało znanego klasztoru przybył do Ars. Proboszcz, widząc go po raz pierwszy, przywitał po imieniu; wypytywał, jak daleko zaszedł w swem przedsięwzięciu, w najdrobniejsze jego wchodząc szczegóły. Założyciel osłupiał. „Zkąd mnie ks. Proboszcz zna? — pytał zdziwiony, — wszak pierwszy raz mam szczęście widzieć go! — „Dusze Boże poznają się wszędzie“, — odpowiedział mu z prostotą.

Panna X... po śmierci rodziców została panią swęj woli i znacznego majątku. Majątek postanowiła rozdzielić na cele dobroczynne i poświęcić się służbie Bożej. Spowiednik jęj nie umiał rozstrzygnąć sprawy podziału jęj majątku i odesłał ją do ks. Vianney. Panna X. długo czekała u jego konfesyonału, zamięszana w takim tłumie, że nie mogła ani jego widzieć, ani od niego być widziana. Proboszcz, idąc do konfesyonału, sam się do nięj zbliżył, mówiąc: „Pani pilno, wysłucham ją pierwszą.“ — Gdy mu zaczęła mówić o zawikłanych interesach i zamiarach swych, przerwał jęj: „Dość tego moje dziecko, widzę jasno, co ci czynić wypada. Majątek rozdziel tak... zrób ten dobry uczynek... i spiesz się, bo nie masz czasu do stracenia.“ — To doraźne rozporządzenie majątkiem dowodziło, że widocznie znał doskonale stan majątkowy i położenie panny X., których ona przecież nie miała czasu mu przedstawić.

Panna X. spiesznie wykonawszy wszystko podług rady świętego, przybyła do Avignon, aby dopełnić ofiary, poświęcając się Bogu; gdy nazajutrz przybycia swego, po Mszy św., na której miała szczęście komunikować, nagle dostała cholery i oddała Bogu ducha, w chwili gdy miała urzeczywistnić pragnienie całego swego życia, oddając Mu się na służbę.

Wdowa pewna po wyższym urzędniku wyszła pocieszona po rozmowie z sługą Bożym: „Dodał mi odwagi, — mówiła, — i umocnił nadzieję moję, mówiąc mi o mężu takie rzeczy, które tylko Bogu i mnie wiadome być mogły.“

O innęj osobie zmarłęj powiedział raz, że „w bezpiecznem jest miejscu! — Jak to! ojcze, — zapytano go, —

czy jest już w niebie? — Tegom nie powiedział — wszelako jest bardzo bliska nieba.“ — Za inną duszę niechciał odprawić Mszy św. twierdząc, że należy do tych, za które modlić się nie potrzeba.“

Czasami znów, zdawało się, jakoby święty Proboszcz przenikał przestrzenie miejsca i czasu i czytał w przyszłości wieszczym duchem.

Pewna młoda osoba odprawiała w Ars rekolekcyę. Oszóstę z rana ks. Vianney spostrzega ją w kruchcie kościelnęj, i powiada jej: „Moje dziecko, wyjeżdżaj ztąd; w domu czekają na ciebie niecierpliwie...“ — W kilka dni potem pisała do Ars, że siostra, którą zostawiła zupełnie zdrową, umarła na dwie godziny przed tem, kiedy jej Proboszcz powiedział, żeby wracała do domu.

„Bratowa moja chorowała ciężko, — opowiada ks. Toccanier, dzisiejszy następca ks. Vianney w Ars, — a gdym wypytywał świętego, czy wyjdzie z choroby, uchylał się od odpowiedzi. W tem, jednej niedzieli, choć zwykle w niedzielę nie pozwalał podróżować, kazał mi spiesźnie wyjeżdżać do Seyssel. Gdym ztamtąd powrócił, powiedziano mi, że po nieszporych, przed różańcem modlił się z obecnymi za osobę będącą między życiem a śmiercią.“ — „Mój Ojcze, — rzekłem mu, — spóźniłem się, bratowa moja umarła cztery godziny przed przybyciem mojem.“ — „Przeczuwałem to, mój biedny przyjacielu...“

„Kilka lat przed tem, wyjeżdżając do Seyssel, w czasie straszliwej cholery, pytałem go, czy matkę zastanę przy życiu.“ „Zastaniesz, — odparł mi bez wahania. I jakoż w rzeczy samej, matka moja wyszła z choroby, pomimo cholerycznych kurczy, które ją przez piętnaście godzin trzymały.“

„Pewien pątnik prosił sługę Bożego o uzdrowienie jego służącej. Zdziwił się niemało, gdy Proboszcz, który go nigdy w życiu nie widział, odpowiedział mu: „Tak, tak, to Marya... widzę ją w chórze!... — Pątnik wychodzi z zakrystyi, mówiąc sobie w duchu... Myli się przynajmniej co do miejsca, bo nie w chórze ją zostawiłem, lecz w kościele. Ale niebawem zdziwił się jeszcze więcej, gdy rzeczywiście spostrzegł służącą swoją w chórze.“

Inny pątnik z Burgundyi tłumaczył się przed nim, że często opuszcza nieszpory, bo ma daleko do kościoła.

„No, przecież kwadrans drogi, to nie daleko, — odparł mu Proboszcz, jak gdyby był dokładnie znał położenie miejsca. Córka tegoż niecierpliwiła się, że nie mogła dostać spowiedzi. „Masz tu spędzić dwa tygodnie, — zauważył ks. Vianney, — zatem nie jest ci tak pilno, jak chcesz we mnie wmówić.“ — I tą razą odgadł.

Świadek wiarogodny opowiada, że w wielu szczegółach dotyczących jego samego i jego rodziny, Święty przepowiedział mu, co być miało. Aż wreszcie w r. 1848 uspokoił go, że bezpiecznie pozostać może na wsi, bo rewolucya szaleć będzie w głównych miastach, mianowicie w Paryżu krew się lać będzie, ale że wieśniakom nic nie zagraża.

W czasie wojny włoskiej wiele żon, sióstr i matek zaniepokojonych o życie ukochanych mężów, braci i synów, przychodziło pytać Proboszcza o ich losy. Pytaliśmy go sami, w imieniu młodej kobiety o los jej męża. — „Odpowiedz jej, że może być spokojna, bo niebawem pokój będzie zawarty.“ Było to na parę dni przed ugodą w Villafranca.

Pisano do Misyonarza w Ars:

„Mój Ojcze! Jestem Ci nieskończenie wdzięczny, żeś się za mną wstawił do świętego Proboszcza. Jak zawsze, tak i względem mnie Duch św. go oświecił. Dowodem tego smutek, jaki mnie spotkał. Syn, przez wzgląd na którego nie pozwolił mi wstąpić do klasztoru, przez fałszywe spekulacye na giełdzie stracił mi znaczną część majątku — i gdyby mnie tu nie było nieszczęśliwy byłby sobie życie odebrał, i na zawsze duszę swą zatracił, za którą modłę się od lat tyłu!..“

Pewien właściciel gruntu z okolicy Rive-de-Gier, przyszedł się radzić Proboszcza z Ars, czy ma go sprzedać nadarzającemu się kupcowi. — Doradził mu nie przedawać. Jakoż wkrótce potem odkryto na tymże gruncie bogate kopalnie i towarzystwo górnicze ofiarowało właścicielowi 2000 franków rocznego dochodu. Przez wdzięczność wystawił w kościele parafialnym piękną figurę św. Filomeny.

Inżynierowi pewnemu ofiarowano znaczne wynagrodzenie za wykopanie nowej studni. Radził się ks. Vianney, który mu nie dał podejmować się tej roboty. W kilkanaście dni potem, woda zalała nową studnię i zatopiła kilku ludzi.

To światło wlane, to nadprzyrodzone widzenie rzeczy, ten dar prorocstwa nie powinny nas dziwić w życiu Proboszcza z Ars; bo rzecz niewątpliwa, jak naucza Benedykt XIV, że Bóg przemawia poufnie do swoich przyjaciół i że zwykł obdarzać podobnemi łaskami tych, których dla dobra Kościoła do wielkich przeznacza rzeczy. Chrystus Pan już tu na ziemi otwiera niewyczerpany skarbiec dóbr swoich tym, którzy się z wszystkiego wyzuli dla Niego.

Przecież, jest to strona najmniej nam znana z życia naszego Świętego. Z pokory ukrywał te dary — i wiemy tylko o tych, których ukryć nie mógł.

Widzieliśmy z tego, co powiedziano wyżej, że mu Bóg dał dar łez, łez świętych i orzeźwiających, które są najoczywistszym znakiem, iż w sercu takim mieści się cały skarb łask i pociech bożych. Ta krew duszy, jak łzę nazwał św. Augustyn, często z oczu jego płynęła. Była to niema modlitwa, serdeczna a cicha ofiara, przez którą łączył się z wszystkiemi cierpieniami i z wszystkiemi zasługami Chrystusa Pana i Jego Świętych. Temi łzami on oblewał grzechy tych, którzy mu je wyznawali. Pod koniec życia te jego łzy były nieustanne.

Co zaś do objawień, widzeń i łask nadzwyczajnych, jakimi był obdarzony, oto cośmy zdołali pozbierać:

Ks. Toccanier podaje: Dnia 22 listopada 1856 roku, gdym mówił z Proboszczem o nowych jego fundacyach, przyznał mi w obec Braci św. Rodziny, że w nocy aż nudzi swoich Świętych, tak się do nich modli. — I w nocy Ks. Proboszcz się modli?... przerwałem mu. — Jak się obudzę... Jestem już stary, niewiele mi życia pozostaje, trzeba z każdej chwili korzystać... Ks. Proboszcz śpi na twardem łożu i śpi tak krótko!... — O! nie zawsze twardem jest to łoże... odpowiedział mi wzruszony. „Te fundacye najlepszym dowodem, — zacząłem znów po chwili, — że Pan Bóg chce, aby tu ksiądz Proboszcz pozostał!.... Jest w tem coś innego!.... zawołał, lecz spostrzegając się, coprędzej na inny przeszedł przedmiot.

„Dnia 25 września 1858 r. wyznał mi, że w dwu okolicznościach dał mu Pan poznać, że najlepiej używa pieniędzy

dzy na fundacye misyi. I dodał; „Tak lubię misye, że gdybym mógł, umierając, sprzedałbym me ciało, byle ufundować jeszcze jedną misyą.“

Osoba bardzo godna, którą przyjaźń z św. Proboszczem łączyła, opowiadała nam nazajutrz po jego śmierci: „3 maja 1859 r. mówiłem Proboszczowi, że czuję więcej pociągu do uczynków odnoszących się do nawracania dusz, niż do innych, i że mi to niektórzy mają za złe. Utwierdzając mnie, odpowiedział mi: „I ja byłem w kłopotcie, co jest wolą Bożą; aż św. Filomena ukazała mi się. Zstąpiła z nieba piękna, jaśniejąca, otoczona niby białym obłokiem i powiedziała mi: „Uczynki twe dobre, bo niema nic większego nad zbawienie dusz.“ — Gdy mi to opowiadał, stał przy kominku, oczy miał wzniesione w niebo; a twarz jego promieniała takim wyrazem, jakby w zachwyt wpadał na samo to wspomnienie. Opowiadanie to zupełnie prawdziwe, tylko w krótkości podane.“ Proboszcz opowiedział to widzenie raz Katarzynie, ale mniej szczegółowo.

„Rozmaitemi pytaniami, — opowiada ks. Toccanier, — wy dobyłem z naszego Świętego wyznanie, że Pan Jezus dał mu cudowne znaki, aby mu dać poznać, że jego posłannictwo jest Mu miłe. Opowiadał mi, że szczególnie raz w nocy był mocno przejęty, gdy ujrzał przy sobie stojącą osobę, która słodko do niego przemawiała: A to nie był Grappin, — dodał; — Grappin ma głos przykry, przenikliwy. — Więc to było widzenie? — rzekłem mu. — Co prędzej zaczął mówić o czem innem, z niejakim żalem, że się wygadał.

„Ależ Ks. Proboszcz przyznaje, że widział św. Filomenę? — Nie wierz temu. — Dla czego, jeśli to prawda.“ — Wierzyłbyś w kłamstwo... Zresztą przyrzekłem Bogu, że nic o tem nie powiem...“ Wyszedłem z jego pokoju przejęty jakimś świętym strachem, na myśl jak wielki jest ten kapłan.“

Inną razą opowiadał nam z prostotą, co następuje: „Mniej więcej dwa miesiące temu, nie spałem; siedziałem na łóżku, oplakując nędzne me grzechy; usłyszałem słodki głos, który mi szeptał do ucha: *In te Domine, speravi, non confundar in aeternum...* W tobie Panie

ufałem, nie będę zawstydzon na wieki. Te słowa pocieszyły mnie nieco, ale gdy niepokój ciągle przeważał, ten sam głos powtórzył jeszcze wyraźniej: *In te Domine speravi.* — Toć zapewne nie „Grappin“ tak przemawiał. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie on. — Widział co ks. Proboszcz? — Nie mój drogi! — Może to był Anioł Stróż ks. Proboszcza? — Niewiem.“



ROZDZIAŁ IX.

Śmierć i pogrzeb ks. Vianney.

„Ponieważ człowiek ten spełnił wszystko, co mu Bóg rozkazał, rzekł mu Bóg: Wnidź do pokoju mego, gdyż widziałem cię sprawiedliwym przed sobą w pośród wszystkich narodów...“

Od dawna już zdawało się, że życie ks. Vianney tylko na włosku wisi; cienki jego głosik tak był słaby, że trzeba było słuch wyteżać, aby coś usłyszeć. Cała siła życia i myśli skupiała się w jego oczach, błyszczących jak dwie gwiazdy, i podobnych do dwu płomienistych otworów ognistej duszy. Była to moc w niemocy i życie w śmierci.

Okropne skwary lipcowe r. 1859 dręczyły bardzo świętego starca: mdlał po kilka razy. Każdy dusił się, wchodząc do tego kościółka dzień i noc zapchanego ludem; osoby, czekające aż dojdą kolejno do konfesyonału, musiały co chwile wychodzić z tej łaźni, aby odetchnąć świeżem powietrzem. On jednakże nie wychodził, nie opuszczał swego miejsca cierpienia i chwały, nie pomyślał nawet o skróceniu owych długich a zabijających posiedzeń, które trwały od pierwszej godziny z północy do jedenastej i od pierwszej z południa do ósmej wieczorem; ale już mu tchu nie stawało; a gdy oddychał, to powietrzem skwarnem, zepsutem, zabójczem. Umarł z trudu, legł po długiem a bolesnem męczeństwie. Nie przeczuwano przecież bliższego jego końca; tak wszyscy przywykli cieszyć się nim, wierzyć w cudowne przedłużenie jego życia, i tak starannie on sam do ostatniej chwili ukrywał wielkie osłabienie swoje. Dowiedziano się tylko, że wstając w nocy, by iść do konfesyonału, upadł kilka razy z osłabienia w pokoju i na wschodach. A gdy zauważono że kaszel, na który od dwudziestu pięciu lat cierpiał, coraz więcej piersi mu

rozrywał, on się tylko na to uśmiechnął i rzekł: „Nudna to rzecz, bo mi cały czas zabiera.“

Proboszcz z Ars zużył więc w tych ostatnich dniach życia w zaciętym boju z słabościami wieku resztę sił swoich; dobiegł do mety tyle pożądanej! I gdy śmierć nadeszła, nic innego nie miał do oddania jej nad to, czego dusza odmówić jej nie mogła i czego gorąca jego żarliwość uchronić przed nią nie zdołała: złamane, starte pracą, umartwieniem i czuwaniem wyniszczone członki, ciało powolnem a okrutnem konaniem natury obumarłe.

Sługa Boży umarł cicho, jak cicho żył. Wielu spodziewało się widzieć w ostatniej jego godzinie jakie uniesienie miłości, zachwycenie, ogniste wykrzykniki i owe święte łzy, których zdroje coraz więcej płynęły: ale nie z tego!... Zdawało się, że i teraz chciał się ukryć, zasłonić milczeniem i pomroką. Śmierć jego była taka, jak byłby sobie przepisał, gdyby był mógł wybierać.

Wielki jeden pisarz katolicki powiedział, że rzadko człowiek wyniszcza się do ostatka. Tego niepodobnego wysilenia ks. Vianney dokonał. Skończył, wyczerpnawszy do ostatka swe siły i swój głos; ale z przytomnością, którą całkiem do końca zachował i z zupełną trzeźwością myśli, co nie małą było rzeczą, gdy się zważy, jak silnie obawa sądów Bożych szarpała tę wspaniałą i czystą duszę! Naprózno namawiano go, aby sobie wypoczął. Odpowiadał zawsze: „Wypocznę sobie w raju.“

W piątek 29 lipca obiegł zwykle koło swych zajęć, wyłożył katechizm, spędził szesnaście czy siedemnaście godzin w konfesyonale, aż wspólnym pacierzem zakończył on ciężki dzień. Wróciwszy do domu więcej niż kiedykolwiek znużony, padł na krzesło, mówiąc: „Już nie mogę.“ Powtarzał: „Ach! grzesznicy zabijają grzesznika!“ — albo: „Znam kogoś, coby się strasznie złapał, gdyby nie było raju!“ I dodawał: „Myślę sobie często, że choćby nie było drugiego życia, po za grobem, już to byłoby szczęściem nie małym, że można miłować Boga w tem życiu, służyć Mu i móżd coś czynić na Jego chwałę.“

Co się działo w tym pokoju, z którego święty kapłan nie miał już wyjść żywy, po rozejściu się misyonarzy w owęj nocy, która w cztery dni cichy zgon jego poprze-

dziła, nikt tego nie wie. Nikt nigdy nie śmiał podpatrywać i podchwytywać tajemnic tych bezsennych nocy, kiedy niebo i piekło zbiegały się nad tem łóżem boleści, by go zachwycać i szarpać kolejno. — To tylko wiadomo, że o pierwszej godzinie z rana, gdy chciał wstać do kościoła, przekonał się o niepokonanej swój słabości. — Woła, przybiega ktoś i mówi: Ks. Proboszcz bardzo zmęczony? — Tak, odpowiada — zdaje mi się, że to już mój koniec. — Pójdę po pomoc. — Nie, nie przeszkadzaj nikomu, nie warto.“

Jest rzeczą niezawodną, że święty Proboszcz wieszczym duchem, o którym tyle mówiono, a o którym po tylu dowodach niepodobna wątpić, przewidział i zapowiedział śmierć swoją. Podarowano mu bardzo piękne welum do trzymania monstrancyi w czasie procesyi. „Raz go tylko użyję“ — powiedział. — A gdy mu podano do podpisania porządek nabożeństwa, rzekł: „Będzie to podpis na mój pogrzeb.“

Nadto mamy w rękę świadectwo, że w sierpniu roku 1558, ks. Vianney oświadczył wyraźnie że za rok o tym czasie umrze. Gdy wreszcie dzień ten nadszedł, Sługa Boży nie wspomniał o odprawieniu Mszy św. i przyjmował wszystkie starania, których zwykle odmawiał. Przecież nie pozwolił, aby chłodzono powietrze i opędzono z niego muchy za pomocą wachlarza: zdawało mu się to zbytkiem: „Dajcie mnie i biednym mym muchom pokój.“

„Ks. Proboszcz bardzo cierpi? pytano go. — Skinął tylko głową z poddaniem się. — Ufajmy, że św. Filomena, którą całą siłą będziemy o przyczynę prosili, uzdrowi jeszcze raz ks. Proboszcza, jak przed ośmnastu laty. — O już teraz św. Filomena nic nie pomoże.“

Nikt sobie nie wyobrazi smutku wywołanego nieobecnością Proboszcza w kościele, gdy rano nie widziano wychodzącego z konfesyonału o zwykłej godzinie. Głęboka żalność przechodziła z jednego serca w drugie. Boleść ta wyrazista u jednych, skupiona i skryta u drugich, szczególnież rzewny miała wyraz u kilku osób, których życie serdeczniej było spojone z jego życiem. — Nikt może nie obudzał tak gorącego przywiązania i tak czystego, szczerego i stałego poświęcenia, jak Proboszcz z Ars. Tak sprą-

wdziły się na nim słowa Zbawiciela zapisana u Mateusza w r. XIX, 29. „I wszelki, któryby opuścił dom albo bracią, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo syny, albo rolę, dla Imienia mego: tyle stokroć weźmie, i żywot wieczny otrzyma.“

Pomijając misyonarzów, braci św. Rodziny, którzy zdawali się być przysłani przez Opatrzność do Ars po to, aby świętemu kapłanowi ulżyć ciężaru tysiącnymi drobnymi posługami, które skrzętnie ukrywali; pomijając wreszcie tego poczciwego brata Hieronima, po za którym zawsze jeszcze się zdaje, że ujrzymy oblicze dobrego świętego: widziano obcych ludzi, przenoszących się jedni za drugimi na mieszkanie do Ars, a pociągniętych z razu sławą Sługi Bożego i szczęśliwych, że mogli odetchnąć powietrzem przesiąkniętym wiarą, modlitwą i błogosławięństwem świętego Proboszcza, że mogli wypocząć pod cieniem świętości jego; a którzy w końcu, ulegając nieokreślonymu urokowi, jaki do niego przykuwał, oderwać się od niego nie mogli, i tylko czatowali na sposobność, żeby mu oddać jakąkolwiek przysługę.

Wdzięczność nakazuje nam wymienić p. p. De la Bâtie, Oriol, Julian, Dizet, i Pages. Ten ostatni przez cały ciąg choroby Proboszcza z Ars, siedząc na dachu plebanii pod pałacem słońcem sierpniowym, zlewał ciągle mury i dachówkę, aby utrzymać świeży chłód dokoła chorego. Jakże zamilczeć poświęcenie tego, który od pierwszego dnia choroby Proboszcza usiadł przy jego wezgielciu i już go nie odstąpił. Był to wójt wioski, od trzydziestu lat przyjaciel św. Proboszcza.

Przez trzy dni używano wszelkich sposobów, jakie tylko pobożność podać może, aby zmiękczyć niebo; wzywano przyczyny wszystkich Świętych w niebie, proszono o modlitwy wszystkie zakonne zgromadzenia i wszystkich pielgrzymów do miejsc świętych... ale zamiar Boga, żeby już ukoronować wielkiego swego sługę, stawał się coraz jawniejszy.

We wtorek wieczorem zażądał ostatnich Sakramentów. Opatrzność sprowadziła duchownych z najodleglejszych dyecezyi, aby byli świadkami téj wielkiej, ostatniej jego

godziny. Cała parafia była obecną ceremonii. Jedna z osób, mających prawo zbliżyć się do chorego, błagała go, aby sobie uprosił uzdrowienie. Spojrzał na nią głębokim a przejmującym wzrokiem, i w milczeniu dał tylko przeczący znak. Dwa strumienie łez stoczyły się po jego wyniszczonj twarzy, gdy dzwonek oznajmił przybycie niebieskiego Pana, którego całe życie z taką mocą miłował. W kilka godzin później jeszcze raz zapłakał ostatniemi łzami, łzami radości: spadły one na krzyż dyecezalnego Biskupa de Langalerie, który dowiedziawszy się o szybkim postępie choroby Proboszcza, przybył drżący, wzruszony i modląc się głośno. Przybył w sam czas. Tj samj bowiem nocy o drugiej z rana, Jan Chrzciel Marya Vianney, bez wstrząśnienia, bez konania, bez walki, zasnął spokojnie w Panu, podczas gdyśmy domawiali słowa z modlitwy przy konających: *Veniant illi obviam sancti angeli Dei. et perducant eum in civitatem coelestem Jerusalem.* „Niech święci Aniołowie Boga wyjdą naprzeciw niemu i wprowadzą go do niebieskiej Jeruzlimy.“

Zaledwo czcigodny Proboszcz z Ars oddał Bogu świętą swą duszę, w objęciu naszym i wiernej towarzysza swych trudów ks. Toccanier, w obecności hrabiego Des Garets, Braci św. Rodziny i kilku innych osób, które tak godnym wieńcem otoczyły świętego, a zaraz tłum modlącego się w kościele ludu, mieszkańcy wszystkich zagród wioski czuwający w obawie o grom, jaki w nich miał uderzyć, wszyscy rzucili się ku plebanii. Nie chciano wierzyć tak straszному nieszczęściu; liczono na pewno na cud, jaki już raz uczynił Bóg ośmnaście lat temu w również niebezpiecznych okolicznościach. Wierzono zawsze w nadzwyczajny bieg rzeczy w tem niezwykłym życiu. Święty żył tem wszystkim, co innych byłoby zabiło i to od lat czterdziestu blisko.

Zresztą tak go wszyscy potrzebowali! Miałżeby Bóg odwołać swego sługę, zanimby wszyscy, co cierpią, doznali od niego ulgi, zanimby wszyscy błądzący weszli na prawą ścieżkę, zanimby wszystkie zgubione owieczki powróciły do owczarni, zanimby całkowicie ukończył dzieło powierzone mu jako spadkobiercy św. Franciszka Regiusza, Wincen-

tego à Paulo, Piotra Fourrier, Grignon'a de Montford, Benedykta Labre? — Łudzono się tą nadzieją; cieszone się myślą, że on długo jeszcze gościć będzie na ziemi. Nie można było wyobrazić sobie Ars bez św. Proboszcza, bez zawsze otwartego a zawsze pełnego jego kościołka, bez dzwonnicy rozbrzmiewającej o północy wezwaniem na pacierze, bez jego konfesyonału zewsząd obłożonego, bez tego świętego, co słońcem był tego uprzywilejowanego ziemi zakątku, co go ożywiał, co roztałcał w nim woń swęj cnoty... Już go nie było! po raz ostatni nam pobłogosławił, ostatnim pożegnał nas uściskiem! Pękło to święte ogniwo między duszami naszymi a Bogiem; to ogniwo złote, co nas ściślej i silniej łączyło z wszystkimi skarabami łask społeczności świętych!... I staliśmy tam, biedne sieroty, patrząc w górę jak apostołowie patrzeli, gdy Chrystus jasnym obleczone obłokiem zniknął im z oczu, chwalebnie do nieba wstępując! Niemożliśmy oderwać oczu od tego nieba, do którego Święty nasz uleciał; nie śmieliśmy spojrzeć na tę ziemię, gdzie go już nie było.

Proboszcz z Ars już nie żył! zakończył więc to życie poświęcenia i modlitwy, miłości i cierpliwości, pokory i ofiary... „Skończył już swoje bojowanie, dobiegł swęj mety, dobił się swego wieńca.“ — Wypoczął wreszcie, stał się kapitalistą, jak zwykł był mawiać, niezmordowany ten robotnik Pański! Ach! jakież wesele ogarnęło wszystkich mieszkańców nieba, gdy przyjmowali wśród siebie tę niezrównaną duszę, która pokrewną sobie mogła znaleźć chyba pomiędzy najpiękniejszymi, najświętшими i najbogaciej uwieńczonemi i najwięcej zanurzonymi w chwale i majestacie Boga.

Wśród tych myśli spieszone się przybrać zmarłego w skromną rewerendę, w której go zawsze widywano. Kapłańskie ręce obowiązku tego dopełniły. Już ciało jego było umyte, i to z takim szacunkiem jak gdyby się było św. relikwie dętykało. A Bogu dziękować będziemy przez całe życie, że nas, wraz z ukochanym ks. Descôtes wybrał do tęg ostatniej posługi; że nam dane było ucałować raz jeszcze to ciało okryte chwalebniemi piętnami umartwienia, te zużyte w służbie Pana członki; te niewinne ręce, co tylko dla błogosławienia unosiły się w górę; te stopy, które

tylko znały sprawiedliwości ścieżki a szły tylko za poruszeniem szlachetnej i świętej myśli; tę pierś, w której biło serce tak wielkie, zacne, czyste i tak czułe; te oczy, co patrzyły już tu na ziemi na Boga, Chrystusa Pana, na N. Pannę i Aniołów, a pomimo to nie gardziły widokiem ran i nędzy ludzkiej!

Dolną salkę plebanii, w której był ustawiony katafalk, przybrano w muśliny i kwiaty: i tam to przez trzy dni i trzy noce bezustannie zmieniały się tłumy ludu przybiegającego z całej Francji na wieść o bolesnej w Ars żałobie.— Rzeczy sługi Bożego opieczętowano aby je zabezpieczyć przed pobożną kradzieżą: gdyby się było stało zadość życzeniom ludu, z tego probostwa, które jest dzisiaj relikwiarzem drogich pamiątek, nie pozostałby był jeden kamień.

Ileż tu rzewnych rysów zebraćby można! Ileż pięknych, wzruszających słów wyrwało się wtedy z piersi niejednego pod wrażeniem uczucia bólu, wdzięczności i miłości! Jedni przynosili do tych świętych zwłok westchnienia i jęki; inni, niewymowną ufność; wszyscy, cześć, łzy i modły. Bo też rzeczywiście, było coś w tej śmierci, co kazało płakać z radości i radować się w smutku! Trzeba było słyszeć te ciche szepty i te głośnie opowiadania: o uzdrowionych chorych! o wspomozonych ubogich! o pocieszonych nieszczęśliwych! o duszach wyrwanych z przepaści! o sumieniach uspokojonych i oświeconych! o ustalonych i powziętych powołaniach! o duszach nawróconych na drogę do nieba!.. Jakąż mowę pogrzebową złożyłby można z tych wszystkich szeptów!

Co dwie godziny dzwon żałobny rozdzierającym jękiem wtórował temu chórowi pochwał i żalów i wywoływał jeszcze gorętsze modły w kościele i nowe zdroje łez i łkań. A jakoby na znak powszechnej żałoby, okoliczne dzwony odpowiadały tym jękom smutnem a poważnem echem.

Dwu Braci św. Rodziny stało ciągle przy katafalku, ogrodzonym silną baryerą, z powodu zbyt wielkiego natłoku; ramiona ich zwisły od ciągłego przykładania do rąk zmarłego przedmiotów, które im przybywający podawali. Niepodobna zliczyć krzyżyków, szkaplerzy, książek i obrazków, które do świętych zwłok przytknięto; a gdy tych za-

brakło w licznych składach wioski, przykładano płótno i rozmaite kosztowności.

Pomimo wielkiego upału nie zauważono najmniejszego zepsucia ciała. Sługa Boży zdawał się spać spokojnie. Z rysów jego przebijał zawsze ten sam wyraz cichy, spokojny i dobrotliwy; zdawało się nawet, że się rozpromieniał coraz więcej! — W sobotę o wyznaczonej godzinie, pod przewodnictwem Biskupa de Langalerie ustawiły się szeregi żałobnego pochodu. — Od świtu już zwarte rzędy ludu napływały wszystkimi drogami. Obcych ludzi, przy najskromniejszym obliczeniu, było około sześć tysięcy. Przeszło trzystu księży przybyło z okolicznych dyecezyi, a gdyby się pogrzeb nie był odbył w sobotę, byłoby ich daleko więcej przybyło. Prawie wszystkie zakony okoliczne wysłały z grona swego członków. Dominikanie z Lyonu wysłali swego przełożonego. O. Herman, jeden z tych, na których św. Proboszcz najżywsze uczynił wrażenie, znajdując się w sąsiedztwie, oczywiście też podążył do Ars.

Ks. Proboszcz z Trévoux, kanonik przy katedrze w Belley, pan hr. des Garets i podprefekt okręgu, trzymali rogi całunu. Orszak pogrzebowy prowadzili Misyjonarze z Pont-d'Ain, którzy stanowili duchowną rodzinę św. Proboszcza; za nimi szli krewni jego z Dardilly. — Aż do wyniesienia ciała, wszystko było w porządku. Kobiety i dzieci z parafii, bractwa, zakonne i świeckie duchowieństwo, dwoma stali rzędami w największym ładzie. Lecz skoro wyniesiono z probostwa trumnę, wznowił się z całą mocą ów elektryczny prąd, wybuchający z serc za każdym ukazaniem się sługi Bożego; i przez cały czas pochodu przez wioskę niepodobna było zapanować nad tem wzruszeniem tłumu.

Ktoby był niespodzianie zjawisko to napotkał; nie byłby się zapewne domyślił, że się znajduje na pogrzebie! Wątpię, czy jakkolwiek książę lub monarcha wywołał za życia u swych poddanych tyle obawów czei i przywiązania, ile ten biedny, na marach leżący kapłan. — Na placu przy kościele zatrzymał się orszak. Tu Biskup z Belley zabrał głos, by wypowiedzieć przy trumnie, czem był ten dobry i wierny sługa, który wszedł do wiecznego wesela Pana swego. To był przedmiot jego

mowy! Cała Francya zabrzmiała odgłosem tego silnego, łagodnego a lzami i rzewnością przesiąkniętego słowa, jakby je był natchnął duch pokornego księdza, którego wystawiało.

Po mowie pogrzebowej wyszła Msza św. Mury kościółka zaledwo pomieściły duchowieństwo, władzę i rodzinę; wszystek lud pozostał na dworze i z najuroczystszym skupieniem na klęczkach łączył się z przenajdroższą Ofiarą. Po ostatnich ceremoniach, odbytych przez Biskupa, zwłoki świętego kapłana zostały zaniesione do kaplicy św. Jana Chrzciciela, w której dokonał swego męczeństwa.

Odtąd zaczyna się nowy tryumf religii i Świętego, nowy podziwienia godzien widok w pośmiertnej chwale zmarłego! Apostolstwo bowiem świętych nie kończy się z ich ziemskim życiem; relikwie ich mają także misyą do spełnienia. Ufamy że i ks. Vianney z głębi grobu swego otoczonego tak wielką czcią nie zaniedba spełniać swego posłannictwa. Oczy świata zawsze zwrócone ku temu kościółkowi, gdzie tyle dokonało się tajemnic miłosierdzia i miłości. Niepodobna, aby ich źródło było wyczerpnięte. Wszędzie oczekują cudów, które mają opromienić chwałą grób świętego Proboszcza. On za życia tak unikał wszelkiej chwały, że zdaje się powinna po śmierci stać się nagrodą jego pokory! Już mówią o nadzwyczajnych łaskach otrzymanych za jego przyczyną, lecz z umysłu nie ogłaszają, aby nie wyprzedzać wyroku Stolicy Apostolskiej. Protonotaryusz papieżki spisuje na miejscu wszystkie dokumenta kanoniczne, potrzebne do kanonizacji ks. Vianney, która niezawodnie w niedalekiej przyszłości nastąpi.

Tymczasem pielgrzymki nieprzestannie trwają; nyzonomia ich co prawda zmieniona; ale zyskały o tyle na spokojności i skupieniu zewnętrznem, o ile pod tyłu innymi względami straciły przez ubytek Świętego. Szacunek i ufność, które za życia otaczały Proboszcza, czuwają teraz w milczeniu nad jego grobem. Kilku Misyonarzy stale tam mieszka, by głosić słowo boże, słuchać spowiedzi i zadosyć uczynić potrzebom duchownym i parafian i obcych. Nadto ustanowiono regularne rekolekcyje po dwie miesięcznie; a odbywają się z wielkim współudziałem ludu i z wielką dla dusz korzyścią.

MOWA

Najprzewielebniejszego Biskupa z Belley

miana przy złożeniu zwłok

Jana Maryi Vianney,

Wielebnego ks. Proboszcza z Ars.

6 sierpnia 1859 r.

„Dobrzeć słuگو dobry i wierny wniǳ do
wesela Pana Twego.“

(*Mat. XXV, 21*).

Uciszcie się bracia moi! Słuchajcie dusze wierne, —
które szacunek, przywiązanie i boleść na poważny obchód
ten tak licznie zgromadziły. Powtórzę tu słowa Chrystusa
z Ewangelii św.; a powiedzcie, czy jest kto pomiędzy wa-
mi, komuby się nie zdało, że wyszły z ust samego Boga
w chwili, gdy uleciała dusza świętego naszego Proboszcza
z wyniszczonego tak długą służbą ciała, do niebieskiego
Pana? „Dobrzeć, słuگو dobry i wierny, wniǳ
do wesela Pana Twego.“

Zastanówmy się Bracia moi, nad tem drogiem a słod-
kiem słowem. Ono nam będzie w téj chwili nadzieją i
pociechą. Dodam, niech ono przemówi do was zbawienną
przestrogą, w imię tego, który już do was mówić nie bę-
dzie. chyba przykładem życia swego, i prawdopodobnie cu-
dami grobu swego.

Dobrzeć dobry i wierny słuگو! Już pierwsze to
słowo pokrzepia! Jan Chrzciciel Mařya Vianney, święty nasz
Proboszcz z Ars, dobrym był słuگą Boga; liczył siedmdzie-
siąt cztery lat dobrych i zacnych zasług; życie jego całe
było jednym pasmem świętych obowiązków. Małeńkiem

dzieckiem, służył Bogu; przeciwności nie zniechęciły go w zamiarze służenia Bogu jak najdoskonalej w stanie duchownym; chciał być kapłanem, aby Bogu służyć. Dowiedział tego! Jako ksiądz, jako wikaryusz, jako proboszcz zawsze służył Bogu.

Dobrze wam wszystkim wiadomo, że ta służba tak zapełniła całe życie jego, że uczynki obojętne, które my poświęcamy Bogu, ofiarując je choć pośrednio na chwałę Jego, prawie nie istniały w życiu świętego Proboszcza. On prawie dosłownie nie jadł i nie spał. Trzy, czy cztery uncye pożywienia dziennie, jedna do dwu godzin snu wystarczały mu! A jak używał reszty czasu dnia na usługę Boga, na usługę dusz?! Czternaście, szesnaście, ośmnaście godzin w konfesyonale dzień na dzień, przerywając tę, pracę tylko wykładem katechizmu, który tak wymownym był u niego kazaniem. Nawet, gdy go nie dosłyszano, gdy go dobrze nie zrozumiano, sam jego wzrok kazał, poruszał, nawracał. A potem co jeszcze robił? Zbliżał się do ukochanych swych parafian, nawiedzał chorych, modlił się, długo się modlił; pobożnem zajmował się czytaniem: jednym słowem, cały jego dzień zapełniony był aktami chwały i służby Boga. I tak się to powtarzało każdego dnia, w niedzielę i wśród tygodnia, we dnie i w nocy, bez wycieczynku, bez przerwy.

„Dobrzeć, sługo dobry i wierny: gdyż eś nad małym był wierny.“ — O mój Boże! wybacz mi to słowo: nie w małych to rzeczach Proboszcz z Ars był wiernym i dobrym sługą Twoim! Wyznać to należy na Twą chwałę, o mój Boże! bo to życie było cudem Twojej potęgi i miłości. Dla Ciebie, Panie, to wszystko zapewne małą jest rzeczą, nieskończenie małą; lecz dla nas ludzi, dla nas biednych śmiertelników, to życie Proboszcza z Ars jest nadzwyczajne i, rzec można, ciągłym cudem! Od iluż to lat, od ilu wieków może, nie widziano kapłańskiego życia, w tych samych warunkach tak pożytecznie, tak święcie, tak pracowicie zapełnionego, użytego na służbę Twoją?!

A ta służba Boża była pełniona w warunkach dobroci i wierności, jakiej żąda świętość Pana, któremu służymy. „Dobrzeć sługo dobry i wierny!“ Dobrem dla

chrześcjanina, dla kapłana jest ofiara, krzyż, umartwienie. Dobrem, jęk natury zamieniony w pokutne i miłosne westchnienia. Ofiara, jest aktem miłości i zarazem prawdziwą próbą szczerzej miłości. I otóż, co stanowi dobrą służbę, służbę wypróbowaną! Święty nasz Proboszcz posiadał to wielkie i niezachwiane dobro!

Do surowości życia, jakąśmy tu narysowali, którą znaleście dobrze, przydawał jeszcze tysiączne umartwienia, miał prawie ciągłe krzyże do znoszenia; a Bóg wkładał na niego nadto chwilami ciężar wewnętrznych udręczeń. — A ta ciężka a dobra służba tak była wierna! wierność tego sługi tak była zupełna, że miłość własna nie z niej nigdy nie ujęła. Co święty kapłan czynił dla Boga, cłkowiecie Jemu oddawał. Ubogi ten wiejski pleban, otoczony tysiącami pielgrzymów, był prosty jak dziecko. Widzieliście go, wy wszyscy tu zebrani. Słyszeliście go: czyż nie mówię prawdy o nim, najzupełniejszej prawdy? Najróżniejsze i najliczniejsze dowody czci i poważania były mu obojętne. Błogosławił tłumom tak, jak gdyby sam z góry błogosławieństwo otrzymywał. Widywał wizerunek swój wszędzie a rozmaicie oddany i rozpowszechniony jakoby obraz jakiego świętego patrona tego miejsca: wypowiadał z tego powodu jakie gminne porównanie, które w ustach jego nabierało wzniosłej, przedziwnej prostoty.

„Dobrzeć sługo dobry i wierny.“ Jakże prawdziwe te słowa odnośnie do Ciebie! — Lecz nie! nie mówię do Ciebie, lecz do nas: Otuchy! nie płaczmy jak ci, co nadziei nie mają (Do Tessal. IV, 12). Ach! nadzieja jest tu niejako wiarą! Pozwólcie mi, Bracia, szczerzej wylać przed wami, czem serce wezbrane.

• Uwiadomieni o szybkim postępie choroby naszego drogiego Proboszcza z Ars, przybiegliśmy tu coperędzej; w drodze odmawialiśmy pacierze, oficyum o św. Dominiku, dobrym też i wiernym słudze. Mimowoli słowa z pacierzy tych przypominały nam świętego kapłana, do którego zdążaliśmy. W zjednoczeniu z Chrystusem Panem, Głową Kościoła, łączymy się zwykle, odmawiając brewiarz, z patronem dnia każdego. Łączyliśmy się zatem z św. Dominikiem; ale niemniej stawał nam nieustannie na myśli

nasz dobry, święty Proboszcz z Ars. I tak, gdyśmy mówili: „Panie, któż mieszkać będzie w twoim przybytku, albo kto spocznie na świętej górze twojej? — Ten, co żyje bez zmayı i pełni sprawiedliwość!“ Te słowa tak żywo o nim mówiły! — Alboż i te: „Panie, Boże nasz, przedziwne Twe Imię na całą ziemię!“... Czemżeż jest człowiek, że Ty o nim pamiętasz? — Postawiłeś go nieco niżej od Aniołów: uwieńczyłeś go czią i chwałą...“ I tysiące innych zdań, które się tak odnosiły do Sługi Bożego, że nas do żywego przejmowały.

W parę godzin po zgonie świętego kapłana, gdyśmy za niego odprawiali Mszą św. u Jego ołtarza, u którego on tak często stawał, wracały nam myśli dnia poprzedniego, mianowicie gdyśmy czytali słowa z lekyi: „Światło Twoje i Twoja prawda doprowadziły mnie aż do świętej góry Twojej i do Twoich przybytków Bożych... O duszo moja, czego się smucisz i czemu niepokoisz mnie?“ Albo i te z Ewangelii: „Podnieś oczy i patrz na te pola, bieleją one od plonu, jał je okrywa“ — Polem tem było w naszych oczach życie naszego świętego Proboszcza; ukazywało nam się okryte bogatym żniwem; a ufność i święta nadzieja przepelniały naszą duszę.

„Dobrzeć, dobry i wierny słuگو, wniǳ do wesela Pana Twego.“ Sama nadzieja, jaka z słów tych wypływa jest nam już pociechą w smutnej, a uroczystej chwili, jaka nas tu zgromadziła; wszelako, głębsze zastanowienie się nad znaczeniem tych słów, obfitszą jest ze pociechą złagodzi nam gorycz ofiary, jakiej Bóg od nas zażądał. Ach! ta ofiara bardzo ciężka! Wszyscyśmy wielką ponieśli w nim stratę.— Proboszcza z Ars nie nam nie zastąpi. Nawet sam Bóg na większą swą chwałę nie chce przymnażać tych cudów łaski i świętości. Cała Francya straciła kapłana, który był jej chlubą, do którego przybiegano po radę z wszystkich jej zakątków. O! jakąż stratę biedni grzesznicy ponieśli przez śmierć Proboszcza z Ars! Trudno mu się było oprzeć, gdy przemówił wśród łkań i łez. Nasza dyecezya straciła wiele; bo Proboszcz z Ars był jej chwałą i jej opatrnością: on w niej ufundował Misye, które mu były tak drogic. Przeszło dziewięćdziesiąt parafii zawdzięczać mu będą wieczyste misye

co dziesięć lat. A wieleż to innych dzieł on pobłogosławił, do wieluż on zachęcił?

O! i wasz Biskup także wiele stracił. Stracił w nim ojca, przyjaciela, wzór swój! Biedny, święty Proboszcz! drżał cały, gdy nas pierwszy raz przyjmował. Przyjazd nowego biskupa zawsze wrażenie robi! a potem on tak szanował godność biskupią! Wieleż razy wychodził nas witać, zaledwo usłyszał, żeśmy przyjechali; a zawsze nas witał na kolanach i z prośbą o błogosławieństwo, mimo mimowolnego szemrania zdziwionego ludu, że tak wielka świętość zniża się do stóp samej tylko godności i władzy. Ale gdyśmy go przycisnęli do serca, gdyśmy uścisnęli czcigodne jego dłonie, wnet rozproszyła się jego obawa. Gdyśmy spojrzeli w jego głębokie a łagodne oczy, jesteśmy pewni, ukochał nas tak, jak myśmy go pokochali.

Ach! tak, wszyscy straciliśmy wiele; ale te słowa: „Dobrzeć sługo, wnijdź do wesela“ powinny wstrzymać, jeśli już nie łyzy nasze, to nasze skargi, szemrania, a nawet żal zbyt żywy. — „Dobrzeć sługo, wnijdź do wesela Pana Twójego.“ Dzień twój skończony, dość się napracowałeś, dość zrobiłeś: pójdź po zapłatę za twój trud i mozół. Ta myśl nas przejęła, gdy udzieliwszy choremu błogosławieństwa, przeciskaliśmy się przez tłumy zapłakanego ludu, do stóp ołtarza; tu we wspólnej modlitwie usłyszeliśmy prośbę jednego z naszych Misyjonarzy, aby Bóg cudem przywrócił do życia i zdrowia tego ukochanego Ojca; mimowolnem uczuciem nie mogliśmy się przyłączyć do téj prośby, a łączyliśmy się z wolą Bożą. Mówiliśmy sobie: „On już się tyle napracował.“ Zapewne, powtórzyłyby za św. Marcinem: nie uchylam się od dalszej pracy! Widząc łyzy nasze, chętnie przyjąłby dłuższe życie, ależ czy nam się godzi o nie prosić? On tak strudzony, wyniszczony; zdawało się, że tylko cudem żyje. Czyż nie dość długo Bóg go nam zostawił? Potrzeba nam go; ale jemu też potrzeba spoczynku, on ma prawo do nagrody. Niech więc już wnijdzie do wesela Pana Swojego!

A zresztą, czyżby on mógł tak zatonać w rozkoszy niebieskiej żeby o nas już nie miał pamiętać, za nas się modlić i służyć nam! Niebo jest blisko ziemi, skoro je

Bóg łączy! — Odwagi więc! Proboszcz z Ars, spoczywający na łonie Boga, nie stracony dla nas.

Gdyby nam Proboszcz z Ars mógł odpowiedzieć, cóżby odpowiedział na te słowa, które doń stósujemy: „Dobrzeć wierny i dobry sługo, wnidź do wesela Pana Twojego? O! zapewne nie za co innego, jak za Ewangelią: „Niepożytecznym ja sługa, co mnie z wiesz wiernym i dobrym?... A zapewne surowiej jeszcze byłby się tu chciał z sobą obejść. Było to jednym z wewnętrznych jego utrapień, że prawie do rozpacz doprowadzało go poczucie, jakoby był nieużyteczny. „Jak się ks. Proboszcz może obronić wyniosłych myśli — pytał go jeden z misjonarzy — gdy takie tłumy do niego się cisną? — Ach! mój drogi! odparł mu święty kapłan, — pytaj mnie raczej, jak się mogę oprzeć pokusie zniechęcenia i rozpacz? O potęgę łaski Bożej! ty nam tłómaczysz, dla czego ten dobry i uwielbiany pasterz, tak się wydierał ze swego probostwa, aby w samotnem ustroniu umrzeć na pokucie.

Nie mniej jak dwa tygodnie temu, mówił do nas: „Ach! Przewielebna Biskupia Mości! niedługo prosić Cię będę, abyś mi pozwoliła wyjechać, by opłakać grzechy mojego żywota. — Ależ ks. Proboszczu, mówiliśmy mu, lzy tych grzeszników, których Ci Bóg nasyła, zastąpią lzy twoje. Nie mów mi o tém, bo już nigdy do ciebie nie przyjadę. — Wszelkie wyrazy serdeczności i zachęty nie przekonywały go.

W własnych oczach był biednym grzesznikiem, lękał się odpowiedzialności pasterza i lękał się, że źle swój obowiązek spełnia; drżał nieraz na myśl o sądzie Boga. W ostatnich dniach swego życia był zupełnie spokojny: może to zaproszenie Boże: Wnidź do wesela, brzmiało mu już w uszach. Ale w pierwszej chorobie, przed piętnastu laty, gdy Bóg tak miłosiernie przyjął modły nasze za nim, widny był straszny niepokój jego duszy. Jakaż przestroga dla nas z tego wewnętrznego usposobienia dobrego Proboszcza.

O dusze lękliwe, dusze niepokojem dręczone, których to tak wiele było pomiędzy pątnikami przybywającymi do Ars, nauczcie się od Proboszcza stawiać opór tym lękom i obawom. Ta

pokusa była dlań t \acute{e} m, cz \acute{e} m \acute{s} w. Pawłowi o \acute{s} cie \acute{n} ciała, ne maguitudo revelatione extollat, żeby wielkość objawie \acute{n} nie podniosła go w pych \acute{e} . Przez tę bojaź \acute{n} sądów Pa \acute{n} skich Bóg utrzymywał tę piękną dusz \acute{e} w pokorze; przez to przymnożył zasługowym uczuciom ufności, która potem wypełniała życie świętego; przez to natębnął go po przebytej próbie temi słowy współczucia, które wam mówił, a którymi wam tyle pociechy przynosił.

Ale i wy dusze oziębłe, dusze zarozumiałe, dusze rzadko się tu pojawiające, ale które przecie \acute{z} dojdzie odgłos tej rzewnej naszej uroczystości, wiedcie, że Proboszcz z Ars, ten święty Proboszcz, lękał się sądów Bo \acute{z} ych. Jest to jaskrawy przykła \acute{d} dla wieku, który się niczego nie lęka, w którym bojaź \acute{n} ustępuje miejsca nie miłości, lecz odr \acute{e} twnieniu, obojętności i zapomnieniu. Kiedyż wy się wreszcie obudzicie? Kiedyż zaczniecie się lękać, wy co tyle macie do tej obawy powodów? — Kiedyż naprawdę zabierzecie się do najważniejszej sprawy w życiu waszem?

Dla ciebie, drogi, czcigodny Proboszczu, pokusy i obawy się skończyły. Mamy pewną nadzieję, wszedłeś już do wesela Pana Twojego!

Wprowadziła cię do niego ta Matka Miłosierdzia, któraś tak umiłował i którejś imię nosił; wprowadził cię do niego \acute{s} w. Jan Chrzciciel, twój patron, tak wielki a tak pokorny; wprowadziła cię do niego \acute{s} w. Filomena, przybrana patronka twoja, która zdawała się chcieć ukryć swoje imię pod twojem, tak jak ty swoje imię pod jej imieniem ukrywałaś.

O! z tego przybytku szczęścia i chwały nie ustawaj czuwać nad nami. Ty przewodniku Izraela, zostaw nam twego ducha gorliwości w służbie Bo \acute{z} ej i bojaźni, miarkowanej i kierowanej przez ufność i miłość.

Zostaw go temu zgromadzeniu misjonarzy, które się szczyci, żeś je za życia twego ojcowską miłością otaczał.

Zostaw go twoim ukochanym owieczkom, które chyba coraz silniejsze uczucie miłości pocieszysz po tobie.

Zostaw je duchowieństwu tej dyecezyi, dla którego jest świętą chlubą, żeś ty do jego grona należał.

Zostaw go swemu Biskupowi, który smutny ale i szczęśliwy, że o tobie mówić może. I wiedz, że najpiękniejszy i najpożądańszy dzień mego urzędowania będzie ten, w którym Kościół przez usta Namiestnika Chrystusowego pozwoli zaśpiewać na twoją cześć: Dobrzeć sługo dobry i wierny, wnidź do wesela Pana Twojego. Amen.

 **KONIEC.** 



SPIS RZECZY.

Księga czwarta.

Życie apostołskie ks. Vianney od powstania pielgrzymek
aż do ich najwyższego rozwoju.

(1826—1858).

	Strona
ROZDZIAŁ I. Początki pielgrzymek. — Sława ks. Vianney	1
ROZDZIAŁ II. Pielgrzymki przez ćwierć wieku	9
ROZDZIAŁ III. Listy ze wszech stron wielbią i podnoszą cześć ks. Vianney.	30
ROZDZIAŁ IV. Cudowne uzdrowienie w Ars	49
ROZDZIAŁ V. Nawrócenia dokonane w Ars	77
ROZDZIAŁ VI. Dar pocieszenia Ks. Vianney	99
ROZDZIAŁ VII. Skuteczność modlitwy ks. Vianney	104
ROZDZIAŁ VIII. Wewnętrzne udęczenia ks. Vianney	113
ROZDZIAŁ IX. Proboszcz z Ars i la Salette	123
ROZDZIAŁ X. Ks. Vianney udęczony pragnieniem samo- tności	130
ROZDZIAŁ XI. Cześć oddana ks. Vianney przez kilku zna- komitych gości	138
ROZDZIAŁ XII. Dar rady ks. Vianney	150
ROZDZIAŁ XIII. Proboszcz z Ars jako spowiednik.	160
ROZDZIAŁ XIV. Proboszcz z Ars jako katecheta	172
ROZDZIAŁ XV. Niedzielne homilje Proboszcza z Ars	203

Księga piąta.

Życie wewnętrzne księdza Vianney. Jego wizerunek. — Jego
przyrodzone przymioty, cnoty i dary Boże.

ROZDZIAŁ I. Wizerunek księdza Vianney	218
ROZDZIAŁ II. Wrodzone przymioty ks. Vianney. — Żywość jego umysłu i wdzięk rozmowy. — Jego od- powiedzi. — Prostota. — Dobroć.	223

	Strona
ROZDZIAŁ III. Uprzejmość, grzeczność, prostota, dobroć ks. Vianney	240
ROZDZIAŁ IV. Cnoty księdza Vianney, Jego wiara, nadzieja, miłość ku Panu Jezusowi, Jego nabożeństwo do N. Panny i do Świętych	248
ROZDZIAŁ V. Jak ks. Vianney kochał bliźniego. Jego gorliwość, hojność	264
ROZDZIAŁ VI. Pokora ks. Vianney	274
ROZDZIAŁ VII. Umartwienie, łagodność i cierpliwość księdza Vianney.	281
ROZDZIAŁ VIII Cnoty wlane ks. Vianney	290
ROZDZIAŁ IX. Śmierć i pogrzeb ks. Vianney	301
Mowa Najprzewielebniejszego Biskupa z Belley, miana przy złożeniu zwłok Jana Maryi Vianney, Wielebnego ks. Proboszcza z Ars, 6 sierpnia 1859 r.	310



POMYŁKI DRUKARSKIE.

Część I.

Str.	3 wiersz	19 zamiast	Vanney	czytaj	Vianney
"	6	41	zwany	"	znaczy
"	11	8	i Cantalicium	"	â Cantalicium
"	19	39	zapowiednią	"	zapowiedzią
"	45	21	źródem	"	źródłem
"	85	3	dobrzemienia	"	dobrego mienia
"	88	7	dobrzemienia	"	dobrze mienie
"	96	3	z Ars	"	w Ars
"	97	27	dopełniały	"	spełniały
"	102	16	Probosz	"	Proboszcz
"	134	12	złożona	"	złożoną
"	148	22	we Chrystus	"	we mnie Chrystus
"	184	8	mająca	"	znająca

Część II.

Str.	9 w tytule	zamiast	Pielgrzymka	czytaj	Pielgrzymki
"	18 wiersz	23	wykładasz	"	wykładasz
"	22	26	jakim	"	jakimś
"	33	2	siostrą	"	siostrę
"	36	21	wpomniał	"	wspomniał
"	36	34	Matce	"	Matki
"	76	13	Fioertti	"	Fioretti
"	91	5	wywołała	"	wzywała
"	106	23	wyjazdnem	"	wyjezdnem
"	135	20	pozostawał	"	pozostał
"	137	1	z uśmiechem	"	uśmiechem
"	160	4	przedewszystkim	"	przedewszystkiem
"	161	23	błogosławieństwo	"	błogosławieństw
"	167	7	założenin	"	założenia
"	178	11	zu nie	"	za nie
"	183	31	nimi	"	niemi
"	195	1	dziecię	"	dzieci
"	208	ostatni	aby się ten	"	aby się nawrócił ten
"	224	21	serce	"	serca
"	235	36	stworzyć	"	otworzyć
"	246	18	niespodzinnie	"	niespodzianie
"	263	20	Bogu	"	Bogu
"	265	22	tu	"	ten
"	304	1	zapisana	"	zapisane
"	315	6	nie za co	"	nie co innego







KSIEGARNIA

ANTYKWARIAT



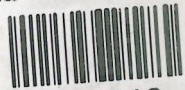
581602 F

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
B I B L I O T E K A

143879

Biblioteka WSP Kielce



0136518